

Patrick Larkin

Trybun

Przełożyła Magdalena Rabsztyń

(Tribune. A Novel of Ancient Rome)

Prolog

Życie ludzkie może dobiec końca, a jednak zacząć się na nowo, nawet pomiędzy jednym a drugim oddechem. Nazywam się Lucjusz Aureliusz Walens i służę Rzymowi jako żołnierz. Wiem, że to, co opowiadam, jest prawdą.

Ponieważ sam to przeżyłem.

Jeszcze niedawno, gdyby ktokolwiek tak twierdził, odrzuciłbym jego słowa jako opowiastkę snutą w tawernie po wypiciu zbyt dużej ilości nierozcieńczonego wina lub też jako urojeń chorego.

Lecz teraz...

Teraz patrzę na świat innymi oczyma. To, co kiedyś uważałem za pewne, wydaje się bardziej cieniem niż rzeczywistością, a to, co bym niegdyś wyśmiał jako zwykły przesąd, zeszło z niebios do nas, śmiertelników.

Mogę tylko opowiedzieć o tym, co sam widziałem i słyszałem, o tym, co czułem i czego się nauczyłem. Sami musicie osądzić, czy mówię prawdę, czy po prostu postradałem zmysły i rozum.

Najpierw jednak musicie coś o mnie wiedzieć.

Urodziłem się w Rzymie dwadzieścia cztery lata po tym, jak Oktawian, przybrany syn Juliusza Cezara, przyjął tytuł Augusta i został władcą całego cywilizowanego świata. Długie i krwawe wojny domowe, które zniszczyły starą republikę, dobiegły końca. Oktawian August nadal powoli i mądrze budował nowy porządek na popiołach starego. Mój ojciec, członek grupy społecznej ekwitów, zdobywał w tym nowym ładzie coraz wyższą pozycję.

Miał wielkie ambicje nie tylko w stosunku do siebie, ale i do mnie, swego jedynego syna.

By zrealizować te dążenia, zadbał o moją edukację i użył swoich wpływów, żeby

zapewnić mi przydział w armii – niezbędny pierwszy krok na drodze do większej chwały. W tym postępował honorowo i sprawiedliwie, jak każdy inny ojciec na jego miejscu.

To przyznaję.

Muszę jednak wyznać, że mam z ojcem niewiele wspólnego. Jego życie pochłaniały interesy, zyski i inwestycje oraz handlowe okazje, które by sprzyjały korzyściom naszej rodziny. Całe dni spędzał w pogoni za bogactwem i władzą, która z niego płynie.

Nie podzielałem jego pasji.

Nawet jako chłopiec pożądałem jednej jedynej rzeczy. Honoru.

Nawet teraz, po wszystkim, co przeżyłem, w tym jednym krótkim słowie nadal jest coś, co sprawia, że serce zaczyna mi bić szybciej.

Od czasów młodości gorąco pragnąłem, by uważano mnie za człowieka honoru – szanowanego zarówno przez przyjaciół, jak i wrogów, za człowieka, który zawsze i wszędzie zrobi to, co należy zrobić.

Mój ojciec uważał to za czyste szaleństwo i starał się, jak mógł, żeby skierować moje myśli ku praktyczniejszym i rozsądniejszym celom. Obwinił ojca mojej matki o wypełnienie mojego umysłu tym, co nazywał „bezcelowymi snami, nieprzynoszącymi żadnego zysku”.

Miał rację.

Mój dziadek był już w podeszłym wieku, kiedy się ożenił. Nie miał synów, a tylko jedną córkę – moją matkę. Jako dziecko część każdego lata spędzałem w jego gospodarstwie, pomagając przy żniwach oraz słuchając opowieści o wojnie i legionach.

To zaprawiony w bojach żołnierz, który doszedł do stopnia pierwszego centuriona, zanim osiadł na ziemi zdobytej dzięki służbie. Miał wiele blizn i dostał dużo nagród za odwagę.

Najbardziej jednak cenił sobie zwykły złoty pierścień, ofiarowany mu przez samego Augusta.

– Spójrz na niego, Lucjuszu – mawiał czasem wieczorami, gdy siedzieliśmy, posilając się przy stole w jego prostej kuchni. Potem podsuwał rękę pod lampę, a złote kółko na palcu jego lewej dłoni lśniło w migotliwym świetle. – Wydaje się, że to drobiazg. Ktoś taki jak twój ojciec nazwałby go zwykłą ozdobą. Ale to coś więcej. O wiele więcej. Wiesz o tym, prawda?

Kiwałem głową, czekając niecierpliwie na starą i dobrze znaną opowieść.

Czterdzieści lat przed moimi narodzinami dziadek był centurionem w legionie dowodzonym przez Oktawiana, wtedy zaledwie dziewiętnastoletniego chłopaka. Zamach na Cezara dopiero co pogrążył Rzym i wszystkie jego prowincje w chaosie. Większość ludzi przechodziła na stronę tych, którzy mieli przewagę, ale nie mój dziadek. Służył on Juliuszowi Cezarowi i postanowił mu dochować wiary, słuchając rozkazów przybranego syna swojego ukochanego dowódcy.

W tym czasie Oktawian sprzymierzył się z senatem przeciwko Markowi Antoniuszowi, dawnemu oficerowi Cezara. Antoniusz rozgniewał go, odmawiając mu prawa do spadku i sprzeciwiając się jego planom politycznym.

Ich armie zwały się w zażartej bitwie pod Mutiną, w północnej Italii.

W którymś momencie boju wojska Marka Antoniusza przerwały szeregi legionistów. Niosący sztandar padł przebity oszczepem. Oktawian, widząc, że jego legioniści słabną i zaczynają wpadać w panikę, sam chwycił Orła i podniósł go wysoko. Mój dziadek zebrał znajdujących się najbliżej i poprowadził ich, by bronili symbolu armii – przybyli w porę, by odeprzeć brutalny atak wrogich żołnierzy. Podczas rozpaczliwej potyczki ochraniał Oktawiana własną tarczą, mimo że sam został zraniony kilkakrotnie.

Następnego dnia, kiedy leżał w szpitalnym namiocie, Oktawian przyszedł się z nim zobaczyć.

– Cóż, Marku Waleriuszu – powiedział młody człowiek, który miał pewnego dnia rządzić całym Rzymem. – Przyszedłem ci podziękować za ocalenie mi życia. Cóż mogę ci ofiarować na znak mojej wdzięczności?

Mój dziadek tylko pokręcił głową:

– Nie ma takiej potrzeby, panie. Nic mi nie jesteś winien.

Oktawian zachichotał:

– Nie sądzę. Jak każdy rozsądny człowiek, bardzo sobie cenię własną skórę. Powiedz mi, co mogę zrobić, żeby ci się odplacić.

Dziadek ponownie pokręcił głową.

– Mylisz się, panie. Nie walczyłem w obronie twego życia. Walczyłem w obronie Orła oraz honoru naszego legionu.

Wyraźnie zaskoczony Oktawian, milcząc, patrzył na niego przez parę chwil, a potem odwrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa.

Tydzień później przysłał jednak swój podarek. Był to zwykły złoty pierścień, na którego wewnętrznej stronie wygrawerowano prostą inskrypcję: Honor i Prawda.

Od tego dnia mój dziadek nosił go z dumą.

A teraz noszę go ja.

Otrzymałem go w dniu, w którym stałem się pełnoletni. Dziadek, choć już przekroczył osiemdziesiąt lat, przyjechał na tę okazję do Rzymu. Był szczuplejszy niż ostatnim razem, kiedy go widziałem, ale nadal poruszał się żwawo i miał to samo niezłomne spojrzenie, które nawet mego ojca potrafiło zmusić do milczenia. Kiedy skończyła się uczta, przywołał mnie do siebie. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, zsunął pierścień ze swego palca i wsunął na mój.

– Teraz należy do ciebie, Lucjuszu – powiedział, patrząc mi prosto w oczy. – Mój honor to teraz twój honor. Stój na jego straży. Zawsze działaj zgodnie z honorem i prawdą. Nigdy nie przynieś mi wstydu.

Kiwnąłem głową oniemiały, ogarnięty zbyt wielkimi emocjami, żeby się

odezwać.

Wtedy mój dziadek się uśmiechnął.

– Ty jesteś moim prawowitym dziedzicem. Pokażesz, co jesteś wart. Zadbalem o to.

Umarł jeszcze w tym samym roku w wyniku gorączki wywołanej przez jedną ze starych ran.

Przez te lata, we wszystkim, co zrobiłem i czego zrobienia odmówiłem, starałem się przestrzegać ostatniego przykazania dziadka. Nigdy nie było łatwo. I jestem pewny, że zawodziłem go o wiele częściej, niż chciałbym się do tego przyznać.

Jednakże zawsze próbowałem czynić to, co słuszne. Zawsze starałem się mówić prawdę.

Posłuchajcie mnie teraz, gdy będę wam opowiadał dziwną, przerażającą i cudowną historię.

Posłuchajcie.

I jeżeli możecie, uwierzcie.

Rozdział I

Opuściłem Apameę jeszcze przed świtem, jadąc co koń wyskoczy, by zobaczyć skutki rzezi.

Pot piekł mnie pod zbroją, spływając wzdłuż żeber. Choć było jeszcze rano, już panował wielki upał. Dym znaczył niebo nade mną, gdy skierowałem konia w bok od głównego traktu i puściłem kłusem po wąskiej, wysadzonej drzewami drodze. Przed sobą miałem okolone murem zabudowania, które niegdyś stanowiły serce wiejskiej posiadłości. Czarne kształty ptaków padlinożernych krążyły nisko nad ziemią.

Był Augustus, szósty miesiąc piątego roku panowania cesarza Tyberiusza, środek lata. Osiem lat minęło od czasu, kiedy dziadek udzielił mi swojego błogosławieństwa i przekazał pierścień. Byłem trybunem Szóstego Legionu. To był mój drugi przydział od czasu złożenia przysięgi wojskowej. Pierwsze cztery lata kariery wojskowej spędziłem nad Renem, gdzie dowodziłem kohortą lekkozbrojnej piechoty, walczącej w niekończącej się wojnie z germańskimi barbarzyńcami. Teraz awansowano mnie i przeniesiono do Szóstego Legionu, jednego z czterech mających bronić Syrii przed atakami naszych starych partyjskich wrogów.

Poufne raporty, które przestudiowałem przed przybyciem tutaj, opisywały tę prowincję jako spokojną i zamożną. Nadal przestrzegano tu traktatu pokojowego z Partią. Plemiona koczowników nie naruszały pustynnej granicy. Sami Syryjczycy, według doniesień, byli pod naszymi rządami zadowoleni i szczęśliwi. W tych okolicznościach spodziewałem się, że w spokoju będę się borykać ze szczegółami administrowania legionami i prawem wojskowym, zdobywając więcej umiejętności i wiedzy (oraz wpływowych przyjaciół), potrzebnych mi do uzyskania wyższej rangi.

Mylilem się.

W Syrii nie było pokoju. Znajdowała się ona w stanie wojny domowej.

Główna brama prowadząca do obejścia zwisała, wyrwana z zawiasów taranem. Dym był coraz gęstszy. Popędziłem wierzchowca przez stojący otworem wjazd. Kruk zakrakał i wzbił się w niebo, kiedy go mijałem.

Wszędzie widziałem zwłoki.

Okaleczone ciała gęsto zaścielały ziemię. Leżały zarówno w przyległych oborach, spichrzach i pomieszczeniach dla niewolników, jak i dokoła nich. Żołnierze rozebrani do tunik wyciągali kolejne ciała ze wspaniałej kamiennej willi, stojącej na samym środku.

Na wprost mnie siedzący na koniu oficer w zbroi i szkarłatnym płaszczu gniewnym głosem wydawał pracującym mężczyznom krótkie rozkazy.

Dym z płonących zabudowań wisiał ciężko w nieruchomym powietrzu. Bijący od niego drażniący odór palił mi gardło i szczypał w oczy. Pod tym obłokiem dymu chmary tłustych czarnych much brzęczały leniwie nad trupami ludzi i zwierząt, uczując na rozszarpanych ciałach i zastygłej krwi.

Z trudem przełknąłem ślinę, bo w ustach czułem gorzki smak wzbierającej żółci. Mój koń, dziarska hiszpańska klacz imieniem Tancerka, zarżał niespokojnie, przestraszony potwornym widokiem i zapachami. Pochyliłem się i poklepałem Tancerkę delikatnie. Kiedy się trochę uspokoiła, podjechałem wolno w kierunku dowodzącego, starannie nią kierując pomiędzy rozrzuconymi ciałami.

Młoda kobieta, najpewniej służąca, leżała skulona na boku. Byłaby ładna, gdyby nie głęboka rana zadana mieczem przez środek twarzy. Nieopodal, oparty o ścianę, siedział starszy mężczyzna, być może zarządca. W jego oczach nadal widać było przerażenie. Pchnięto go włócznią w brzuch i zostawiono, by umierał w męczarniach. Kilka metrów dalej ciała dwojga dzieci – małej dziewczynki o oliwkowej cerze i młodszego od niej chłopca, ledwo odstawionego od matczynej

piersi – rzucono jedno na drugie. Miały zmiążdżone czaszki.

Oliwa z roztrzaskanych dzbanów tworzyła kałużę, już jęlczejąc w gorącym słońcu. Worki suszonych fig oraz innych owoców rolnych zostały rozcięte i przewracane. Pośród stosów rozbitych garnków i rozłupanych mebli dostrzegałem połyskujące w słońcu kawałki potłuczonego szkła.

Gdziekolwiek spojrziałem, wszędzie było to samo. Trupy. Zniszczenie. Bezsensowna masakra. Łotry, które to zrobiły, nikomu nie okazały litości: ani jednemu mężczyźnie, kobiecie czy dziecku. Zarżnęli nawet zwierzęta, świnie, owce i kozy.

Zrobiło mi się niedobrze.

Śmierć to codzienność w żołnierskim fachu. Kiedy ruszasz do boju, zabijasz albo zostajesz zabity. Każdy, kto wyciąga miecz, a nie przyzna się do tego przed samym sobą, jest głupcem lub kłamcą. Mam nadzieję, że nie należę do żadnej z tych grup.

Jednak to nie była bitwa. To rzeź niewinnych. Ich śmierć nie miała sensu. Tu nie chodziło o honor ani o chwałę, a jedynie o okrucieństwo, o niepotrzebne zniszczenie.

Zacisnąłem szczęki. Chciałem znaleźć ludzi odpowiedzialnych za tę jatkę. Chciałem, żeby wiedzieli, iż za tę zbrodnię zapłacą swoim życiem.

Zatrzymałem konia przy oficerze o srogiej twarzy, patrzącym na legionistów zajętych tym przygnębiającym zajęciem. Mruknął z obrzydzeniem, gwałtownym ruchem ściągnął hełm ozdobiony czerwoną kitą i włożył go pod ramię. Potem przesunął zmęczoną dłonią po krótko ostrzyżonych siwiejących włosach.

– Na bogów, Walens – wymamrotał do mnie gniewnie. – Co za przekłety chaos! Skinąłem bez słowa. Nie było nic, co mógłbym dodać.

Legat, Tytus Petroniusz Faustus, dowódca Szóstego Legionu, miał pełne prawo być wściekły.

Spustoszona posiadłość należała do majątnego syryjskiego ziemianina imieniem Demetriusz, Greka z pochodzenia. Znajdowała się na terytorium przydzielonym

naszemu legionowi, a Demetriusz oczekiwał po nas ochrony majątku, swojego życia oraz życia swej rodziny i niewolników.

Zawiedliśmy.

Przysadzisty żołnierz w czerwonej tunice centuriona podszedł do Faustusa i zasalutował:

– Moi ludzie znaleźli jednego żywego, panie. Jeden z niewolników służących w domu uciekł w porę i całą noc ukrywał się tam – machnął kciukiem na wschód, w kierunku stromego wzgórza, wznoszącego się za spieczonymi słońcem polami. Zbocze aż po szczyt porastał gęsty gaj sękatych drzew oliwnych.

Faustus kiwnął niecierpliwie głową:

– I?

Centurion, potężny mężczyzna o byczym karku, imieniem Domicjusz Capito, wzruszył ramionami:

– To, co zwykle. Mówi, że banda uzbrojonych zamaskowanych mężczyzn w kapturach odwiedziła zeszłej nocy jego pana, żądając pieniędzy za ochronę.

Z wściekłości zacisnąłem zęby. Zbyt często słyszałem tę opowieść, od kiedy przybyłem do Syrii. Bandy grabieżców plądrowały miasta, miasteczka i wsie całej prowincji, jak widać bezkarnie. Zagrażały wszystkim najbogatszym kupcom i rolnikom. Rabusie bezszelestnie podchodzili swoje ofiary, żądając dużych pieniędzy, Ci, którzy odmówili, byli mordowani wraz z żonami, dziećmi i służącymi, a ich majątki podpalano.

Demetriusz odmówił.

Faustus prychnął:

– Ten Grek okazał się głupcem!

– Panie? – zdziwiłem się.

Legat wskazał na otaczające nas zniszczenie.

– Po co się było na to narażać, Walens? Lepiej stracić trochę pieniędzy niż życie.

Dopóki nie dopadniemy tych przestępców, taki opór nic nikomu nie da!

Skrzywiłem się. Trudno zaprzeczyć słuszności tego, co powiedział, ale nie mogłem się zdobyć na oskarżanie człowieka, który umarł, bo my nie utrzymaliśmy pokoju. Rzym władał Syrią od ponad ośmiu lat. Miejscowi płacili posłusznie podatki i mieli prawo oczekiwać od nas ochrony.

Faustus jeszcze patrzył na martwe ciała porozrzucane po splądrowanej farmie. Potem się wyprostował.

– Mam już dosyć tego głupiego marnotrawstwa na obszarze znajdującym się pod moją władzą. – Odwrócił się w siodle. – Kaeliusz!

Jego skryba, cherlawy człowieczek o bladej twarzy i palcach wiecznie poplamionych atramentem, podbiegł truchtem. Już wyciągał nawoskowaną tabliczkę i rylec ze swojej torby.

– Tak, panie?

– Zapisz to! – rozkazał Faustus. Zacisnął usta, zastanawiając się przez chwilę, a potem zaczął: – Tytus Petroniusz Faustus, dowódca Szóstego Legionu, śle najgorętsze pozdrowienia wszystkim najznacniejszym mieszkańcom regionu. Póki trwa ten niefortunny stan zagrożenia, przyjmijcie ode mnie następującą radę...

Powstrzymałem język, gdy legat dyktował list, lecz muszę wyznać, że było to trudne.

Faustus właściwie nakazał miejscowym właścicielom ziemskim i kupcom zastosować się do żądań bandytów. Och, przedstawił nawet swoje polecenia w korzystnym świetle, obiecawszy pełną restytucję, kiedy już nasz legion pojmie lub zabije grabieżców, lecz nikt, kto czytał to pismo, nie mógł nie zrozumieć jego prawdziwego znaczenia: „Poddajcie się albo zginiecie. Legion was nie ochroni”.

Nie wierzyłem własnym uszom. Pozwolić tym bandom na granie nam na nosie było wystarczającą ujmą dla naszego honoru. Jak legat może tak otwarcie przyznawać się do niepowodzenia? To upokarzające. Gorzej, to haniebne!

Jeżeli nie utrzymamy pokoju, dla którego pobieramy od Syryjczyków podatki, nie będziemy lepsi od tych bandytów.

Moja dłoń zacisnęła się na głowni miecza zawieszzonego u lewego boku. Byłem rzymskim oficerem i członkiem stanu ekwitów. Nie przybyłem do Syrii po to, żeby być świadkiem, jak bez walki ustępujemy zwykłym rabusiom i złodziejom – pomyślałem z goryczą. Nie po tym, jak przez cztery długie lata walczyłem przeciwko prawdziwym wojownikom w germańskiej dziczy.

Kiedy Faustus skończył dyktować, rozkazał:

– Przepisz to i roześlij, jak tylko wrócimy do obozu.

Skryba kiwnął posłusznie głową i zniknął w grupie medyków i ordynansów czekających kilka metrów za nami.

Usatysfakcjonowany legat zwrócił się znowu do wielkiego centuriona, który ciągle stał przed nim.

– Znakomicie, Capito. Każ swoim oddziałom wznieść stos i spalić ciała. Nie ma sensu zostawiać ich tu padlinożercom.

– Tak, panie – centurion odsunął nieco hełm i podrapał się po czole. – Co zrobić z niewolnikiem, którego znaleźliśmy?

Faustus wzruszył ramionami:

– Zabierzcie go ze sobą. Znam pośrednika, który go wykupi. Dochód pójdzie na pomoc legionistom.

Capito wyszczerzył zęby w uśmiechu:

– Tak jest, dowódco. Przynajmniej pocieszy to trochę chłopaków przy zwałaniu trupów na stos.

Gotowałem się ze zniecierpliwienia. Podjechałem bliżej, żeby moich słów nie usłyszeli otaczający nas żołnierze. Dobry oficer może się nie zgadzać z decyzjami dowódcy, lecz nigdy nie powinien tego robić na oczach wojska.

– A co z tą rzezią? – zapytałem. – Nie powinniśmy ścigać tych, którzy tego

dokonali?

Faustus zmierzył mnie ponurym spojrzeniem.

– W jakim celu, Walens? Ile razy wysyłaliśmy oddziały, żeby wlokły się po tych wzgórzach? Dziesiątki razy? Setki razy? I co nam z tego przyszło?

– Zniszczone sandały. Obolałe stopy. Oparzenia od słońca. I nic więcej – odpowiedział szybko centurion, zanim zdążyłem się odezwać.

Legat kiwnął głową.

– Dobrze powiedziane, Capito. – Spojrzał na mnie z marsową miną. – Gonienie za tymi bandytami to wyścig, który przegraliśmy, nim się zdążył zacząć. Mają przynajmniej pół dnia przewagi nad nami. Przed zachodem słońca będą w głuszy, a tam ich nigdy nie znajdziemy.

To prawda – uświadomiłem sobie niechętnie. Ale są inne możliwości.

– Zatem proszę o oddziały i zaatakuję ich, kiedy pojawią się w następnej posiadłości – powiedziałem beznamiętnie.

Faustus utkwiał we mnie spojrzenie.

– A jak ty chcesz to zrobić, trybunie? – wydał wargi. – Czy bogowie obdarowali cię darem jasnowidzenia, niedostępnym nam, zwykłym śmiertelnikom?

Zaczerwieniłem się.

– Nie, panie.

– Więc?

Tancerka poruszyła się nerwowo pode mną, pobudzona moim gniewem i zakłopotaniem. Odrzuciła łeb do tyłu. Znowu ją uspokoilem, tym razem naciskiem kolan. Potem spojrzałem na Faustusa.

– Przeczytałem wszystkie raporty z naszego regionu. Jest jakaś prawidłowość w tym rozboju, przynajmniej tu, na wsi.

Legat jeszcze bardziej się skrzywił.

– Mów dalej.

– Zeszłej nocy grabieżcy zamordowali Demetriusza i wszystkich jego ludzi. Wiemy, że kilka dni temu zebrali trybut od dwóch właścicieli ziemskich na północ stąd. Miesiąc wcześniej spalili posiadłość jeszcze dalej na północ i obrabowali kolejne cztery czy pięć majątków w tej samej okolicy.

Czekałem, aż Faustus zrozumie, do czego zmierzam, ale tylko siedział w milczeniu na koniu, nadal marszcząc brwi. Dziwne – pomyślałem. Z pewnością nawet ślepy by to zauważył.

– Ci bandyci nie uderzają na oślep, panie – powiedziałem w końcu. – Działają systematycznie, niemal metodycznie, w górę rzeki, w kierunku Apamei. Poruszają się pod osłoną nocy, wykorzystując światło księżyca w pełni. Wiedząc o tym, mogę się założyć o każde pieniądze, że ich następnym celem jest jakiś bogaty ziemianin gdzieś na południe stąd. I że dotrą tam w ciągu tygodnia.

Zauważyłem, że powieki legata drgnęły, gdy patrzył w stronę Capita. Centurion zeszywniał, obserwując mnie bacznie z dziwnym wyrazem twarzy. Czy to pogarda? Gniew? A może zaskoczenie? Nie byłem w stanie tego określić.

– Petroniuszu Faustusie – ciągnąłem poważnie – możemy wykorzystać tę wiedzę przeciwko nim. Daj mi kohortę najlepszych żołnierzy, a rozniosę dla ciebie tych grabieżców.

Legat tylko na mnie patrzył. Potem przymknął oczy. Cisza się przedłużała. Wreszcie się odezwał:

– Twoja wiara w siebie jest nadzwyczajna, Lucjuszu Aureliusz – uśmiechnął się, ale był to nikły, fałszywy grymas. – Zanim całkowicie przejmiesz moje obowiązki, powinieneś się chyba nad czymś zastanowić.

– Panie?

Pochylił się bliżej. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Ten legion i wszyscy, którzy w nim służą, są pod moimi rozkazami. Nie twoimi.

Zesztywniałem w siodle.

– Nigdy tego nie podawałem w wątpliwość, legacie.

– Pamiętasz, że jesteś młodszym trybunem, że masz wąski pasek? – zapytał Faustus, nawiązując do cienkiej purpurowej wypustki na mojej tunice, która wskazywała, że należę do ekwitów, stanu średniej rangi. Jego własną tunikę, jak to u starszego trybuna, ozdobił szeroki pasek, oznaczający członka bardziej elitarnej klasy senatorów.

– Tak jest, panie – wycedziłem te słowa przez zęby.

– I wiesz, że twoje powinności są głównie natury administracyjnej?

Gwałtownie kiwnąłem głową.

– Dobrze. Zatem nie zapominaj o tym, trybunie – warknął Faustus. – Nie oczekuję od ciebie rad w kwestii militarnej. Żadnego typu. Nigdy. Czy to jasne?

Twarz mnie paliła.

Ściśle rzecz ujmując, legat miał rację. W każdym legionie było sześciu trybunów – jeden rangi senatorskiej, reszta z warstwy ekwitów. Formalnie rzecz biorąc, stopniem staliśmy wyżej od centurionów, jednak świadomi byliśmy wszyscy, że to oni są prawdziwymi specjalistami. W praktyce jednak Faustus był w błędzie. Inni dowódcy, zwłaszcza w legionach znajdujących się wzdłuż Renu, dawali młodszym oficerom więcej swobody i militarnej odpowiedzialności.

Teraz jednakże byłem boleśnie świadom, że to, czy się mylę, czy nie, nie ma znaczenia. Dostrzegłem coś ważnego, co Faustus przeoczył. Potem, poniesiony swoim rozumowaniem, zraniłem jego dumę, popisując się przed nim.

Domicjusz Capito zachichotał.

Poczułem nagły przypływ gniewu wobec wielkiego centuriona.

Capito i inni jemu podobni odpowiadali za wiele nieudanych prób pochwylenia bandytów przez Szósty Legion. Patrole, które prowadzili, nigdy nie zdołały odszukać obozów grabieżców. Zasadzki, które urządzali, nigdy nie znajdowały się

we właściwym miejscu. Kiedy zaś miejscowi właściciele ziemscy prosili o pomoc, idące na odsiecz kolumny, którymi dowodzili, zawsze przybywały zbyt późno, by zrobić coś więcej, niż tylko przesiać popioły i pogrzebać ciała.

Dokładnie tak jak tutaj.

Zmrużyłem oczy, przyglądając się uważnie centurionowi. Stał leniwie w pozycji na spocznij przed legatem i mną, patrząc na mnie z uśmiechem na nieogolonej twarzy.

Capito to Primus Pilus, Pierwsza Włócznia, czyli pierwszy centurion Legionu Szóstego. Wzdłuż granicy na Renie i gdzie indziej w cesarstwie najważniejszy centurion legionu był zawsze doświadczonym żołnierzem – najlepszym z najlepszych. Twardy zawodowiec, którego każdy w szeregach podziwiał i stawiał sobie za wzór. Dobrze wiedziałem, jak powinien wyglądać prawdziwy Primus Pilus. Mój dziadek doszedł do tej rangi.

Na nieszczęście dla Szóstego, Capito dawał zły przykład. Był to wielki, zrzędlivy prostak – czasami pijany podczas pełnienia służby, zwykle brudny i zawsze na krawędzi niesubordynacji. Był też despotą, który miał swoich faworytów i nadużywał korzyści płynących z zajmowanej pozycji.

Tradycja pozwalała setnikom przyjmować niewielkie gratyfikacje od żołnierzy, którzy chcieli uniknąć nieprzyjemnych obozowych obowiązków: sprzątnięcia latryn, nocnej służby i tym podobnych. Capito często jednak przekraczał wszelkie granice, domagając się łapówek. Krążyły pogłoski, że tak cisnął ludzi ze swojej kohorty, iż wielu z nich musiało pożyczać pieniądze od syryjskich lichwiarzy, żeby jakoś żyć.

Zrzedła mi mina, kiedy mu się przyglądałem. Nie zaufałbym takiemu człowiekowi, że zawiąże sobie sandały, a co dopiero zrobić go starszym setnikiem legionu. Starłem się, ale nie byłem w stanie zrozumieć, jak Petroniusz Faustus może go tolerować.

Oczywiście, muszę przyznać, że za legatem także nie przepadałem.

Faustus często bywał małosłowny. Niczego tak nie lubił, jak krytykować podwładnych, kiedy coś poszło nie tak. Z upodobaniem również chwalił się swoim bogactwem i bliskimi więziami z cesarzem Tyberiuszem. A nic, co widziałem od czasu przyłączenia się do legionu, nie dało zbyt wiary w jego zdolności przywódcze. Zanim namówił Tyberiusza, żeby zrobił go dowódcą, jedyne wojskowe doświadczenie legata miało miejsce lata temu, kiedy służył jako starszy trybun Trzeciego Legionu w Egipcie. Nadzorowanie żniw i ściąganie podatków z biednych egipskich chłopów niespecjalnie przygotowało go do wyższego stanowiska. Nie sądziłem jednak, że będzie tak ślepy, by nie widzieć, co partacz Capito i inni mu podobni robią z Szóstego.

Przynajmniej zaczynałem zdawać sobie sprawę, dlaczego tak wielu z nas – wszystkich zaprawionych w bojach żołnierzy i setników – przeniesiono z reńskiej granicy do Syrii. Ktoś wyżej dobrze wiedział, że wschodnie legiony są zbyt zaniedbane i potrzebują zaostrezenia dyscypliny.

Głos legata przerwał moje rozmyślenia.

– Ponieważ wydajesz się znudzony zwykłymi obowiązkami, trybunie, znajdę ci ambitniejsze zadanie – uśmiechnął się nieznacznie. – Pora zmienić jeden z garnizonów wzdłuż harra. Wysyłam tam na miesiąc centurię z Kwintusem Rufusem. Będziesz dowódcą. Rozumiemy się, Lucjuszu Aureliusz?

– Panie – patrzyłem mu prosto w oczy, starając się ukryć gniew.

Nie zrobię legatowi przyjemności, okazując, że zadał mi silny cios.

Nie, jeżeli mogę coś na to poradzić.

Harra to surowe pustkowia czarnych bazaltowych głazów, wyznaczających południowo-wschodnią granicę terytorium Szóstego Legionu. Utrzymywaliśmy tam kilka małych strażnic i ufortyfikowanych posterunków, żeby mieć oko na koczowniczych przemierzających pustynie, lecz teraz plemiona te były w dobrych stosunkach z Rzymem, wyjąwszy drobne i nieszkodliwe kradzieże owiec od czasu

do czasu. Letnia służba na tych placówkach to otepiająca codzienna mordęga – tylko skwar i śmiertelna nuda.

Petroniusz Faustus musiał być przekonany, że wybrał doskonały sposób na ukaranie mnie za to, że ośmieliłem się skrytykować jego dowodzenie, nawet jeżeli tylko pośrednio. Bez wątpienia, myślał, że wrócę znad granicy, słaniając się na nogach, tak wdzięczny, że znowu znalazłem się wśród tawern i łaźni Apamei, iż w przyszłości będę trzymać język za zębami.

Jeśli tak, to się rozczaruje.

Nawet jako chłopiec często mówiłem otwarcie, nie myśląc zbytnio o konsekwencjach. Mój ojciec i kolejni nauczyciele robili wszystko, żeby nauczyć mnie cywilizowanej sztuki ukrywania prawdy w pajęczynie słodkiego jak miód pochlebstwa. Nic z tego. Dość dobrze poznałem formy, zawilosci i sztuczki subtelnej retoryki. Rzadko jednak potrafiłem zmusić się do ich wykorzystania. Mój dziadek, ten szczerzy, uczciwy stary człowiek, wyśmiałby dzisiejszych ugrzecznonych oratorów i sługusów.

Zatem wyruszę na spieczone słońcem pustkowie, jak nakazano, nie odejdę, choćby nie wiem co, nie spróbowawszy zrobić wszystkiego co w mojej mocy dla prowincjuszy, których mieliśmy chronić.

– Mam tylko jedną prośbę, legacie – powiedziałem tak spokojnie, jak tylko mogłem.

Faustus popatrzył na mnie nieufnie.

– No?

– Urządź zasadzki na drogach biegnących stąd na południe. Tam uderzą bandyci. Jestem tego pewien.

Legat zmusił się do krótkiego, nieprzyjemnego śmiechu.

– Na bogów, Walens! Czasami jesteś niczym byk w okresie parzenia się: w twojej głowie jest tylko jedna myśl i żadnej litości dla kogokolwiek, kto wejdzie ci w

drogę.

Zerknął na Capita, który patrzył na mnie krzywo.

– Słyszałeś sugestię trybuna, centurionie. Co sądzisz?

– Nie zadziała – wielki mężczyzna odchrząknął głośno i splunął na ziemię, tuż pod kopyta Tancerki.

Wystraszona klacz rzuciła łbem, ale trzymałem ją mocno, tłumiąc kolejną falę gniewu.

– Mów dalej – poprosił Faustus.

Capito prychnął.

– To typowo książkowa taktyka. Z tych wymyślnych, co to dobrze brzmią w obozie, a potem okazują się do dupy w terenie – uśmiechnął się złośliwie do mnie. – Oczywiście, bez obrazy, trybunie.

Popatrzyłem na niego chłodno. Kiedy miałem osiemnaście lat, poprowadziłem swój pierwszy patrol głęboko w ciemne, wilgotne germańskie lasy, brnąc przez nasiąknięte deszczem zarośla i pośród wysokich drzew, które zdawały się ciągnąć bez końca. Kiedy miałem dziewiętnaście lat, moja kohorta lekkiej piechoty pomocniczej rozniosła liczniejszą grupę z plemienia Chautów, która nas zaatakowała. Kiedy miałem lat dwadzieścia, byłem pierwszym człowiekiem na palisadzie wioski Cherusków – i mogę to udowodnić, pokazując bliznę w poprzek żeber. Ogólnie rzecz biorąc, doświadczyłem więcej prawdziwej walki w ciągu ostatnich czterech lat niż Capito przez całe dwadzieścia lat swojej kariery, którą strawił na próżniactwie, rozpuście i przypochebieniu się.

Faustus rozłożył ręce.

– Słyszałeś, Walens, co powiedział Primus Pilus. Obawiam się, że muszę się z nim zgodzić. Nie rozmieszczę rozdziałów na chybił trafił wzdłuż Orontesu. Szósty rozprawi się z tymi bandytami w wypróbowany sposób.

Nic nie robiąc – pomyślałem gorzko i przebiegłem wzrokiem po spalonych,

splamionych krwią ruinach posiadłości Demetriusza. Niemądre podejrzenie zaczęło mi kiełkować w umyśle.

Legat włożył hełm na głowę i chwycił wodze. Potem zwrócił się do mnie:

– Chcę, żebyś wyruszył na posterunek jutro przed świtem, trybunie. Proponuję, żebyś na tym skupił swoją uwagę, a tych bandytów zostawił mnie.

Został mi jeden rzut kością.

– Czy mam twoje pozwolenie na przeprowadzenie ćwiczeń w terenie z Rufusem i jego oddziałami? – zapytałem cicho. – Zarówno w czasie marszu, jak i wtedy, kiedy już dotrzemy do granicy?

– Ćwiczenia w terenie? – powtórzył Faustus. Zachichotał. – Walens, mój drogi! Ależ proszę. Jeżeli o mnie chodzi, to możesz kazać Kwintusowi Rufusowi oraz jego ludziom recytować grecką poezję i biegać dookoła nago.

Trącił kolanem konia i odjechał, nadal cicho się do siebie śmiejąc.

Patrzyłem na oddalającego się legata – milczałem i ciągle się zastanawiałem, czy odważę się skorzystać z wolności, jaką mi bezwiednie dał.

Cienie przesuwają się po polach rozświetlonych księżycową poświatą, rzucane przez chmury sunące po bezkresnym, czarnym, nocnym niebie. Wokół nas panowała cisza. Rolnicy oraz ich niewolnicy byli w łózkach, a zwierzęta w zagrodach – spali po długim dniu trudu i znoju. Przedemną rozciągała się pusta droga z wyżłobionymi koleinami, wiodąca do Apamei, dobrze widoczna przy pełni księżyca.

Przesunąłem się ostrożnie trochę dalej w dół zbocza i opadłem na jedno kolano za powyginanym pniem wiekowego drzewa oliwnego. Dobiegły mnie ciche szmery głosów oraz stłumiony szczeł zbroi i broni, gdy żołnierze, których prowadziłem, rozciągnęli się na skraju sadu.

Dołączył do mnie Kwintus Rufus, cicho jak kot, mimo ciężkiej kolczugi i nagolenic z brązu. Wysoki, rudowłosy setnik to również weteran walk znad reńskiej granicy. Wojna na śmierć i życie, pełna mściwych najazdów i morderczych

zasadzek, prowadzona w mrocznych germańskich lasach nauczyła nas obu jednego: Jesteś niesłyszalny. Albo nie żyjesz.

Byłem bardzo zadowolony, że jest ze mną. W przeciwieństwie do Capita, to prawdziwy specjalista – mogłem liczyć na jego odwagę i rozsądek. Nawet jego język przypominał mi o domu. Tak jak mój dziadek, pochodził z północy Italii, z regionu znanego jako Galia Przedalpejska. Obaj pochodziliśmy od dzikich, wojowniczych Celtów, którzy niegdyś tam rządzą. Setnik dzięki nim miał imponujący wzrost i rude włosy. Ja jestem niższy i mam ciemniejsze włosy, ale po celtyckich przodkach odziedziczyłem jasnoniebieskie oczy o groźnym spojrzeniu.

– Jesteśmy gotowi, trybunie – wyszeptał.

– Dobrze – odwróciłem się w jego stronę. – Czy wszyscy wiedzą, co mają robić?

– Tak – zawahał się Rufus. – Ale są trochę podenerwowani.

Kiwnąłem głową. To zrozumiałe.

Jak wszystkim legionom w Syrii, Szóstemu brakowało ludzi, a ponadto liczył więcej niedoświadczonych rekrutów, niż powinien. Jednak nie tylko nowi się denerwowali. Na wschodzie od dziesięcioleci nie prowadzono poważniejszych walk i niewiele oddziałów wiedziało coś o prawdziwej wojnie. Rok za rokiem ich życie toczyło się wygodnym, nudnym, przewidywalnym rytmem służby w czasie pokoju. Przyzwyczaili się do niezmiennego porządku patrolowania, obozowych obowiązków, uroczystych parad, marszy treningowych i tym podobnych.

Teraz w mgnieniu oka, sześćdziesięciu legionistów centurii Rufusa zostało wyrwanych z wygodnej rutyny.

Przeze mnie.

Dręczyłem, popędzałem i poganiałem ich całą drogę do małego fortu na samym skraju harra – przemierzając dystans, na którego pokonanie trzeba trzech dni, w dwa dni wyczerpującego marszu. Zostawiłem optio, drugiego po centurionie dowódcę, i dwudziestu ludzi do obsadzenia posterunku. Resztę poprowadziłem z powrotem,

dbając o to, by okrążyć Apameę. Spędziliśmy kolejne dwa dni, idąc ostrożnie na północ przez górzysty teren na zachód od rzeki.

Postanowiłem zinterpretować określenie „ćwiczenia w terenie” dużo swobodniej, niż mógłby się tego spodziewać Petroniusz Faustus.

Teraz, dokładnie siedem nocy po tym, jak bandyci zamordowali greckiego ziemianina, Demetriusza, przyprowadziłem Rufusa i resztę jego ludzi do podnóża wzgórza pokrytego drzewami oliwnymi, nad jedną z dróg wiodących do Apamei. Byliśmy na skraju ziemi należącej do bogatego mieszkańca tej prowincji imieniem Eumenes.

Według rejestrów podatkowych, które przestudiowałem, Eumenes był jednym z najbogatszych posiadaczy ziemskich tego rejonu. Jak dotąd, jedynym, którego oszczędzili łupieżcy nękający prowincję.

Oczekiwałem, że to się zmieni. Dziś.

Tak właśnie powiedziałem.

– Jesteś pewien, trybunie? – zapytał cicho Rufus, zniżając głos jeszcze bardziej, by nikt inny go nie usłyszał.

Zmusiłem się, żeby pewnie skinąć głową.

– Przyjdą, setniku. Muszą. Tylko przy księżycu da się tu podróżować nocą. Kiedy go ubędzie, stanie się zbyt ciemno, żeby się nie zgubić na tych okropnych drogach.

Rufus chrząknął, okrył się szczelniej płaszczem przed coraz przenikliwszym zimnem i zwrócił wzrok ku drodze.

Zostawiony sam na sam ze swoimi myślami, z trudem przełknąłem ślinę – nagle pożałowałem, że jestem taki uparty, i miałem rozpaczliwą nadzieję, że moje rozumowanie jest logiczne. Ciąg faktów i płynące z nich wnioski wydawały się takie rozsądne i oczywiste w świetle dnia, wśród ciemności robiły wrażenie mniej przekonujących.

Jeżeli się mylę, jeżeli bandyci nigdy się nie pokażą albo wybiorą kogoś innego na ofiarę, centuriona i jego ludzi nie czeka nic gorszego niż kolejna długa, niewygodna noc na świeżym powietrzu. Lecz nic oprócz całkowitego sukcesu nie ocali mnie przed hańbą, jeśli Faustus oskarży mnie o nieposłuszeństwo wobec rozkazów.

Jeżeli się skompromituję i zostanę zdegradowany, co wtedy? Czy będę umiał żyć z taką hańbą? Czy mogę wymagać od rodziny, żeby to zniosła? Nawet w tych zdegenerowanych czasach, my, Rzymianie, jesteśmy dumni. Wiem, czego się będzie po mnie oczekiwać. Zaszło mi w ustach. Czy będę mieć odwagę upaść na własny miecz?

Wydawało mi się, że przez wieczność zmagalem się ze swoimi najskrytszymi lękami, zdeterminowany, by je opanować. Grecy, którzy mnie uczyli, twierdzili, że nasze przeznaczenie jest z góry określone, już wplecione w tkaninę świata. Skoro tak, dowodzili, to wartość człowieka leży w tym, z jaką odwagą i spokojem reaguje na koleje losu.

Parsknąłem cicho. Stoicyzm to filozofia, która daje więcej pocieszenia w sali szkolnej niż na samotnym, smaganym wiatrem wzgórzu w Syrii. Uznałem cierpko, że prawdopodobnie więcej pociechy znalazłbym, oddawszy się wierze w bogów i boginie mojego dzieciństwa. Tymczasem jestem pomiędzy dwoma rywalizującymi przekonaniem i mam wątpliwości co do obu z nich.

Nagły chrzęst nabijanych ćwiekami butów na kamieniach i żwirze – z początku cichy, potem głośniejszy – przywrócił mnie gwałtownie do rzeczywistości. Zawsze miałem dobry słuch.

Centurion drgnął lekko, czując dotyk mojej ręki na ramieniu.

– Są blisko – wyszeptałem, sprawdzając, czy mój miecz łatwo wysuwa się z pochwy zawieszanej u lewego boku. Mimo chłodnego nocnego powietrza, czułem, jak pot zaczyna mi spływać spod hełmu. Wziąłem tarczę, którą pożyczyłem od piechura, i ująłem jej uchwyt lewą dłonią. – Podaj dalej: „Czekać na mój rozkaz, a

potem ostro atakować!”.

Kwintus Rufus skinął głową.

Nie zwracałem uwagi na cichy pomruk rozchodzący się po zacienionym gaju oliwnym, gdy powtarzano mój rozkaz, skupiwszy się na pustym, oświetlonym blaskiem księżyca trakcie, biegnącym zaledwie parę metrów ode mnie. Kropelka potu wpadła mi do prawego oka, cierpka i piekąca. Strząsnąłem ją, czując rytmicznie bijący puls na skroni, coraz szybciej i szybciej.

Nagle droga przestała być pusta. Zappełniła się ludźmi. Większość z nich maszerowała, ale niektórzy jechali konno. Nachyliłem się, wyteżając wzrok, żeby więcej dojrzeć w słabym świetle księżyca i przy migoczących pochodniach niesionych wysoko przez kilku piechurów. Poruszałem wargami, licząc, ilu ich jest. Dziesięciu. Dwudziestu. I jeszcze paru. W sumie może ze trzydziestu. Wszyscy uzbrojeni w miecze, pałki i włócznie. Słyszałem brzęk zbroi. Każdy miał czarną maskę lub kaptur zakrywający twarz.

Mieliśmy ich.

Pierwsi niespiesznie i dumnie paradujący grabieżcy minęli kamień oznaczający granice ziemi Eumenesa. Niski, gardłowy śmiech rozniósł się nad kolumną bandytów. Jego brzmienie sprawiło, że włosy stanęły mi dęba. Przypominał warczenie wilka, a nie dźwięk wydawany przez człowieka.

Przewyciężyłem strach. Czy to wilki, czy ludzie, teraz są moimi ofiarami.

Zerwałem się na nogi, krzycząc:

– Do ataku! Szykować oszczepy!

Z rykiem, który rozległ się echem, Kwintus Rufus i jego legionieści wypadli spod drzew. Każdy żołnierz trzymał mocno w prawym ręku gotowy do rzucenia oszczep.

Nasze nagłe pojawienie się kompletnie zaskoczyło zamaskowanych napastników. Zamarli na wyboistej drodze, oświetlonej światłem księżyca.

Doskonale.

Poczułem nagły przypływ dzikiej dumy. Niewiele rzeczy może się równać z przyglądaniem się, jak starannie ułożony plan sprawdza się w każdym szczególe. Musi to być coś na kształt tego, czego doświadcza bóg patrzący w dół z Olimpu.

Rozradowany, nabrałem powietrza w płuca i krzyknąłem:

– Oszczepy! Rzucić!

Czterdzieści oszczepów zakończonych żelaznymi grotami zafurkotało w powietrzu i zaatakowało kolumnę bandytów stojących bez ruchu na drodze. Mężczyźni padali jak kłody, gdy broń sięgała celu, przebijając się bez trudu przez ubiór i zbroję. Okrzyki przerażenia i wrzaski bólu dochodziły od rannych i umierających. Jakiś koń stanął dęba, rżąc ze strachu i bólu, a potem uciekł na nieużytek leżący po drugiej stronie traktu.

Teraz.

Wydałem dalsze komendy, już ruszając w kierunku drogi, by rzucić się do walki:

– Dobyć mieczy! Naprzód!

– Naprzód! – zahuczał głęboki głos centuriona powtarzającego moje rozkazy.

Więcej głosów podjęło okrzyk:

– Naprzód!

Ruszyliśmy w dół zbocza i natarliśmy na bandytów, nim zdążyli pozbierać się po szoku wywołanym atakiem oszczepów.

Gdy wbiegłem na drogę, jeden z nich odwrócił się gwałtownie ze ścisną oburącz włócznią o szerokim ostrzu. Odrzuciłem ją tarczą i pchnąłem go długim mieczem. Jęknął, zatoczył się i upadł na twarz. Krew rozlała się na ziemi, czarna w słabym świetle. Legionista po mojej lewej stronie dla pewności dźgnął go krótszym hiszpańskim brzeszczotem. Razem ruszyliśmy dalej.

Przyjąłem więcej ciosów na tarczę i je oddawałem. Dokoła mnie ginęli ludzie, głównie rabusie. Obnażyłem zęby w cierpkim, okrutnym uśmiechu. Teraz to ja i moi ludzie byliśmy wilkami, nie bandyci. Ich maski, noszone, by siać przerażenie wśród

nieszczęsnych właścicieli ziemskich i rzemieślników, nie mogły się równać z naszym uzbrojeniem i zdyscyplinowaniem.

Gniewny ryk wzniósł się nad metaliczny szczęk miecza uderzającego o miecz, nad brzęk tarcz, jęki, przekleństwa i głuchy odgłos ostrza wbijanego w ciało:

– Zbierać się! Zbierać się, wy głupcy! Stawać i walczyć!

Odwróciłem się w kierunku, z którego dobiegał głos, i zobaczyłem krzepkiego mężczyznę na jabłkowitym koniu, który płazował spanikowanych bandytów. A więc jeden z ich przywódców nie stracił zimnej krwi.

Niedobrze. Jeżeli uda mu się wzmocnić ich opór, może zginąć więcej moich ludzi. Zbójcy może nawet dadzą radę przerwać walkę i uciec w ciemność. Nie mogłem na to pozwolić.

Przejechałem przez tłum walczących, przebijając się w stronę jeźdźca. Zobaczył, że się zbliżam, i ciął mieczem znad głowy, mierząc w moją czaszkę. Ostrze ześliznęło się po tarczy, którą podniosłem, powodując deszcz drzazg i iskier, lecz siła ciosu zwała mnie na jedno kolano.

Usiłowałem wstać, odzyskać równowagę.

Przywódca bandytów natarł na mnie spienionym koniem, odepchnął mnie do tyłu, aż się zachwiałem. Upadłem jak długi na ziemię. Skręcił wierzchowcem i wychylił się mocno, unosząc miecz do kolejnego, szybkiego jak błyskawica cięcia...

Na bogów!

Ponownie wyrzuciłem przed siebie tarczę. Padł kolejny cios przygniatając mi ją mocno do ramienia. Fala bólu zaparła mi dech w piersiach.

Dysząc i podpierając się mieczem, dźwignąłem się na nogi.

Impet poniósł wierzchowca zamaskowanego bandyty metr, dwa ode mnie. Ten gorączkowo szarpał wodze, zmuszając rumaka do obrotu, by mógł ponownie zaatakować.

Rozpaczliwie rzuciłem się naprzód, dźgając czubkiem miecza koński zad.

Zwierzę zarżało i stanęło dęba, kopiąc i wierzgając z bólu. Bandyta, pozbawiony równowagi, wyleciał z siodła i gruchnął o ziemię tuż przy moich stopach. Uwolniony od jeźdźca wierzchowiec zakreślił się i pogalopował w noc.

Nadal ciężko oddychając, pochyliłem się i oparłem zakrwawiony koniec miecza na szyi rabusia. Choć ciągle był ogłuszony, oczy mu się rozszerzyły.

Wokół nas pozostali przy życiu grabieżcy zaczęli odrzucać broń i wyciągać ręce, błagając:

– Litości! Litości, druhowie. Poddajemy się!

Moi ludzie poruszali się ostrożnie z wyciągniętymi mieczami, gotowi uderzyć w razie dalszego oporu, lecz nikt nie atakował. Bandyty zbili się w gromadę jak owce, nadal prosząc o darowanie życia.

– Zdjąć im maski – poleciłem szorstko. Wskazałem krzepkiego mężczyznę, którego pokonałem. – Temu też.

Dwóch moich żołnierzy chwyciło herszta bandy. Szarpnięciem postawili go na nogi i pchnęli w kierunku innych pojmanych. Odwróciłem się, szukając Kwintusa Rufusa.

– Centurionie!

Wysoki rudzielec zbliżył się do mnie.

– Tak, trybunie?

– Sprowadź tu doktora, żeby zajął się rannymi. Najpierw nasi. Później rabusie.

– Tak, panie.

– Potem każ grupie żołnierzy przeszukać zabitych. Niech zabiorą każdą broń, jaką znajdą. Nawet nóż do warzyw. Zrozumiałeś?

Rufus skinął głową i odszedł, żeby zadbać o wykonanie rozkazów. Stałem chwilę nieruchomo, starając się zwalczyć nagłą falę zmęczenia. Miałem zbyt dużo do roboty, by pozwolić sobie na długi odpoczynek. Nasza walka z bandytami trwała zaledwie parę chwil. Z gorzkiego doświadczenia wiedziałem jednak, że

porządkowanie spraw po potyczce zajmuje godziny.

– Trybunie! – zawołał jeden z żołnierzy pilnujących jeńców.

Pośpieszyłem, zapominając o bólu.

– O co chodzi?

Przyciągnęli jednego z rabusiów. Był to ten, którego pojmałem. Zdjęto kaptur i światło księżyca ukazało jego twarz – prymitywną, ze szramami i złamanym nosem.

Twarz, którą znałem aż za dobrze.

Stojącym przede mną przywódcą bandytów był Domicjusz Capito, Primus Pilus naszego własnego legionu.

Wpatrywałem się w niego, czując mdłości, gdyż potwierdziły się moje najgorsze obawy. Bandyci i grabieżcy pustoszący ten region Syrii to tacy sami żołnierze jak my – żołnierze, którzy składali przysięgę na wierność Rzymowi i cesarzowi Tyberiuszowi. Ci, którzy powinni być pasterzami poddanych Rzymu, okazali się drapieżnymi wilkami.

Rozdział II

Noc zamieniła się w parny dzień, zanim miałem sposobność odpocząć.

Byłem bardzo brudny. I zgrzany. Oraz znużony.

Siedziałem na ziemi, plecami oparty o pień starego drzewa oliwnego. Muchy brzęczały w jego gałęziach i wokół nich, krążąc pracowicie pomiędzy oślepiającym słońcem a wąską plamą cienia.

Na wschodzie pola i sady owocowe drgały w bezlitosnych promieniach południowego słońca. W oddali ledwie dostrzegałem brązową wstęgę Orontesu, wijącą się z południa na północ. Wszystko oprócz rzeki było spowite szarą mgłą upału i wilgoci.

Nic się nie poruszało, z wyjątkiem owadów.

Kolumna mrówek wspięła się po zrobionym z brązu pancerzu, który zdjąłem i położyłem na ziemi. Inne, odważniejsze lub zagubione, badały hełm ozdobiony końską kitą, leżący koło zbroi.

Nagle zaswędziała mnie skóra głowy, więc podrapałem się mocno. Pot i brud zmatowił krótkie, brązowe kędziory, które moja matka uwielbiała czochrać, kiedy byłem dzieckiem.

Pragnąłem kąpieli. Lub czary chłodnego wina. Lub kobiety. Najchętniej tego wszystkiego, jeżeli się nad tym zastanowić – właśnie w tej kolejności.

Pozwoliłem opaść powiekom, starając się zignorować tępy, pulsujący ból stłuczonego ramienia.

– Lucjuszu.

Podniosłem wzrok.

Stał tam mężczyzna, który przyglądał mi się zmęczonymi brązowymi oczyma. Był mniej więcej mojego wzrostu, ale bardziej krępy i silnie umięśniony. Czarne

włosy, krótka broda i starannie przystrzyżone wąsy były poprzątkane siwizną. Przepasana tunika, niegdyś biała, teraz była spryskana i zaplamiona zaschniętą krwią.

Nazywał się Arystydes. Pochodził z helleńskiego miasta Filippi. Był to mój osobisty lekarz. A poza tym przyjaciel.

– Zrobiłem, co mogłem, z rannymi – powiedział wprost. – Reszta zależy od czasu i natury lub bogów, jeżeli ktoś wierzy w takie rzeczy.

Skinąłem głową. Jak wielu greckich lekarzy, Arystydes dość sceptycznie podchodził do większości twierdzeń o uzdrowieniu zależnym od bogów, prawdach głoszonych przez innych medyków czy kapłanów. „Możesz nacinać ropień lub modlić się do Asklepiosa – mawiał często sardonicznie – ale mądry człowiek woli zobaczyć odrobinę ropy na chirurgicznych narzędziach niż wachać kadzidło”.

Arystydes nie był ateistą, uznawał boską interwencję w beznadziejnych przypadkach. Jednocześnie wierzył, że bogowie spodziewają się po śmiertelnikach, iż sami rozwiążą większość swoich problemów. Niemniej jednak, jak każdy rozsądny człowiek, pilnował się, by zachować te odczucia dla siebie. Większość ludzi, czy to wyedukowanych, czy niepiśmiennych, staje się ofiarą przesądów i łatwo za niepowodzenia lub katastrofy obwinia tych, którzy nie podzielają ich przekonań.

– Jaki jest ostateczny rachunek? – zapytałem cicho.

Radość, którą dało mi zwycięstwo, szybko zgasła, kiedy tylko zobaczyłem ciała zaścielające drogę oraz usłyszałem jęki i szloch rannych i umierających. Zwycięstwo w walce jest o niebo lepsze niż przegrana, lecz chwała na polu bitwy niesie ze sobą straszną cenę. Znam żołnierzy, którzy znosili widok krwi i jatkę zostawioną po sobie na polu bitwy bez mrugnięcia okiem. Ja do nich nie należę.

– Dwóch ludzi Rufusa nie żyje. Czterech jest ciężko rannych – wrzucił ramionami Arystydes. – Przeżyją, jeżeli nie zabije ich gorączka.

Ponownie skinąłem głową. Jeżeli wda się gorączka, to nawet najłżejsza rana może okazać się śmiertelna. Przemywanie jej winem lub octem zdaje się pomagać, podobnie jak smarowanie różnymi maściami z miedzi, smoły, żywicy sosnowej lub ałunu. Jednak gdy miecz, oszczep czy łuk rozerwie ciało, nigdy nie ma pewności, że ranny przeżyje.

– Czy można ich przenosić? – zapytałem.

Arystydes pokręcił głową.

– Lepiej nie ryzykować. Przynajmniej nie za daleko.

– Zatem zostawimy ich pod opieką Eumenesa.

Medyk zastanowił się nad tym przez chwilę, a potem skinął głową potakująco.

– Powinno być dobrze. Przygotuję zestaw bandaży i leków oraz poinstruuje zarządcę, jak ich używać.

– Dobrze.

Eumenes, bogaty ziemianin syryjski, zawdzięcza swoje bogactwo, a może także i życie legionistom pod moją komendą. Opieka nad poważnie rannymi będzie niewielką zapłatą za to, że go ochronili. Wie, co bandyci Capita zrobili jego sąsiadowi, Demetriuszowi, więc nie powinien protestować. Przynajmniej nie za bardzo.

– A co z jeńcami? – zapytałem Arystydesa.

Zabiliśmy w czasie bitwy połowę rabusiów. Kilku zadaliśmy rany, od których wkrótce umrą. Ale i tak mieliśmy dobry tuzin łotrów Capita.

Zmarszczył czoło.

– Są lekko ranni i posiniaczeni, ale sądzę, że są w stanie wlec się o własnych siłach.

Zachwiał się nagle i powstrzymał przed upadkiem, chwytając się konaru drzewa. Usiadłem zaniepokojony.

– Dobrze się czujesz?

Arystydes machnął uspokajająco drugą ręką. Potem zachichotał i przykucnął obok mnie.

– Nie martw się, Lucjuszu. Nie jestem chory ani nie poraziło mnie słońce... tylko zmęczony – powstrzymał ziewnięcie. – Już nie tak łatwo obyć się bez snu jak kiedyś.

Uśmiechnąłem się z ulgą.

– Zdaje mi się, że pewien grecki lekarz potrafił cały dzień leczyć chorych i jeszcze miał dość siły, żeby w nocy uganiać się za kobietami. Już nie jesteś taki młody jak kiedyś, staruszk.

– Nikt nie jest – stwierdził oschle. – Nawet ty.

Nie mogłem się nie zgodzić. Arystydes został zatrudniony jako mój lekarz, kiedy jeszcze jako mały, sześciolatek ciężko zachorowałem. Moja rodzina prowadziła interesy w okolicach jego rodzinnego miasta. Arystydes przybył do Rzymu z listami polecającymi od najznamienitszych obywateli Filippi. Sądzę, że mój ojciec, który liczył się z każdą mosiężną sestercją, byłby szczęśliwszy, gdyby udało mu się znaleźć niewolnika lub tańszego wyzwolenca. Matka jednakże pozostała nieugięta; uparła się, że należy mi zapewnić najlepszą opiekę.

Miała rację. Zawdzięczałem Arystydesowi życie.

Medyk pozostał, kiedy minął pierwszy kryzys. Z początku przychodziło do niego niewielu pacjentów, głównie dzięki rekomendacjom mojej rodziny. Szybko jednak zyskał sławę uzdrowiciela oraz chirurga i nie minęło wiele czasu, a wkrótce zarabiał spore pieniądze, uzupełniając tym honorarium, które mój ojciec wypłacał mu raczej niechętnie.

Arystydes słynął także jako miłośnik pięknych kobiet ze wszystkich warstw społecznych, od najniższej po najwyższą. Gdyby jeden tylko człowiek mógł zmienić typową opinię Rzymian, że wszyscy Grecy to zniewieściali esteci uwielbiający chłopców, byłby nim Arystydes. Krążyły nawet plotki, że pewne bogate, lecz znudzone żony senatorów, które święcie wierzyły w jego maści i balsamy, były

równie zachwycone jego biegłością w sypialni. Gdy zobaczyłem, jak wyglądają prezenty, które w niego wmuszały: cenne klejnoty i pierścienie, rzeźbione szkatułki z kości słoniowej i jedwabie z Indii, pięknie zdobiona ceramika z najlepszych na świecie warsztatów z Italii i Galii, raczej dawałem wiarę tym pogłoskom. W ciągu dwunastu lat lekarz stał się dość majątnym człowiekiem, z rosnącym kręgiem wdzięcznych i prominentnych pacjentów.

Kiedy opuściłem Rzym, by przyłączyć się do legionów nad Renem, Arystydes pojechał ze mną. Gdy zapytałem go, dlaczego, tylko się uśmiechnął i powiedział z prostotą:

– Jestem twoim lekarzem, Lucjuszu. Jestem nim, od kiedy byłeś chłopcem. Gdzie ty, tam ja.

Cynik mógłby podejrzewać, że jakiś potężny senator w końcu się zorientował, iż Arystydes przyprawia mu rogi, lecz ja nie jestem cynikiem, przynajmniej nie aż takim. Cieszyłem się z jego towarzystwa oraz udzielanych mi rad i uwierzyłem w jego słowa. Czuję, że znam Arystydesa lepiej niż własnego ojca. Z całą pewnością bardziej go lubiłem.

– Kiedy wyruszamy? – zapytał. – Potrzebuję trochę czasu, żeby zająć się rannymi, których tu zostawiamy.

Zerknąłem na słońce. Stało prawie w zenicie.

– Poczekajmy trochę. Nic ma sensu smażyć się w tym południowym słońcu. Ale chcę dziś wieczorem przejść tyle, ile się da, rozbić na noc obóz i ruszyć dalej przed wschodem słońca.

Arystydes uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Skąd ten pośpiech? Chyba dotrzemy do Apamei po jednym dniu spokojnego marszu?

– To prawda – odpowiedziałem cicho – lecz ja nie zabieram Capita i reszty więźniów do Szóstego Legionu. Pójdziemy na północ, do Antiochii.

Antiochia, osiemdziesiąt kilometrów w dół Orontesu od miejsca, w którym się znajdowaliśmy, była trzecim co wielkości miastem w imperium. Co ważniejsze dla moich zamierzeń, była również stolicą rzymskiej części Syrii.

Medyk patrzył na mnie uważnie przez kilka chwil, a potem pokręcił z niedowierzaniem głową:

– Nie wyglądasz, jakby trawiła cię gorączka mózgu. Ale nie wiem, co innego mogłoby to być.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

– Czuję się doskonale. I powiedziałem, com chciał powiedzieć. Zabieram Capita i resztę do Antiochii. Nie przekażę ich Petroniuszowi Faustusowi.

Arystydes wyglądał na zmartwionego.

– Nie pozwól, by twój gniew zaćmił ocenę sytuacji, Lucjuszu. Tak, legat to pompatyczny głupiec. I owszem, nie postąpiłeś w duchu jego rozkazów, żeby rozbić tę bandę grabieżców. Ale nie może podważyć twojego sukcesu.

Gdybyż to była prawda!

Lekarz nachylił się bliżej i zniżył głos:

– Jeżeli załatwisz to poza nim, nie będzie mógł przymknąć oczu na twoje nieposłuszeństwo. Upokorzysz Faustusa tak otwarcie, iż zrobi wszystko, żeby cię zniszczyć.

– Wiem o tym – powiedziałem cicho, wpatrując się w prosty złoty pierścień na lewej dłoni. Był cięższy niż mi się zdawało. Podniosłem wzrok. – Nie mam wyboru, Arystydesie.

Greki się skrzywił.

– Oczywiście, że masz wybór, Lucjuszu! Zaciągnij Capita prosto do dowództwa i patrz, jak legat się skręca. Faustus nazwał to ścierwo Primus Pilus legionu. Więc niech teraz sam zajmie się jego zhańbieniem i karą.

Westchnąłem. Spodziewałem się tego argumentu. Arystydes uważał się za

pragmatyka i często próbował temperować moją, jak uważał, upartą dumę i źle ulokowany idealizm. Były chwile, kiedy prawdopodobnie miał rację. Ta do nich nie należała.

– Jeżeli złapiesz lisa napadającego na twoje kurczaki, czy zanieśiesz go do legowiska i puścisz wolno? – zapytałem cicho.

Lekarz gwizdnął, nagle zrozumiałwszy:

– Myślisz, że legat wiedział coś o tym, co robi Capito i jego ludzie?

– Więcej – powiedziałem posępnie. – Myślę, że działali z jego rozkazu.

– Na bogów! – zaklął Arystydes. Wyglądał na jeszcze bardziej zmartwionego. – Masz na to jakiś dowód?

Zawahałem się, świadom, że nie mam niezbitego potwierdzenia udziału legata, przynajmniej nie takiego, który przekonałby sędziego w oficjalnym procesie. Ale byłem pewien, że moje podejrzenia są uzasadnione. Nic innego nie miało sensu. Nic innego nie wyjaśniało tego, jak zachowywał się Capito, kiedy go przesłuchiwałem.

Kwintus Rufus i ja pół nocy wypytywaliśmy pojmanych bandytów. Wszyscy byli legionistami w dowodzonej przez centuriona pierwszej kohorcie. Wszyscy upierali się, że tylko postępowali zgodnie z jego rozkazami. Wszyscy twierdzili, że otrzymywali jedynie niewielki udział w łupach, i przysięgali, że resztą zajmował się Capito.

Uwierzyłem im.

Każdy centurion nosi ciężką różgę z winorośli jako oznakę swego stanowiska. Ta różga jest również używana do karania nieposłuszeństwa i egzekwowania dyscypliny. Dziesięć lat służby sprawiło, że Rufus używał jej po mistrzowsku. Mógł zadać dowolną ilość uderzeń, które paraliżowały człowieka, a jednak nie powodowały żadnego trwałego obrażenia.

Zanim z nimi skończył, ludzie Capita chętnie odpowiadali na wszystkie nasze pytania i byli zbyt przerażeni, by nas okłamywać.

Sam Capito to inna sprawa. Grabieżca lub nie, nadal był najwyższym rangą centurionem Szóstego Legionu. Nie mogliśmy użyć siły podczas jego przesłuchania – nie bez złamania wszystkich praw i zasad rządzących legionami. Byłem skłonny nagiąć rozkazy, by zrobić to, co uważałem za słuszne, ale nie gotów na to, by odrzucić wszystko, czego mnie nauczono o dyscyplinie i porządku. Przynajmniej nie teraz.

Biorąc pod uwagę te ograniczenia, nie spodziewałem się, że ten sukinsyn zacznie mówić.

Nie zawiódł mnie.

Kiedy bombardowaliśmy go pytaniami, tylko siedział w milczeniu z rękoma związanymi za plecami i patrzył na nas zaczerwienionymi oczyma, pełnymi wściekłości i nienawiści.

Martwiło mnie to, czego nie widziałem w jego oczach.

Nie było w nich strachu.

A powinien się bać.

Niewielu dowódców w dzisiejszych czasach wymierzało karę śmierci, tradycyjnie przeznaczoną dla poważniejszych wojskowych wykroczeń. Większość wolała uciekać się do innych kar, nawet za takie przestępstwa, jak dezercja czy poważna niesubordynacja. Ale żaden legat, wart swojego stanowiska, nie mógł uniknąć nakazania ścięcia Capita, gdyby uznano go za winnego morderstwa i rozboju.

Primus Pilus był łajdakiem, nie bohaterem. Nie uważałem go za człowieka, który może sobie drwić ze zbliżającej się śmierci.

Dlaczego więc nie był przerażony?

Obawiałem się, że znam odpowiedź na to pytanie i na wszystkie inne, które pozbawiły mnie snu w ciągu ostatnich siedmiu dni. Jak tak wiele oddziałów w służbie czynnej może grabić Apameę oraz jej okolice i nie zostać złapanych?

Dlaczego nie powiodła się żadna próba pochwycenia rabusiów? Jak starszy setnik Szóstego mógł spędzić tyle dni i nocy poza obozem w masce bandyty, a jego zwierzchnicy niczego nie podejrzewali?

Tylko jedna odpowiedź miała w ogóle jakiś sens, bez względu na to, jak bardzo się starałem znaleźć inny sposób na poskładanie tych elementów w całość.

Byłem teraz przekonany, że Petroniusz Faustus, legat Szóstego Legionu, oficer odpowiedzialny za utrzymanie prawa i porządku w tej części prowincji, zamienił swoich żołnierzy w bandytów, złodziei, gwałcicieli i morderców.

Arystydes był nadal zmartwiony, kiedy skończyłem wyjaśniać mu tok mojego rozumowania. Wziął głęboki oddech i patrzył w dół przez kilka chwil, a potem westchnął:

– Myślę, że masz rację, Lucjuszu. Chciałbym móc dowieść, że twoja teoria jest błędna, lecz nie potrafię. Mimo to, jeżeli Faustus dowie się o twoich podejrzeniach, a ty nie przedstawisz dowodu przeciwko niemu... – zawiesił głos.

– Wiem – odpowiedziałem spokojnie. – Ale zbyt wiele się dowiedziałem, żeby udawać nieświadomego. Mam nadzieję, że Capito zacznie mówić, kiedy zda sobie sprawę, że legat go nie ochroni.

– Zaprowadzisz go przed namiestnika? – zapytał Arystydes.

Pokręciłem przecząco głową. Nie znałem Gnejusza Pizona, namiestnika Syrii, ale nie podobało mi się to, co o nim słyszałem. Choć uważano go za bliskiego sojusznika cesarza Tyberiusza, jego przeszłość nie była szczególnie imponująca. Przed moimi urodzinami, Oktawian August, poprzedni cesarz, wyznaczył Pizona na namiestnika Hiszpanii, lecz jego poborcy podatkowi tak wyciskali pieniądze z miejscowych i zachowywali się tak arogancko, że popadł w niełaskę i odwołano go do Rzymu. Nie zajmował żadnego istotnego stanowiska od tego czasu i nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego Tyberiusz złożył namiestnictwo Syrii – wysoko cenione stanowisko – na jego starzejące się barki.

– Zatem kto? – zapytał Arystydes. – Musisz przekonać Capita, że Faustus nie uchroni go przed mieczem kata, a nikt poza ludźmi namiestnika nie ma takiej władzy.

– Pójdę na samą górę – powiedziałem stanowczo.

Z oczu Arystydesa znikł niepokój. Pokiwał głową z aprobatą.

Germanik. Mądra decyzja.

Germanik Juliusz Cezar, bratanek, a teraz adoptowany syn Tyberiusza, dostał dwa lata temu pełną władzę nad wschodnimi prowincjami. Jego główna siedziba znajdowała się w Antiochii.

Znałem Germanika. A on mnie.

Swoje pierwsze dowództwo objąłem podczas ostatnich dwóch lat jego kampanii odwetowych przeciwko plemionom germańskim i spisałem się na tyle honorowo, by zasłużyć na jego aprobatę. Jak inni oficerowie i żołnierze, którzy służyli pod dowództwem Germanika na tej ponurej i krwawej granicy, cenilem sobie jego proste powiedzenie „dobra robota” wyżej niż jakąkolwiek inną pochwałę lub odznaczenie.

Podobnie do większości młodych mężczyzn z mojej warstwy, postrzegałem Germanika jako ideał Rzymianina. Choć zaledwie trzydziestoletni, już sprawdził się jako znakomity żołnierz, uczonec i dramaturg. Uosabiał wszystkie tradycyjne wartości, które uczyniły z Rzymu potęgę. Obdarzony ogromną fizyczną i psychiczną odwagą. Ponadto był szlachetny, życzliwy i co najdziwniejsze w człowieku, który pewnego dnia mógł zostać władcą całego imperium – autentycznie skromny.

Teraz miałem nadzieję wykorzystać moje więzi z nim, by Domicjusz Capito pękł jak skorupka jajka. Jeżeli centurion jest choć odrobinę inteligentny, będzie wiedzieć, że Germanik ze wszystkich przestępstw najbardziej nienawidzi zepsucia i braku dyscypliny w wojsku. Życzliwy czy nie, srodze ukarze każdego oficera, który zamienił własnych żołnierzy w złodziei-morderców i nocnych napastników. Z bardzo realną perspektywą sromotnej egzekucji Capito powinien skwapliwie

wyznać zbrodnie swojego protektora, Petroniusza Faustusa, legata Szóstego Legionu.

A przynajmniej o to się modliłem.

Ponieważ wiedziałem, że jeżeli centurion zachowa milczenie, nie mogę oczekiwać, że Germanik zadziała przeciw Faustusowi. Nawet jeżeli osobiście będzie uważał, że legat jest winny, nigdy go nie skarże bez konkretnego dowodu.

Dwie godziny później prowadziłem swoją hiszpańską klacz, Tancerkę, w dół spieczonego słońcem zbocza do drogi biegnącej równolegle do Orontesu. Za mną podążał Arystydes, ciągnąc muła wyładowanego swoimi rzeczami i medykamentami. Dalej mozolnie szedł Kwintus Rufus i jego legionieści. Każdy żołnierz niósł przewieszoną na plecach tarczę i przytroczony do kija ekwipunek. Nasi więźniowie wlekli się w środku tej kolumny – ze zwieszonymi ze wstydu i rozpaczki głowami oraz związanymi z tyłu rękoma.

Oślepiająco jasne słońce nadal wisiało wysoko nad głowami, lecz upał nieco zelżał i nadeszła pora, by wyruszyć.

Dotarłem do drogi i zatrzymałem się na chwilę, naradzając się sam ze sobą.

Każdy chłopiec zna historię Juliusza Cezara przekraczającego Rubikon. Ta rzeka była dla niego decydującym momentem. Poprowadzenie armii na jej drugi brzeg oznaczało nieodwołalne wypowiedzenie wojny wrogom w senacie.

Ta wyschnięta i zapyłona droga stanowiła mój Rubikon.

Jeżeli pójdę na południe, wrócę do Apamei, przekażę Capita i innym Faustusowi, a potem, zawstydzony, w milczeniu będę się przyglądać, jak legat znajduje jakiś sposób, by zatuszować te zbrodnie. Następnie, jeżeli nic więcej nie zrobię, prawdopodobnie odśluzę pozostały czas w Szóstym lub znajdę sposób na przeniesienie się do innego oddziału w jakiejś odległej prowincji.

Jeżeli jednak skieruję się na północ, tym samym wypowiem wojnę Faustusowi i zepsuciu, które uosabiał. Rzucę kości w grze, która ma tylko dwa możliwe

zakończenia: triumf albo śmierć.

Wzięłem głęboki oddech. Słońce załśniło w pierścieniu dziadka.

Zatem niech tak będzie.

Wyprostowałem ramiona, klepnąłem delikatnie Tancerkę, a potem spokojnie ruszyłem na północ.

Rozdział III

Proces Domicjusza Capita zaczął się już dwa dni po tym, jak wprowadziłem moich więźniów do Antiochii przez Wschodnią Bramę. Sąd zebrał się pod kolumnadą biegnącą wzdłuż zachodniego skrzydła pretorium namiestnika – starożytnego pałacu, niegdyś zamieszkiwanego przez Seleucydów, dawnych królów. Było późne popołudnie i upał z wolna słabł. Chłodna bryza wiała z nad pobliskiej rzeki. Słońce padało ukośnie pomiędzy wysokimi rzeźbionymi kolumnami, dzieląc kamienną podłogę na wąskie pasy światła i cienia.

Stałem w plamie słońca. Jako oskarżyciel i prokurator miałem wyznaczone miejsce parę metrów od więźnia.

Zerknąłem na Capita kątem oka i skrzywiłem się.

Ktoś oporządził tego łotra. Ogolono go, pozwolono mu na kąpiel i dano świeżo wypraną czerwoną tunikę. Miał nawet nowiuteńką różgę z winorośli, wetkniętą niedbale pod ramię.

Wyglądał jak wzorowy długoletni legionista.

To zły omen.

Kiedy wezwano go, żeby stawił czoło zarzutom, które przeciw niemu wniosłem, Capito wszedł po stopniach swoim zwykłym dumnym krokiem. Strach, jaki z wolna w nim narastał, w miarę jak zbliżaliśmy się do Antiochii, zniknął.

To było jeszcze gorsze.

Teraz zdeprawowany Primus Pilus Szóstego Legionu stał pewny siebie, niemal odprężony, przez człowiekiem, który miał osądzić o jego winie lub niewinności.

Przed Gnejuszem Kalpurniuszem Pizonem, namiestnikiem Syrii.

Mój plan postawienia Capita i jego bandy grabieżców przed sądem Germanika legł w gruzach z powodu jednego przeklętego szczegółu: nie było go w Antiochii,

kiedy przybyliśmy. Musiał pojechać na granicę z powodu raportów donoszących o poważnych kłopotach wśród tamtejszych ormiańskich plemion górskich.

Nikt w jego kwaterze nie umiał powiedzieć, kiedy wróci. Sytuacja na granicy była niebezpieczna, a Germanik nie zamierzał pozwolić na to, by jakaś mało znacząca plemienna waśń wciągnęła nas w niepotrzebną wojnę z Partią.

Pod jego nieobecność Pizon jako namiestnik upomniał się o swoje prawo sądzenia Capita i reszty więźniów.

Nie będąc w stanie w pełni zaufać jego osądowi, poprosiłem o zwłokę do chwili powrotu Germanika.

To był błąd.

Jeden ze współpracowników Pizona wyniosłe odrzucił moją prośbę, zimno informując mnie, że „namiestnik stoi na straży prawa w swej prowincji tak, jak uważa to za stosowne”.

Niechcący wpackowałem się w sam środek publicznej wojny.

W obozie w Apamei słyszałem pogłoski, że Pizon i Germanik spierają się o władzę w Syrii. Niektórzy mówili nawet o sprzecznych edyktach, zaciętych prywatnych kłótniach i pośpiesznie odwoływanych rozkazach. Lecz plotki nie nadały za rozwojem spraw. Sytuacja w Antiochii była o wiele gorsza, niż to sobie wyobrażałem.

Obecnie pomiędzy Pizonem a Germanikiem oraz ich zwolennikami istniał otwarty konflikt. Początkowe różnice zdań w drobnych kwestiach przerodziły się w utarczki dotyczące poważnej polityki – zarządzania legionami, naszych stosunków z Partią, zbierania podatków, a nawet sposobu egzekwowania prawa.

Rezultatem był narastający chaos.

Urzednicy z frakcji Germanika postępowali zgodnie z jego zarządzeniami. Ci, którzy stali po stronie Pizona, ignorowali je. I na odwrót. Urzednicy na najniższych szczeblach zarządzania prowincją: lokalni sędziowie, okręgowi poborcy podatkowi i

tym podobni, znaleźli się pomiędzy dwoma rywalizującymi obozami. Kołysali się w tę i w tę jak trzcina podczas wichury, potulnie przestrzegając obowiązujących praw jednego dnia i lekceważąc je następnego.

Istne szaleństwo.

Nasza władza w Syrii opierała się na stabilizacji, którą narzuciliśmy. Teraz pokój został zagrożony, zarówno przez grabieżców pustoszących prowincję, jak i przez narastający chaos administracyjny w Antiochii. Jeżeli ktoś szybko nie przywróci porządku, prowincjusze mogą zmęczyć się rządami Rzymu i powstać przeciw nam. A bunt w Syrii mógłby podpalić całe wschodnie imperium.

Wyprostowałem się, starając się odsunąć na jakiś czas większe zmartwienia.

„Trzymaj się swojego zadania, Lucjuszu – mawiał zawsze mój dziadek. – Życie jest jak bitwa, chłopcze – chrypiał. – Kiedy stajesz do walki, pamiętaj, że człowiek, który martwi się o to, gdzie rozbije namiot tej nocy, zginie z włócznią wbitą w brzuch”.

Właśnie teraz stawałem do walki.

Jakoś będę musiał przekonać Gnejusza Pizona, żeby uznał Capita za winnego. Z nakazem egzekucji wiszącym mu nad głową jest jeszcze szansa, że centurion zacznie zeznawać przeciw Faustusowi, żeby ocalić własne życie. To z kolei pozwoli Germanikowi wykorzystać zepsucie w samym sercu Szóstego Legionu.

Niestety, moja pierwsza sposobność przyjrzenia się namiestnikowi Syrii nie wzbudziła zaufania, zarówno co do jego osądu, jak i chęci zadośćuczynienia sprawiedliwości.

Pizon siedział w cieniu, rozparty niedbale na ławie wymoszczonej poduszkami. Na małym stoliku koło jego łokcia stała butla z winem wraz z bogato zdobionym srebrnym pucharem. Niewolnik o ciemnej skórze, prawdopodobnie Hiszpan, stał w pobliżu, gotowy spełnić życzenia swego pana.

Kiedyś, jako mały chłopiec, widziałem w wędrowniej menażerii pytona. Wąż z

wielkimi, połyskującymi łuskami dopiero co zjadł całe jagnię. Leżał nieruchomo w klatce z wybrzuszeniem na środku. Pomimo oczywistego odrętwienia tego olbrzyma, jestem przekonany, że dostrzegłem zły błysk w jego głodnym wzroku, gdy popatrzył na mnie przez żelazne pręty.

Pizon przypominał mi tego węża.

Namiestnik był łysy, jeśli nie liczyć kilku ufarbowanych kosmyków, zaczesanych w poprzek czaszki. Pod tym bezmiarem bladej, pomarszczonej skóry błyszczały czarne oczy. Ogromny, wystający brzuch pomniejszał rachityczne ręce i nogi.

Pizon wziął głęboki łyk wina, a potem machnął ospale dłonią w moim kierunku.

– Kiedy tylko będziesz gotów, trybunie.

Zaryzykowałem i rozejrzałem się szybko wokół siebie. Krużganek był niemal pusty. Poza Pizonem jego niewolnikiem, małą grupką strażników po jednej stronie i wyglądającym na znudzonego skrybą w zasięgu wzroku nie było nikogo. Żadnych innych świadków, żadnych widzów.

Zdałem sobie sprawę, że przypomina to bardziej prywatną audiencję niż oficjalny sąd. Wnosiłem oskarżenie przeciwko rzymskim żołnierzom o bandyctwo i morderstwo. Kto mógłby winić namiestnika za chęć zachowania takiego skandalu w ściśle kontrolowanym gronie?

Niedobrze, Lucjuszu – powiedziałem sobie w duchu. Bardzo niedobrze.

Dość. Pora przemówić – uwolnić starannie wybrane określenia, które bezgłośnie ćwicyłem na każdym kroku długiego marszu po zapyłonej drodze do Antiochii.

Zrobiłem krok w przód i skinąłem w kierunku Capita.

– Powód wszczęcia sprawy przeciwko temu więźniowi jest prosty, panie. W skrócie, oskarżam go o wymuszanie, rabunek, pogwałcenie wojskowej przysięgi i wielokrotne morderstwo. Dowiodę tych oskarżeń, nie pozostawiając żadnych wątpliwości. A kiedy już to uczynię, poproszę byś uznał go za winnego i skazał na

śmierć.

Pizon uniósł jedną wąską brew.

– Więc zarzucasz pierwszemu centurionowi własnego legionu serię przerażających zbrodni i prosisz mnie o jego głowę? – uśmiechnął się, zaciskając usta. – Twoja definicja słowa „prosty” jest osobliwa, trybunie.

Powstrzymałem złość. Nie było to proste.

Jak każdy młody Rzymianin z mojej warstwy społecznej, przyglądałem się paru procesom karnym i cywilnym; stanowiło to część naszej edukacji. Najlepsi sędziowie pozwalali adwokatom obu stron przedstawić swoje argumenty, niepotrzebnie im nie przeszkadzając. Inni byli bardziej zainteresowani popisami swoim sprytem niż słuchaniem faktów.

Gnejusz Pizon najwyraźniej należał do tych drugich.

Pokręciłem głową.

– Nie twierdzę, że polityczne czy wojskowe konsekwencje tej sprawy są nieskomplikowane, panie. Przesłanki, o których mówię, są nikczemne. I stawiają poważne pytania co do dyscypliny i wiarygodności Szóstego Legionu. Lecz dowód winy Capita jest oczywisty i przekonujący.

Namiestnik wzruszył ramionami.

– Ja jestem sędzią, nie ty. – Napił się znowu wina i zmierzył mnie spojrzeniem z nadzobionego naczynia. – Ty oskarżasz, ja decyduję. Postaraj się to zapamiętać, młody człowieku.

Z trudem przełknąłem ślinę, zły na siebie, że pozwoliłem mu na uzyskanie przewagi.

Pizon łyknął jeszcze więcej wina, a potem wyciągnął puchar, by niewolnik ponownie go napełnić.

– Cóż? Dalej, trybunie. Przekonaj mnie.

Oddychałem wolno. Ludzie, których považalem, ostrzegali mnie, że namiestnik

to zgorzkniały stary cap. Teraz, gdy widziałem, jak się zachowuje, zaczynałem się zastanawiać, czy takie porównanie nie jest krzywdzące dla starych capów.

Postanowiłem przejść bezpośrednio do sedna sprawy.

– Sześć nocy temu żołnierze pod moim dowództwem urządzili zasadzkę na bandę zamaskowanych łupieżców, którzy zamierzali splądrować posiadłość pod Apameą. Zabiliśmy połowę bandytów i pochwyciliśmy resztę, w tym ich herszta. Człowieka, który prowadził ich, by mordowali, gwałcili i rabowali. – Obróciłem się i ponownie wskazałem na Domicjusza Capita: – Tego człowieka.

Capito stał nieruchomo, na pozór nieporuszony moimi słowami, ale widziałem w jego oczach nienawiść.

Zwróciłem się do Pizona.

– Podczas przesłuchania więźniów, odkryłem, że ci bandyci to w rzeczywistości żołnierze z kohorty tego centuriona. Od miesięcy wymuszali duże sumy pieniędzy od miejscowych właścicieli ziemskich i mordowali tych, którzy im odmawiali. Mam ze sobą spisane zeznania tych, których przesłuchiwałem...

Namiestnik przerwał mi w pół zdania:

– Chwilę, trybunie. – Wolno wyprostował się na ławie. – Chcę najpierw zadać kilka pytań.

– Tak, panie.

Pizon uśmiechnął się mile, lecz jego oczy pozostały zimne i uporczywie się we mnie wpatrywały.

– Ta twoja zasadzka mnie... zaciekała. Widzisz, poinformowano mnie, że legionieści, którymi dowodziłeś, mieli obsadzić posterunek graniczny, a nie błąkać się po nocy, polując na rabusiów.

Niech to! Zastanawiałem się ponuro, któż to szeptał do ucha namiestnika? Czyżby Capito? A może sam Petroniusz Faustus?

– Wśród rozkazów było zezwolenie na przeprowadzenie ćwiczeń w terenie,

panie – powiedziałem spokojnie. – Uznałem możliwość rozbicia bandy za skuteczną formę ćwiczeń.

Pizon zignorował moją ripostę.

– Powiedz mi, trybunie, jak daleko od wyznaczonego posterunku byłeś, kiedy zaatakowałeś pierwszego centuriona i jego ludzi?

Przez jedno uderzenie serca patrzyłem na niego w ciszy, nagle świadom, że ziemia usuwa mi się spod nóg. To ja byłem tu sądzony, nie Domicjusz Capito.

– Odpowiedz na moje pytanie – warknął Pizon.

– Osiemdziesiąt kilometrów – odpowiedziałem cicho.

– Osiemdziesiąt kilometrów. Trzy dni forsownego marszu. – Pozwolił zawisnąć tym słowom przez chwilę w powietrzu, a potem ciągnął dalej: – Czy ktoś w głównej kwaterze Szóstego wiedział, że działasz tak daleko od wyznaczonego posterunku?

Zgrzytnąłem zębami.

– Nie, panie.

Pizon znowu uśmiechnął się zaciśniętymi ustami.

– Zobaczmy, czy dobrze cię rozumiem, trybunie. Najpierw zostawiłeś posterunek, który powierzono twojej opiece. Potem wzięłeś swoich ludzi na długi marsz przez prowincję. I zrobiłeś to wszystko, nie zadając sobie trudu poinformowania żadnego z oficerów wyższej rangi w Apamei o swoich zamierzeniach i miejscu pobytu?

Tego było za wiele. Wybuchnąłem gniewem:

– Miałem powód przypuszczać, że niektórzy z tych oficerów wyższych rangą działają w zмовie z bandytami, panie. Nie ma innego sposobu...

– Cisza! – Pizon cisnął pucharem o stół. Czerwone wino wylało się przez krawędź stołu na jego rękę. Niewolnik pośpieszył z pomocą i klękając podał mu płócienny ręcznik.

Namiestnik spiorunował mnie wzrokiem nad głową służącego.

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię, trybunie. Nie jestem tu po to, by słuchać twoich szalonych spekulacji ani zaspokajać niepotrzebnych fantazji. Jestem tu, by wyłuskać fakty z tej przerażającej katastrofy.

Spokojniejszy zwrócił się do Capita.

– Co robiłeś, kiedy wpadliście w zasadzkę tamtej nocy, centurionie?

Capito wyprostował się jak struna.

– Prowadziłem patrol, panie.

– Rozumiem. – Pizon skończył wycierać dłoń i leniwym machnięciem odprawił niewolnika. Spojrzał na Capita. – Czy był to rutynowy patrol?

– Rutynowy? Nie, panie – centurion odsłonił zęby w paskudnym uśmiechu, skierowanym do mnie. – Ścigaliśmy bandytów, którzy przysporzyli tyle kłopotów w regionie.

– Godne pochwały – powiedział sucho namiestnik. – A czy był to twój własny pomysł, by szukać tych grabieżców po ciemku?

– Mój pomysł? Nie do końca, panie. – Capito znowu posłał mi złośliwy uśmieszek, a potem zwrócił się do Pizona: – Prawdę mówiąc, sam trybun to zasugerował. Chciał umieścić oddziały na wszystkich drogach wokół Apamei. Zatem, kiedy już wyjechał, maszerując w kierunku granicy, jak wszyscy sądziliśmy, legat stwierdził, że jednak coś w tym pomysle jest.

Pizon odsłonił zęby.

– Cóż za ironia! – Popatrzył na mnie chłodno. – Słyszałeś pierwszego centuriona, trybunie. Co ty na to?

– Capito kłamie – powiedziałem ponuro. – Jego ludzie podczas przesłuchania przy świadkach przyznali się do winy.

Namiestnik pokręcił głową.

– Obawiam się, że te twoje cenne zeznania w ogóle się w tej sprawie nie liczą.

Wpatrzyłem się w niego osłupiały.

– Słucham?

Pizon uśmiechnął się.

– Otrzymałem wiadomość od samego Petroniusza Faustusa. Potwierdza w niej opowieść centuriona. – Wzruszył ramionami. – Skoro mam słowo legata, senatora i przyjaciela Cezara, czemu niby miałbym słuchać przerażonego bełkotu zwykłego legionisty?

Sprytnie – pomyślałem przygnębiony. Przechytrzyli mnie: najpierw Faustus, a teraz ten wąż w ludzkiej skórze. Jako sędzia, Pizon ma prawo rozpatrzyć lub odrzucić każdy dostarczony mu dowód. Nikt w Rzymie nie obwini go o to, że uwierzył w przysięgę kolegi senatora.

Pizon uśmiechnął się jeszcze szerzej, przyglądając się, jak dociera do mnie pełna świadomość mojej klęski. Następnie zwrócił się do skryby siedzącego po drugiej stronie:

– Oto mój wyrok w tej sprawie. Zrób trzy kopie: jedną dla tutejszych archiwów, jedną dla Szóstego Legionu i jedną dla Rzymu. – Odchrząknął. – Wydaje się całkiem oczywiste, iż nie było to nic więcej niż tragiczny wypadek: omyłkowe starcie pomiędzy dwoma oddziałami tego samego wojska. Jednakże równie oczywiste jest to, że tragedię tę w dużej mierze spowodowało lekkomyślne działanie podjęte przez trybuna Lucjusza Aureliusza Walensa.

Pizon pokręcił głową z udawanym smutkiem.

– Intencje tego młodego oficera, choć być może dobre, nie są w stanie uzasadnić niepotrzebnej straty tak wielu dzielnych rzymskich żołnierzy, podobnie jak nie mogą uzasadnić fałszywych oskarżeń rzuconych na Domicjusza Capita, dzielnego i szlachetnego pierwszego centuriona Szóstego Legionu. Zatem niniejszym oddalam wszystkie zarzuty przeciwko Capicie oraz przywracam go do pełnej rangi i do jego obowiązków.

Przerwał na moment, a potem zadał ostateczny cios.

– Również bardzo zachęcam legata Szóstego Legionu do rozważenia surowej procedury dyscyplinarnej przeciwko wspomnianemu Lucjuszowi Aureliuszowi Walensowi. – Pizon gwałtownym gestem zasygnalizował skrybie koniec dyktowania. – To wszystko. – Zwrócił się do mnie: – Na razie, trybunie, uważaj się za chwilowo odsuniętego od służby. Chcę, żeby Faustus miał dużo czasu na podjęcie decyzji co do ciebie. – Z tymi słowy namiestnik Syrii wstał, poruszając się lekko mimo swoich rozmiarów. – Ta sprawa jest zamknięta.

Obrócił się na pięcie i wyszedł zamaszystym krokiem, a tuż za nim jego niewolnik, straż oraz skryba.

Capito zatrzymał się koło mnie.

– Już po tobie, chłopcze – zaszydził. – Jak tylko Faustus z tobą skończy, chętnie połkniesz własny miecz. A ja zatańczę na twoich zwłokach.

Splunął na kamienną posadzkę koło moich stóp i pospieszył za Pizonem.

Kiedy wyszli, stałem sam przez chwilę, drżąc, w miarę jak cienie wokół mnie rosły.

Przegrałem. A przegrywając straciłem wszystko, co ceniłem: zarówno honor, jak i dobre imię.

Piętrzące się nade mną cienie zaczęły rozwiewać się podczas kolacji.

Wyciągnąłem się na głównym łożu – miejscu zarezerwowanym dla honorowego gościa. Biedota, barbarzyńcy i wojska w terenie jedzą, stojąc lub siedząc, ale bogaci Rzymianie posilają się, leżąc.

Uniosłem się na lewym łokciu, upiłem łyk chłodnego białego wina ze stojącego przede mną pucharu i rozejrzałem się po otoczeniu.

Sala biesiadna była jedną z najelegantszych, jakie widziałem poza samym Rzymem. Kunsztowna mozaika pokrywała podłogę – największy obraz przedstawiał Apolla goniącego uroczą, spłoszoną nimfę. Pomieszczenie otwierało się na piękny ogród. Przejrzysta, czysta woda tryskała z ust posągu skrzydlatego chłopięcego boga

i rozpryskiwała się w małej sadzawce, otoczonej mnóstwem kwiatów. Drzewo laurowe stało w jednym rogu ogrodu, ocieniając ławkę i patio.

Złapałem się na tym, że kiwam głową z aprobatą. Człowiek, który zaprojektował tę salę i jej otoczenie, miał świetny zmysł artystyczny i błyskotliwe poczucie humoru. Wszystko, co widziałem, opowiadało jedną historię. Dawno temu Apollo, przeszyty strzałą Kupidyna, zakochał się w córce boga rzecznoego Penejosa. Przerazona nimfa umknęła przed jego zalotami. Mimo to ją ściagał. W końcu modły nimfy o pomoc zostały wysłuchane – zamieniła się ona w drzewo laurowe, zawsze zielone i zawsze kwitnące.

Nimfa nazywała się Dafne.

Takaż była nazwa tego miasta – bogatego przedmieścia Antiochii. Na ukształtowanych tarasowo wzgórzach wzniesiono wille, otoczone czystymi strumieniami, wodospadami i soczyście zielonymi gajami laurowymi. Nieopodal stała starożytna świątynia oraz było źródło poświęcone Apollinowi.

Ukojony tym, co roztaczało się przed moimi oczyma, nachyliłem się i wziąłem kęs stojącego przede mną dania – liście karczochów skąpane w sosie czosnkowo-pieprzowym. Po raz pierwszy od dwóch dni czułem głód.

Przyjemny kontrast przerwał moje rozmyślenia.

– Czyżbym widziała uśmiech, Aureliusz Walensie? To dopiero poprawa! Wnioskuje zatem, iż doceniasz mojego kucharza. Czy też może podziwiasz dzieło mego architekta?

Zwróciłem się do kobiety spoczywającej po mojej lewej stronie, do gospodyni.

– Obu, moja pani. Gdyby mnie było na to stać, natychmiast bym ich od ciebie zabrał.

Agrypina, żona Germanika, zaśmiała się cicho. Nie była szczególnie piękna – nie w typowym znaczeniu tego słowa. Ale była niezwykła – gęste ciemne włosy, jasnobrązowe oczy, gładka oliwkowa cera i szerokie szlachetne usta, ponadto

niezmiernie inteligentna i bezwzględnie oddana mężowi i ich dziewięciorgu dzieciom. Córka Marka Agrypy (współrządcy Oktawiana Augusta) i wnuczki samego Oktawiana Augusta, podążała za Germanikiem podczas każdej jego wyprawy, była u boku męża nawet w prymitywnych, wilgotnych obozach nad Renem. To małżeństwo stanowiło wspólnotę dwojga równych sobie ludzi dużo bardziej niż inne.

Ktoś, kto usłyszał od niej parę ostrych słów, narzekał, że jak na rzymską matronę ma zbyt cięty język. Germanik jednakże wyśmiewał wszystkie skargi. Chichotał tylko, mówiąc:

– Każdy, kto spodziewa się skromnej powściągliwości po latoroślach tych dwóch starych byków, Agrypy i Oktawiana Augusta, jest większym głupcem ode mnie.

Jednak ja, jak większość oficerów i zwykłych żołnierzy, których spotkałem w nadreńskich obozach, wielce podziwiałem Agrypinę, Jej osobowość i promienny uśmiech przypomniały nam o ciepłym italskim słońcu podczas ponurej i krwawej służby. Ona i Germanik podejmowali przyjaciół i swoich zwolenników, kiedy tylko mogli – spędziłem wiele szczęśliwych godzin w ich towarzystwie.

Zastanawiałem się tylko nad tym, dlaczego zostałem do nich zaproszony teraz, po mojej kompromitacji za sprawą Pizona i pod nieobecność Germanika. Widziałem, że moja obecność niepokoi niektórych gości, samych wysokich oficerów lub członków bogatych antiochijskich rodzin. Zauważyłem kilka uniesionych brwi, zde gustowanych prychnięć i wyniosłych spojrzeń w moim kierunku.

Poruszyłem się nerwowo. Spokój, który właśnie zacząłem odczuwać, został zakłócony.

Agrypina czytała w moich myślach i nachyliła się bliżej:

– Odpręż się, Aureliuszu. Jesteś mile widziany w tym domu, teraz bardziej niż kiedykolwiek.

– Ale wyrok Pizona w mojej sprawie... – zacząłem.

– Był błędny, kupiony i głupi – powiedziała stanowczo. Uśmiechnęła się na widok zdziwienia malującego się na mojej twarzy. – Słyszałam streszczenie sprawy i taka jest moja przemyślana opinia. Prawdę mówiąc, to jest powód, dla którego tu dziś jesteś.

– Pani? – Kontrolowałem wyraz twarzy, nie chcąc pozwolić sobie na nadzieję, że zaprosiła mnie tu z jakiegoś innego powodu niż tylko kurtuazja, jaką była winna jednemu z lojalnych oficerów męża.

Agrypina odłamała kawałek chleba z okrągłego bochenka, a potem strzepnęła okruszki z palców. Przyjrzała mi się spokojnie.

– Nie udawaj naiwnego głupca, Aureliusz Walensie. Możesz sobie cenić te swoje szczere, stare rzymskie maniery, ale oboje wiemy, że masz głowę na karku. Choć muszę powiedzieć, że niepokojąco rzadko jej używasz.

Powstrzymałem uśmiech.

– Chcę, żeby ten gruby ślimak, Gnejusz Pizon, zdał sobie sprawę, iż jego decyzja nie doczeka się dokładnego rozpatrzenia – ciągnęła. – Chcę, żeby się pocił, wiedząc, że mój mąż oddali ją przy najbliższej okazji.

– I dlatego jestem gościem honorowym... jako ostrzeżenie dla namiestnika – wymamrotałem.

– Oczywiście – Agrypina skinęła głową. – Spodziewam się, że Pizon dowie się o twojej obecności tutaj, zanim zaczniesz świtać. – Uśmiechnęła się lodowato. – Jeżeli o to chodzi, to prawdopodobnie dostanie szczegółowy raport, co jadłeś i które wina ci najbardziej smakowały.

Rozejrzałem się ostrożnie po pozostałej siódemce gości siedzących przy stole, z których większość starała się ignorować to, co usłyszała.

Agrypina zauważyła to. Zniżyła głos, żebym tylko ja mógł ją słyszeć:

– Połowa tych ludzi tutaj pocałowałaby brudne sandały naszego szanowanego

namiestnika, gdyby im tak kazał. Jeden lub dwóch zrobiłoby to nawet bez tego. – Spochmurniała. – Och, gną się w pokłonach przede mną i uśmiechają głupawo. Słyszę: „Tak, pani” i „Oczywiście, pani”. Ale tylko mój mąż potrafi zmusić ich do posłuszeństwa. Dopóki nie wróci, rządzi Pizon, a oni zlatują się do władzy, jak sępy do świeżych trupów.

– Czy są jakieś wieści od Germanika? – zapytałem cicho. – Czy wraca wkrótce do Antiochii?

– Modłę się, żeby tak – odpowiedziała prosto. Wzruszyła ramionami. – Jego ostatni list był optymistyczny. Pisał, że plemiona ormiańskie wydają się ukladne i gotowe zaakceptować jego pośrednictwo. Przy odrobinie szczęścia może już nawet być w drodze do domu.

Zmarszczyłem czoło:

– Lub nie przez kolejny tydzień bądź dłużej. A to oznacza katastrofę.

Agrypina przyjrzała mi się uważnie.

– Mów dalej.

Wypiłem łyk wina, żeby uporządkować natłok myśli.

– Każdy kolejny dzień daje Pizonowi więcej czasu na zatarcie śladów. Na „zgubienie” zeznań żołnierzy, którzy okazali się bandytami. Na „przekonanie” niektórych moich świadków, żeby te zeznania zmienili. Na przeniesienie innych do odległych posterunków...

– Albo na ich zabicie – powiedziała bezbarwnym głosem Agrypina.

Skinąłem głową. Po Antiochii krążyły niepokojące plotki. Jakies parę tygodni temu grupa syryjskich właścicieli ziemskich oraz kupców przeciwstawiła się namiestnikowi, domagając się, by położył kres bandyckim napadom. Namiestnik wysłuchał ich współczująco, podziękował za ich wysiłki i odesłał do domu.

Dzień później znaleziono nieszczęsnych prowincjuszy leżących przy drodze – pobitych na śmierć.

„Tragedia – powiedział Pizon ze smutkiem. – Okrutny los musiał ich zaprowadzić do jednej z wałęsających się band”.

Niektórzy mu nawet uwierzyli.

Teraz wiedziałem, co się stało.

Cóż jednak mogę zrobić? Dopóki Germanik nie wróci, Pizon kontroluje wszystkie urzędy w prowincji. Głowa mi pękała z bólu.

– Być może jest inne wyjście – Agrypina powiedziała to z niechęcią.

Zwróciłem się ku niej:

– Tak, pani?

Zawahała się przez chwilę, a potem mówiła dalej, jeszcze ciszej niż przedtem.

– W Antiochii przebywa teraz pewien człowiek. Wpływowy człowiek. Senator i były konsul.

– Kto? – zapytałem.

– Nazywa się Decymiusz Juniusz Silanus.

Imię to nic mi nie mówiło. Zbyt długo przebywałem poza Rzymem, by śledzić wszystkie zawilości polityki.

– Silanus przewodzi potężnej frakcji w senacie – wyjaśniła Agrypina. – Co jednak ważniejsze, jest oddanym przyjacielem Tyberiusza.

Popatrzyłem na nią.

– Co taki człowiek robi w Antiochii? Zwłaszcza obecnie?

Wzruszyła niespokojnie ramionami.

– Nikt nie wie. Niektórzy mówią, że senator odbywa tajną misję dla cezara i tylko się tu zatrzymał w drodze do Judei. Inni twierdzą, że bada nieprawości Pizona. Kilku jest przekonanych, że szpieguje mojego męża i mnie. Jedyne, co jest pewne, to to, że on i jego straż zajęli jeden z domów w mieście.

– Myślisz, że powinienem zwrócić się do niego w tej sprawie?

Agrypina popatrzyła na mnie w milczeniu. Byłem w stanie zrozumieć jej niechęć

do udzielania mi porad. Nie miała specjalnego powodu, by kochać przyjaciół nowego cesarza. Lata temu jej własna matka, Julia, choć była żoną Tyberiusza, została przez niego wygnana w wyniku wielkiego skandalu. Wkrótce zmarł Oktawian August, a potem Julia. Niektórzy szeptali, że to Tyberiusz, nadal na nią rozgniewany, kazał ją zagłodzić na wyspie, na którą została wygnana.

Myślałem szybko. Germanik może uchylić werdykt przeciwko mnie, lecz nie posunie się do niczego więcej bez dowodów winy Capita, Faustusa i innych. Jednak, jeżeli jest choć cień szansy na to, że przekonam Silanusa, by wystąpił teraz przeciwko namiestnikowi i jego kompanom, to czyż nie warto spróbować?

Tak – postanowiłem. Warto.

Germanik może mnie przywrócić na stanowisko. Mój honor to zupełnie inna sprawa. Nie ma takiej możliwości, żebym stał beczynnym, podczas gdy Capito i reszta unikną odpowiedzialności za swoje ohydne zbrodnie. Nie, jeżeli chcę być dumny z nazwiska i z reputacji, którą się cieszyłem.

Kiwnąłem głową.

– Dobrze. Porozmawiam z senatorem tak szybko, jak to możliwe.

Agrypina łagodnie dotknęła mojej ręki. Poczulem przenikający mnie dreszcz.

– Jesteś dzielnym człowiekiem, Aureliuszu. Szanuję cię za to. Bądź jednak ostrożny. Podobno Silanus to prawy człowiek. Być może. Ale nie wszystko, co ludzie mówią, jest prawdą. Niektórzy z tych, co są najbliżsi Tyberiuszowi, są zdolni do wielkiego zła. Nawet ci o najprzyjemniejszym obliczu, ci, co mówią najuczciwsze rzeczy. Pamiętaj o tym.

Decymiusz Juniusz Silanus udzielił mi posłuchania następnego popołudnia.

Starszy, siwowłosy niewolnik poprowadził mnie do dużej, nasłonecznionej sali na tyłach domu, obwieścił moje przyjście i szybko wyszedł.

Silanus siedział sztywno na krześle o prostym oparciu, zrobionym z wonnego cedru. Obok niego na marmurowym blacie małego stolika znajdowały się starannie

ułożone zwoje, pojemnik z atramentem i parę piór.

Byliśmy sami.

Był starszy, niż oceniłem go w pierwszej chwili. Z daleka jego wyprostowana sylwetka, smukła i szczupła oraz arystokratyczna twarz wskazywały na to, że niedawno wszedł w wiek średni. Kiedy podszedłem ku niemu, zobaczyłem głębokie zmarszczki wokół oczu i ust. Zdałem sobie sprawę, że bliżej mu do sześćdziesiątki niż czterdziestki. Zatem jest rówieśnikiem Tyberiusza – być może znajomym z lat chłopięcych – a nie jakimś nadętym politykiem, który niedawno zwrócił na siebie uwagę cesarza.

Przywitał się oficjalnie:

– Witaj w tym domu, trybunie. Oby bogowie obdarzyli cię swoimi łaskami.

Zatrzymałem się kilka kroków przed nim i skłoniłem głowę.

– Dziękuję ci, panie, za to, że w tak krótkim czasie zgodziłeś się ze mną spotkać.

Sztywność zachowania senatora widoczna była także w jego stroju. Siedział owinięty w ciężką, białą, wełnianą togę z szerokim purpurowym pasem, właściwym jego randze. Pomimo upału wyglądał, jakby było mu naprawdę wygodnie.

Za to ja miałem na sobie tylko wojskową tunikę i płaszcz. Miejskie ulice były zbyt zatłoczone i zakurzone, by iść daleko w todzie, jeśli ktoś nie wynajął sobie lektyki i niosących ją niewolników. Zbyt niecierpliwy, by tracić czas na targowanie się o cenę, postanowiłem iść na piechotę.

Jeżeli Silanus uznał mnie za ubranego zbyt swobodnie na to spotkanie, zachował swoje myśli dla siebie. Zamiast tego, lekko się uśmiechając, zmierzył mnie wzrokiem.

– Twoje nazwisko brzmi znajomo, trybunie. Zdaje się, że słyszałem je w związku z kilkoma bardzo lukratywnymi kontraktami na wydobywanie oraz koncesjami w handlu z Grecją i Tracją. Jakiś bliski krewny, może?

– Mój ojciec, panie – powiedziałem ponuro.

Na senatorze zrobiło to wrażenie.

– Masz szczęście.

Puściłem to bez komentarza.

W drodze z Germanii do Syrii odwiedziłem jedną z kopalni złota dzierzawionych przez mojego ojca. Nikt nie oczekuje, że życie niewolnika będzie szczęśliwe. Nie pałam też uczuciem do członków brutalnych germańskich plemion, złapanych przez nas podczas ataków i bitew. Sprzedawaliśmy ich bogatym przedsiębiorcom, takim jak mój ojciec, lecz przynajmniej żyli. Sami Germanie brali głowy, nie więźniów. Jednak bezcelowe okrucieństwo, jakie im zadawano w tych ciasnych, potwornych tunelach, przekraczało wszelkie granice rozsądku i przyzwoitości.

Silanus sięgnął do zwojów umieszczonych na stoliku i podniósł list polecający Agrypiny.

– Żona Germanika Cezara pochlebnie się o tobie wyraża, trybunie. – Zlustrował mnie ponownie. Jego prawa brew uniosła się do góry. – Bardzo pochlebnie. Chyba tylko jej mąż dostałby większe pochwały.

Zarumieniłem się.

– Pani jest bardzo łaskawa.

Silanus skinął głową.

– Owszem. Jest. – Lekko postukał kościstym palcem w zwój. – Ale obawiam się, że mimo jej listu nadal jednak pozostaję w niewiedzy, co do sprawy, dla której tu przyszedłeś.

Wyjaśniłem całą sprawę tak zwięźle, jak potrafiłem: bandy grabieżców, aresztowanie Capita i jego ludzi przeze mnie oraz usiłowanie ukrycia ich zbrodni przez Pizona. Senator słuchał uważnie, lecz wyraz jego twarzy pozostał obojętny, całkowicie nieprzenikniony. Równie dobrze mógłby słuchać nużącego raportu o rocznym eksporcie egipskiego zboża, zamiast ohydnej historii o bandytyzmie, morderstwach i masowej korupcji rzymskich oficjeli.

Kiedy skończyłem, uśmiechnął się nieznacznie.

– Stawiasz mnie w trudnej sytuacji, młody człowieku.

– Nie to było moim zamiarem, panie – powiedziałem szybko.

Podniósł rękę.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Niemniej jednak trudność pozostaje. A co, gdybym ci powiedział, że odwiedzam tę prowincję tylko z powodu własnego kaprysu? Jako zwykły, prosty obywatel?

Mimo najszczerzych chęci nie byłem w stanie powstrzymać się od lekkiego uśmiechu.

Silanus zmarszczył brwi.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że opowiedziałem dowcip, trybunie.

Potrząsnąłem głową.

– Nie, panie, nie opowiedziałeś. – Wzruszyłem ramionami. – Jednak zwykli podróżni, nawet byli konsulowie, zazwyczaj nie zabierają oddziału pretorian jako eskorty. Jeżeli podróżujesz incognito, zechciej powiedzieć chłopcom pilnującym głównych drzwi, by schowali tarcze.

Kiedy wchodziłem, minąłem dwóch uzbrojonych wartowników – wielkich mężczyzn o surowych rysach twarzy. We wnęce niedaleko drzwi dojrzałem ich tarcze oparte o ścianę. Ozdabiające je złote skorpiony zdradzały wszystko. Tyberiusz to zodiakalny Skorpion. By go uhonorować, jego osobista gwardia, Straż Pretoriańska, przyjęła znak urodzenia cesarza jako swój emblemat.

Silanus, co dobrze o nim świadczy, zachichotał cicho.

– Mocny argument, trybunie. Przyznają. – Potem spowaźniał. – Lecz nawet gdybym tu był po to, by skontrolować namiestnika Syrii, chyba nic przyznam się do tego pierwszemu młodszemu oficerowi, który przychodzi tu węszyć.

Zacząłem mówić, ale machnął ręką, żebym zamilkł.

– Moja misja tu, jeżeli mam jakąś misję, jest sprawą pomiędzy cesarzem a mną. I

tak się składa, że w ciągu tygodnia opuszczę Antiochię. Zatem nie powiem... nic. I nie zrobię... niczego.

Spojrzałem na niego wstrząśnięty.

– Nic?

Silanus kiwnął spokojnie głową:

– Słyszałeś wyraźnie.

Nie mogłem w to uwierzyć.

– Zatem będziesz tak po prostu siedział i patrzył, jak Pizon niszczy tę prowincję dla własnego zysku?

Spojrzenie senatora stało się lodowate.

– Będę pełnił swoje obowiązki względem Rzymu i cesarza Tyberiusza – warknął. – I postępować zgodnie z rozkazami, które otrzymałem. Zalecam ci takie samo działanie, chłopcze!

Zacisnąłem zęby. Z wysiłkiem poskromiłem język. I tak już za dużo powiedziałem, w dodatku na próżno.

Silanus przyglądał mi się uważnie przez kilka chwil. Gniew ustąpił łagodnemu wyrazowi twarzy, jakby chciał powiedzieć: „Bądźmy wszyscy przyjaciółmi”; musiało mu się to przydawać podczas gorących debat w senacie. Przypuszczam, że niektórych ludzi taka mina mogłaby uspokoić. Mnie niemal wyprowadziła z równowagi.

Senator westchnął.

– Pozwól, że dam ci radę, Aureliuszu Walensie. Dla dobra twojego ojca i twojego nazwiska, jeżeli nie twojego własnego.

– Proszę – odparłem beznamiętnie.

– Jesteś trybunem legionów. Zachowuj się jak trybun. Wróć na swój posterunek, bądź posłuszny legatowi i skoncentruj się na wyznaczonych ci obowiązkach. – Silanus ponownie westchnął. – Ale cokolwiek dalej zrobisz, Walensie, przestań

mieszać się w prywatne spory wyższych od ciebie rangą. Namiestnik to szanowany człowiek, wybranek cesarza i senatu. Nic nie zyskasz, czyniąc z niego wroga: ani ty, ani Rzym.

Trzymałem język za zębami. Nie było to łatwe. Jednakże uderzyć senatora – zwłaszcza mającego do dyspozycji kilku oprychów z pretorii – nie wydawało się mądrym pomysłem. Nawet mnie.

Zirytowany senator podniósł list Agrypiny.

– Otwórz oczy, chłopcze. Ta pani nie jest taka głupia. Wykorzystuje cię. Po pierwsze, żeby naskoczyć na rywala swojego męża. A po drugie, żeby wtykać nos w moje sprawy. – Rzucił list na stolik. – Cóż, nie zatańczę, jak mi zagra. Ty też nie powinienes.

Nie mogłem mu odmówić częściowej racji. Agrypina miała wszelkie podstawy pogardzać Pizonem. Miała również wszelkie powody kwestionować obecność senatora w Antiochii, lecz jego przekonanie, że ona manipuluje mną tylko dla własnych, małostkowych celów mówiło wiele o samym Silanusie. Podobnie też było z jego wysiłkiem, by pomniejszyć znaczenie przestępstw Pizona i ukazać jako kolejną odsłonę osobistego sporu z Germanikiem.

Zmęczony moim milczeniem senator pochylił się na krześle.

– Rozumiesz mnie, trybunie?

Popatrzyłem mu prosto w oczy.

– Rozumiem doskonale, senatorze.

Silanus nie dał się nabrać na spokojny ton, do którego się zmusiłem. Musiał dostrzec pogardę w moich oczach. Poczzerwieniał jak burak.

– Tiro!

Pojawił się niewolnik, który mnie wprowadził.

– Panie?

Senator ujął pióro i czysty pergamin. Odwrócił się do mnie, nachylony nad

stolikiem i zaczął pisać coś krótkimi, gwałtownymi pociągnięciami.

– Trybun Lucjusz Aureliusz Walens opuszcza nas już. Dopilnuj, by trafił do wyjścia.

Ruszyłem za niewolnikiem. Przynajmniej – pomyślałem z gorzkim rozbawieniem – odkryłem w sobie talent wprawiania w gniew wpływowych ludzi. Najpierw Petroniusz Faustus, potem Pizon, a teraz Silanus.

Mój dziadek chlubił się odmową nadskakiwania wyżej postawionym. Podejrzywałem jednak, iż nawet on nie posunąłby się do doprowadzenia do wściekłości legata legionu, namiestnika prowincji oraz wysoko postawionego członka rzymskiego senatu – przynajmniej nie w ciągu zaledwie dwu tygodni.

Podążałem za starym sługą przez labirynt połączonych korytarzy, sal i dziedzińców. Żaden z nas nic nie mówił. Nie miałem nic do powiedzenia. Tiro był wystarczająco bystry, by wiedzieć, że nie ma powodu do towarzyskich uprzejmości.

Byliśmy już blisko wyjścia, kiedy płowowłosa dziewczyna w szaroburej tunice i obroży niewolnika wypadła z przyległego pomieszczenia. Chlipiąc cicho, przebiegła obok mnie i skierowała się w głąb domu. Zdążyłem zauważyć świeży czerwony ślad pięści na jej policzku. Zaskoczony obejrzałem się za nią. Nie mogła mieć więcej niż dziesięć, dwanaście lat. Kto mógłby uderzyć takie chuchro, nawet jeżeli to niewolnica?

Zerknąłem przez wpół otwarte drzwi do pokoju, z którego uciekła. To, co zobaczyłem, było dziwne. Bardzo dziwne.

Pomieszczenie było małe i słabo oświetlone. Lampki oliwne migotały w rogach. Groteskowe szkarłatne, zielone i czarne symbole pokrywały bielone ściany. W kilku rozpoznałem znaki zodiaku. Inne powykęcane mistyczne kształty nic nie znaczyły – przynajmniej dla mnie. Masywny stół zajmował większość miejsca. Piętrzyły się na nim zwoje, gliniane kałamarze i stosy woskowych tabliczek.

Mężczyzna w czerwonej jedwabnej szacie z długimi czarnymi rękawami stał za

stołem, przyglądając się jakiemuś zwojowi. Odrzucił go na bok i podniósł wzrok.

Nasze oczy się spotkały.

To dopiero prawdziwy łotr – uznałem.

Był wyższy ode mnie może o jakieś pół głowy. Ciemne oczy nad zakrzywionym nosem, na wpół zakryte opadającymi powiekami, patrzyły na mnie zimno. Wąskie, okrutne wargi wygięły się w szyderczy uśmiezek.

Niemal odruchowo moja dłoń powędrowała do miecza zawieszzonego u boku.

Poczułem, jak pomarszczone palce Tira muskają skraj mojego płaszcza.

– Trybunie? Pozwolisz?

Zerknąłem na starego niewolnika.

– Tak?

Wskazał w kierunku drzwi wyjściowych.

– Tędy, panie.

Kiedy zerknąłem ponownie do pokoju, mężczyzna w czerwonej szacie znowu był nachylony nad stołem, studiując kolejny zwój.

Odwrociłem się wolno, zastanawiając się głęboko.

Kilka kroków przed wyjściem zatrzymałem się i spojrzałem na Tira.

– Kim jest ten skwaszony typ? Ten w szacie?

Starszy niewolnik popatrzył na mnie ostrożnie, z twarzą pozbawioną wyrazu.

– Panie?

Wyjąłem srebrną monetę z sakiewki przy pasku i przycisnąłem do jego dłoni.

Tiro zamknął palce na denarze i rozejrzał się w obie strony, upewniając się, że korytarz jest pusty. Przełknął ślinę.

– Mówią na niego Araneusz, panie. Podobno to jakiś wielki i mądry mag.

Araneusz. Czyli „pająk”. Przewisko idealnie pasowało do tego łotra. I podobno mag. To ciekawe. I zagadkowe.

Wkrótce po objęciu władzy, Tyberiusz wypędził wszystkich astrologów pod

groźbą śmierci. Zabronił również używania magii, uznając jej praktykowanie za zajęcie złe i podłe, niegodne prawdziwego Rzymianina. Sam czytałem jego rozporządzenia.

Czemu więc Decymiusz Juniusz Silanus, członek senatu i przyjaciel samego cesarza, przywiózł ze sobą do Antiochii wróżbitę lub czarownika?

Ulica, przy której znajdowała się posiadłość Silanusa, wiała się w dół wzgórza, koło innych wielkich domów. Kilku z nich nie skończono jeszcze budować. Ta część miasta była stosunkowo nowa. W miarę jak bogactwo płynęło z otaczających Antiochię terenów i szlaków handlowych wiodących na wschód, bogate kupieckie rodziny wlewały strumienie pieniędzy w olbrzymie nowe siedziby na niższym stoku góry Silpius. Widok z niej był efektowny – przed oczyma roztaczały się czerwone dachówki starej Antiochii, wstęga Orontesu, a poza nim żyzne pola i gęste sady.

Prawie każdego innego dnia spędziłbym choć trochę czasu, chłonąc tę atmosferę, lecz nie dziś. Nadal byłem wściekły – zarówno na senatora, że odmówił działania przeciwko Pizonowi jak i na siebie, że mój charakter pokazał, co potrafi.

Bądź ostrożny, ostrzegała mnie Agrypina. Powinienem bardziej zważać na jej radę.

Gniew zaprowadził mnie w dół wzgórza, na zatłoczoną główną ulicę miasta.

Wielka Ulica Antiochii biegła przez sam środek miasta, z północy na południe. Droga była wystarczająco szeroka, by obok siebie zmieściło się kilka rydwanów i wozów. Stojące wzdłuż niej budynki tworzyły zadaszone portyki pełne sklepów i straganów wszystkich rozmiarów i rodzajów. Na każdym kroku sprzedawano i targowano się o słoje pszenicy, wina i oliwy, sterty dzbanów i talerzy, zwoje sukna i jedwabiu, przyprawy, biżuterię oraz dziesiątki innych towarów.

Nadal kipiąc gniewem, przepychałem się przez kłębiący się tłum. Kierowałem się na południe do Bramy Dafne. Byli tu ludzie z każdego zakątka imperium: Syryjczycy, Grecy, Egipcjanie, Żydzi, ciemnoskórzy Numidyjczycy, Arabowie oraz

Onnianie. Na każdym kroku broniłem się przed handlarzami wrzaskliwie zachwalającymi towar łamaną greką, aramejskim oraz językami, których nawet nie rozpoznawałem.

– Wyśmienite wina z Chios i Rodos! Szlachetne wina od samych bogów! Pociągnij duży łyk i żyj długo!

– Kup najlepsze stroje! Tuniki! Szaty! Materiały we wszystkich kolorach. Godne króla! Dotknij, jakie miękkie, panie. Sprawdź ich wytrzymałość!

Szedłem dalej.

– Zdziw kobiety rozmiarem i siłą swojej męskości, panie! – pomarszczone stworzenie z rzadką, rozwichrzoną brodą kręciło się koło mnie, podstawiając mi pod nos tacę zastawioną słoikami cuchnących maści i balsamów. – Zobacz – naciągał mnie – cenna mikstura z rogu nosorożca, mirry i włosów ze skroni samego potężnego Herkulesa!

Zaczęła mnie boleć głowa. Odepchnąłem go z drogi i przyspieszyłem kroku.

Nagle, przenikliwe, piskliwe tony fletu wzniosły się ponad zgiełkiem.

Zbita falanga dziwacznie ubranych ludzi zablokowała ulicę przede mną, krzycząc i tańcząc, wrzeszcząc i kręcąc się we wszystkie strony. Niektórzy nosili czapki i cytrynowożółte szaty. Inni hasali w luźnych białych tunikach ze szkarłatnym pasem. Gлина i farba zdobiła ich twarze i obrysowywała wybałuszone oczy.

Dzikie, drżące zawołania odbijały się echem od otaczających kolumn.

– Atargatis! Atargatis! Oddaję moje życie Bogini!

– Bogini nadchodzi! Nadchodzi!

Inni w tłumie powtarzali okrzyk, potrząsając mieczami i toporami w rytm zawodzenia. Niektórzy gryźli samych siebie, jak szaleńcy szczerząc zakrwawione zęby. Kilku raniło sobie ramiona bronią, śmiejąc się przy każdym cięciu. Plwociny i krew pryskały we wszystkich kierunkach.

Dźwięk fletu stał się głośniejszy.

W oszalałym tłumie pojawił się osioł niosący pozłacaną statuetkę kobiety z półksiężycem na czole. Grupa akolitów o brudnych twarzach truchtała koło posągu, trzymając puste worki. Naraz przerwali szeregi i rozpierzchli się po okolicznych portykach.

– Jałmużna dla Atargatis! Nakarm Boginię! Zyskaj jej przychylność!

Cofnąłem się z ręką na sakiewce. Trafiłem prosto na procesję na cześć syryjskiej bogini, nazywanej też Syria Dea. Jej oszalali wyznawcy, wędrujący *galli*, przemierzali syryjskie wioski i miasta, zbierając jedzenie, ubranie i monety dla siebie oraz swojego bóstwa.

Skrzywiłem się. Rzym nie ograniczał lokalnych kultów religijnych, ale nie podobał mi się ten dziki, irracjonalny zapał i samookaleczanie się, które widziałem. Nawet kupcy dali się porwać temu szaleństwu. Wielu z nich już pchało się z datkami dla bogini.

Dostrzegłem, że z najbliższego portyku odchodzi boczna uliczka, i prześliznąłem się przez tłum w jej kierunku.

W alejce było ciemno i cicho, więc poczułem się lepiej. Szedłem dalej, mijając rzędy sklepowych słoików, bel i worków, czekających na swoją kolej. Wąskie drzwi prowadziły do zacienionych prywatnych domów.

Czułem, że się rozluźniam. Znalazłem się z dala od szaleństwa, chaosu i ogłuszającego hałasu.

Mylłem się.

Przy najbliższej ścianie stało kilka małych wiklinowych klatek. Pełno w nich było białych gołębi. Prawdopodobnie miały zostać przeznaczone na ofiarę w świątyni. Coś – być może zgiełk uliczny za mną – je zaniepokoiło. Miotły się w tę i z powrotem, bijąc skrzydłami o pręty.

Nagle drzwiczki się otworzyły. Uwolniony gołąb przefrunął tuż koło mojej

twarży, tak blisko, że koniuszki skrzydła musnęły moje czoło.

Obróciłem się zaskoczony. I wtedy ich zobaczyłem.

Tuż za mną stało dwóch mężczyzn – jeden dużo wyższy i szerszy niż drugi. Obaj nosili poszarpane szaty barwy piasku. Luźne kaptury zakrywały prawie całe twarze. Obaj trzymali długie noże.

Zaszokowany zrobiłem krok w tył, w chwili gdy wielki mężczyzna doskoczył do mnie. Wyrzuciłem w górę rękę w rozpaczliwej próbie odrzucenia sztyletu. Ostrze rozorało mi przedramię i ześlizgnęło się po kości, zostawiwszy długą, palącą ranę.

Dyszając, odskoczyłem. Potrzebowałem czasu, żeby wydobyć miecz i żeby się obronić.

Wielkolud strząsnął moją krew z noża, uśmiechnął się paskudnie do mnie i machnął do swojego towarzysza.

Odwróciłem się i przewróciłem stojące jedna na drugiej klatki, a po uliczce rozpierchły się ptaki i rozsypała połamana wiklina. Przerażone gołębie wzbiły się chmurą łopoczących skrzydeł.

Nieprzygotowany na to mniejszy mężczyzna cofnął się, chroniąc dłońmi twarz i głośno klnąc. Po łacinie.

Wyszarpnąłem miecz z pochwy i wbiłem ostrze w jego żołądek jednym gładkim ruchem. Weszło głęboko. Mężczyzna krzyknął i zgiął się w pół. Wyrwałem broń, gdy padał.

Zanim zdążyłem przyjąć dogodną pozycję, drugi ponownie zaatakował. Przeskoczył nad ciałem umierającego kompana i rzucił się na mnie. Cisnęło mnie na kamienny mur, a siła uderzenia była taka, że nie mogłem złapać tchu. Miecz wyleciał mi z rąk. Sztylet napastnika przesunął po moich żebrach, rozdzierając więcej ciała i mięśni.

Na bogów!

Podstawiłem prawą stopę za jego nogą i pchnąłem mocno. Poleciał do tyłu,

pociągając mnie za sobą. Potoczyliśmy się po ziemi, zadając sobie ciosy, kopiąc się i drapiąc.

Ja wyszedłem na tym gorzej. Od ciosów dzwoniły mi zęby. Zakrzywione paznokcie przeciwnika rozorały mi lewy policzek. Z przerażeniem zdałem sobie sprawę z tego, że on jest większy, cięższy i silniejszy. Muszę się stąd wydostać, natychmiast!

Puściłem jego rękę i zacząłem macać dokoła w pyłe, a on wbił łokieć w mój obojczyk. Kość się nie złamała, ale w lewym boku czułem potworny ból. W końcu moje palce natrafiły na kamień. Cisnąłem mu go w twarz tak mocno, jak mogłem. Klnąc, odrzucił głowę.

Uwolniłem się i odtoczyłem, gorączkowo szukając miecza. Tam! Chwyciłem rękojęść, gdy wielkolud, rycząc jak lew, znowu się na mnie rzucił. Obróciłem się z mieczem w dłoni.

Czubek trafił go prosto w gardło. Oczy mu się rozszerzyły z przerażenia, gdy ostrze weszło głębiej, niemal odrywając jego głowę od ramion. Krew tryskała, zalewając mi tunikę i twarz.

Przewrócił się na plecy, zatrząsł się i znieruchomiał.

Nadal sapiąc i dysząc, oderwanym skrajem płaszcza wycierałem krew z oczu. Potem wolno i z wielkim trudem opadłem na kolana i nachyliłem się nad trupem.

Domicjusz Capito.

Starszy centurion leżał na plecach w pyłe. Jego sakiewka rozdarła się w czasie walki, a jej zawartość rozsypała się po uliczce. Srebro połyskiwało w przyćmionym świetle.

Wyplułem krew i podniosłem jeden z denarów. Zobaczyłem profil cezara Tyberiusza. Był nieskazitelny. Monety zostały świeżo wybite.

I wiedziałem dokładnie, kto próbował kupić za nie moją śmierć.

Gnejusz Kalpurniusz Pizon, namiestnik Syrii.

Rozdział IV

Arystydes ostrożnie odwinął nasączony krwią skrawek płaszcza z lewego przedramienia, odsłaniając ranę zadaną mi przez Capita sztyletem. Wrzucił ten prowizoryczny bandaż do zwykłej terakotowej misy stojącej pomiędzy nami na kamiennej posadzce. Potem przysunął moje ramię ku snopowi światła wpadającego przez wąskie okno i obejrzał dokładnie ranę. Mrużąc oczy, wetknął w nią kleszcze z brązu i dłubał w poszukiwaniu kawałków rozdartej tkaniny lub zanieczyszczeń.

Zesztywniałem.

Arystydes uniósł brwi.

– Bolesne?

Skinąłem głową. Nie było powodu zaprzeczać. Grecki lekarz zbyt dobrze mnie znał.

– Za chwilę zaboli jeszcze bardziej – zapowiedział beznamiętnie. – Wyciągnij rękę nad misą.

Westchnąwszy, usłuchałem.

Jednym szybkim ruchem Arystydes chwycił moje ramię swoją lewą ręką, a potem prawą wylał na ranę zawartość małego kubka. Przezrzysty płyn polał się po długiej, głębokiej ranie, wymywając brud i zakrzepłą krew.

Przez chwilę wszystko stało się czerwone, a pomieszczenie zawirowało. Ramię paliło mnie ogniem. Zakrztusiłem się, wziąłem głęboki oddech i szybko tego pożałowałem. Oczy mi łzawiły od mocnych, kwaśnych oparów.

– Na Zeusa! – wydusiłem przez zaciśnięte zęby. – Czysty ocet?

Arystydes potaknął spokojnie.

– Najlepiej czyści. – Uniósł kącik ust w lekkim uśmiechu. – Przynajmniej tym, którzy są w stanie znieść jego siłę.

Odstawił kubek i użył nasączonej octem gąbki, by dokończyć oczyszczanie rany. Zadygotałem, biorąc kilka głębszych oddechów, by pokonać ból.

Lekarz popatrzył na dół.

– Rana znowu krwawi – powiedział z satysfakcją. – Lecz nie więcej, niż potrzeba.

Ucieszyłem się. Arystydes i inni lekarze wierzyli, że krwawienie jest jednym ze sposobów obrony ciała przed gniciem i śmiertelną gorączką. Gdyby świeża strużka czerwieni ściekająca po moim ramieniu go nie zadowalała, już by obracał w palcach jeden ze skalpeli, szukając żyły, którą można otworzyć. Nie wątpiłem w jego umiejętności i wiedzę, ale nie mogłem się oprzeć poczuciu, że zostawiłem dziś już dość krwi na ulicach Antiochii.

Odwróciłem głowę, kiedy Arystydes zaczął zamykać ranę, spinając jej brzegi małymi brązowymi zapinkami nazywanymi fibulae. Ostre ukłucia, gdy każda fibula wbijała się w ciało, były do zniesienia, zwłaszcza po palącym occie. Mimo to nie lubię patrzeć, jak moje ciało jest tak dziurawione.

Bitwy przynajmniej toczy się w paraliżującej atmosferze furii, strachu i euforii. Miecze i włócznie ranią bądź są odbijane w mgnieniu oka. Nie ma czasu na to, żeby się długo zastanawiać – trzeba działać i reagować. Jednakże chirurgia zawsze wydawała mi się czymś wyrachowanym i beznamiętnym. Powiedziałem to kiedyś Arystydesowi.

– Oczywiście, że tak – odparł złośliwie. – Leczenie jest zawsze trudniejsze niż zabijanie. – Potem spojrzał na mnie znad szerokiego nosa. – Może wy, niedoszli bohaterowie, powinniście o tym pamiętać, zanim znowu wyruszyacie na kolejną wojnę.

Zawstydzony porzuciłem temat.

Wreszcie zadowolony Arystydes obandażował mi ramię czystym, lekkim płótnem, a następnie zajął się raną zadaną nożem na wysokości żeber.

Postępował tak samo – było to równie bolesne. Zanim skończył, spocilem się, a poza tym kręciło mi się w głowie.

Lekarz użył resztek octu, by splukać z mojej dłoni krew. Usiadł i popatrzył na mnie z namysłem.

– Będziesz żył, jak sądzę. Obie rany powinny się zagoić bez komplikacji.

Poczułem ulgę. Miałem nadzieję, że moje rany nie są poważne, ale słowa, które padły z ust Arystydesa, dodawały otuchy.

– Miałem szczęście.

Skrzywił się.

– Tak, Lucjuszu. Miałeś. – Zniżył głos. – Ale nie jestem pewien, czy zasłużyłeś na tyle szczęścia. Nie po tym, w co się wpakowałeś.

Powstrzymałem się od ciętej odpowiedzi. Część mnie chciała zaprotestować przeciwko temu oskarżeniu. Druga część musiała przyznać mu rację. Nadal żyłem, a Capito i ten drugi morderca nie. Naprawdę niewiele brakowało, by stało się inaczej.

– Już miałeś wystarczająco duże kłopoty z namiestnikiem i jego stronnikami – ciągnął lekarz. – Powinieneś poczekać, aż Germanik wróci z Armenii, zanim wpakujesz się w jeszcze większe.

Była to stara sprzeczka. Po tym jak Pizon odrzucił sprawę, którą wniosłem przeciwko Capicie i jego bandytom, Arystydes starał się, jak mógł, żeby namówić mnie do odłożenia sprawy na jakiś czas, zwracając uwagę na to, że nie mam co marzyć o osiągnięciu czegokolwiek bez poparcia Germanika. I jak wiele razy wcześniej, doradzał cierpliwość i rozwagę. A ja, jak zwykle, słuchałem z szacunkiem, a potem robiłem swoje.

– Jaki był sens dolewać oliwy do ognia, gdy próbowałeś wciągnąć tego senatora, ulubieńca Tyberiusza, w sam środek całej sprawy? – zapytał ponownie.

– Moje spotkanie z Silanusem było warte ryzyka – upierałem się. – Cesarz zawsze żądał surowej dyscypliny i porządku w legionach. Żaden jego prawdziwy

przyjaciel nie powinien przymykać oka na zepsucie i zgniliznę wśród naszych wojsk.

– A jednak Pizon też jest zausznikiem tego samego Tyberiusza – zauważył sceptycznie Arystydes – co powinno dać ci do zrozumienia, że przyjaciele cesarza nie czują wielkiej potrzeby, by sprostac tym jego słynnym standardom.

Ponownie nic nie odpowiedziałem, ale znowu musiałem zwalczyć chęć odburknięcia czegoś. Nie ma nic bardziej irytującego niż słuchanie, jak ktoś wytyka ci błędy. Zwłaszcza kiedy sam już się do nich przed sobą przyznałeś.

Arystydes pokręcił głową ze złością.

– Jeżeli już musiałeś się kręcić po Antiochii jak ofiarny baranek, czemu, na Hadesa, nie wzięłeś ze sobą przynajmniej Kwintusa Rufusa i jednego legionisty, czy nawet dwóch?

– Odwiedziny senatora były prywatną sprawą, a nie oficjalnym spotkaniem – odpowiedziałem świadom, że słowa te brzmią nieprzekonywająco. – Nie miałem prawa zabierać ze sobą wojska jako eskorty.

Doktor zachnął się.

– To raczej mało istotny punkt wojskowej etykiety, Lucjuszu. I brzmiałyby wiarygodniej, gdyby padło z ust młodego oficera, który nie ma zwyczaju naginać zasad, by pasowały do jego własnych poglądów na temat tego, co dobre i złe.

Wzruszyłem ramionami. Prawda była taka, że nie chciałem wciągać Rufusa i jego żołnierzy w ten bałagan, który wywołałem. Jeżeli nie znajdę jakiegoś sposobu na usunięcie Petroniusza Faustusa ze stanowiska dowódcy Szóstego Legionu, centurion i jego ludzie będą w poważnych kłopotach, kiedy wrócą do Apamei. Nie miałem żadnych złudzeń. Legat był znany z mściwości. Z przyjemnością ukarze żołnierzy, których jedynym błędem było to, że zgodnie z moim rozkazem zasadzili się na Capita i jego bandę.

– Ostatecznie mogłeś przynajmniej zabrać mnie – powiedział twardo Arystydes.

Popatrzyłem na niego zaskoczony. O ile wiedziałem, doktor nigdy w życiu nawet nie podniósł miecza. Byłem pewien, że uczył się mocować jako chłopiec, lecz musiały to być starcia ograniczone zasadami, podobne bardziej do ćwiczeń gimnastycznych niż do prawdziwej bitwy. Gdyby rzucił się do walki przeciw Capicie i jego koleżce, dałby się tylko zabić, a prawdopodobnie i ja bym zginął.

Czytał z mojej twarzy i pokręcił głową:

– Nie, żeby cię chronić. Wiem, że żaden ze mnie wojownik. – Jeszcze bardziej zniżył głos – Ale mam dobre oczy, Lucjuszu.

Zrozumiałem, do czego zmierzał.

– Byłbyś świadkiem.

Skinął głową.

– A ty potrzebujesz świadka i to bardzo.

Wiedziałem o tym. Miałem jednak nadzieję, że Arystydes jest tak zajęty martwieniem się o moje rany, iż przegapi większe niebezpieczeństwo, które mi groziło. Powinienem był go lepiej znać.

Starałem się mówić lekkim tonem:

– Więc nie sądzisz, że Pizon uwierzy w moją relację? Nawet z uwagi na honor rzymskiego oficera?

Lekarz popatrzył znacząco na mały, ciasny pokój, który przyznał mi jeden z urzędników namiestnika. Kiwające się łóżko, na którym obaj siedzieliśmy, było jedynym meblem. Wąskie okno dawało trochę światła i powietrza, lecz nie na tyle, by pozbyć się stęchłego zapachu brudu i potu. Arystydes nic nie powiedział. Nie musiał.

Podniosłem rękę.

– Dobrze, przyznaję. To najbliższe więziennej celi miejsce, w jakim kiedykolwiek byłem. Ale przynajmniej przed drzwiami nie stoją strażnicy.

Arystydes nachmurzył się.

– Nie, lecz paru wynajętych morderców namiestnika wałęsa się po korytarzu. Jakoś wątpię, by ich zadaniem było cię chronić.

– Widziałem ich – powiedziałem spokojnie. Było ich czterech, wszyscy uzbrojeni w miecze i sztylety. Ludzie Pizona czuwali tu już, zanim zostałem grzecznie, ale stanowczo zaprowadzony do tego małego, nędznego pomieszczenia. Uśmiechali się do mnie szyderczo, ale przynajmniej się rozstąpili, żeby dać mi przejść.

Większość wysoko postawionych urzędników, uprawionych do ochrony, odkomenderowała do tego zadania legionistów. Gnejusz Pizon nie był wyjątkiem. Regularne wojska stały na warcie w kilku miejscach w pałacu.

Namiestnik jednakże trzymał również grupę uzbrojonych mężczyzn do własnej dyspozycji. Oficjalnie byli to po prostu lojalni podwładni i wyzwoleńcy z jego olbrzymich posiadłości w Italii i Hiszpanii. W najlepszym wypadku było to uprzejme zmyślenie, w najgorszym – skandaliczne kłamstwo.

Wśród strażników Pizona znajdowali się dawni gladiatorzy, skuszeni wysokim wynagrodzeniem, jakie oferował. Podejrzewałem, że większość stanowili jednak bandyci, którzy przedkładali bezpieczeństwo opłacanej służby nad pełną niebezpieczeństw wolność dawnego życia. Wszyscy wyglądali na gotowych zrobić wszystko dla pieniędzy – nieważne jak nikczemne, bezprawne lub niemoralne by to było.

Mimo to nie sądziłem, by groziło mi bezpośrednie niebezpieczeństwo. Nawet namiestnik nie może się spodziewać, że rozkaz zamordowania oficera legionów pod jego dachem ujdzie mu na sucho. Równocześnie nie lekceważyłem faktu, że stąпам po bardzo niebezpiecznym gruncie, na którym znalazłem się z własnej woli.

Mogłem po prostu odejść od ciał dwu mężczyzn, których zabiłem w wąskiej alejce przy Wielkiej Ulicy. Nikt nie widział mojej rozpaczliwej krwawej walki z Capitem i jego kompanem. Wśród tego chaosu i szaleństwa procesji wyznawców

syryjskiej bogini, wątpię, czy ktokolwiek w ogóle zauważył moją porwaną, zakrwawioną tunikę i płaszcz.

Co więcej, gdybym nic nie powiedział, mało prawdopodobne, by ktoś skojarzył mnie z trupami – oczywiście, oprócz Pizona. O zachodzie słońca praworządni obywatele kryli się po domach. Kiedy zapadał zmrok, ulice i kręte zaułki wypełniali przestępcy oraz nędzarze. Oddziały legionistów stacjonowały w mieście, by utrzymać porządek, ale nigdy nie było wystarczającej liczby ludzi na ich patrolowanie. Zanim by znaleziono ciała, antiochijscy żebracy i złodzieje obdarliby je ze wszystkiego, co pozwoliłoby na ich identyfikację jako rzymskich żołnierzy. Nawet gdyby ktoś spośród władz rozpoznał Capita, jego śmierć zostałaby uznana za zwykłe zabójstwo, prawdopodobnie w wyniku bandyckiego napadu.

Nikt nigdy by się nie dowiedział, że ja to zrobiłem.

Nie mogłem jednak tego uczynić. Nie mogłem czmychnąć, jakbym był nikim więcej, tylko zwykłym przestępcą wstydzającym się własnych czynów. Przecież jestem rzymskim ekwitem i oficerem legionów. A poza tym, co dla mnie ważniejsze, dziedzicem surowego poczucia obowiązku, wpojonego mi przez dziadka.

Zgłosiłem więc próbę zamachu na moje życie pierwszemu posterunkowi legionistów, na jaki się natknąłem.

Młody optio, który poszedł ze mną do alejki, przełknął ślinę na widok krwawego bałaganu, który mój miecz zrobił z szyi Capita, a potem powiedział słabym głosem:

– Na Jowisza! Ten koleś był pierwszym setnikiem Szóstego Legionu? To zdecydowanie przerasta moje kompetencje, trybunie. Będę musiał przyprowadzić kogoś z odpowiednią rangą, by zbadał to... to... – urwał, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa na opisanie tego, co zobaczył.

Skinąłem ze znużeniem, a potem ześlizgnąłem się po murze, o który się opierałem, pokonany wreszcie przez zadane mi rany.

Nadal byłem zbyt oszołomiony, by utrzymać się na nogach, kiedy przybył

centurion dowodzący tym okręgiem. Starszy, bardziej doświadczony i cyniczny niż jego podwładny, trącił ciała sandałem, podniósł i obejrzał starannie monety z sakiewki Capita, a potem przykucnął, żeby zapytać o moją wersję zdarzeń.

Opowiedziałem mu wszystko – nie ujawniając tylko mojego przekonania, że w sprawę zamieszany jest namiestnik. Nie miałem żadnego niezbitego dowodu na poparcie swoich podejrzeń, a nie wiedziałem, jakie stronnictwo (jeżeli w ogóle jakieś) popiera centurion.

Po tym, jak skończyłem mówić, centurion potarł szczękę w milczeniu. Potem znowu przyjrzał się ciałom. W końcu westchnął:

– Dobrze, trybunie. Cóż, z czymś takim jeszcze się nie spotkałem, ale nie widzę powodu, by cię tu dłużej trzymać. Zostaniesz w mieście, dopóki tego nie załatwimy?

Skinąłem głową.

– Dobrze – powiedział. – Słuchaj, muszę napisać raport. Kiedy jakiś nadęty skryba od namiestnika raczy go przeczytać, jestem przekonany, że ktoś będzie chciał ci zadać więcej pytań. – Centurion wzruszył ramionami. – Ale tylko bogowie wiedzą, kiedy to może nastąpić. Może jutro. Może dopiero za dwa tygodnie. Wszystko się teraz pokręciło.

Ponownie pokiwałem głową. Spór pomiędzy Germanikiem a Pizonem miał zamęt na każdym szczeblu administracji lokalnej.

W rzeczywistości jednak centurion całkowicie się mylił co do tego, że jego raport będzie przechodził przez szczeble biurokracji. Ktoś – albo sam Pizon, albo jeden z jego bliskich współpracowników – musiał czekać na wiadomość, że wojskowy trybun Lucjusz Aureliusz Walens został znaleziony martwy w labiryncie uliczek Antiochii. Ktokolwiek to był, musiał się, niestety, rozczarować, dowiedziawszy się, że ja nadal żyję. Uśmiechnąłem się na samą myśl o tym, ale uśmiech wkrótce znikł mi z twarzy. Rozczarowani czy nie, zareagowali szybko na tę niewygodną wiadomość.

Zanim zdążyłem dojść do domu, który wynajmowałem niedaleko Bramy Dafne, legionieści służący namiestnikowi już czekali przed drzwiami. Pozwolono mi tylko spakować drugą tunikę i płaszcz oraz z grubsza powiedzieć Arystydesowi, co się stało. Właściwie nie byłem aresztowany, ale z pewnością nie mogłem udać się tam, gdzie chciałem. Oficjalna wersja była taka, że zostałem „zapobiegawczo zatrzymany na czas dalszego śledztwa”. Mój osobisty lekarz, Arystydes, miał prawo się ze mną widywać, miałem jednak nieodparte wrażenie, że inni goście zostaną odprawieni.

Westchnąłem i oparłem się o ścianę, starając się zignorować pulsujący ból od ran i sińców. Sytuacja stawała się coraz niewygodniejsza, a ja czułem się z każdym dniem mniej pewnie.

Arystydes wstał i podkraść się do drzwi. Wystawił głowę na korytarz i rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nie ma nikogo na korytarzu. Następnie usiadł koło mnie.

– Pani Agrypina przesyła ci wiadomość – wymamrotał. – Dotarła zaraz, jak tylko cię zabrali.

Wyprostowałem się.

– Mów.

– Właśnie otrzymała wieści od Germanika. Jest w drodze do Antiochii. Ormiańskie plemiona przystały na jego propozycje. Nie będzie wojny na tej granicy, przynajmniej nie w tym roku.

To była dobra wiadomość. Kiedy Germanik wróci, władza Pizona znacznie osłabnie. Lecz Armenia jest daleko stąd i powrót zajmie mu tygodnie. Powiedziałem o tym Arystydesowi.

Lekarz pokręcił głową.

– Będzie tu dużo szybciej, Lucjuszu. Ta wiadomość została wysłana cztery dni temu, z Samosaty.

Przymknąłem oczy, starając się przypomnieć sobie mapy, które studiowałem. Wkrótce skojarzyłem. Samosata to miasto na północny wschód od Antochii.

Znajduje się na zachodnim brzegu Eufratu i było stolicą Kommageny, jednego z kilku małych podległych nam królestw, które wykorzystywaliśmy jako ochronę przed Partami.

Zaskoczony gwizdnąłem cicho.

– To nawet mniej niż pół drogi!

Arystydes skinął głową.

– Ale czemu Germanik nie wysłał posłańca, jak tylko opuścił Armenię? – zastanawiałem się głośno.

Lekarz zmarszczył brwi.

– Pani Agrypina jest przekonana, że tak zrobił.

To wydawało się prawdopodobne. Germanik chciałby, aby jego żona i zwolennicy wiedzieli, że wszystko jest w porządku.

A jednak żadna wiadomość nie doszła.

Nie wierzyłem w wypadek.

Prawda, dekady oszczędzania przez kolejnych namiestników spowodowały, że syryjskie drogi były w dość kiepskim stanie, lecz jedną z najważniejszych spraw dla Germanika, kiedy objął dowództwo na wschodzie, była poprawa komunikacji na całej granicy. Obecnie wzdłuż większości głównych traktów prowadzących z Antiochii do partyjskiej granicy znajdowały się punkty kurierskie, zajazdy i posterunki. W każdym była stajnia z gotowymi do drogi końmi dla podróżujących w sprawach imperium.

Nie, bardzo wątpliwe, żeby jakakolwiek ważna wiadomość po prostu znikła. Drogi są często uczęszczane, nie była to też pora burz. Nieprawdopodobne także, żeby kurier padł ofiarą rabusiów lub złodziei. Zwykli bandyci rzadko prześladowali kurierów imperium. Obłowić się nie obłowią, a prawdopodobieństwo wysokiej kary jest zbyt duże.

Zacisnąłem zęby. To Pizon musi być za to odpowiedzialny.

Namiestnik miał wszelkie powody, by ukryć wiadomości o rychłym powrocie Germanika. Im dłużej ludzie będą widzieć w nim jedyne przedstawiciela władzy w Antiochii, tym bezpieczniejszy będzie w dniu, kiedy pojawi się jego przełożony.

Pokręciłem gniewnie głową. Myśl, że Pizon położył swoje brudne łapy na *cursus publicus* – usłudze pocztowej imperium, nie powinna mnie dziwić. Już pokazał, że jest zdolny do wszystkiego, byle by przeszkadzać Germanikowi w egzekwowaniu władzy cywilnej i wojskowej. Ważniejszym pytaniem było, kiedy możemy się spodziewać samego Germanika.

Wiedziałem, że zazwyczaj podróżuje ze skromną eskortą – jeden lub dwu zaufanych współpracowników, sekretarz zajmujący się korespondencją, dwu lub trzech niewolników i tylko kilku starannie wybranych strażników. Mimo to, mała czy nie, każda grupa podróżnych będzie się poruszać dużo wolniej niż pojedynczy jeździec.

Przywołałem jeszcze raz w pamięci wszystko, czego się nauczyłem o drodze do Samosaty, starając się przypomnieć sobie odległości pomiędzy różnymi miejscami. Wydawało mi się, że jeżeli kurier jadący szybko pokonał ten dystans w cztery dni, to Germanikowi i jego towarzyszom z pewnością zajmie to osiem dni.

Rozejrzałem się po małej, ciasnej sali, która stała się moim nieoficjalnym więzieniem. Jeszcze cztery noce w tej norze – pomyślałem ponuro. Jeszcze cztery dni, zanim będę mógł wyłożyć swoją sprawę przeciwko Petroniuszowi Faustusowi i Pizonowi przed człowiekiem, któremu ufam i którego szanuję.

Westchnąłem i znowu oparłem się o ścianę. Dni i godziny będą mijały wolno. Ale miną. A potem będę mógł działać przeciwko tym, którzy stali się moimi wrogami – przeciwko tym, którzy gotowi są nadużywać władzy i swojej pozycji, by kraść, niszczyć i zabijać.

Powinienem sobie zdawać sprawę, że nie jestem jedynym człowiekiem w Antiochii, który potrafi ocenić czas trwania podróży. Rzezimieszki Pizona przyszły

po mnie pod wieczór następnego dnia.

Dwóch tuż za moimi plecami i dwóch idących butnym krokiem z przodu przeprowadziło mnie przez labirynt połączonych sal i korytarzy do wielkiej komnaty gdzieś w pałacu. Ściany i podłoga były z gołego kamienia, bez żadnych ozdób czy dekoracji. Rząd wąskich, wysoko umieszczonych łukowatych okien wzdłuż jednej ze ścian oraz dwie lampki oliwne na stojakach z brązu dawały niewiele światła. Większość pomieszczenia spowita była w ciemnościach. Było zimne i puste – od razu zrobiło na mnie wrażenie przeznaczonego do tajnego korzystania z brutalnej siły.

Wbrew woli zadrzałem.

Gnejusz Pizon siedział za długim stołem na drugim końcu sali, leniwie przeglądając jakiś zwój. Kolejna para strażników stała za nim, uważnie mnie obserwując.

Pomimo rosnącego lęku, stłumiłem nagłą ochotę do śmiechu. Jeżeli namiestnik nadal czuje potrzebę postawienia przeciwko mnie sześciu dobrze uzbrojonych mężczyzn, to musi uważać mnie za bardzo niebezpiecznego człowieka. Miałem tylko nadzieję, że jego ocena okaże się prawdziwa. Prawdę mówiąc, zaczynałem czuć się bardzo głupio i bardzo się niepokoiłem. Postąpiłem honorowo i zgodnie z prawem, donosząc o zamachu Domicjusza Capita na moje życie, ale czyniąc tak, oddałem się prosto we władzę Pizona. Dotrzymanie wierności zasadom dziadka zaczęło się okazać trudniejsze, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażałem.

– Trybun Lucjusz Aureliusz Walens – oznajmił ostrym, gardłowym głosem jeden ze strażników.

Namiestnik podniósł wzrok znad zwoju. Przyglądał mi się spokojnie przez chwilę, a potem się skrzywił.

– Widzę, że twoje niedbalstwo dotyczy także twojego wyglądu, trybunie. – Odepchnął zwój i pogardliwie pociągnął nosem. – Może ty uważasz za stosowne

stawać przede mną brudny i ubrany w szmaty. Ja nie.

Stałem, milcząc.

Dobrze wiedział, że odmówiono mi zgody na odwiedzenie łaźni lub choćby ogolenie się. W Rzymie oskarżeni czasami rozdierali sobie ubrania i posypywali głowy popiołem, próbując zyskać współczucie sędziego lub sądu. Nie miałem takich złudzeń co do Pizona. Nic, co bym zrobił lub powiedział, nie wywarłoby na nim pewnie najmniejszego wrażenia.

Kącik ust namiestnika uniósł się z rozbawieniem.

– Żadnych tłumaczeń, tak? Nie masz nic do powiedzenia? – wzruszył ramionami.

– Może to mądre. W końcu brak szacunku, jaki mi okazujesz, jest najmniejszym z kilku twoich przestępstw.

– Nie popełniłem żadnego przestępstwa – zaprzeczyłem gorąco. Wiedziałem, że on stara się zachwiać moją pewnością siebie, ale szacunek dla samego siebie nie pozwolił mi zostawić tych fałszywych oskarżeń bez odpowiedzi.

– Naprawdę? – uniósł brew. – Gdybyśmy go mogli wywołać z podziemi, duch Domicjusza Capita, niegdyś pierwszego centuriona Szóstego Legionu, pewnie by się zdziwił twoim zapewnieniom o niewinności.

Starałem się mówić spokojnie. Przynajmniej duma wymagała, abym nie dawał Pizonowi satysfakcji z mojego strachu.

– Capito i jego kompan zaatakowali mnie bez ostrzeżenia. Bronilem się. Nic ponadto.

– To ty tak twierdzisz – namiestnik wskazał na zwój, który przeglądał, gdy wprowadzili mnie jego strażnicy. – Czytałem raport centuriona prowadzącego dochodzenie.

Jego twarz, przed chwilą jeszcze rozbawiona, teraz stężała.

– Aleja to widzę zupełnie inaczej. Moim zdaniem, żywiłeś urazę do Capita, ponieważ odrzuciłem twoje absurdalne oskarżenia przeciwko niemu. Ta uraza

zamieniła się w nienawiść, kiedy zdałeś sobie sprawę, ile wstydu na siebie ściągnąłeś.

Poczułem, jak krew napływa mi do twarzy.

Pizon uśmiechnął się lodowato.

– Właśnie dlatego uważam, że go zamordowałeś, trybunie.

Nic nie powiedziałem.

– Co? Tym razem nie zaprzeczysz oburzony? – namiestnik udawał zdziwienie. – Ani nie będziesz udręczony twierdził, że jesteś niewinny?

Ugryzłem się w język i starałem się pomyśleć, zanim się odezwałem.

– Czy to oficjalny proces? – zapytałem przez zaciśnięte zęby. – Czy tylko nic nie znaczący pokaz? Nie widzę oskarżyciela, skryby ani świadków.

– To jest tym, czym zechcę, żeby było, chłopcze – powiedział beznamiętnie Pizon. – Mogę skazać cię za dowolne przestępstwo. I mogę nakazać stracenie ciebie. Powinieneś o tym pamiętać.

– Jako obywatel Rzymu mam prawo odwołać się do samego cesarza – przypomniałem mu. – Żaden wyrok, który wydasz, nie jest ostateczny.

– To z pewnością prawda – namiestnik wydawał się nieporuszony tym, że to Tyberiusz miałby ostateczny głos w mojej sprawie. Zmienił nagle taktykę. – Powiedz mi coś, Lucjuszu Aureliusz Walensie. Czy uważasz się za człowieka honoru?

– Staram się postępować honorowo – powiedziałem wolno, zastanawiając się, dlaczego Pizon zadał to pytanie.

Namiestnik uśmiechnął się szeroko.

– Znakomicie! Więc stoisz przede mną jako wzór szlachetności i cnoty młodego Rzymianina. Jako żywe napomnienie dla wszystkich, którzy gędzą o rosnącej dekadencji i deprawacji naszego wieku.

Stłumiłem gniewną ripostę. Uznałem, że mnie prowokuje, próbuje zniszczyć

spokój, który rozpaczliwie starałem się zachować. Bez wątpienia sprawia mu to przyjemność.

Pizon przestał się uśmiechać. Oczy mu błyszcząły.

– Czy naprawdę uważasz, że cesarz, lub ktokolwiek ważny w Rzymie, jeśli o to chodzi, byłby zdziwiony, dowiedziawszy się, że taki ideał, okryty hańbą po uznaniu go za winnego morderstwa, postanowił odebrać sobie życie?

Nagle zrozumiałem, do czego zmierza. Wystarczy jeden brutalny rozkaz. Dwóch jego sługusów skrępuje mi ręce, a trzeci wbije sztylet głęboko w mój żołądek, aż pod żebra. Na pozór będzie to samobójstwo – koniec, którego oczekuje się od każdego prawdziwego Rzymianina, mającego przed sobą przyszłość, której nie da się znieść. Przez moment poczułem rozpacz – bezwzględną pewność, że jestem na krawędzi śmierci.

Gnejusz Pizon musiał to zauważyć. Zachichotał, wyraźnie zachwycony efektem, jaki na mnie wywarła jego groźba.

Choć owładnęło mną poczucie beznadziei, czułem, jak głęboko zaczyna we mnie narastać olbrzymia furia. Cokolwiek się zdarzy, przysięgłem sobie na pamięć dziadka, że nie dam temu łotrowi satysfakcji z patrzenia, jak błagam o życie. Zachwiałem się lekko, wytrącony z równowagi zalewem sprzecznych emocji, które starałem się opanować.

Pizon skinął na stojących za mną strażników. Postąpili naprzód i stwardniałymi rękoma mocno chwycili mnie za przedramiona.

Strząsnąłem ich gniewnie i stanąłem prosto. Jeżeli on zamierza mnie teraz zabić, przynajmniej wyjdę śmierci na spotkanie, stojąc na własnych nogach.

Ku mojemu zdziwieniu, Pizon machnięciem kazał swoim zbirom odsunąć się ode mnie. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, namiestnik znowu zmienił ton, tym razem na ponury i poważny.

– Naprawdę nie ma potrzeby tak przykrego zakończenia tego przesłuchania,

trybunie. Wcale nie ma takiej potrzeby. – Rozłożył ręce. – Kto wie? Może moje podejrzenia są niesprawiedliwe. Może jednak potrafisz mnie przekonać, że działałeś w samoobronie.

Ten drań się mną bawił.

Przełknąłem ślinę, zwalczając nudności wywołane przez kotłujący się we mnie gniew i strach. Zyskaj kontrolę – Lucjusz, powiedziałem sobie. Pamiętaj o swoich przekonaniach. Przyjmij to, co przyniesie los, i podejź do tego z godnością. Zachowaj spokój.

– Czego chcesz? – zapytałem szorstko.

– Tylko prawdy, trybunie, zapewniam cię – powiedział łagodnie Pizon. – Niczego oprócz prawdy. Twoja całkowita szczerść wielce by mi pomogła. Jest kilka aspektów twojego zeznania, które wymagają wyjaśnienia – podniósł pytająco brew.

– Mów dalej.

– Centurion, który pierwszy badał ten godny ubolewania incydent, jest niezwykle bezpośrednim człowiekiem, jednak w swoim raporcie przeoczył kilka spraw, które mogą okazać się istotne. – Podniósł znowu zwój, rozwinął go i postukał weń tłustym palcem. – Na przykład tu jest napisane, że według ciebie zostałeś zaatakowany przez Capita i innego człowieka, kiedy wracałeś ze spotkania z senatorem Decymuszem Juniuszem Silanusem.

– To prawda.

– To spotkanie było zorganizowane przez panią Agrypinę?

Wychwyciłem w jego głosie jakiś dziwny ton. Czyżby tłumiony lęk?

Skinąłem głową.

– Pani ta napisała list, w którym mnie przedstawiła.

– Rozumiem – Pizon rozmyślał nad tym przez kilka chwil.

Nic nie mówiłem.

– A jaki był temat tego spotkania? – zapytał w końcu; tym razem nie potrafił ukryć ciekawości.

Proszę, proszę – pomyślałem. Teraz przechodzimy do celu. Więc to stąd te groźby i fałszywa nadzieja: żeby wyciągnąć informacje o Silanusie i celu jego pobytu w Antiochii. Co oznacza, że i on nie wie, co senator, równie bliski sojusznik Tyberiusza, tutaj robi. Zarówno on, jak i Agrypina nic nie wiedzą. Może to oznacza, że Pizon teraz trochę się spoci.

Tak naprawdę nie mam nic do stracenia. Plany Pizona co do mnie są oczywiste. Jak już wyciśnie ze mnie wszystko, co będzie mógł, każe swoim strażnikom ze mną skończyć. Gdyby pozwolił mi żyć, nadal bym mu utrudniał życie, kiedy wróci Germanik.

Utkwiłem w nim wzrok i powiedziałem szczerze:

– Zdałem Juniuszowi Silanusowi relację z tego, jak nieuczciwie i szkodliwie administrujesz prowincją, oraz z moich podejrzeń, że bandy pustoszące Syrię działają z twoich rozkazów.

Pizon tracił panowanie nad sobą. Ręce zwinęły mu się w pięści i poczerwieniał z gniewu. Przez jedno uderzenie serca pomyślałem, że rzuci rozkaz natychmiastowego zabicia mnie. Jednak z wolna się opanował. W końcu posłał mi lodowaty uśmiech.

– A jak dobry senator zareagował na te raczej przesadzone twierdzenia?

– Wysłuchał ich uważnie.

Drgnęła mu lewa powieka.

– I nic więcej?

Odwzajemniłem zimny uśmiech. Nie okłamię go, ale niech mnie, jeżeli usłyszy ode mnie, że Silanus z miejsca odrzucił moje skargi. Niech się denerwuje na myśl o tym, że inny powiernik cesarza może węszyć za dowodami jego przestępstw.

– Nie sądzę, by dalsze szczegóły mojej rozmowy z Silanusem miały jakiegokolwiek znaczenie w próbie zamordowania mnie przez Capita, prawda?

– Ty bezczelny szczeniaku! – Pizon piorunował mnie wzrokiem. Podniósł się ociężale. – Każę cię...

Nagły stukot nabijanych ćwiekami sandałów i brzęk zbroi w korytarzu ucięły kolejną groźbę.

Wysoki, przystojny mężczyzna w szkarłatnym płaszczu noszącym ślady podróży, narzuconym na tunikę, wszedł pewnie do sali.

Za nim wkroczył tuzin legionistów w pełnym rynsztunku bojowym, z podniesionymi tarczami, gotowych do walki.

Pizon, zszokowany, zamarł. Jego najemnicy cofnęli się, niespokojnie starając się znaleźć jak najdalej od żołnierzy o surowych spojrzeniach, towarzyszących nowo przybyłemu. Pilnowali się również, by trzymać ręce z daleka od mieczy i noży.

Nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu. Rozpacz, którą tak zwalczałem, zaczęła znikać.

Germanik Juliusz Cezar zatrzymał się koło mnie, błysnął zębami w uśmiechu, a potem zajął się namiestnikiem.

– Witaj, Gnejuszu Kalpurniuszu! Cieszę się, że tak dobrze wyglądasz.

Pizon otworzył usta i zaraz je zamknął, nie wydawszy żadnego dźwięku, co skojarzyło mi się ze świeżo wyłowioną rybą, rozpaczliwie rzucającą się na dnie łodzi. Usiadł ciężko. Potem zebrał się na tyle, by ledwie odpowiedzieć:

– Najszlachetniejszy Germaniku! To niespodzianka... choć jak najmilsza oczywiście. Nie sądziłem, że cię zobaczę w ciągu najbliższych dni.

Germanik uśmiechnął się szeroko.

– Tak myślałem. Ale wiadomość, którą otrzymałem w Samosacie, przekonała mnie, że zbyt długo przebywałem poza Antiochią. Ruszyłem, zostawiając za sobą większość eskorty. Przez cztery dni nie zsiadałem z siodła od świtu do ostatniego błysku światła, zmieniając konie w każdym punkcie. A po tym, jak czują się moje plecy, mogę cię zapewnić, że mam więcej poważania dla pracy gońców imperium!

Pizon nachmurzył się, lecz nic nie powiedział.

Ja milczałem. Miałem ogromną nadzieję, że Germanik podjął interwencję w mojej sprawie, ale wiedziałem też, że ogromnie nie lubi faworyzować ludzi przed wymiarem sprawiedliwości.

Tymczasem przyglądał się wszystkiemu z rękami na biodrach. Choć wyraźnie zmęczony, był również rozbawiony tym, co zobaczył. Legioniści uformowali kwadrat wzdłuż ścian, w którego środku znajdowała się cała reszta. Strażnicy namiestnika zbili się w gromadkę w dalekim kącie sali.

Germanik obrócił się ku Pizonowi.

– W tym pomieszczeniu jest chyba zbyt tłoczno, Gnejuszu Kalpurniuszu. Przy tylu ostrych krawędziach komuś może stać się krzywda. Chyba byłoby bezpieczniej, gdybyś poprosił swoich ludzi, żeby poczekali na zewnątrz.

Namiestnik zacisnął usta, ale nie był przygotowany na dyskusję.

– Może masz rację. Scurra!

– Panie? – jeden ze strażników, wyglądający na bandytę Hiszpan, spojrzał zdenerwowany na dowódcę.

– Zabierz resztę i wyjdźcie!

Pozostali nawet nie czekali na rozkaz Hiszpana. Już śpieszyli do drzwi.

Kiedy wyszli, Germanik przeszedł od razu do rzeczy.

– Moja żona poinformowała mnie, że Aureliusz Walens ma tu jakieś niewielkie kłopoty. Czy to prawda, Pizonie?

– Twoja żona ma olbrzymi talent do niedopowiedzeń – powiedział ponuro namiestnik. – W tej chwili zajmuję się oskarżeniami o zamordowanie przez trybuna zarówno pierwszego centuriona, jak i innego żołnierza z jego legionu.

– Poważne zarzuty, nie ma co – zgodził się Germanik. Zwrócił się do mnie. – A co ty na te zarzuty, Walensie?

Teraz popatrzyłem mu prosto w oczy.

– Są fałszywe, panie. Walczyłem tylko w swojej obronie, przeciwko zbrodniczej napaści. Przysięgam na honor mego nazwiska i na wszystkich bogów oraz duchy tego miejsca.

– Czy ktoś może potwierdzić twoją historię?

– Nie, panie – przyznałem.

Germanik kiwnął głową. Zwrócił się do namiestnika.

– Na pozór trudna sprawa, Pizonie. Nie ma żadnych świadków, a oskarżony jako jedyny pozostał przy życiu. Może powinienem przejąć to śledztwo?

Pizon zacisnął usta i pokręcił głową.

– Sądzę, że byłby to błąd. Jak mówisz, sprawa jest skomplikowana. Najlepiej zostawić ją mnie jako temu, który ma bezpośrednią wiedzę na temat zaistniałych faktów.

Germanik zaśmiał się.

– Och, myślę że sobie poradzę. Agrypina już powiadomiła mnie o ważnych szczegółach.

Pizon nachmurzył się. Odpowiedział ochryple:

– Z całym należnym szacunkiem. Pani, przy jej oczywistych cnotach, jest tylko kobietą, a zatem brak jej prawdziwej znajomości prawa.

Germanik zignorował go. Podeszedł do stołu i wziął zwój leżący przed namiestnikiem. Przeczytał go szybko, a potem popatrzył na Pizona.

– Interesujące. Rozważyłeś raport centuriona na temat ran zadanych Capicie i temu drugiemu, jak sądzę?

– Co z nimi? – zapytał cierpko Pizon.

– Oba ciosy trybuna zostały zadane od przodu, nie od tyłu: jeden w żołądek legionisty, a drugi w szyję Capita – zauważył Germanik.

Namiestnik wzruszył ramionami:

– Nie wydaje mi się to ważne.

– Nie? – Germanik uniósł brwi ze zdumienia. – Zatem przypuszczam, że nie widzisz wagi ran, jakie odniósł Walens?

– Nie – powiedział beznamiętnie Pizon.

– Spójrz – powiedział Germanik i wskazał na bandażę owijającą moje lewe ramię i klatkę piersiową. – Zostały zadane z bliska. Takie, kiedy próbujesz zablokować ostrze, które już jest zbyt blisko, by je odparować.

Namiestnik prychnął.

– Tu nie ma żadnej tajemnicy. Trybun znalazł Capita i jego kolegę w tamtym zaułku. Zaatakował ich mieczem. Bez wątplenia robili, co mogli, żeby się obronić, ale miał przewagę w broni.

Germanik wolno potrząsnął głową, wyraźnie rozbawiony.

– Myślisz, że człowiek z mieczem jest w lepszej sytuacji w takim ciasnym miejscu? Nigdy nie walczyłeś, co, Pizonie?

Namiestnik zarumienił się, ale nic nie odpowiedział.

Powstrzymałem rosnącą nadzieję, ale z trudem. Jak daleko Germanik posunie się w mojej obronie?

– Moim zdaniem, te dowody natury fizycznej potwierdzają historię opowiedzianą przez Aureliusza – skomentował Germanik. – Dwóch mężczyzn, obaj, według raportu centuriona, w strojach nie pozwalających na rozpoznanie ich tożsamości, zaatakowali go zniemacka w tej alejce i próbowali zabić. Bronił się, został ranny... i wygrał.

– A co z motywem? Mogę ci powiedzieć, dlaczego ten młody niezdara chciał śmierci Capita! – powiedział gniewnie Pizon, wskazując na mnie. – Ale jaki jest powód, dla którego Primus Pilus jego własnego legionu miałby go atakować?

Germanik patrzył na niego, pozwalając, by cisza się przeciągała. Następnie zapytał cicho:

– Czy naprawdę chcesz, żebym zaczął się uważniej zajmować pytaniami o

motyw, Gnejuszu Kalpurniuszu Pizonie? Czy zapomniałeś o sakiewce pieniędzy znalezionej przy Domicjuszu Capicie? Czy mam próbować się dowiedzieć, jak taka duża suma pieniędzy znalazła się w jego rękach?

Pizon spojrział na Germanika. Patrzyłem, jak krew z wolna odpływa mu z twarzy. Ramiona mu opadły. W końcu pokręcił ze znużeniem głową.

– To nie będzie potrzebne. Ustępuję twojemu sądowi w tej kwestii.

Germanik skinął usatysfakcjonowany.

– Bardzo dobrze.

Zwrócił się do mnie, a ja się wyprostowałem oczekująco.

– Lucjusz Aureliusz Walensie, oto moje orzeczenie. Jesteś niewinny popełnienia przestępstwa w sprawie śmierci Capita i jego towarzysza. Twoje czyny były w pełni uzasadnione. Jesteś wolny.

Zalało mnie uczucie olbrzymiej ulgi, zmywając cały strach. A już sądziłem, że zostało mi tak niewiele czasu. Niemal owładnięty emocjami, byłem tylko w stanie wydusić z siebie:

– Panie... Chcę ci podziękować...

Germanik poklepał mnie delikatnie po ramieniu.

– Nie ma potrzeby dziękować, Aureliuszu. Po prostu zrobiłem to, co należało. – Zerknął chłodno na Pizona, zanim się do niego odwrócił plecami. – Uważam, że sprawiedliwe działanie to najlepszy sposób na życie. Inni mogą skorzystać z tej lekcji.

Ruszył w stronę drzwi, zapraszając mnie gestem ze sobą.

– Agrypina nalega, żebyś zatrzymał się u nas na kilka dni. Potrzebujesz prawdziwego odpoczynku i możliwości, by twoje rany porządnie się zagoiły. Germanik zniżył głos. – Mamy też mnóstwo spraw do omówienia. Szósty Legion. Ta plaga bandytów. Chcę się również więcej dowiedzieć o tej dziwnej, niezapowiedzianej wizycie jednego z najbliższych koleżków mojego wuja.

Zostawiliśmy Pizona siedzącego samotnie w pustej sali – patrzył za nami wzrokiem pełnym zimnej, nieprzejednanej nienawiści.

Rozdział V

Po raz pierwszy od czterech dni siedziałem spokojnie – na marmurowej ławce w ogrodach domu Germanika, czytając zwój pożyczony od Agrypiny. Ciepłe słońce ogrzewało mi ramiona, pomagając rozluźnić mięśnie napięte od tygodni, a może nawet miesięcy. Cień padł na zwój.

Podniosłem wzrok.

Nieopodal mnie stał przyglądający mi się Germanik. Machnął, żebym się nie ruszał, kiedy zacząłem się podnosić.

– Siedz, Aureliusz, siedz. Żadnych ceregieli w moich ogrodach. Nie ze strony gości, a zwłaszcza dochodzących do siebie po chorobie.

Usiadł koło mnie.

– Zdrowiejący czy nie, wyglądasz dużo lepiej.

– Czuję się lepiej, panie – przytaknałem. – Arystydes zapewnia, że najgorsze już za mną.

– Bogowie to sprawili – powiedział Germanik z powagą. – Gorączka wywołana zranieniem może być straszna.

Ponownie skinąłem głową. Kiedy miał sześć lat, taka gorączka zabiła jego ojca, Druzusa. Moja choroba, choć nie aż tak niebezpieczna, była wystarczająco groźna. Wkrótce po tym, jak dotarłem do bezpiecznej willi Germanika, zaczęły mnie męczyć naprzemiennie dreszcze i poty – w dodatku z tak mocnymi zawrotami głowy, że nie mogłem wstać bez mdłości. Choć przekonany, że to przeżyję, Arystydes kazał mi leżeć w łóżku i izolował mnie od wszystkich oprócz służby. Przez pełne trzy dni byłem tylko w swoim pokoju – mogłem na krótko wyjść do łaźni, żeby próbować zbić gorączkę.

W końcu jego medykamenty, środki przeczyszczające i zabiegi przyniosły

efekty. Gorączka oraz nudności osłabły, wrócił apetyt i siła.

Tego ranka w końcu czułem się na tyle dobrze, by mój stan zdrowia zadowolili nawet Arystydesa. Po kolejnym surowym ostrzeżeniu, że bym się nie przemęczał, medyk wysłał mnie do ogrodów, że bym odpoczywał i nabierał sił. Przesiedziałem na słońcu już pół dnia.

Germanik zerknął na trzymany przez mnie zwój.

– Co czytasz, Aureliusz? Znowu „Komentarze” Cezara?

Poczerwieniałem.

– Nie, panie.

– Cóż zatem? – zapytał z lekkim rozbawieniem. – Kolejny traktat na temat strategii lub taktyki czy też może coś na temat zabezpieczania działań wojennych?

– Nic tak przydatnego – przyznałem niechętnie. – To sztuka. Po grecku.

– Ach! Tragedia, jak mniemam.

Pokręciłem ze smutkiem głową.

– Komedia.

– Komedia? – Germanik zachichotał. – Jestem wstrząśnięty, Aureliusz. Zawsze uważałem cię za człowieka praktycznego i realistycznie myślącego, nie za kogoś, kto spędza czas, czytając stare żarty o rozwiązłych Atenkach czy chciwych kupcach z Tarentu. Któż jest autorem tego błyskotliwego dzieła. Arystofanes?

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Nikt tak znany, panie. – Wręczyłem mu zwój. – Ty sam.

Germanik roześmiał się głośno.

– Ha! Złapany we własne sidła! – Rozwinął go, w milczeniu przejrzał kilka linijek i spojrzał na mnie z iskierką w oczach. – „Noc w Koryncie”! Dobrze ją pamiętam. Niekoniecznie dla starszych, ale jakże sędziwy August chichotał i parskął, kiedy mu ją czytałem po uczcie pewnej nocy. – Zaśmiał się znowu. – Oczywiście, sporo wypił tego wieczoru, co w odbiorze nie przeszkadzało. – Spojrzał

na mnie. – Być może w tym tkwi prawdziwy sekret udanej komedii. Trzeba dopilnować, by było mnóstwo wina dla słuchaczy!

Uśmiechnąłem się.

– Z pewnością nie zaszkodzi spróbować.

Germanik odłożył zwój.

– Cóż, obawiam się, że nieprędko będę miał szansę sprawdzić tę teorię. – Spoważniał. – Słyszałeś, że Juniusz Silanus złożył mi wizytę, kiedy byłeś chory?

Potaknąłem:

– Arystydes o tym wspominał. Dowiedziałeś się czegoś, panie?

Germanik pokręcił głową.

– Niczego, poza tym, że potrafi mówić bez końca, nie przekazując żadnej informacji. Teraz rozumiem, czemu go tak wysoko cenią w senacie.

– Sądzisz, że cesarz wysłał tu Silanusa jako szpiega? – zapytałem cicho. – Żeby przyjrzał się twojemu postępowaniu?

– To możliwe. Może nawet prawdopodobne. Mój wuj ma niefortunny zwyczaj, żeby nie ufać swoim najbliższym – wzruszył ramionami. – Jakikolwiek cel miał jednak senator, już wyjechał. On i jego świta odpłynęli wczoraj do Judei.

– Judei? – nie mogłem ukryć zaskoczenia.

Ten region, rządzony przez prokuratora podległego namiestnikowi Syrii, był pod naszą bezpośrednią kontrolą od trzynastu lat. Ziemia owa przysparzała nam kłopotów – zamieszkiwali ją uparci, krnąbrni Żydzi, a z tego, co słyszałem, wcale nie była warta kosztów i wysiłku włożonych w jej zarządzanie. Czemu Silanus miałby chcieć tam jechać?

– Dziwny wybór – zgodził się Germanik. Znowu wzruszył ramionami. – Ale nie mam czasu na martwienie się tym, co on może knuć. Szczerze mówiąc, cieszę się, że wyjechał. Sytuacja jest wystarczająco trudna bez kolejnego, depczącego mi po piętach, ulubieńca wuja.

– Tak, panie – zgodziłem się.

– Sytuacja, która stała się nieco trudniejsza przez twoje ostatnie działanie, Lucjusz Aureliusz Walensie – ciągnął spokojnie Germanik.

– Tak, panie – przełknąłem ślinę.

– Chodź ze mną – wstał i ruszył ścieżką wijącą się pomiędzy wypielęgowanymi klombami i wysokimi, rzucającymi cień drzewami. Podążyłem za nim.

Germanik zatrzymał się przy fontannie ozdobionej posągami Kupidyna. Zanurzył na chwilę palce w chłodnej, czystej wodzie, a potem spojrzał na mnie przez ramię.

– Po pierwsze, problem Szóstego Legionu. Zlikwidowałeś gniazdo bandytów dowodzonych przez Capita, ale obaj wiemy, że główne źródło zepsucia zostało na miejscu. – Skrzywił się. – Legat Petroniusz Faustus.

Pokiwałem głową. Tak długo, jak Faustus będzie dowodzić Szóstym, zdoła wykorzystywać jego żołnierzy do napełnienia własnych sakiewek – albo tworząc nową bandę legionistów przebranych za grabieżców, albo wymyślając jakiś kolejny plan wyłudzenia pieniędzy od syryjskich właścicieli ziemskich i kupców.

– Lecz bez Capita jako świadka nie mogę oskarżyć legata o żadne przestępstwo, o które go podejrzewamy – powiedział Germanik. – Senat od ręki odrzuci sprawę, a ja nie będę mógł ich winić.

– Nie, panie – westchnąłem. Bardziej niż kiedykolwiek żałowałem, że nie powstrzymałem się od ostatniego pchnięcia mieczem, tego, które niemal odcięło centurionowi głowę. Gdybym tylko pojmał Capita żywego...

Germanik uśmiechnął się cierpko.

– Nie rób takiej ponurej miny, Aureliuszu. Powiedziałem, że nie mogę aresztować Faustusa, co nie oznacza, że nie mogę się go pozbyć.

Wychlapał więcej wody machnięciem palców.

– Zmieniłem wcześniejsze orzeczenie Pizona. Uznałem za oczywiste, iż to

Capito i jego ludzie byli bandytami, kiedy urządziłeś zasadzkę.

– Dziękuję, panie – poczułem olbrzymią ulgę.

Próba podjęta przez namiestnika, by przedstawić w złym świetle moje wnioski i postępowanie, ciążyła mi od wielu dni, obojętnie, jak bardzo starałem się sobie wytłumaczyć, że zostanie to zignorowane lub unieważnione.

Germanik pokręcił stanowczo głową.

– Nie musisz. Dowody ich winy, które przedstawiłeś, były nieodparte. – Wyszczrzył zęby. – I dałeś mi powód, którego potrzebuję, by pozbawić Petroniusza Faustusa jego stopnia i popędzić kopniakami do Rzymu. W końcu, co możesz powiedzieć o legacie, który pozwala, by jego Primus Pilus robił, co mu się żywnie podoba?

– Że jest albo ślepcem, albo kompletnym idiotą – odpowiedziałem prędko.

Germanik przytaknął:

– Właśnie tak. Faustus może się skarżyć Tyberiuszowi lub senatowi, ile chce, ale nikt nie zakwestionuje mojego prawa do dbania o to, by podlegający mi oficerowie byli kompetentni.

Odwrócił się od fontanny i ruszył dalej ścieżką. Dotrzymywałem mu kroku.

– Kiedy zaczniesz działać przeciwko niemu? – zapytałem.

– Dziś – odparł cicho. – Już napisałem rozkaz odwołania go ze stanowiska.

– A kogo wyznaczysz na jego miejsce?

– Mojego zastępcę, Saturninusa.

Byłem zachwycony. Widziałem w Germanii, jak działa Gnejusz Saturninus. Był to twardy, zaprawiony w bojach żołnierz i dobrze nadawał się do zaprowadzenia porządku wśród krnąbrnych żołnierzy Szóstego Legionu.

Wyprężyłem się.

– Za pozwoleniem, panie. Spakuję swoje rzeczy i przygotuję konia. Arystydes może trochę zrzędzić i narzekać, ale czuję się wystarczająco dobrze, by wyruszyć.

Germanik odwrócił się, by spojrzeć mi w twarz. Położył łagodnie rękę na moim ramieniu.

– Obawiam się, że nie wrócisz do Szóstego Legionu, Aureliusz. Właściwie muszę cię prosić, byś wyjechał z Syrii. Im szybciej, tym lepiej.

Byłem zaszokowany.

– Ale, panie...

Germanik pokręcił wolno głową.

– Nic na to nie poradzimy. Zrobiłeś sobie zbyt wielkiego wroga z Pizona.

– Pizon? – zdumiałem się. – Ale namiestnik jest też twoim wrogiem. Teraz potrzebujesz każdego oficera, na którym możesz polegać...

Przerwał mi gwałtownym gestem.

– Wystarczy! Nie lubię namiestnika. Nie ufam mu. Ale to nie jest wróg publiczny i nie mogę ryzykować otwartego konfliktu. Przynajmniej nie teraz. – Spojrzał na mnie chłodno. – Chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Wiesz, jakie jest ryzyko buntu i najazdu, przed którymi stoi ta prowincja. Partyjczycy niczego by tak nie chcieli, jak przyglądać się temu, jak nasza kontrola nad Syrią rozmywa się w bezsensownych sprzeczkach. Nie zaryzykuję bezpieczeństwa imperium, by zajmować się prywatnym sporem z Pizonem, obojętnie, jak bardzo gardzę jego niekompetencją i zepsuciem.

Spuściłem wzrok, dobrze wiedząc, że ma rację, a jednak przykro mi było to przyznać.

– Gnejusz Kalpurniusz Pizon jest mściwym człowiekiem. Ty, bardziej niż kto inny, powinieneś zdawać sobie z tego sprawę. Już zaplanował jeden zamach na twoje życie. Spróbuje ponownie.

– Zaryzykuję – odparłem rozpaczliwie.

– Cóż, ja nie. Jeżeli mu się uda, Rzym straci dobrego oficera. Jeżeli nie, może pozostawi tyle dowodów przeciwko sobie, że będę musiał działać. Ale nie warto

narażać się na niebezpieczeństwo. – Germanik spojrział mi prosto w oczy. – Zatem proszę cię, żebyś wyjechał, Aureliuszu. Dla twojego własnego dobra i dobra Rzymu.

– Rozumiem, panie – powiedziałem ponuro przez zaciśnięte żęby. – Zatem przypuszczam, że mam twoje pozwolenie, by wrócić do domu, do mojego ojca?

Bogowie tylko wiedzą, co będę tam robić – pomyślałem zrozpaczony. Zniosę gniew i rozczarowanie ojca. Widziałem to wystarczająco często jako dziecko. Pogodzenie się z rzeczywistością mojej własnej porażki będzie o wiele trudniejsze.

Ku mojemu zdziwieniu Germanik się roześmiał.

– Do domu twojego ojca? Do Rzymu? Oczywiście, że nie! – Klepnął mnie po ramieniu. – Aureliuszu, ty dumny głupcze! Ja cię nie każę. Ja cię awansuję!

Nie byłem pewien, czy go dobrze usłyszałem.

– Awansujesz mnie?

Skinął głową.

– Chcę, żebyś objął dowodzenie Trzeciego Galijskiego Regimentu Kawalerii. Stary prefekt zmarł wyniszczony chorobą kilka tygodni temu. Najwyższy rangą dekurion nie jest gotowy do przejęcia dowództwa. Uważam, że ty tak.

Nie mogłem ukryć zdziwienia. Takie stanowisko było szczytem kariery wojskowej dla człowieka o mojej pozycji społecznej. Przejście wyżej, na stanowisko dowódcy legionu, wymagało przyjęcia do klasy senatorskiej. Służyłem jako trybun wojskowy Szóstego Legionu tylko kilka miesięcy. Na dobrą sprawę powinienem spędzić kolejne trzy lub cztery lata w administracji i sztabie, zanim w ogóle pomyślałbym o możliwości dowodzenia oddziałem jazdy.

Germanik błysnął oczami.

– Sugeruję, żebyś przymknął nieco usta, Aureliuszu. Inaczej zaczniesz połykać muchy. – Następnie spoważniał. – Nie proponuję ci spokojnej, ciepłej posady ani szansy na łatwą chwałę. Trzecia Kawaleria stacjonuje w Judei. Większość pracy to utrzymywanie porządku. Wiesz, co to oznacza.

Skinąłem ponuro głową. Oznaczało to długie, nudne patrole wzdłuż granicy, by trzymać na dystans koczowników kradnących owce. Niekończące się przeczesywanie nierównego terenu, mające przeciwdziałać bandytom i zamieszkom. A także niezliczone dni i noce spędzane na eskortowaniu okropnych i mało znaczących urzędników od wsi do wsi i od miasta do miasta tylko po to, by się upewnić, czy miejscowi płacą podatki na czas i nadal są lojalni wobec Rzymu. Innymi słowy, wszystkie nudne, monotonne zajęcia typowe dla armii w każdej prowincji niezagrożonej otwartą wojną.

Uśmiechnąłem się blado do siebie. Służba w Judei.

Wielu młodych mężczyzn, których zaliczałem do swoich przyjaciół w dzieciństwie, byłoby przerażonych tą perspektywą. Nawet ci, którzy byli gotowi zostawić przyjemności Rzymu na rzecz wojskowej i politycznej kariery, próbowaliby załatwić sobie przydział, który dałby im największą sławę przy jak najmniejszej niewygodzie. Wysłanie do Judei zawodziło w obu wypadkach.

Zdałem sobie sprawę, że mój ojciec też byłby przerażony. Awans czy nie, narzekałby, że patrolowanie na końcu świata nie pomoże mi zyskać znajomości w świecie polityki, które – jak liczył – ułatwiłyby naszej rodzinie drogę do znaczniejszej pozycji. I miałby rację.

Nie dbałem jednak o trudności, jakie mnie czekają. Nie przejmowałem się, że będę służyć w jednej z najmniej cenionych prowincji imperium. I nic mnie nie obchodziło, czy ojcu się to spodoba.

Będę dowodzić.

Wyprężyłem się przed Germanikiem.

– Przyjmuję. Kiedy chcesz, żebym tam wyruszył?

Germanik kiwnął głową z aprobatą.

– To rzymski duch, Aureliuszu. Najpierw obowiązek. Potem względy osobiste. – Zwrócił się ku willi. – Jeden z moich sekretarzy zajmie się zorganizowaniem

podróży najbliższym statkiem kierującym się na południe. Szczęśliwym trafem, jeden z oficerów Trzeciej Kawalerii przebywa teraz w Antiochii, by zabrać nowych rekrutów z Galii. On i jego ludzie będą twoją eskortą podczas podróży.

– Tak, panie. – Nagle zdałem sobie sprawę, że długotrwałe zmęczenie, spowodowane gorączką, znikło. Na jego miejsce pojawiło się pragnienie, by wyruszyć, podjąć nowe zobowiązania. – Za twoim pozwoleniem, wybiorę się natychmiast do Antiochii. Chciałbym poznać tego oficera i sprawdzić rekrutów.

Germanik uśmiechnął się, słysząc zapał w moim głosie. Spojrzał, mrużąc powieki, na słońce, a potem pokręcił głową.

– Za kilka godzin będzie ciemno. Jutro nadejdzie szybko. A kiedy pojedziesz do Antiochii, chcę żebyś zabrał ze sobą oddział moich wojsk. – Skrzywił się. – Nie sądzę, by nasz mściwy przyjaciel Pizon uderzył tak szybko. Mimo to nie widzę powodu, by dawać mu łatwą sposobność.

Zacząłem protestować, ale uciszył mnie gestem.

– Ani słowa więcej. Jesteś potrzebny jako dowódca Trzeciej Kawalerii Galijskiej, a nie trup wrzucony do jakiegoś rowu gdzieś pomiędzy Dafne a Antiochią. Poza tym ani Agrypina, ani twój lekarz nigdy by mi nie wybaczyli, gdybym pozwolił, żeby coś ci się stało. – Zaśmiał się szeroko. – Mogę stawić czoło złości lekarza, ale nie chciałbym być w skórze człowieka, który skierował przeciwko sobie gniew mojej żony!

Rozłożyłem żartobliwie ręce na znak poddania się.

– W takim razie, panie, przyjmuję twoją wspaniałomyślną propozycję. I obiecuję działać roztropniej w przyszłości. Masz moje słowo, że będę łagodny i potulny jak baranek.

Germanik prychnął.

– A śwynie będą latać. Słyszałem wiele słów opisujących ciebie, Aureliuszu Walensie. Łagodny, potulny i roztropny nigdy się pośród nich nie znalazły. –

Pokręcił głową. – Cóż, chodźmy zatem. Wypijemy trochę wina, zjemy coś i pozwolimy Agrypinie dostrzec w tobie te niezwykle nowe cechy.

Rekruci Trzeciego Galijskiego Regimentu Kawalerii zostali tymczasowo zakwaterowani tuż za Wschodnią Bramą.

Wczesnym rankiem znalazłem ich dowódcę w tamtejszych stajniach, gdy pomagał służącemu oporządzać swego konia.

– Szukam dekuriona Trzeciej Kawalerii imieniem Aedan, syna Dubisa – powiedziałem niepewnie.

Odwrócił głowę, nadal energicznie pocierając dłońmi grzbiet zwierzęcia.

– To ja. A kim ty jesteś, jeżeli wolno?

– Nazywam się Lucjusz Aureliusz Walens – przyglądałem się przez chwilę, jak ściera pot i brud po energicznej jeździe. – Jestem nowym prefektem regimentu.

To go zatrzymało. Odsunął się od konia.

– Że co?

– Obejmuję dowodzenie regimentem – powtórzyłem wolno. Podałem mu małą tabliczkę woskową. – Tu są moje rozkazy od Germanika Cezara. Ty i rekruci popłyniecie ze mną do Cezarei Nadmorskiej w Judei.

Marszcząc brwi, wytarł ręce w ściereczkę, wziął tabliczkę i zaczął czytać.

Jako dekurion, Aedan dowodził turmą – trzydziestoduosobowym oddziałem, jednym z szesnastu w regimencie. W praktyce lata służby czyniły z niego trzeciego rangą oficera w Trzecim Regimencie. Był wyższy ode mnie, szczupły i umięśniony. Był także starszy, przynajmniej o jakieś dziesięć lat. Jasne, krótko ostrzyżone pod hełm włosy oraz oczy, bardziej zielone niż niebieskie, świadczyły o jego pochodzeniu. Jak wszyscy oficerowie i żołnierze tej jednostki, był Celtem, członkiem jednego z wielu plemion zamieszkujących galijskie prowincje, podbite przez Juliusza Cezara jakieś siedemdziesiąt lat temu.

Dekurion zrobił na mnie dobre wrażenie. Była w nim spokojna pewność i

cierpliwość, jakie widziałem u większości zaprawionych w bojach żołnierzy, których podziwiałem. Byłem skłonny zaufać jego osądowi i radzie.

Mogłem też powiedzieć, że ja nie wzbudziłem w nim takiej pewności. Kto mógłby go za to winić?

Trzecia, jak większość pomocniczych oddziałów kawalerii, została założona i dowodzona przez wysoko urodzonego członka celtyckiego plemienia, wodza, który przyjął rzymskie imię Sekstus Juliusz Gal. Z raportów, które czytałem poprzedniego wieczora, dowiedziałem się, że był znany z umiejętności walki, jak i hojności wobec wiernych mu wojowników. Prowadził regiment ponad dwadzieścia lat, zanim pokonała go choroba. A teraz ja, nieznany młokos, i w dodatku Rzymianin, zajmuję jego miejsce.

Nie miałem złudzeń, że to będzie łatwy przydział. Och, wiedziałem, jak się jeździ konno i nawet studiowałem podstawy dowodzenia kawalerią – standardowa taktyka i szyk, komendy oraz różne wymagania administracyjne. Nie miałem jednak pojęcia o codziennej rzeczywistości dowodzenia formacją setek osób i koni. Dopóki się tego nie nauczę, będę zmuszony polegać przede wszystkim na kompetencjach i dobrej woli moich oficerów i ich podwładnych. Zjednanie ich przychylności będzie zależeć ode mnie.

Aedan skończył czytać rozkazy. Oddał mi tabliczkę.

– Germanik Cezar cię chwali.

Skinąłem głową.

– Owszem.

Gal potarł z namysłem podbródek.

– Mówią, że on nie schlebia ludziom bez powodu.

– To prawda – uśmiechnąłem się. – Więc miejmy nadzieję, że jestem regułą, a nie wyjątkiem.

Uśmiech przemknął przez twarz Aedana.

– Ja też mam taką nadzieję. – Uśmiech zniknął. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. – Prowadziłeś już ludzi do walki?

Znowu kiwnąłem głową, tłumiąc irytację, jaką wzbudziło to pytanie. Dekurion miał wszelkie prawo do interesowania się moją przeszłością. Widział we mnie niedoświadczonego, młodego rzymskiego ekwite, który ma wpływy i chce zyskać chwałę czyimś kosztem.

– Dowodziłem kohortą lekkiej piechoty w kampaniach w Germanii – powiedziałem spokojnie.

– Nieprzyjemna wojna. Tak przynajmniej słyszałem.

– Zgadza się.

Nastąpiła dłuższa chwila, kiedy żaden z nas nic nie mówił.

– Jaka zatem była? – zapytał w końcu.

– Germania? Czy kampania?

– Wojna oczywiście – rzucił Aedan.

Ukryłem uśmiech.

– Wygraliśmy. Germanie przegrali.

Gal zachichotał.

– Na wielkiego boga słońca, widzę, że jesteś urodzonym żołnierzem.

Uniosłem brew.

– Och, czemu?

– Ponieważ jako gawędziarz umarłbyś z głodu – odparł. Wyprężył się. – Cóż, przypuszczam zatem, że zechcesz przyjrzeć się tym nowym chłopakom, których zabieram do regimentu.

– Tak. – Podniosłem rękę. – Ale jeszcze nie teraz.

Dekurion zatrzymał się, wyraźnie zdziwiony.

– Najpierw chcę zobaczyć ich konie – wyjaśniłem.

Szeroki uśmiech pojawił się na twarzy Aedana.

– Naprawdę? – roześmiał się głośno. – Na boginię, zaczynam myśleć, że ty, Lucjusz Aureliusz Walensie, możesz się nieźle spisać jako dowódca kawalerii.

Dekurion i ja spędziliśmy resztę poranka, przyglądając się koniom przydzielonym rekrutom Trzeciej Kawalerii. Nie pozwolono im zabrać swoich koni z Galii. Było to niepraktyczne ze względu na koszt i trudności, jakich wymagałby transport. W zamian za to urzędnicy prowincji byli odpowiedzialni za wystaranie się o konie dla miejscowych oddziałów. Znając skłonności Pizona do czerpania zysku niezgodnego z prawem, nie byłbym zdziwiony, gdyby jego sługusi próbowali niedoświadczonym kawalerzystom wepchnąć stado bezużytecznych, chorych szkap.

Z ulgą stwierdziłem, że moje obawy były bezpodstawne. Każdy wierzchowiec wydawał się w doskonałym stanie. Powiedziałem to Aedanowi.

– Nadadzą się. I to całkiem nieźle – zgodził się. – Spójrz na tego pięknego, wysokiego chłopaka. – Czule poklepał po karku wielkiego szarego ogiera. – Nesajońska krew, może z odrobiną ormiańskiej lub kapadockiej. Szybki. Ognisty. I zapewne dzielny jak lew.

Skinąłem głową z aprobatą. Postawiłbym na moją klacz Tancerkę przeciwko tej wielkiej bestii, lecz nikt nie mógł się nie zgodzić, że to wspaniałe zwierzę. Nesajońskie konie to cuda, najlepsze konie naszych czasów. Szybkie, mocnej budowy, bystre i odważne. Stanowiły trzon partyjskiej kawalerii, a my szybko zaczęliśmy je hodować, po jednej czy dwóch porażkach, jakie zadali nam Partowie. Choć my, Rzymianie, często jesteśmy bardzo uparci, naprawdę uczymy się na swoich błędach.

Przyglądałem się stadku koni spokojnie chodzących i zjadających kępy wysokiej trawy. – Są dobrego chowu. Ale co z ich ułożeniem?

– Trzeba nad nimi jeszcze popracować – przyznał Aedan. – Nadają się do codziennej jazdy, lecz nie chciałbym ich jeszcze zobaczyć podczas bitwy.

Ani ja. Bez intensywnego treningu konie nie potrafią znieść zgiełku walki:

przenikliwego hałasu trąbki, szczęku mieczy o tarcze, krzyków i wrzasków, albo potęgującego się szału nagłej szarży. Niedoświadczone konie zrzuca jeźdźca i poniosą, siejąc zamęt wśród oddziału.

Od kawaleryjskich koni wymaga się więcej, a nie tylko tego, by nie wpadały w panikę podczas bitwy. Muszą reagować szybko i na najlżejszy ruch wodzy, przeprowadzając każdy wymagany manewr spokojnie i zręcznie. Żołnierze i ich rumaki mają działać wspólnie, walcząc jak doskonale zgrany zespół. W bitewnym zamieszaniu kawalerzysta, który zbyt dużo czasu poświęca na kontrolowanie konia, jest równie bezużyteczny jak martwy żołnierz.

Odeszliśmy od wybiegu i ruszyliśmy w kierunku baraków, w których zakwaterowano rekrutów.

Zerknąłem na Aedana.

– Podobają ci się konie. Ale co sądzisz o nowych ludziach?

Wzruszył ramionami.

– Przyzwoita gromada. Nieopierzeni, uparci i zapatrzeni w siebie, oczywiście, ale zrobimy z nich żołnierzy. Pamiętaj jednak, że teraz wziąłbym każdego, który nie spada z konia, bez względu na to, czy jest leniwy, niemrawy, czy głupi.

Przytaknąłem. Przejrzałem poprzedniego wieczora najnowsze raporty z regimentu, te, które dekurion przywiózł ze sobą do Antiochii. Nie licząc dwudziestu rekrutów z Galii, Trzecia Kawaleria liczyła zaledwie trzystu żołnierzy – nieco ponad połowę początkowego stanu. Nie było to rzadkie, zwłaszcza wśród wojsk stacjonujących tak daleko od swojej prowincji. Jeśli nie rekrutowano nowych ludzi spośród miejscowych, nabór nie był w stanie nadążyć za stratami poniesionymi w wyniku chorób, wypadków, wieku i sporadycznych starć z bandytami lub atakującymi koczownikami.

Trzeci Galijski Regiment Kawalerii wysłano na wschód ponad piętnaście lat temu, a w Judei stacjonował niemal dekadę – kurcząc się z wolna, lecz

systematycznie z każdym mijającym rokiem. Nikt nie chciał, aby regiment przestał istnieć, ale też nikt nie zamierzał ryzykować włączenia do armii Żydów i Syryjczyków. Był to problem, dla którego nie było łatwego rozwiązania.

– Czy jest jakaś szansa, że nas wkrótce przeniosą? – zapytał cicho Aedan.

Popatrzyłem na niego.

– Nic, o czym bym wiedział, o ile nie będzie nowej wojny z Partią.

– Zatem będę się modlił o wojnę – dekurion powiedział to lekkim tonem, ale wyczułem w nim nutę powagi.

Zatrzymałem się i zwróciłem ku niemu:

– Służba w Judei jest aż tak zła?

Aedan skrzywił się.

– Nie jest na tyle niebezpiecznie, by było ciekawie, ani na tyle spokojnie, byśmy się nie martwili. Grecy są w porządku, ale Żydzi nas nie lubią, tak to przynajmniej wygląda. Nie mają z nami wiele do czynienia, a i my nie mamy z nimi wiele do roboty. – Skrzywił się. – W niektórych wioskach możesz zapłacić życiem za samo popatrzenie na piękną dziewczynę. – Wzruszył ramionami. – Gallus, prefekt, zajmował nas ćwiczeniami, polowaniami, ucztami i grami. Jeżeli chłopcy nie byli cały czas szczęśliwi, to przynajmniej nie byli też ciągle przygnębieni. Jednak teraz... – zawahał się.

– Jednak teraz Gallus nie żyje, a wam dostał się jakiś rzymski szczeniak, który wygląda, jakby go matka ledwie od piersi odstawiła – dokończyłem za niego.

Aedan potaknął cierpko:

– Tak to mniej więcej wygląda, panie. Bez urazy, oczywiście.

Odwzajemniłem jego blady, kwaśny uśmiech.

– Nie uraziłeś mnie, dekurionie.

– I jest jeszcze problem języka – dodał.

Spojrzałem na niego uważnie.

– Mów dalej.

– Doświadczeni żołnierze znają łacinę na tyle, by zrozumieć rozkazy, oraz grekę, by kupić błyskotki lub pogawędzić z nierządnicami w Cezarei, ale jeżeli będziesz wygłaszać mowy, panie, wszystkie najpiękniejsze wyrażenia świata przelecą im tuż nad głowami.

Zachnąłem się.

– Dowodziłem już Celtami, Aedanie. Może nie znam wszystkich właściwych słów w waszym języku, ale myślę, że potrafię wytłumaczyć, o co mi chodzi, jak i zakląć przy nich, kiedy potrzeba.

Dekurion wyglądał, jakby mu trochę ulżyło.

– Ach, cóż, to dobrze zatem. – Odchrząknął, nadal wyraźnie czując się nieswojo.
– Słuchaj, Aureliuszu Walensie, mam nadzieję, iż nie uważasz, że powiedziałem to wszystko, by podać w wątpliwość twoje prawo bycia dowódcą. Ja tylko...

Przerwałem mu obcesowo:

– Aedanie, synu Dubisa. Nie powiedziałeś niczego, o czym już sam nie pomyślałem. Jesteś wojownikiem i doświadczonym oficerem. Masz prawo, obowiązek nawet, by mówić, co myślisz. – Umilkłem na chwilę i spojrzałem mu prosto w oczy. – Jestem młody. Jestem Rzymianinem, a nie członkiem twojego plemienia. Ale przysięgam ci jako ekwita, jako żołnierz i jako człowiek honoru, że zrobię, co w mojej mocy, dla regimentu i każdego żołnierza. – Podeszedłem krok bliżej. – I zapewniam cię, że kiedy robię, co w mojej mocy, to jestem cholernie skuteczny. W porządku?

Aedan stał milcząco przez moment. Potem pewnie pokiwał głową.

– Tak. To więcej niż w porządku. Ty dowodzisz Trzecim. Nie będę kwestionował twojego prawa do tego.

– Dobrze – odwróciłem się. – A teraz chodźmy do rekrutów. Chcę zobaczyć, ile pracy trzeba, by zrobić z nich chlubę regimentu, a nie jakąś człapiącą gromadę

próżnujących nierobów.

– Tak, panie – Aedan ruszył do baraków. Potem zerknął na mnie przez ramię. Przez chwilę w jego zielonych oczach pojawiła się wesoła iskierka. – Jedno jest pewne. Jest w tobie chętność prawdziwego Celta.

– Zakładam, że to komplement – powiedziałem oschle.

– Och tak, panie – odparł dekurion z poczuciem wyższości. – Bardzo duży komplement.

Plac wojskowy – otwarta przestrzeń wykorzystywana do ćwiczeń i pokazów walki, leżał poza murami miasta, pomiędzy żyznymi polami otaczającymi Antiochię. Ogrodzenie oddzielało go od drogi do Beroi i urwistych wzgórz na wschodzie oraz szerokiego Orontesu na zachodzie.

Siedziałem na grzbiecie mojej hiszpańskiej klaczy, Tancerki, nieopodal otwartej bramy przy południowym krańcu placu. Na wprost miałem rząd drewnianych pali ćwiczebnych, ciągnący się do odległego końca tego terenu.

Wziąłem głęboki haust porannego powietrza i poprawiłem na głowie powlekany brązem żelazny hełm. Szerokie daszki policzkowe ścisnęły mi boki twarzy. Tancerce udzieliła się moja niecierpliwość, więc zarżała głośno. Uspokoilem ją szybkim poklepywaniem.

– Już zaraz, dziewczynko, zaraz.

Sprawdziłem uchwyt wysokiej owalnej tarczy, którą trzymałem w lewej ręce, i upewniłem się, że nadal mam pełną kontrolę nad wodzami. Usatysfakcjonowany, wolno wyciągnąłem długi miecz wiszący u prawego boku.

– Kiedy tylko będziesz gotów, panie – wymamrotał Aedan zza bramy.

Zauważyłem rekrutów zgromadzonych za ogrodzeniem, wyraźnie ciekawych, jak spisze się ich nowy dowódca. Miałem spocone ręce. Niepowodzenie nie tylko mnie w ich oczach upokorzy, ale zniweczy też wszelkie nadzieje na zdobycie ich zaufania.

Wciągnąłem znowu głęboko powietrze, potem je wypuściłem, napominając się, bym był spokojny, bym się skupił i nie martwił tym, co poza moją kontrolą. Moje oczy spoczęły na pierwszym palu, wysokim szpikulcu już porządnie poznaczonym uderzeniami miecza. Puls mi się uspokoił. Teraz.

– Ha! – Puściłem się galopem przez bramę na plac. Grudki ziemi pryskały spod kopyt Tancerki, wylatując wysoko w powietrze za nami.

Pędziliśmy prosto ku linii pali. Tancerka cwałowała płynnie, w pełni pod kontrolą. Obnażyłem zęby, uradowany poczuciem prędkości i siły.

Atak z ukrycia to jeden z najczęściej ćwiczonych i bardziej decydujących manewrów wszystkich kawaleryjskich formacji. Każdy stojący koń, spięty nagle do galopu, może łatwo wpaść w nadmierne podniecenie, rzucając łbem, próbując wyrwać jeźdźcowi wodze albo przechodząc w zmienny, nierówny krok.

Pierwszy pal pojawił się po mojej lewej stronie, więc przechyliłem się nad szyją Tancerki, tnąc mocno mieczem w dół.

Łup.

Poleciały wióry.

Lekki ruch ręką i koń delikatnie zboczył, mijając linię pali tak, aby następny znalazł się po mojej prawej stronie. Odchyliłem się w siodle i ciąłem go mieczem. Poleciały kolejne drzazgi.

Znowu nieznacznie skręciliśmy, ponownie przekraczając linię. Kolejny cios miecza odciął czubek następnego pala, gdy koło niego przegalopowałem. I znowu w lewo. I w prawo. Tancerka pędziła, zataczając łuki pomiędzy palami z gracją w pełni usprawiedliwiającą imię, której jej nadałem.

Potem, niemal zanim zdążyłem pomyśleć, skończyliśmy.

Nawróciłem i ściągnąłem cugle, zwalniając do szybkiego stępa.

Inny jeździec wpadł cwałem przez bramę na plac. Jego wypolerowana zbroja lśniła w słońcu, a płaszcz barwy cesarskiej purpury powiewał za nim. To Germanik

Cezar.

Zatrzymałem przed nim Tancerkę.

– Świetnie, Aureliuszu! – pochwalił mnie głośno. – Wygląda na to, że pasuje ci kawaleryjska służba.

Schowałem miecz do pochwy, zasalutowałem mu, a potem zdjąłem hełm, wdzięczny za łagodny wiatr do rzeki, który owiewał mi przepecone włosy.

– Dziękuję, panie. Rzeczywiście pasuje.

Zbliżył się i zatrzymał wierzchowca tuż obok mnie.

– Ładny teatr – powiedział cicho. – Paru tych młodych celtyckich narwanców może nadal się krzywić na twoje pochodzenie. Ale teraz żaden z nich nie odmówi ci umiejętności jeźdźca i żołnierza.

Skinąłem głową.

– Taką miałem nadzieję, panie – wyszczerzyłem zęby. – Oczywiście, zawsze istniało ryzyko, że wyląduję na ziemi, zanim dotrę do pierwszego pala.

– Mało prawdopodobne, moim zdaniem – Germanik pokręcił głową. – Zapominasz, że ja już cię widziałem na koniu. – Nagle zmienił temat – Muszę cię prosić o przysługę, Aureliuszu.

– Czego tylko chcesz, panie – odpowiedziałem bezbarwnym głosem.

– Chciałbym, żebyś zabrał kogoś ze sobą do Judei. Dwunastoletni syn dość znaczącego rzymskiego obywatela z Tarsu. Właśnie otrzymałem list od tamtejszej rady miasta z prośbą o zorganizowanie mu bezpiecznego przejazdu na zachód. Chłopiec jest już w Antiochii.

Byłem zaskoczony. Tars jest dużo ponad trzysta kilometrów od Antiochii.

– Chłopiec, i podróżuje sam? Bez rodziny?

Germanik przytaknął.

– Wysyłają go do Jerozolimy. Na jakąś kapłańską naukę, według tego listu.

– Chłopiec jest Żydem? – byłem jeszcze bardziej zdziwiony. – A jednak

obywatelem?

- Trochę to dziwne, przyznaję. – Germanik zacisnął usta z łagodną dezaprobatą.
- Jego rodzina handluje skórami. Od dawna dostarczają spore ilości namiotów, siodeł i innych rzeczy wykorzystywanych tu w Syrii przez nasze oddziały. Wygląda na to, że stary Juliusz Cezar przyznał jego pradziadowi obywatelstwo jako nagrodę.
- Spojrzał na mnie bacznie. – Tak czy inaczej, Aureliuszu, byłbym wdzięczny, gdybyś zajął się chłopakiem.

Wzruszyłem ramionami.

- Oczywiście, panie. Jeżeli jest cichy i nie przeszkadza, to sobie poradzę. W końcu, ile kłopotów może sprawić jeden dwunastoletni chłopiec?

Germanik zachichotał.

- Ile kłopotów? Wkrótce się dowiesz.

Zbyt późno przypomniałem sobie, że jeden z jego synów, Druzus, rok temu skończył dwanaście lat. Zrobiłem wszystko, by ukryć nagłe złe przeczucia.

- Gdzie jest teraz ten chłopiec, panie?
- W dzielnicy żydowskiej, w domu kupca imieniem Teodoros.
- A jak się on nazywa?

Germanik obrócił konia, a potem obejrzał się na mnie.

- Paweł.

Rozdział VI

Ustawić się! Ruszać się! Ruszać!

Okrzyki wydającego komendy Aedana przywołały mnie do drzwi pomieszczenia, które wykorzystywałem jako swoją siedzibę. Oparłem się o framugę z założonymi ramionami i przyglądałem się, jak dwudziestu rekrutów nowego regimentu wylewa się z budynków na otwarty, spieczony słońcem plac. Otaczały go bielone baraki, stajnie, składy i ogrodzone pole dla koni.

Przyjrzałem się żołnierzom, gdy przebiegali obok mnie i ustawiali się w dwa rzędy przodem do siebie. Pomimo słońca nad głową, każdy miał na sobie hełm, sięgającą pasa kolczugę ze wzmocnionymi ramionami, pod nią tunikę z rękawami, spodnie do kolan i nabijane ćwiekami skórzane sandały. Ich twarze, nadal nieprzyzwyczajone do gorącego syryjskiego klimatu, były jednakowo spalone. Kropelki potu lśniły w długich, bujnych wąsach, stanowiących dumę każdego młodego celtyckiego wojownika. Zastanawiałem się leniwie, ile czasu potrwa, zanim duma ustąpi przed zdrowym rozsądkiem, i je zgołą.

– Na moją komendę! – krzyknął Aedan. Przebiegł szybko wzrokiem po polu ćwiczebnym, upewniając się, że wszyscy są gotowi. Potem wrzasnął: – Walczyć!

Z gardłowym rykiem dziesięć par młodych mężczyzn rzuciło się na siebie, na zmianę atakując i odpierając ciosy, tnąc i wykonując pchnięcia ciężkimi drewnianymi mieczami ćwiczebnymi, uchylając się i odpierając uderzenia tarczami. Kurz wzbił się wysoko, rozchodząc się wolno na wietrze.

Przyglądałem się uważnie tym pojedynkom na tarcze i miecze. Podobało mi się to, co widziałem. Rekruci nadrabiali entuzjazmem braki w umiejętnościach, a Aedan poruszał się zwinnie pomiędzy nimi, tu i ówdzie zatrzymując któregoś i pokazując mu błędy w ataku czy obronie lub, rzadziej, chwaląc dobrze wykonany manewr.

– Zatem ten Gal zna się na rzeczy? – zapytał Arystydes.

Odwróciłem głowę. Lekarz siedział na ławce nieopodal. Chociaż kolumnada dawała cień, on wachlował się wysłużonym kapeluszem o szerokim rondzie. Ukryłem uśmiech na ten widok. Mimo lat, które spędził w Rzymie, nigdy nie byłem w stanie przekonać go, by pozbył się tego okropnie prowincjonalnego nakrycia głowy. „Jest wygodny, chroni mi twarz przed deszczem, słońcem i muchami – argumentował. – Jeżeli tyle przemawia na jego korzyść, to czemu mam dbać o modę?”.

– Dekurion wie, co robi – zgodziłem się.

– To dobrze – powiedział kwaśno Arystydes. – Cieszę się, że przynajmniej o jednym człowieku tutaj można to powiedzieć.

– Och? – zdziwiłem się z powodu jego wyraźnie złego humoru. – A co to niby ma znaczyć?

Greki wzruszył ramionami.

– Nie mogę pozbyć się uczucia, że Germanik Cezar popełnia błąd.

– Zabierając mnie z Syrii? Myślałem, że uważałeś, iż powinniśmy szybko opuścić tę prowincję.

– Nadal tak uważam. Im szybciej będziesz poza zasięgiem płatnych zabójców Pizona, tym lepiej.

– Zatem musisz sądzić, że Germanik popełnił błąd, awansując mnie.

Że nie jestem gotów na bycie dowódcą. – Próbowałem ukryć gniew i niepokój, który nagle mnie ogarnął. Lekarz nigdy nie wahał się wytykać mi błędów, ale zawsze miałem go za swojego najbliższego przyjaciela i stronnika. Myśl, że może nie wierzyć, iż nadaję się na to stanowisko, zraniła mnie głębiej, niż bym się tego spodziewał.

Arystydes pokręcił przecząco głową.

– Nie o to mi chodzi, Lucjuszu. Nie kwestionuję twoich umiejętności

wojskowych. Powinieneś o tym wiedzieć.

– Cóż zatem?

– Boję się tylko, że ten awans to zbyt wiele, zbyt szybko – odpowiedział cicho. – Zwłaszcza teraz. Pizon i Faustus już cię nienawidzą. Odbiorą decyzję Germanika jako umyślną zniewagę, jako sól wtartą w ich już zranioną dumę.

Wzruszyłem ramionami.

– Niech tak uważają.

Arystydes skrzywił się.

– Nie traktuj tego tak bez troski! Tych dwóch może nie być w stanie ruszyć Germanika, ale z pewnością mogą szukać zemsty na tobie. Obaj mają wpływ na Tyberiusza. I obaj mają sojuszników w senacie. A ilu ty masz tam przyjaciół? Kiedy Germanik jest tu, na wschodzie, kto cię obroni w Rzymie?

– Polityka, doktorze? – zmusiłem się do sarkastycznego śmiechu. – Coraz bardziej mówisz jak mój ojciec.

– O twoim ojcu można powiedzieć wiele rzeczy, Lucjuszu, ale nie to, że jest głupcem – odparł chłodno. – I ja nim nie jestem.

To napomnienie było celne. Poczulem, jak rumieniec oblewa mi twarz. Jednak po tych latach przyjaźni i oddanej służby Arystydes zasługiwał ode mnie na coś więcej niż na drwiny spowodowane złym humorem.

– Co ty chcesz, żeby zrobił? – zapytałem cicho. – Nie mogę pobiec do Germanika i błagać go, by zwolnił mnie ze stanowiska, które mi właśnie powierzył. Nie teraz. Mam zrezygnować z wojska i umknąć, zhańbiony, do domu? Naprawdę sądzisz, że to mnie ochroni przed złymi zamiarami Gnejusza Pizona albo Petroniusza Faustusa?

Arystydes przez chwilę siedział w milczeniu, ściskając obiema rękami swój nędzny stary kapelusz. W końcu westchnął ciężko.

– Nie, Lucjuszu, nie sądzę tak. Żałuję tylko, że nie mam dla ciebie rozwiązania. Tymczasem widzę jedynie same niebezpieczeństwa wokół ciebie i żadnego

pewnego sposobu na ich ominięcie.

Smutek i zmartwienie w jego głosie wstrząsnęły mną do głębi.

– W przyszłości będę ostrożniejszy, Arystydesie – przyrzekłem. – Ale co się stało, to się nie odstanie, przynajmniej jeżeli chodzi o Pizona i Faustusa. Nie mogę iść przez życie sparaliżowany strachem przed wydarzeniami, na które nie mam wpływu. Parki zrobią ze mną to, co postanowią.

– Nie chcę, żebyś był zalękniony, chłopcze – stwierdził cierpko lekarz. – Tylko trochę mniej uparty, kiedy zadajesz się z tymi, co są nad tobą.

To już było bardziej w jego stylu. Napięcie częściowo zelżało.

Zauważyłem idącego w naszym kierunku żołnierza. Kiedy się zbliżył, rozpoznałem w nim ordynansa z kwatery Germanika. Odwzajemniłem jego salut.

– Tak?

– Rozkazy od Germanika, panie – powiedział energicznie, podając mi zapieczętowaną tabliczkę.

Złamałem pieczęć i na użytek Arystydesa przeczytałem wiadomość na głos.

Germanik Juliusz Cezar śle najgorętsze pozdrowienia Lucjuszowi Aureliuszowi Walensowi, prefektowi Trzeciego Galijskiego Regimentu Kawalerii.

Jutro o świcie udasz się ze swoimi oddziałami do portu Seleucja Pieria. Tam dwa wynajęte statki, „Duma Tyru” i „Gwiazda Sydonu”, przewiozą twoich żołnierzy, służących, zwierzęta i wszystkie niezbędne zapasy do Cezarei Nadmorskiej w Judei. Będziesz naradzać się z dwoma kapitanami, jednak płynąć będziesz według swego uznania. Pomyślnych wiatrów i bezpiecznej podróży!

Spojrzałem na lekarza.

– Cóż, to powinno ci się podobać.

Przytaknął.

Wysłałem posłańca z powrotem do Germanika z pospiesznie nagryzmołonym potwierdzeniem przyjęcia jego rozkazu. Potem zwróciłem uwagę na najważniejsze

sprawy: przygotowanie rekrutów Aedana do dalszej podróży. Sprawdzenie, czy wojska, ich wyposażenie i konie są przygotowane do dnia forsownego marszu i potem morskiej podróży, będzie wymagać sporo pracy i skrupulatności.

Najpierw postanowiłem zostawić jeden mały, acz irytujący szczegół Arystydesowi. Napisałem kolejną szybką notkę i mu ją wręczyłem.

– Co to? – zdziwił się.

– List do kupca Teodorosa, mówiący, by przysłał tu z tobą tego chłopaka, Pawła.

– Pokręciłem głową ze wstrętem. – Jeżeli mam się bawić w niańkę w czasie tej podróży, chcę, żeby jak najszybciej znalazł się pod moimi skrzydłami, właściwie to jeszcze dzisiaj. Kiedy słońce wstanie, będziemy jechać do Seleucji, a nie siedzieć na tyłkach i czekać, aż pojawi się jakiś smarkacz.

Arystydes zaśmiał się. Wstał z ławki i włożył ten okropny stary kapelusz na głowę.

– Nie martw się, Lucjuszu. Przyprowadzę go. A kto wie? Może młody Paweł nie będzie tak kłopotliwy, jak się obawiasz.

– To nie będzie trudne – powiedziałem ponuro.

Później tego samego dnia poznałem Pawła. Muszę przyznać, że nie wywarł na mnie zbyt korzystnego wrażenia. Nawet jak na chłopca w jego wieku, był niezwykle niski, miał dużą głowę, jasnobrązowe oczy, niesforną czarną czuprynę i niezgrabnie się poruszał. Na jego twarzy malowało się wszechwiedzące rozbawienie, dużo za dojrzałe jak na kogoś, kto ma zaledwie dwanaście lat. Wyprowadzało mnie to z równowagi, lecz starałem się być uprzejmy. Niespecjalnie uszczęśliwiało mnie to, że zostałem wykorzystany z braku kogoś lepszego, ale już uznałem, że nie zaszkodzi traktować chłopaka ze zwykłą grzecnością. Choć to tylko kupcy, list, który otrzymał Germanik, wyraźnie stwierdzał, że jego rodzina miała znaczne wpływy w swoim mieście. A poza tym to obywatele – warci, teoretycznie, tyle samo, co każdy inny urodzony w Rzymie.

Gdy lekarz wprowadził go do mnie, odłożyłem rylec, którego używałem przy ponownym sprawdzaniu listy zapasów, i wstałem, żeby się przywitać.

– To jest Gajusz Juliusz Paweł z Tarsu – oznajmił Arystydes. Zachęcił chłopca do podejścia bliżej łagodnym klepnięciem w ramię – Idź. Przedstaw się sam prefektowi.

– Lucjusz Aureliusz Walensie, prefekcie Trzeciego Galijskiego Regimentu Kawalerii – zaczął wygłaszać wyuczoną, ale bezbłędną greką. – W imieniu mojego ojca z wdzięcznością przyjmuję twoją uprzejmą i szlachetną propozycję odwiezienia mnie do Judei. Masz wieczną wdzięczność mojej rodziny i mojego miasta.

Stoczyłem rozpaczliwą walkę, by się nie roześmiać. Ten chłopiec był stanowczo tak poważny jak konsul przemawiający przed senatem albo orator wygłaszający górnolotny pean na cześć poległego bohatera.

– Cieszę się, że mogę być ci pomocny – odpowiedziałem, nadal z trudem zachowując powagę. – Rozumiem, że wysłano cię do Jerozolimy w celu dalszej edukacji?

– Tak – rzekł Paweł z dumą. – Zostałem przyjęty na ucznia wielkiego rabiego Gamaliela.

– Rabbi? – zdziwiłem się.

W Rzymie mieszkało trochę Żydów, głównie byli to rzemieślnicy i handlarze, lecz nigdy nie miałem powodów, by z nimi przestawać, a już z pewnością nie musiałem znać dziwnych tytułów, jakimi się mianowali.

– Słowo rabbi oznacza nauczyciela – pouczył mnie wyniośle Paweł.

– Gamaliel to uczonego znany z dogłębnej i biegłej znajomości Prawa. To człowiek niezwyklej mądrości i wiedzy.

Teraz byłem naprawdę zaskoczony.

– Prawa? Ten Gamaliel to znawca prawa? Z jakiejś przyczyny wydawało mi się, że to rodzaj kapłana waszego Boga.

– Nasze Prawo pochodzi od Najwyższego – zachnął się chłopak. – Każdy, kto je rozumie i interpretuje, jest wielce świątobliwym człowiekiem, czy przeprowadza składanie ofiar w świątyni, czy też nie.

Żydzi więc twierdzą, że ich prawa są dane przez boga. Zaiste osobliwi z nich ludzie – dziwniejsi nawet od Celtów, którzy oddają tyle władzy swoim świętym – druidom. W Rzymie wiemy, że nasze prawa są ustanowione przez ludzi i dla ludzi. Było dla mnie niepojęte, dlaczego rozsądni ludzie mieliby wierzyć, że bogowie zaprzatają sobie głowę opracowywaniem kodeksów cywilnych czy karnych. Jednak nie widziałem sensu w mówieniu tego Pawłowi. Kwestionowanie dziwnych wierzeń religijnych jego narodu nie było moją sprawą.

Zamiast tego powiedziałem tylko:

– Cóż, jestem pewien, że odniesiesz mnóstwo korzyści z wiedzy tego uczonego człowieka. Tymczasem ja i moi żołnierze postaramy się, byś szybko i bezpiecznie dotarł do Jerozolimy.

Skinąłem na Arystydesa.

– Tymczasem, Pawle, lekarz pokaże ci, gdzie będziesz spać. Wyruszamy jutro o świcie, więc proponuję, byś dobrze wypoczął...

– Wybacz, panie – przerwał mi chłopiec. – Mam pewną prośbę.

Zmrużyłem oczy. Nie lubię, jak jakiś młokos mi przeszkadza.

– Tak?

– Nazwałeś mnie Pawłem, i jest to jedno z imion, które otrzymałem – powiedział pośpiesznie. – Ale ponieważ jestem najstarszym synem mego ojca, z ludu Izraela i plemienia Benjamina, wolę używać mego rodowego imienia, Szaweł.

Zgrzytnąłem zębami, powstrzymując złość.

– Szaweł?

– Pierwszy król Izraela nosił imię Saul, czyli Szaweł. Był odważnym i dzielnym wojownikiem – wyjaśnił. Wzruszył niezgrabnie ramionami. – Jestem wystarczająco

mały i niski i nie trzeba mi ciągle o tym przypominać.

Pomimo irytacji, rozumiałem, o co mu chodzi. Nawet było mi go jakoś żal. Jego imię pochodziło od słowa „mały”, coś, co inni chłopcy w jego wieku bez wątpienia wypominali mu od chwili, kiedy nauczyli się trochę łaciny. Dzieci są często jak wilki, okrutne i gotowe napadać na swoich towarzyszy przy pierwszej oznace ich słabości.

Na pewne rzeczy jednak nie mogłem albo nie chciałem pozwolić. To była jedna z nich.

Skrzyżowałem ramiona.

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić. Będziesz używać swojego rzymskiego imienia, dopóki przebywasz pod moją opieką, albo żadnego.

– Ale...

Pokręciłem stanowczo głową.

– Nie, Pawle. Znalazłeś się w moim towarzystwie, ponieważ ty i twoja rodzina jesteście obywatelami Rzymu. Obywatelstwo to przywilej, rzadko udzielany tak daleko od miasta. Samo imię, którego tak bardzo nie lubisz, Gajusz Juliusz Paweł, jest symbolem tego przywileju. – Popatrzyłem mu prosto w oczy. – A kiedy wykorzystujesz wartość swego obywatelstwa, lepiej bądź gotów akceptować jego konsekwencje, zarówno te złe, jak i te dobre. Rozumiesz mnie?

Przez chwilę myślałem, że mi się odgryzie. Zacisnął usta i podniósł dumnie podbródek. Ale tylko przez chwilę. Ramiona mu opadły.

– Zatem? – zapytałem znacząco.

Paweł przełknął ślinę, a potem wydusił z siebie niechętną zgodę.

– Tak, Aureliuszu Walensie. Rozumiem cię. Rozluźniłem się.

– Dobrze. A teraz idź z Arystydesem i się połóż. Świt nadejdzie szybciej, niż byśmy sobie tego życzyli.

Kiedy wyszli, wróciłem do stołu, kręcąc głową z niezadowoleniem. Odniosłem

pojedyncze, niewielkie zwycięstwo nad inteligentnym, aroganckim chłopcem z Tarsu. A jednak jakoś wątpiłem, że to był ostatni raz, kiedy Paweł poddaje próbie moją cierpliwość i dobrą wolę.

Mogłem tylko liczyć na szybką podróż do Cezarei Nadmorskiej. Kiedy tam przybędziemy, znajdę kogoś, kto go ode mnie zabierze, nawet jeżeli będę musiał oddelegować oddział kawalerii, by zawiózł go do Jerozolimy.

Później tego wieczora, kiedy nad ostatnim pucharem wina skarżyłem się Arystydesowi na Pawła, lekarz tylko się uśmiechnął krzywo.

– Z pewnością daleko mu do twojego rzymskiego ideału posłusznego i milczącego dziecka, lecz prawdę mówiąc, Lucjusz, przypomina mi on niemal pod każdym względem ciebie, kiedy byłeś chłopcem. Tak przykro spojrzeć w lustro czasu i zobaczyć własne odbicie?

Wbiłem w niego spojrzenie.

– Byłem taki denerwujący?

– Och, nie – odparł.

– Uf, ulżyło mi.

– Byłeś dużo gorszy – uśmiechnął się złośliwie.

Dotarliśmy do Seleucji Pierii późnym popołudniem następnego dnia. Aedanowi kazałem zająć się zapewnieniem noclegu żołnierzom i zwierzętom, a sam poszedłem na nabrzeże. Chciałem obejrzeć wynajęte dla nas statki i naradzić się z kapitanami.

Okręty wszelkich rozmiarów i typów tłoczyły się w półkolistym porcie. Dokerzy, głównie niewolnicy, uwijali się po trapach, przenosząc ładunek na większe statki handlowe. Wzdłuż całego nabrzeża piętrzyły się dzbany z winem i oliwą, kosze fig i tym podobnych towarów. Były bele wełny z Kapadocji i zwoje jedwabiu z Indii. Egzotyczne zapachy dolatywały z magazynów wypełnionych skrzyniami cennych przypraw: kamfory, cynamonu, drewna sandałowego, balsaminy, imbiru i pieprzu. Wszędzie widać było strażników o surowych rysach twarzy, pilnujących towarów

przed drobnymi złodziejaskami.

Dalej na południe, wzdłuż zakrzywionego brzegu, wyciągano nań dziesiątki małych łódek rybackich, wyladowując dzienny połów. Nad głowami krążyły ptaki morskie, wydając głośnie wrzaski, gdy kłóciły się o kawałek ryby wyrwany klnącemu rybakowi. Na horyzoncie poszarpany szczyt góry Tronos wylał się znad wiszącej nisko warstwy mgły i chmur.

Znalazłem dwa wynajęte statki, „Dumę Tyru” i „Gwiazdę Sydonu”, zacumowane obok siebie na dalekim końcu portu. Były to wielkie, szerokie jednomasztowce z głębokimi ładowniami i obszernym pokładem. Choć nie jestem żeglarzem, oba wyglądały na odpowiednie do przewiezienia moich żołnierzy, koni i zapasów.

Kapitan „Dumy”, Fenicjanin imieniem Hanno, o orlim nosie, wyszedł mi na spotkanie na rufowy trap. Z przypochlebnym uśmiechem zaprosił mnie na statek i zachęcił do zaglądania we wszystkie zakamarki, co też uczyniłem. Najpierw sprawdziłem słomę wyłożoną w boksach dla koni i mułów. Wyglądała na świeżą i wolną od szkodników. Potem sztyletem delikatnie trąciłem deski znajdujące się pod linią wody. Raczej mocne i twarde, niebutwiejące ani nietknięte przez robaki.

Usatysfakcjonowany podążyłem za Fenicjaninem z powrotem wąską drabiną na pokład. Gdy stałem, mrugając w czerwonym popołudniowym słońcu, on pokazał zęby w uśmiechu.

– Widzisz, prefekcie? Wszystko jest w porządku. Wszystko na pokładzie gotowe. Tak jak zapewniałem twoich urzędników, moja załoga i ja obiecujemy ci dobrą, szybką podróż na zachód.

Skinąłem krótko, nieufnie przypatrując się tym jego marynarzom. Ci, których widziałem, to obdarta banda nikczemnie wyglądających typów – pokryci bliznami, wytatuowani i ogorzali od długiej służby na morzu. Naliczyłem przynajmniej dwudziestu mężczyzn, więcej, niż się spodziewałem. Statki handlowe zazwyczaj

miały dużo mniejszą załogę niż jednostki wojenne.

– A co z „Gwiazdą”? – zapytałem. – Czy też jest już gotowa?

Kapitan pokiwał szybko głową.

– O, tak, gwarantuję to. Jej kapitan to jeden z moich młodszych kuzynów. –
Wzruszył ramionami – Ale, oczywiście, możesz ją również obejrzeć.

– Taki mam zamiar.

Choć się bardzo starałem, nie mogłem się zmusić, by polubić tego Hanna czy mu
zaufać.

Wiedziałem, że to nieracjonalne. Fenicjanie słynęli jako żeglarze. Ich statki od
wieków kursowały po morzach. Mówiono, że przepłynęli wszcz i wzdłuż cały
znany świat, kiedy Rzym był jeszcze tylko zbiorowiskiem szałasów i przerażonych
pasterzy.

Czemu więc czułem niepokój? Może dlatego, że jako chłopiec słyzałem tyle
mrozących krew w żyłach opowieści o fenickiej przebiegłości, okrucieństwie i
zdradzie. Ostatecznie to Fenicjanie tchnęli życie w Kartaginę – przez wieki naszego
najbardziej zawziętego, niebezpiecznego i śmiertelnego wroga. Co rusz, Rzym był
bliski zdobycia i unicestwienia przez Kartagińczyków. Jednakże zniszczyliśmy to
miasto zła jeszcze ponad sto pięćdziesiąt lat przed moim urodzeniem. A teraz tacy
jak Hanno i ten drugi kapitan są poddanymi imperium. Ich umiejętności wzmacniają
naszą siłę, a nie strach.

– Założmy, że statek twego kuzyna spotka się z moją aprobatą, kiedy możemy
wy płynąć? – zapytałem szorstko, zapominając na moment o wątpliwościach i
uprzedzeniu.

Fenicjanin potarł z namysłem podbródek.

– Za dwa dni, jak sądzę. Zaokrętowanie zwierząt zajmie trochę czasu, być może
cały dzień, a ja nie lubię wypływać, kiedy zapada zmrok.

Kiwnąłem głową ze zrozumieniem. Potem spojrzałem na morze, przysłaniając

oczy przed zachodzącym słońcem.

– A co z pogodą? Utrzyma się?

Palce kapitana zacisnęły się na zawieszonym na szyi amulecie przedstawiającym boginię Astarte. – Przy błogosławieństwie Pani Fal, wierzę że tak. – Oczy mu się zwężyły. – Ale musisz wprowadzić na pokład swoich żołnierzy i ich wierzchowce jutro. Nadciąga pora burz, a ja nie chcę tracić czasu, który nam został na bezpieczne podróżowanie.

Niezmiernie wyczerpany unosiłem się z wolnym prądem na spokojnej powierzchni morza, kurczowo uczepiony kawałka wraku. Skrzywiłem się, oblizując spuchniętym językiem wargi, spękane i krwawiące od słońca i słonej wody. Dręczące mnie pragnienie powodowało, że paliło mnie w gardle.

Kruk przeleciał nisko nad moją głową, kracząc jak oszalały. Jego wielkie czarne skrzydła niemal musnęły wodę, gdy mnie mijał.

Wolno, z ogromnym bólem, odwróciłem głowę, by za nim popatrzeć.

Momentalnie, w mgnieniu oka, nadciągający sztorm całkiem mnie połknął.

Bijąca z nieba, które zrobiło się czarne jak smoła, ściana wiatru i deszczu z ogłuszającym rykiem sunęła przez morze. Pędzone przez szalejącą burzę fale podnosiły się coraz wyżej, szybko zamieniając się w kłębiące się potwory, które rzucały mnie bezradnego od jednej fali do drugiej. Słony prysznic smagał mi twarz.

Niewyraźnie, przez piekące oczy, zobaczyłem przed sobą ciemny, poszarpany kształt wyspy, wyłaniający się z chłostanej wichurą wody. Wiatr i fale z przerażającą prędkością niosły mnie coraz bliżej, wprost do wąskiej jaskini w środku pionowego klifu.

Wrzasnąłem z przerażenia, kiedy w końcu zobaczyłem, co jest przede mną. Z piany wystawały masywne skały o ostrych krawędziach, gotowe rozedrzeć mnie na strzępy. Gorączkowo odrzuciłem szczątek wraku.

Jaskrawe, oślepiające światło rozbłysło na niebie nade mną. Z tego światła

usłyszałem miękki, ale wyraźny głos wypowiadający słowa: „Strzeż się”.

W tym momencie, ku mojemu zdziwieniu, jaskinia zamieniła się w wąską, okrutną twarz, którą rozpoznałem. Była to twarz fenickiego kapitana statku, „Dumy Tyru”.

Obudziłem się, łapiąc powietrze i ociekając potem.

Rozejrzałem się zszokowany. Nadal byłem na łodzi. Nadal w Seleucji Pierii. Nadal w pokoju, który Aedan wynajął dzień wcześniej.

Do środka wpadł Arystydes, za którym ciągnął Paweł z wybałuszonymi oczyma. Dzielili pomieszczenie obok mojego.

– Lucjuszu, co się stało?! – zapytał natarczywie Arystydes. – Słyszeliśmy twój krzyk.

Usiadłem, serce mi waliło.

– Sen. To był tylko straszny sen – wyjąkałem.

Lekarz zacisnął usta.

– Opowiedz mi wszystko, co widziałeś i słyszałeś w tym śnie! – nakazał.

Nadal byłem oszołomiony tymi żywymi, przerażającymi obrazami, które pojawiały się w moim śpiącym umyśle. Szukałem odpowiednich słów, by opowiedzieć koszmar. Kiedy kończyłem, serce biło mi już prawie normalnie, lecz mięśnie karku i ramion nadal były napięte.

Paweł zareagował sceptycznie na to, co usłyszał, ale Arystydes miał ponurą minę. Siedział i milczał przez parę chwil, najwyraźniej się namyślając.

– Lucjuszu – powiedział w końcu dość niepewnie. – Wiesz, że żaden ze mnie naiwny głupiec, który interpretuje każde przelatujące stado ptaków lub powiew wiatru jako nową wiadomość od bogów.

Mimo mojej dezorientacji umyślne niedopowiedzenie lekarza niemal wywołało uśmiech na mojej twarzy. Jego komentarze dotyczące większości przepowiedni i innych znaków były zazwyczaj dużo bardziej uszczypliwe i gorszące.

– Wiem o tym – potwierdziłem.

– Ten twój sen, ten koszmar, wydaje się taki silny, taki wyraźny... – urwał.

– Mów dalej – ponagliłem go. – Co o tym sądzisz?

– Myślę, że to może być prawda – dokończył cicho.

Paweł zrobił zdziwioną minę.

– Jak to prawda? Jak groteskowe urojenia śpiącego umysłu mogą być prawdą?

– Wierzę, że ten sen mógł być równie dobrze wizją, ostrzeżeniem zesłanym przez jednego z bogów, może samego Apollina – wyjaśnił lekarz. Wziął głęboki oddech. – Jeżeli tak, jego znaczenie jest chyba wystarczająco jasne.

Paweł parsknął.

Uciszyłem go ostrym spojrzeniem.

– Zatem uważasz, że zostałem ostrzeżony, że ten Hanno i jego załoga mogą próbować mnie zamordować, kiedy już znajdziemy się na morzu? – zapytałem Arystydesa.

– Może – odpowiedział lekarz. Wzruszył ramionami. – Masz wystarczająco dużo wrogów, którzy sowicie by ich wynagrodzili za coś takiego.

Pokiwałem głową. Gnejusz Pizon miał długie ramię i głęboką sakiewkę.

– Może to też być coś prostszego – ciągnął Arystydes. – To mógł być znak, że same statki są skazane na zniszczenie przez sztorm lub rozbicie się. Tak czy inaczej, byłoby szaleństwem wyruszać z tym Fenicjaninem i jego ludźmi. Powinniśmy znaleźć inną drogę do Judei.

– To nonsens – wybuchnął Paweł, wyraźnie nie mogąc się już dłużej powstrzymać. – Jak rozsądny człowiek może proponować kierowanie się snem. To idiotyczne!

– Zatem, jak wyjaśnisz to, co widział prefekt? – zapytał spokojnie Arystydes.

– Wyjaśnić? – niedowierzał chłopak. – Dlaczego mam to wyjaśniać? Aureliusz Walens miał zły sen, nic więcej. Jeżeli chcesz znaleźć jego powód, powinieneś

raczej szukać zepsutej figi lub nieświeżej ryby, którą mógł zjeść na kolację.

Lekarz popatrzył na niego z niechętną aprobatą.

– Twój sceptycyzm dobrze o tobie świadczy, Pawle – powiedział łagodnie. –

Lecz czyż twój własny bóg nie przemawia w snach?

Chłopiec wolno, nieomal niechętnie, pokiwał głową.

– Tak. Są takie opisy w naszych świętych pismach.

– Wiedząc o tym, jak możesz z taką łatwością odrzucać tę wizję? – dociekał Arystydes.

– Najwyższy przemawiał do niektórych ze swoich proroków w ich snach – odparł chłodno Paweł. – Lecz Aureliusz Walens nie jest prorokiem. Nie jest nawet Żydem.

Zmusiłem się do słabego uśmiechu.

– Cóż, nie da się ukryć.

Wytarłem brzegiem koca pot z czoła. Ku mojej irytacji ręka nadal mi lekko drżała. Widok tej słabości mnie zmartwił. Zmusiłem się do wstania z łóżka, podszedłem sztywnym krokiem do okna i stałem tam w milczeniu, oddychając głęboko chłodnym, rześkim, nocnym powietrzem – starałem się odzyskać samokontrolę.

Nadal panowały całkowite ciemności, bez najdrobniejszej nawet zapowiedzi światła nad wschodnim horyzontem. Zerknąłem za siebie na Arystydesa i Pawła.

– Cokolwiek to było, boska wizja czy zwykły zły sen, już się skończyło. Proponuję, żebyście obaj odpoczęli, póki trwa noc.

Zgodzili się niechętnie i poszli w stronę drzwi.

– Poczekaj chwilę, Arystydesie. Mam do ciebie pytania.

– Och? – lekarz spojrzał na mnie z zainteresowaniem, a potem skinął na Pawła, by poszedł. – Wracaj do łóżka.

Chłopak wyszedł, nadal kręcąc głową nad absurdalnym poglądem, że mój sen mógł mieć prawdziwe znaczenie.

Przyznaję, że miałem te same wątpliwości. Rozsądek buntował się przeciwko temu, co widziałem i słyszałem we śnie. Logika mówiła mi, że chłopiec z Tarsu ma rację. Nieważne, jak żywy, prawdziwy i zatrwazający, ten sen był z pewnością niczym więcej jak tylko zwykłym koszmarem.

A jednak... te przerażające obrazy nadal mnie dręczyły. Czy naprawdę były ostrzeżeniem zesłanym z wysoka, od samych bogów, w których zainteresowanie, a nawet istnienie tak często wątpiłem?

Jedna straszliwa możliwość nie dawała mi spokoju i dlatego właśnie poprosiłem lekarza, by chwilę został. Obawiałem się, że sen ten oznacza powrót choroby, którą, jak sądziłem, już dawno pokonałem.

Kiedy miałem zaledwie sześć lat, Arystydes został wynajęty przez moją rodzinę, by wyleczyć okropną gorączkę mózgu, która nieomal mnie zabiła. Choć choroba nie zostawiła żadnych fizycznych śladów, jeszcze prawie przez rok nękały mnie powracające ataki. W jednej chwili biegałem, bawiłem się lub czytałem. W następnej leżałem rozciągnięty gdzieś na ziemi lub na podłodze, na ogół nie pamiętając, co się wydarzyło.

Arystydes stwierdził łagodną formę tak zwanej choroby świętych – epilepsji. Diagnoza ta wywołała u mego ojca atak wściekłości i paniki. Choć mówiono, że Juliusz Cezar cierpiał na to samo schorzenie, epilepsja wykluczała karierę wojskową i polityczną. Mój ojciec nie mógł znieść myśli, że nie mógłbym realizować jego ambitnych planów co do naszej rodziny. Z tego powodu lekarz i ja zostaliśmy wygnani na odległą farmę dziadka, aby ukryć moją chorobę, dopóki nie zostanie wyleczona lub sama nie zniknie.

W końcu epilepsja ustąpiła, powoli słabnąc, nieomal niedostrzegalnie, na przestrzeni kilku miesięcy. Ataki zelżały, zarówno jeżeli chodzi o ich częstość, jak i trwanie. Wreszcie ustały zupełnie.

Wróciłem do Rzymu i wznowiłem naukę. Ojciec udawał, że nic się nie

wydarzyło. Ja też. Ale długo się martwiłem, że epilepsja może kiedyś wrócić.

Gdy tylko lekarz zamknął drzwi za Pawłem, powiedziałem Arystydesowi o swoich lękach.

Ku ogromnej uldze on natychmiast pokręcił głową.

– To nie ma z nią nic wspólnego. Absolutnie. Jestem tego pewien. Kiedy byłeś chłopcem, nie pamiętałeś, co się działo podczas ataków; one nie wywoływały tak silnych i wyrazistych wizji. – Lekarz popatrzył na mnie uważnie. – Wiesz, co, moim zdaniem, przedstawia ten sen, Lucjusz. Kiedy Apollo przemawia wyraźnie, mądry człowiek bierze to pod rozwagę.

– Wiem – odpowiedziałem cicho. – Ale Paweł poniekąd też mówi do rzeczy. Powinienem odrzucić całą logikę i wiedzę? Powinienem pójść za tym, co może być tylko absurdem, urojeniem powstałym z powodu mojej niechęci do tego fenickiego kapitana?

– Trudny wybór – przyznał Arystydes. – Co zrobisz?

– Zrobię? – powtórzyłem. Wzruszyłem ramionami. – Jeszcze nie wiem, doktorze.

Wróciłem do okna i wyjrzałem, szukając znajomych gwiazd na czystym, bezchmurnym, czarnym niebie. Kiedy byłem dzieckiem, mój dziadek nauczył mnie ich nazw i pokazał jak, podczas nocnych podróży używać kształtów, w które się układają, jako znaków nawigacyjnych. Czy są tam teraz znaki, które pomogą mi dojść do właściwej ścieżki?

Pozwoliłem myślom błądzić. Czyj głos przemówił do mnie we śnie? Czy był to tylko szept rozstrojonych zmysłów? Czy było to boskie proroctwo? Czy też może ostrzeżenie od kogoś znacznie mi bliższego duchem?

Moja decyzja zaczęła się kształtować.

Obejrzałem się przez ramię na zatroskaną twarz Arystydesa.

– Bądź tak dobry, idź i obudź Aedana. Dekurion i ja mamy trochę rzeczy do

zrobienia, zanim wzejdzie słońce.

Rozdział VII

Dojechałem do szczytu długiego wzniesienia i zatrzymałem konia. Droga biegła przez żyzną równinę aż po horyzont. Rozproszone wioseczki otoczone były winnicami, sadami i polami ogrodzonymi murem. Wieśniacy wylegli zbierać winogrona, figi, oliwki i daktyle. Wkrótce nadejdą jesienne deszcze, zmiękczą ziemię na polach pszenicznych i jęczmiennych i będzie można je zaorać. Stada owiec i kóz snuły się po pastwiskach, skubiąc resztki letniej trawy.

Antiochia leżała teraz za nami, daleko na północ. Moi ludzie i ja byliśmy w drodze od sześciu dni, zazwyczaj jadąc od wschodu słońca niemal aż do jego zachodu. Kilka nocy spędziliśmy stosunkowo wygodnie, zatrzymując się w przydrożnych zajazdach. W inne spaliśmy na dworze, w namiotach postawionych koło ognisk.

Wyciągnąłem z sakwy podróżnej plan, który wcześniej przygotowałem, i przyjrzałem się moim notatkom. Powinniśmy zbliżyć się do miasta Emesa. Od naszego celu, Cezarei Nadmorskiej, dzieliło nas jeszcze co najmniej czternaście dni.

Pokręciłem głową, nadal zastanawiając się, czy okazałem głupotę, czy mądrość, pozwalając, by poprowadził mnie sen.

Moja decyzja, by oddalić się od morza i podróżować do Judei lądem, spotkała się z mniejszym urzędowym sprzeciwem, niż przewidywałem. Kilku biurokratów zajmujących się finansami narzekało na koszty związane ze złamaniem umowy z dwoma fenickimi kapitanami. Na szczęście, Germanik zgodził się z Arystydesem, i uznał, że mój sen musiał być ostrzeżeniem zesłanym przez Apollina. Choć chwilowo zachorował na żołądek, wysłał przez Agrypinę wiadomość uchylającą ich obiekcje. Nakazał urzędnikom przyjąć bez zwłoki moje żądanie dodatkowych zapasów oraz dokumentów podróżnych.

Z Antiochii na południe bieżyły dwie drogi. Jedna równoległa do morza stanowiła najkrótszą drogę do Judei, ale nadmorska równina była bardzo wąska, gęsto zaludniona i często przerywana poszarpanymi pasmami skał wystających z pasma górskiego Liban.

Wybrałem drogę w głębi lądu. Okolice były bardziej otwarte i mniej zasiedlone, co dawało więcej możliwości ćwiczenia rekrutów. Zdejmoowało również częściowo brzemień, jakie ta podróż nakładała na finanse prowincji. Trasa ta prowadziła głównie przez różne mało znaczące królestwa zależne oraz miasta-państwa. Były one zobowiązane dostarczać jedzenie i paszę wszystkim oddziałom przechodzącym przez ich terytorium. Wybór nadbrzeżnej drogi oznaczałby rekwirowanie zaopatrzenia od miast znajdujących się pod bezpośrednią kontrolą Rzymu.

Tancerka zastrzygła uszami. Potem zarżała cichutko, dosłyszawszy stukot kopyt o twardą nawierzchnię drogi. Kolumna mnie dogoniła. Obróciłem się w siodle, patrząc na długą linię jeźdźców i zwierząt jucznych, sunących w górę zbocza.

Aedan i jego dwudziestu kawalerzystów jechali pierwsi. Każdy miał miecz i przytroczony do jednego z uchwytów siodła kołczan z trzema oszczepami, jednak żaden nie włożył zbroi ani nie trzymał tarczy. Nie poruszaliśmy się po wrogim terytorium, więc nie widziałem powodu, by zmuszać nasze wierzchowce do dźwigania dodatkowego ciężaru. Bodaj nic tak szybko nie szkodzi koniom, jak dźwiganie w pełni uzbrojonego kawalerzysty zbyt daleko i zbyt długo. Za żołnierzami szli ich służący, prowadząc muły załadowane zapasami i wyposażeniem. Każdy rekrut zabrał ze sobą ubogiego wolnego człowieka ze swojego plemienia – płacił mu za opiekę nad koniem, przygotowywanie jedzenia oraz dbanie o zbroję i broń. To dawało mu więcej czasu na doskonalenie umiejętności bojowych.

Kolumnę zamykali Arystydes i Paweł, którzy jak zwykle zostawali w tyle.

Uśmiechnąłem się na ten widok. Tych dwu jechało blisko siebie, prowadząc

zwyczajową ożywioną rozmowę. Po tym, jak ich palce dźgały powietrze podczas rozmowy, domyśliłem się, że są pochłonięci kolejną burzliwą dyskusją – prawdopodobnie na temat jakiegoś drobnej, nadzwyczaj niejasnej kwestii z greckiej filozofii.

Moje podejście do Pawła złagodniało w ciągu ostatnich kilku dni. Choć wyraźnie nie zgadzał się z decyzją, którą podjąłem pod wpływem snu, nie narzekał ani nie marudził – przynajmniej w mojej obecności. Właściwie to szybko stało się oczywiste, że ten chłopak z Tarsu uważa naszą przedłużoną podróż za wielką przygodę. Na każdym odcinku znajdował coś, co go ekscytowało lub budziło jego zainteresowanie: zarówno zmieniający się krajobraz, jak i różne obyczaje w miastach, miasteczkach i wsiach, przez które przejeżdżaliśmy.

Uznałem, że pod wieloma względami Paweł jest przykładem kontrastów.

Jak na dwunastoletniego chłopca, był wyjątkowo dobrze wykształcony. Odnaczał się również zdumiewająco żywym i lotnym umysłem. Przestałem oczekiwać po nim, że będzie grać rolę typowego posłusznego i cichego dziecka. Pomysły, spostrzeżenia i opinie spływały z jego ust nieprzerwanym strumieniem. A jednak ten bystry, pomysłowy chłopak chyba dobrowolnie ograniczał się do przyprawiającego o zawrót głowy zestawu religijnych ograniczeń, rytuałów, zasad i przykazań.

Niektóre z jego wierzeń i zachowań uważałem za godne podziwu. Paweł nigdy nie minął wędrującego żebraka lub ślepcę, nie dawszy mu monety czy dwóch z własnej sakiewki.

– Najwyższy jest wielce łaskaw dla naszej rodziny – wyjaśniał wtedy. – Moim obowiązkiem jest dzielić się tym błogosławieństwem z ludźmi, którym się gorzej powodzi.

Nigdy nie oczekiwał podziękowań ni pochwał od tych, którym pomagał. To wprawiloby w osłupienie człowieka takiego jak mój ojciec. W Rzymie bogaci

rozdają biednym jedzenie, pieniądze lub rady, ale czynią tak tylko w zamian za usługi lub posłuszeństwo. Ci, którym wyświadczono przysługę, stają się klientami, gotowymi na każde skinienie swoich patronów.

Inne rzeczy, w które wierzył Paweł, wydawały mi się absurdalnie surowe i ograniczone. Na przykład nigdy nie jadł niczego w zajeździe, nie wypytawszy drobiazgowo właściciela o składniki każdego dania. Często bez spróbowania odsuwał od siebie jedzenie, ponieważ wolał być głodny, niż ryzykować rytualną nieczystość.

Kiedy zapytałem Arystydesa, co ten dzieciak robi, ten wzruszył ramionami.

– Żydzi ściśle przestrzegają zasad mówiących o tym, co mogą i czego nie. Niektóre zwierzęta są dla nich czyste, a inne nieczyste. Mają nawet prawa dotyczące przygotowywania jedzenia i zabijania zwierząt przeznaczonych na stół.

Paweł próbował mi wyjaśnić te prawa któregoś wieczora, kiedy obozowaliśmy na poboczu. Blask ognia migotliwie oświetlał jego twarz, gdy z zapalem wykladał mi ich złożoność – przeżuwacze, racice, łuski i płetwy, zwierzęta pełzające, skrzydlate owady i z pół tuzina innych kategorii zwierząt, ryb, owadów i ptaków. Obawiam się, że przysnąłem kilkakrotnie w ciągu jego rozprawy. Z pewnością nie za bardzo zrozumiałem, czemu jego naród nakłada tak wiele skomplikowanych ograniczeń na to, co mogą i czego nie mogą jeść.

Innym razem zapytałem go, dlaczego zawsze określa swojego boga jako „Najwyższego”.

– Czy on nie ma swego imienia?

Chłopak pokiwał głową:

– Ma, ale zazwyczaj go nie używamy.

– Dlaczego nie?

– Aby uniknąć nadużycia lub profanacji – wyjaśnił. – Wy, goje, afiszujecie się z imionami tych, których czcicie tak swobodnie, jak handlarz ryb zachwala swoje

towary na rynku. My, Żydzi, traktujemy Najwyższego z większym szacunkiem.

Inne zwyczaje, którym hołdował, robiły na mnie wrażenie, ale równocześnie uważałem je za dziwne i całkowicie obce.

Zanim opuściliśmy Antiochię po raz drugi, przez jeden dzień przygotowaliśmy się do długiej podróży na południe. Cały ten dzień Paweł odmawiał jedzenia i picia. Wczesnie rano zjął sandały i poszedł bosy ulicami miasta do dzielnicy żydowskiej, gdzie modlił się ze swoimi współplemieńcami – tak powiedział Arystydesowi. Widziałem, jak wracał do baraków kawalerii, gdy zachodziło słońce. Miał tak poranione stopy, że strasznie kulał. Kiedy go zapytałem, czemu aż tak się udręcza, wyjaśnił, że to wielkie święto jego ludu, Jom Kippur – Sądny Dzień.

– Sądny? – zdziwiłem się. Choć wyraźnie nadal był zdeterminowany, miał bladą i wymizerowaną twarz. Przemęczenie, głód i pragnienie bardzo go wyczerpały. – Jakie zło popełniłeś, że wymaga się od ciebie takiego poświęcenia?

– Ten dzień daje nam możliwość oczyszczenia się – odpowiedział cicho Paweł. – Zmycia z siebie win i błędów minionego roku, zarówno wielkich, jak i małych. Najwyższy żąda od nas wiele, ale w zamian daje dużo. Są ważne ofiary i ceremonie w świątyni w Jerozolimie, lecz wszyscy Żydzi mają obowiązek uczcić ten dzień najlepiej, jak mogą.

Spojrzałem z zaciekawieniem na jego stopy.

– A czy wszyscy musicie zadać sobie tyle trudu, by spełnić ten obowiązek?

– Wielu z nas, choć nie wszyscy – tłumaczył z dumą. – Moja rodzina i ja jesteśmy pośród tych, którzy najwierniej przestrzegają praw i przykazań. Inni szanują nas za to i zasięgają naszej opinii w rozumieniu i interpretacji prawdziwego znaczenia Prawa.

Po tych słowach dumny chłopiec odszedł, kuśtykając, do swego pokoju. Patrzyłem za nim w milczeniu, nadal rozmyślając nad tym, czego się dowiedziałem.

Coraz bardziej się przekonywałem, że Żydzi są chyba najdziwniejszą rasą w całym imperium. Święta religijne w Rzymie były ważne dla organizujących je kapłanów i świątyni. Bardzo się przykładali, by należycie złożyć ustanowione ofiary, powiedzieć właściwe modlitwy i z dbałością odprawić starożytnie ceremonie. Dla większości obywateli jednak okres owych świąt oznaczał czas wolny, w którym nie musieli pracować i mogli sobie dogadzać. Rzymianin, który potrzebował czegoś od boga lub bogini, opłacał świątynną ofiarę, ale nie mogłem sobie wyobrazić, by ktokolwiek był gotów iść bosy, z krwawiącymi nogami na znak skruchy za złe uczynki.

Pokręciłem ze zdumieniem głową, nadal patrząc, jak Paweł debatuje z Arystydesem, gdy jechali pod górę. Wschód to kocioł obcych kultów i dziwacznych rytuałów, ale nawet oszalałe błazeństwa wyznawców syryjskiej bogini bladły przy niezachwianym, śmiertelnie poważnym przekonaniu Pawła. On i jego ludzie wierzyli w jedyne boga z pasją, którą uznawałem zarówno za chwalebna, jak i głęboko niepokojąca. Zaczynałem rozumieć, dlaczego tak wielu moim rodakom służba w Judei działa na nerwy.

Kłopoty dopadły nas rankiem następnego dnia po dotarciu do Emesy.

Spędziliśmy noc w zajeździe poza murami miasta. Arystydes przyniósł mi złe wieści, kiedy goliłem się w swoim pokoju.

Popatrzyłem na niego, nadal trzymając w dłoni brzytwę z brązu.

– Co powiedział?

– Paweł mówi, że nie będzie dziś podróżować – powtórzył cierpliwie.

– Dlaczego nie, na Hadesa?

– To z powodu żydowskiego święta, które nazywają szabat. Siódmy dzień ma być dniem odpoczynku – wyjaśnił Arystydes. – Chłopiec mówi, że w takim dniu nie wolno mu przejść więcej niż pół kilometra.

– Kolejne przeklęte święto – wymamrotałem.

Rzuciłem brzytwę do miski z wodą przyniesionej mi przez jednego z arabskich niewolników z zajazdu, osuszyłem twarz i zacząłem zakładać na tunikę pas z mieczem.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał Arystydes.

Spiorunowałem go wzrokiem.

– Zamierzam wsadzić tego smarkacza na muła, czy mu się to podoba, czy nie.

– To może nie być takie proste – ostrzegł doktor. – Paweł jest niezwykle upartym młodym człowiekiem.

– Ja również.

Arystydes pokiwał głową.

– Wiem. – Przybrał poważną minę. – Chyba pójde na to popatrzeć, Lucjuszu. To powinno być interesujące, przynajmniej z punktu widzenia filozofii natury.

– W jakim sensie? – zapytałem podejrzliwie.

Lekarz wyszczerzył zęby w uśmiechu:

– Często się zastanawiałem, co się dzieje, kiedy przemożna siła natknie się na nieugięty charakter. Teraz się dowiem.

Prychnąłem i wymaszerowałem na zewnątrz. Arystydes podążał za mną.

Paweł był w stajni, karmił swego muła garściami jęczmienia i siana. Stał tyłem do mnie. Obecny tam również Aedan siodłał swego konia, podczas gdy jego sługa, Komiusz, korpulentny, radosny rudzielec, kończył pakować ich rzeczy.

Wysoki, jasnowłosy dekurion uniósł brwi, gdy zobaczył mnie wpadającego jak burza.

– Zatem przyszedłeś przemówić chłopakowi do rozumu?

– Rozum może mieć z tym niewiele wspólnego – powiedziałem ponuro.

Paweł podskoczył na dźwięk mego głosu. Obejrzał się, gdy podchodziłem. Przez chwilę wyglądał na zmieszanego, może nawet nieco winnego, ale potem zobaczyłem, jak z uporem podnosi tę swoją brodę. Nie zamierzał się poddać, na

pewno nie tak łatwo.

– Przykro mi, Walensie. Ale zrobię tak, jak powiedziałem lekarzowi. – Chłopak pokręcił głową. – Nie będę podróżować w szabat.

Zmusiłem się, by mówić spokojnym tonem.

– Czy naprawdę spodziewasz się po nas, że będziemy siedzieć spokojnie na tyłkach przez cały dzień, czekając, aż ten twój szabat się skończy?

Paweł przygryzł wargę.

– Kolumna może iść. – Wyprostował się. – Dogonię was później.

– Tak? – wskazałem jego muła. – Na tym?

– Stary Amon jest całkiem szybki. Szybszy, niż ci się wydaje – odparł prędko.

Usłyszałem, jak Arystydes tłumi śmiech, i pokręciłem głową.

– Jeżeli wyjedziemy i zostawimy cię samego, w okamgnieniu skończysz z poderżniętym gardłem albo zostaniesz pojmany w niewolę. Jakaś banda albo nieuczciwy właściciel zajazdu dopilnuje tego. – Popatrzyłem na niego chłodno. – A skoro obiecałem Germanikowi Cezarowi, że się tobą zajmę, nie ma takiej możliwości, żebym na to pozwolił.

– Ale... – wyjąkał Paweł.

– Nie masz wyboru. Szabat czy nie, moi żołnierze i ja wyjeżdżamy w ciągu godziny. A ty jedziesz z nami.

– Nie.

Zgrzytnąłem zębami.

– Podróżujesz z oddziałem wojskowym w służbie cesarzowi i Rzymowi. Ja nie proszę, chłopcze. Ja ci rozkazuję!

– A ja nie jestem jednym z twoich żołnierzy – odciął się gniewnie Paweł.

– Nie – powiedziałem ponuro. – Ale jesteś jeszcze dzieckiem i znajdujesz się pod moją opieką i ochroną. To oznacza, że zrobisz, jak mówię, albo poniesiesz konsekwencje. Dobrze wiesz, że mogę cię kazać stłuc i przywiązać do tego głupiego

muła.

Trzeba mu przyznać, że nie drgnął.

– Rób, co chcesz, prefekcie. Ja nie złamię szabatu ani dla ciebie, ani dla nikogo.

Wzięłem głęboki oddech. Niech go! Nie zostawia mi żadnego wyboru. Obróciłem się, by wydać rozkaz, którego wiedziałem, że będę żałować, zanim jeszcze go skończę mówić.

Wtrącił się Aedan.

– Czy mogę z tobą porozmawiać przez chwilę, panie? – zapytał cicho. – Tak między nami?

Skinąłem sztywno, zadowolony, że mi przeszkodził. Razem przeszliśmy w odległy kąt stajni, zostawiając Pawła samego z Arystydesem.

– O co chodzi, dekurionie?

Wysoki Celt błysnął zębami w uśmiechu.

– Ten mały to wielki kłopot, ale przynajmniej jest dzielny i śmiały.

Westchnąłem:

– Z całą pewnością.

– I szkoda chłostać chłopaka za to, że stara się przestrzegać zwyczajów swojego narodu, jakkolwiek są dziwne.

– Jaki mam wybór? – zapytałem bezbarwnym głosem. – Słyszałeś go.

Dekurion potaknął.

– Tak.

– Zatem, co proponujesz?

– Kompromis.

Kompromis? Z tym smarkaczem? Zesztywniałem.

– Mów dalej.

– Konie potrzebują odpoczynku. – Aedan był poważny. – Jeżeli je teraz za bardzo zmęczymy, zdechną albo zachorują w drodze i większość tych naszych

nowych żołnierzy będzie musiała iść piechotą, zanim dotrzemy do Judei.

Pokiwałem głową. To prawda.

– Oddziałowi przydałoby się też trochę więcej ćwiczeń. Och, w miarę dobrze radzą sobie z bronią, ale ciągle zbyt ochoczo łamią szyki i rwą się do chwały.

Ponownie pokiwałem głową. Imperium rekrutowało ludzi do oddziałów pomocniczych z najbardziej wojowniczych plemion. Bez ćwiczeń, w czasie bitwy byli odważni, ale impulsywni i wymykali się spod kontroli. Brakowało im dyscypliny, by walczyć jako zwarta siła, a nie tylko dziki tłum.

– Cóż, zatem. Dlaczego nie wykorzystać tego żydowskiego szabatu do naszych własnych celów? Konie odpoczną, a my w tym czasie wbijemy więcej dyscypliny w parę twardych, młodych czaszek.

Zmarszczyłem brwi. To, co powiedział, miało sens, ale nadal oznaczało uleganie zachciankom chłopaka. Podzieliłem się tą wątpliwością z Aedanem.

– Ach, cóż – na ustach błąkał mu się uśmiech. – Czytałem, co twój rodak, Juliusz Cezar, napisał o bitwach w moim kraju. Wiem na pewno, że pobiliśmy starego drania raz czy dwa, ale nigdy byś się tego nie dowiedział z tej jego książki. Wydaje mi się więc, że to, co uważa się za zwycięstwo lub porażkę, zależy tylko do tego, jak to określisz.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu. Niechętnie potrząsnąłem głową.

– Dobrze, dobrze! Rozumiem, o co ci chodzi. Pozwolę mu wygrać. Tym razem.

Przegrałem bitwę w konflikcie charakterów z chłopcem z Tarsu, ale była to bitwa, której nie musiałem toczyć. Gniew, który czułem, brał się ze mnie, z mojego niepokoju, że uległem przed tym snem, przed własnym irracjonalnym przesądem. Na szczęście, dla mojego poczucia wartości Paweł, bez wątpienia nakłoniony do tego przez Arystydesa, przyszedł do mnie z wymuszonymi, acz szczerymi przeprosinami za swoje niegrzeczne zachowanie.

Wcześniej następnego ranka pojechaliśmy na południe, ku Celesyrii, wielkiej

równinie, która zaprowadzi nas bliżej ku Judei, celowi naszej podróży.

Podróżowaliśmy dzień w dzień, zazwyczaj pokonując jakieś trzydzieści kilometrów lub więcej przed zatrzymaniem się na noc. Dotarliśmy do równiny blisko południa drugiego dnia po opuszczeniu Emesy.

Na zachodzie góry Libanu ocierały się o niebiosa – niekończący się szereg białych wapiennych skał z ośnieżonymi szczytami. Olbrzymie lasy cedrowe i dębowe porastały urwiste wzgórza u stóp masywów. Na wschodzie łańcuch Antylibanu ciągnął się na południe – długie pasmo ponurych szarych zboczy i zniszczonych wierzchołków. Tu i ówdzie pomiędzy tymi spalonymi, spękanymi i jałowymi urwiskami pojawiały się wąskie pasma karłowatych dębów i jałowca – ostatnia bariera przed rozległą, martwą pustynią.

Oślaniana przez te dwa łańcuchy górskie sama dolina była przyjemnym, zamieszkanym regionem, spokojną okolicą dobrze nawodnionych lasów, sadów i żyznych pól. Jechaliśmy dalej drogami, które nie były specjalnie dobrze utrzymane, ale też niezupełnie zaniedbane. Miejscowi powiedzieli nam, że rzadko widują żołnierzy lub grupy podróżnych. Większość wojsk i kupców korzysta z drogi wzdłuż wybrzeża lub wybiera położoną jeszcze bardziej na wschód trasę, wykorzystującą biegnące przez pustynię szlaki karawan.

W przerwach pomiędzy codziennymi podróżami Aedan i ja ćwiczyliśmy naszych rekrutów i ich wierzchowce w rozmaitych manewrach – rozmieszczanie zwiadów, separowanie biorących udział w potyczkach, formowanie ataku na piechotę lub kawalerię.

– Nieźle posługujecie się mieczem i przyzwicie używacie oszczepu – powiedziałem im po jednej z walk.-Ale dopóki nie nauczycie się, jak wytropić ukrytego wroga, nie będziecie kawalerzystami. A dopóki nie nauczycie się poruszać i walczyć jako kawalerzyści, dopóty nie będziecie warci tego miana.

– Pozwól nam zrobić coś więcej niż tylko nieustanne powtarzanie tego samego –

odparował jeden ze śmielszych żołnierzy. – Postaw nas przeciwko komuś więcej niż tylko wyobrażeni przeciwnicy, a pokażemy ci parę rzeczy!

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

– Jesteś tego pewien, Duriksie?

– O, tak – odparł zdecydowanie.

Jego koledzy zamruczeli z aprobatą.

– Bardzo dobrze – położyłem ręce na biodrach i popatrzyłem na nich badawczo.

– Jutro poddamy próbie te wasze dumne gęby. Wezmę sześciu i pojedę naprzód. Znajdziemy dobre miejsce i się zaczaiemy. Pozostałych czternastu będzie nas szukać.

– A kiedy was znajdziemy, co wtedy? – zapytał Duriks.

– Zaatakujecie nas – odrzekłem. Uśmiechnąłem się szerzej. – Ale wy nas nie znajdziecie. Dopadniemy was pierwsi i to tak mocno i szybko, że rozbiegniecie się na wszystkie strony.

– Ha! Posłuchajcie go! – przechwalali się. – Będzie dwóch na jednego, a jednak chępli się jak sam władca piorunów.

Rozsiedli się tej nocy wokół ognisk, chichocząc z zadowolenia, że utną nosa temu dumnemu rzymskiemu oficerowi.

Słuchałem ich przez chwilę, ukrywając uśmiech, a potem położyłem się i zapadłem w sen.

Usłyszałem stłumione dźwięki zbliżających się koni i podpełzłem cicho w górę stromego zbocza. Na szczycie uniosłem głowę na tyle, by zerknąć znad krawędzi jaru; uważałem, by zostać w cieniach paproci, wysokiej trawy i karłowatych dębów rosnących przy drodze.

Wolno minęło nas dwóch młodych celtyckich żołnierzy. Zwiadowcy oddziału. Opadłem, kiedy przejeżdżali, ale oni koncentrowali się na wzniesieniu po drugiej stronie drogi. Nie zwracali uwagi na najeżony głazami, porośnięty zaroślami parów po ich prawej stronie.

Zaśmiałem się w duchu.

Szukali miejsc, z których wrodney jeźdźcy mogą natrzeć z ukrycia. Nie przyszło im do głowy, że mogą ich zaatakować pieszo.

Zwiadowcy zniknęli za zakrętem.

Ześliznąłem się w dół parowu na tyle, by dać znak czekającym w dole rekrutom. Było ich pięciu. Szósty pół kilometra dalej pilnował koni ukrytych w zagajniku. Był rozczarowany, że straci całą zabawę, ale pocieszyłem go obietnicą podwójnej racji wina, jeżeli „bitwa” potoczy się zgodnie z naszymi oczekiwaniami.

Byliśmy gotowi, czając się tuż pod linią jaru, kiedy kolumna pojawiła się w zasięgu naszego wzroku. Dwunastu młodych żołnierzy w zbrojach trzymało tarcze, ale było zbyt zajętych rozmowami i żartami, by uważnie obserwować otoczenie.

Pokręciłem głową. Biedni głupcy – liczyli na zwiadowców.

Aedan, będący sędzią tych zawodów, jechał pięćdziesiąt kroków w tyle, nonszalancko lustrując okolicę. Zobaczyłem, że zauważył parów, stłumił uśmiech i niewinnie jechał dalej.

Uniosłem ćwiczebny oszczep, czekając na właściwy moment. Ludzie dookoła mnie zrobili to samo.

Pierwsza para jeźdźców przejechała koło nas.

– Teraz! – krzyknąłem i rzuciłem oszczepem tak mocno, jak mogłem. Zafurkotał w powietrzu i uderzył prosto w pierś żołnierza, którego obrałem sobie za cel. Rekrut zachwiał się w siodle i upuścił tarczę. Oszczepy ćwiczebne nie mają zaostrzonych żelaznych grotów jak prawdziwe, ale są tyle ciężkie, by pozbawić tchu każdego, kto dostanie nim z bliskiej odległości.

Nasz ostrzał zaskoczył jeźdźców i wierzchowce na całej długości kolumny. Dwa konie poniosły w kierunku wzgórza, podczas gdy jeźdźcy gorączkowo próbowali odzyskać nad nimi kontrolę. Kolejny stanął dęba i zrzucił młodego Celta z siodła. Reszta kręciła się bezładnie w kopiającej i gryzącej masie.

Nie jestem pewien, czy Duriks i jego chełpliwi koledzy w ogóle wiedzieli, o co chodzi, gdy wylegliśmy na drogę i okrążyliśmy ich, ogłaszając zwycięstwo.

Chwilę to potrwało, zanim Aedan i ja opanowaliśmy chaos wywołany zasadzką, ale nikomu nie stało się nic poważnego. Ja zaś uznałem, że taka nauczka warta jest każdego siniaka i zadrapania – zwłaszcza że ja nie miałem żadnego.

W połowie doliny zwróciliśmy się na południe, podążając wydeptanym szlakiem po stromym, nagim pogórzcu Antylibanu. Nasza droga wiodła przez przełom rzeki Bardiny, a potem przez Abilenę, kolejne małe królestwo podległe władzy imperium.

Przed nami ogromny szczyt Hermonu górował nad całym południowym niebem. Pomiędzy wielkimi graniami i skupiskami głazów widać było łąchy śniegu. Gęste lasy sosnowe i opadające tarasami winnice pokrywały niższe stoki.

Paweł sprowadził muła z drogi i zatrzymał się, patrząc na górę z zachwytem. Zaintonował cicho:

Zstąp z Libanu, oblubienico, Zstąp z Libanu, wejdź, Pośpiesz się ze szczytu Amanu, Ze szczytu Seniru i Hermonu, Od jaskiń lwów, Z gór panter...

Zatrzymałem się przy nim.

– Wiersz miłosny? – zapytałem z uśmiechem. – Wygląda na to, że twoja edukacja jest ogólniejsza, niż z początku sądziłem.

Chłopiec zarumienił się i pokręcił głową.

– To nie to, co myślisz, przynajmniej niedokładnie to. Fragment ten pochodzi z *Pieśni nad Pieśniami*, i opowiada o miłości. Ale to historia miłości pomiędzy Najwyższym a ludem Izraela. Została napisana przez Salomona, jednego z naszych najpotężniejszych królów.

Nie mogłem ukryć zaskoczenia.

– Twierdzisz, że to pieśń miłosna pomiędzy Żydami a tym waszym bogiem?

Paweł potaknął energicznie.

– Tak. Pomyślana jest jako odzwierciedlenie miłości, którą nas obdarza, i miłości, którą mamy mu odwzajemnić.

Zerknąłem na wyniosły Hermon, rozmyślając nad świętą poezją, którą recytował Paweł. Jeżeli Żydzi naprawdę widzą swój związek z bogiem jako rodzaj małżeństwa, to szykują się kłopoty.

W celu zjednoczenia odmiennych narodów pod naszym panowaniem, wpierw Augustus, a teraz Tyberiusz dokładali starań, by szerzyć kult świętych duchów Rzymu i cesarza. Dla większości, którymi rządziliśmy, nie miało to głębszego znaczenia. Cóż znaczy jeden bóg lub duch więcej wśród tak wielu? Żydzi jednakże z pewnością ujrzą nasze żądania w innym świetle. W końcu, jaki mąż lub żona powita pod tym samym dachem zagraniczną kochankę lub kochanka?

Po opuszczeniu Abileny ścieżka wiała się wzdłuż stromego brzegu wartko płynącej Bardiny, trzymając się jej biegu od suchej wyżynnej równiny po bujną, żyzną oazę wokół Damaszku. Drzewa oliwne i bogate nawodnione pola, już zasiane pszenicą i jęczmieniem, otaczały miasto, o którym mówiono, że jest najstarsze na świecie. Jego potężne kamienne mury i wysokie wieże lśniły w przedwieczornym słońcu.

Damaszek był centrum kilku głównych szlaków handlowych oraz niezmiernie bogatym i potężnym miastem. Karawany z Partii, rzymskiej Syrii, Egiptu oraz tajemniczych ziem po drugiej stronie Morza Arabskiego zwoziły tysiące kupców, którzy starali się handlować towarami na zatłoczonych agorach i tętniących życiem ulicach.

Zatrzymaliśmy się na skraju miasta na jedną noc i ruszyliśmy dalej. Żołnierze trochę narzekali, spodziewając się dłuższej wędrówki przez miejskie tawerny i burdele. Przez ponad dzień mamrotali i złościли się, rzucając w moim kierunku gniewne spojrzenia, ale Aedan powiedział mi, żebym się tym nie martwił.

– Kawalerzysta, który się nudzi, musi się od czasu do czasu zabawić – dekurion

wyszczерzył zęby. – Zostaw to mnie, Walensie. Jak z nimi skończymy, będą zbyt zmęczeni, by rozmyślać o trunkach i nierządnicach, których nie dostali.

Aedan spełnił obietnicę. Przygotowywał jeszcze intensywniejsze zestawy ćwiczeń, jak i serie zawodów: wyścigi konne, walki, rzuty oszczepami i inne, gdziekolwiek obozowaliśmy. Rekruci ochoczo zgłaszali się do owych konkursów, wznosząc okrzyki radości po zwycięstwach i zbywając porażki nieprawdopodobnymi tłumaczeniami. Jako ich dowódca, przyznawałem małe nagrody zwycięzcom i dokuczałem przegranym. Zanim weszliśmy na ziemię rządzoną przez tetrarchę Heroda Filipa, w dużej mierze odzyskali zwyczajowy dobry nastrój.

Ów Herod Filip był jednym z synów Heroda Wielkiego, ostatniego prawdziwego króla Żydów. Kiedy Herod Wielki zmarł, August rozdzielił królestwo pomiędzy Filipa i jego braci. Filip otrzymał ziemie wokół Cezarei Filipowej, miasta skromnie nazwanego na swoją cześć.

Z Cezarei Filipowej podążyliśmy na południe, ku wybrzeżu Morza Galilejskiego, wielkiego słodkowodnego jeziora o kształcie przypominającym harfę. Zbliżaliśmy się do linii dzielącej terytorium Filipa od Galilei, którą władał jego brat, Herod Antypas.

Dotarliśmy do jeziora pod wieczór i rozbiliśmy obóz na wzgórzu górującym nad małą rybacką wioską o nazwie Betsaida. Minęło siedemnaście dni od czasu, jak opuściliśmy Antiochię. Na niebie zbierało się coraz więcej chmur, wiatry się nasiliły – znak, że wkrótce mogą nadejść pierwsze o tej porze obfite deszcze.

Po urządzeniu obozu i sprawdzeniu, czy zadbano o konie, Aedan wziął kilku żołnierzy oraz ich służących i wyruszyli do miasteczka po prowiant. Paweł wybrał się z nimi jako tłumacz. Niewielu ludzi w tamtejszych wioseczkach znało choć trochę grekę, lecz w jego domu mówiło się po aramejsku, a on miał zadziwiający talent do dogadywania się, mimo różnic pomiędzy dialektami.

Kiedy dekurion i jego ludzie wrócili tuż przed zachodem słońca, przyprowadzili ze sobą małe prosiątko. Ponieważ wiedziałem, że Żydzi unikają wieprzowiny, z początku byłem zaskoczony, ale Aedan wyjaśnił mi, że na wschód od jeziora była spora liczba miast i miasteczek zasiedlonych przez Greków. Wziął tego cennego prosiaka od greckiego kupca, który wymieniał towary z owych miast na ryby złowione w jeziorze.

Paweł włókł się za nimi, ponury jak gradowa chmura. Stał w oddali, przyglądając się nam z gniewnie skrzyżowanymi ramionami.

– Teraz, skoro mamy właściwe zwierzę, chcielibyśmy złożyć ofiarę Eponie – wyjaśnił Aedan. – W podziękę za bezpieczną podróż.

Skinąłem na znak zrozumienia. Epona to celtycka bogini koni, patronka jeźdźców i wierzchowców. Zazwyczaj przedstawiano ją jako piękną kobietę, jadącą po damsku na klaczy. – Dziś? – zapytałem. Popatrzyłem w niebo. – Może padać.

– Pani nie przeszkodzi mały deszcz – zapewnił mnie dekurion. – Nie zwraca uwagi na drobiazgi. – Zawahał się na moment, a potem zaryzykował: – Zastanawialiśmy się, panie, czy nie chciałbyś złożyć tej ofiary.

– Byłby do dla mnie wielki zaszczyt – odparłem szybko.

W pełni doceniałem dar, jaki oferowali mi Aedan i jego współbratymcy. Zwyczajowo to dowódca celebrował składanie ofiary dla swego oddziału, jednak ja jestem Rzymianinem, a nie przywódcą celtyckiego plemienia. Ich prośba była kolejnym znakiem akceptacji mojego prawa do prowadzenia ich w trakcie pokoju i wojny, w sprawach świeckich i duchowych.

Paweł podszedł do mnie, gdy Aedan oddalił się poczynić niezbędne przygotowania.

– Zamierzasz uczestniczyć w tym cyrku? – był wyraźnie zdumiony.

– Oczywiście, że tak – odpowiedziałem. – Czemu pytasz? Nie mów mi, że myśl o tej ceremonii cię przeraża.

– Nie ceremonia – odrzekł stanowczo. – Jestem z Tarsu. Mieszka w nim wiele ludów. Widziałem świątynie, rytuały i procesje licznych fałszywych bożków i bogiń. Nie przerażają mnie!

– Cóż zatem?

– Słuchałem tego, co mówisz, Aureliusz Walensie. Twierdzisz, że jesteś rozsądnym człowiekiem.

Potaknałem, zastanawiając się, do czego chłopak zmierza:

– Staram się nim być.

– Zatem, jak możesz składać ofiarę czemuś, co nie istnieje? Fantazmatowi o obnażonych piersiach, wymyślonemu przez ciemnych barbarzyńców? Nie wierzysz w tę idiotyczną końską boginię tak samo jak ja – gorączkował się Paweł.

Upewniłem się, że nikt inny nas nie słyszy, i powiedziałem cicho:

– To, w co wierzę i w co nie wierzę, nie ma znaczenia. Moi żołnierze czczą boginię koni, a ja to szanuję. I mają prawo widzieć, jak przyłączam się do nich, żeby oddać jej cześć. Co więcej, nie obrażę tych żołnierzy, zaprzeczając ich wierzeniom lub je wyśmiewając.

Popatrzył na mnie gniewnie.

– Nie w tym rzecz!

Pokręciłem głową.

– I tu się właśnie mylisz. W tym właśnie rzecz. Jeśli cześć oddawana bogu lub kult nie jest sprzeczny z porządkiem narzuconym przez imperium, Rzym tego nie zabrania. Ofiarowanie jednej małej świni Eponie, czy ona istnieje, czy nie, nikomu nie uczyni krzywdy.

– Krwawa ofiara sprofanuje tę ziemię – powiedział gniewnie Paweł.

Rozejrzałem się po nagim wzgórzu.

– Nie widzę tu żadnej świątyni ani świętego kamienia granicznego.

– Cała ta ziemia jest poświęcona Najwyższemu – odparł. – Jego Prawo nie zna

granic.

Popatrzyłem na niego chłodno.

– W tym miejscu obowiązuje prawo tetrarchy Filipa. A on dzierży władzę tylko dzięki łasce cezara Tyberiusza. Poważnie uważasz, że bóg jest zwierzchnikiem samego imperatora?

Paweł nie odpowiedział. Popatrzył tylko na mnie w milczeniu. Nagle zrozumiałem, że właśnie w to wierzy. To mnie zszokowało. Słuchałem tych jego różnych historii o wszechogarniającej potędze jego boga, ale uznawałem je za legendy wymyślane po to, by ukoić zranioną dumę zniewolonego ludu. Teraz po raz pierwszy zacząłem w pełni pojmować wagę wyzwania, jakie stanowiła żydowska wiara w jedno wszechmocne bóstwo.

Zapadł zmrok.

Ogniska wokół obozu zapłonęły jaśniej, płomienie wznosiły się wyżej na wzmagającym się wietrze. Chmury mknęły po niebie, zasłaniając gwiazdy.

Ubrany w najlepszą tunikę stałem przed stertą kamieni, które Aedan i jego ludzie ułożyli na kształt ołtarza. Ustawieni dookoła mnie kawalerzyści mieli rumiane twarze w migoczącym świetle ognia. Arystydes stał razem z nimi, uważnie się wszystkiemu przyglądając. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, mrugnął do mnie. Zachowałem nieruchomą twarz.

Pawła nie było. Tuż przed rozpoczęciem ceremonii pomaszerował w otaczającą nas ciemność, gniewnie mrucząc, że nie będzie tracić czasu ani narażać się na nieczystość patrzeniem na nasze głupoty. Pozwoliłem mu iść. Ogień trzymał ewentualnych bandytów lub drapieżniki na bezpieczną odległość.

Aedan wszedł do koła, niosąc prosię w ramionach. Ogłuszył wcześniej biedne stworzenie silnym uderzeniem rękojeścią miecza.

– Pani Białej Klaczy, Królowo Koni, Opiekunko Jeźdźców! – zawołał. – Patrz na nas. Twoja ofiara nadchodzi!

Wręczył mi prosiaka i cofnął się o krok.

– Epono! Boska Pani! Strażniczko kluczy życia, śmierci i ponownych narodzin – powiedziałem uroczyście, powtarzając trudne do wymówienia celtyckie słowa, które dekurion wcześniej pomógł mi zapamiętać. – Przyjmij tę ofiarę w podzięcie i pochwałę za twoją ochronę i pomoc.

Zerknąłem na Aedana. Skinął z aprobatą.

Żołnierze powtórzyli moje słowa, recytując je głośnie.

Gardłowy ryk lamparta krążącego gdzieś po okolicznych wzgórzach przestraszył nas, więc zamilkliśmy. Wtem w niespodziewanej ciszy jeden z koni zarżał głośno, odpowiadając groźnie drapieżnikowi.

– Pani odpowiedziała! – powiedziałem natychmiast – Słuchajcie jej!

– Słyszymy ją – oświadczył głośno Aedan, a inni powtórzyli jego słowa, z początku niepewnie, potem z większym przekonaniem.

Dekurion odsłonił zęby w uśmiechu, wyraźnie uspokojony, że zły znak został odwrócony.

Kątem oka dostrzegłem Pawła prędko wychodzącego z ciemności do bezpieczniejszego koła światła, które rzucały nasze ogniska. Jego twarz była śmiertelnie blada.

Trzymając nieprzytomne zwierzę nad ołtarzem, wyciągnąłem nóż i jednym ruchem podciąłem mu gardło. Krew, połyskując czarno w półmroku, polała się do miski z brązu ustawionej na kamieniach.

Żołnierze jeden po drugim podchodzili i uroczyście zanurzali amulety poświęcone Eponie w krwi ofiarnej. Kiedy skończyli, Aedan dał znak służącym, by odnieśli martwe zwierzę. Mieli je upiec i rozdzielić mięso jako część wieczornego posiłku.

Ceremonia była zakończona.

Później tej nocy miałem okazję zapytać Pawła o jego pośpieszny powrót.

Zawstydzony upierał się, że po prostu wolał stawić czoło naszej ignorancji, niż przed nią uciekać. Z powagą pokiwałem głową, a potem szczerząc zęby w uśmiechu posłałem go spać.

Rankiem mieliśmy znaleźć się w Galilei.

Rozdział VIII

Następnego dnia padało.

Przekroczyliśmy granice Galilei i jechaliśmy na południe wzdłuż zachodniego brzegu wielkiego jeziora. Sporadyczne deszcze nie blokowały przejazdu, ale stopniowo przemoczyły nas do suchej nitki. Po kilku kilometrach droga odbiła od jeziora, idąc na zachód przez przesmyk pomiędzy stromymi wzgórzami i skalistymi grzbietami. Na noc schroniliśmy się w wiosce, tuż za tą wąską przełęczą.

Kolejnego ranka niebo było czyste.

Zanim osiodłaliśmy konie i załadowaliśmy rzeczy na muły, droga i okoliczne pola były już suche. Cały deszcz wsiąkł szybko w ziemię, wysuszoną długim, upalnym latem.

Jechaliśmy dalej, kierując się na zachód, w kurzu przez wioski i miasta. Większość z nich zbudowano na zboczach lub szczytach wzgórz. Kilka otoczono murem. Wokół nich rozciągały się pola, sady i gaje oliwne, tarasowe winnice i pastwiska. Oczywiście było to, że Galilea to niezwykle urodzajna ziemia, ale pojedyncze pola, sady i łąki wyglądały na takie, co ledwie wystarczą na wykarmienie rodzin, które pracowicie zbierały ostatki letnich plonów i przygotowywały się do jesiennego zasiewu.

Kilku wieśniaków przerwało pracę, żeby popatrzeć, jak przejeżdżamy, ale większość nie zwracała na nas uwagi. Zdumiał mnie ten ich brak zainteresowania, zachowanie odmienne od tego, czego doświadczaliśmy, jadąc przez Syrię i królestwa zależne. Tam mieszkańcy miast i wieśniacy wylęgali na drogę, ciekawi tego, kim jesteśmy i dokąd jedziemy. Ci Galilejczycy całkiem nas ignorowali. Czy widok kolumny kawalerii był tak powszechny na tej ziemi?

Aedan wzruszył ramionami, kiedy go o to zapytałem.

– Z pewnością zdążyli się już napatrzeć na żołnierzy. Wasz człowiek, Herod Antypas, sam ma tu sporą armię, żeby trzymać miejscowych w ryzach.

– Czy to dobre oddziały? – ciekawy byłem jego oceny.

Nie mieliśmy bezpośredniej kontroli nad Galileą, ale władza sądownicza częściowo się nakładała wzdłuż granicy. W razie wojny lub buntu tetrarcha miał również dostarczyć żołnierzy, którzy walczyliby pod rzymską komendą.

– Niektóre owszem – przyznał dekurion. Potem prychnął. – Większość jest jednak bezużyteczna. Och, są dość twardzi, kiedy trzeba grozić chłopom, którzy nie zapłacili na czas podatków. Ale nie chciałbym, żeby którykolwiek osłaniał mnie podczas prawdziwej bitwy.

Wymienił kilka różnych kontyngentów w służbie tetrarchy, wyliczając je na palcach. Łucznicy z Idumei i piechota z dalszego południa, arabscy koczownicy i najemnicy z Tracji, Germanii i pół tuzina z innych dalekich ziem.

– Żadnych miejscowych?

Aedan pokręcił głową:

– Jest niewielu, którym Antypas ufa, a jeszcze mniej, którzy użyłoby mu włóczy. Wieśniacy nienawidzą tego waszego tetrarchy, ponieważ nie uważają go za prawdziwego Żyda. Grecy z miast gardzą nim właśnie dlatego, że jest Żydem, właściwym czy nie. A jedni i drudzy skarżą się na podatki, które nakłada. Ale za bardzo sobie nie ufają, by zjednoczyć się przeciwko niemu. Dla tych Galilejczyków – ciągnął Aedan – żołnierze Heroda to tylko ładnie ubrani bandyci, żyjący z ich ciężkiej pracy.

– Ale my nie jesteśmy jego ludźmi – upierałem się.

– Nie – powiedział cicho dekurion. Posmutniał i przez chwilę wyglądał na dużo więcej niż na swoje trzydzieści parę lat. – Dla nich jesteśmy gorsi. Jesteśmy typami o splamionych krwią rękach, stojącymi w cieniu złotego tronu tetrarchy. Jesteśmy ludźmi bezwzględny, którzy przyjdą zabijać i palić, jeżeli zaczną się tu jakieś

kłopoty. Oni o tym wiedzą i my też. – Wzruszył ramionami. – Nie sędzę, żeby wielu w Rzymie było nieszczęśliwych z powodu tego stanu, godnego ubolewania.

Potaknąłem niechętnie, przyznając mu rację. To, co powiedział, było prawdą. Taką właśnie polityczną sytuację wolał najpierw Oktawian August, a teraz Tyberiusz. Sprawowanie władzy przez lokalne dynastie, jeżeli to tylko było możliwe, oszczędziło Rzymowi wiele pieniędzy i kłopotów. Egzekwowaliśmy nasz trybut od tych na szczycie. Władcy płacili za swoje wojska i zajmowali się sprawami wewnętrznymi za pieniądze, które im zostały. W zamian za to trzymaliśmy na dystans barbarzyńskie plemiona za granicą i utrzymywaliśmy prawo oraz porządek na ziemiach pod naszymi rządami.

Ten system działał najlepiej, kiedy ci mało znaczący królowie zdawali sobie sprawę, że ich sprawowanie władzy zależy od poparcia imperatora i legionów, a nie od sympatii poddanych. Dzięki tej świadomości byli lojalni wobec Rzymu i spełniali nasze żądania.

Herod Antypas miał dobre powody, by wiedzieć, że rządzi z naszej łaski. Jego starszemu bratu, Archelaosowi, przypadła Judea, Idumea i Samaria. Archelaos jednak tak spaprał sytuację, że trzynaście lat temu Oktawian August go wypędził i tereny te znalazły się pod naszą bezpośrednią kontrolą. Od tego czasu rzymskie oddziały stacjonowały w Judei.

Teoretycznie pokój gwarantował dobrobyt zarówno poddanym, jak i obywatelom. Ale posępne twarze, które widziałem na polach i winnicach, gdy je mijaliśmy, pokazywały nader wyraźnie, że wielu Galilejczyków ma odmienne zdanie na temat naszego zwierzchnictwa.

Jechałem w milczeniu, zmagając się z rosnącym niepokojem. Dolina zwężała się w kolejny przesmyk prowadzący przez górzysty teren przed nami. Seforis, administracyjna stolica królestwa Heroda Antypasa, leżało kilka kilometrów dalej. Miałem nadzieję dotrzeć do miasta późnym popołudniem. Potem jeszcze jeden dzień

i znajdziemy się w Cezarei Nadmorskiej, siedzibie mojego nowego regimentu. Koniec naszej lądowej wyprawy był bardzo blisko.

Jednak chociaż się bardzo starałem, nie mogłem się pozbyć uczucia, że z tarasowych wzgórz i pofałdowanego terenu na południu i północy obserwowano nas uważnie. Od czasu do czasu łapałem się na tym, że trzymam rękę blisko rękojeści miecza. Jeżeli Aedan to zauważył, to nic nie mówił. Może też miał złe przeczucie.

Koło południa spotkaliśmy idącego szybko ku nam mężczyznę. Pasterz, na pewno żyjący u podnóża gór, był brązowy jak orzech, z białymi zębami wśród gęstego zarostu. Niósł półroczne jagnię na szerokich ramionach bez najmniejszego śladu zmęczenia.

Jako jedyny spośród wszystkich spotkanych tego dnia ludzi, pozdrowił nas machnięciem i szerokim, przyjaznym uśmiechem.

– Dobrze was widzieć! – zawołał łamaną greką z silnym akcentem.

– Chodźcie! Radujcie się ze mną!

Zdziwiony zatrzymałem się przed nim. Kolumna stanęła za mną.

– Dobrze – odparłem uprzejmie. – Ale powiedz mi, czemu się radujesz?

– Z najlepszego z powodów, panie – wskazał na jagnię. – To maleństwo odeszło wczoraj od mego stada. Zagubiła się, a teraz znalazła.

Rozumiałem trochę jego radość i ulgę. Stada, które widziałem pasące się na stokach, były niewielkie, zazwyczaj liczyły około tuzina zwierząt. Strata nawet jednej małej owieczki, porwanej przez szakala lub wilka, oznaczała dla tego pasterza i jego rodziny więcej niż zawalenie się kopalni lub zatonięcie statku dla mojego ojca.

– To dobra wiadomość – zgodziłem się. – Miałeś szczęście.

– Najwyższy był dla mnie łaskawy – powiedział stanowczo pasterz.

– W podzięce rozdaję jego błogosławieństwa wszystkim, których spotkam.

– Nawet obcym, jak my? – byłem jeszcze bardziej zdziwiony.

Wzruszył ramionami.

– Czemu nie? Jeżeli Najwyższy jest panem całego świata, jak wierzę, czyż jego darów nie powinni dostać wszyscy, którzy ich potrzebują?

Nie znalazłem odpowiedzi. Słowa tego człowieka przypominały to, co mówił Paweł, rozdając jałmużnę żebrakom i ślepcom. Czyż to możliwe, by ten prosty pasterz w postrzępionej, poplamionej tunice i szarym płaszczu potraktował nas tak samo? Jak zwykłych żebraków i kaleki? Zdumiony pokręciłem głowę. Nie dowiem się i niczego nie zyskam, pytając go o to.

Wziąłem wodze, chcąc jechać dalej.

– Zdążacie do tamtych wiosek, jak sądzę – powiedział nagle Galilejczyk, wskazując wznoszące się stromo tereny na południu.

Zaskoczony pokręciłem głowę:

– Zdążamy do Seforis.

Teraz pasterz się zdziwił.

– Jesteście rzymskimi żołnierzami, prawda? – wskazał na mój czerwony wojskowy płaszcz. – Ludzie tetrarchy nie noszą tego koloru.

Przytaknąłem.

– Służymy cesarzowi. – Popatrzyłem na niego. – Ale dlaczego ma to informować, dokąd jedziemy?

– Na tych wzgórzach są rzymskie oddziały. Przynajmniej tak mówią. Słyszałem, że ci żołnierze strzegą potężnego człowieka, jakiegoś wielkiego pana. Myślałem, że zamierzacie do nich dołączyć.

– Wielki pan? Z Rzymu? – spojrzałem na niego ciekawie. – Dlaczego taki człowiek miałby zatrzymywać się w wioskach, skoro tak mu blisko do miejskich wygod?

Pokręcił głowę z uśmiechem. – Tego ci nie powiem, panie. Znam moje owce, a one mnie znają. – Poklepał owieczkę leżącą spokojnie na jego ramionach. – Ona wie o sprawach możliwych tyle co ja... a może i trochę więcej!

Po dalszych pytaniach ustaliliśmy, że według pasterza owi żołnierze wędrują po okolicznych wioskach od jakiegoś czasu, może od dziesięciu dni lub więcej. Z tego, co powiedział, ludzie tutejsi byli równie zaskoczeni ich obecnością, co on. Po upewnieniu się, że mówi prawdę, przynajmniej w swoim mniemaniu, posłałem go swoją drogą.

Kiedy zniknął z zasięgu wzroku, popatrzyłem na Aedana.

– Co myślisz? Czemu wojsko miałoby przebywać tak głęboko w Galilei?

Dekurion zmarszczył się.

– Nie było tu żadnych problemów, o jakich bym wiedział. Nie w ciągu ostatnich dziesięciu lat, odkąd regiment stacjonuje w Judei. Z pewnością nic, co dawało podstawy do mieszania się w sprawy Heroda. Ale byłem w Antiochii po rekrutów, a wiele może się zdarzyć w mgnieniu oka.

Zjechałem z drogi i przyjrzałem się uważnie terenom położonym na południe. Kilka nierównych, ale wyraźnie często używanych szlaków wiodło ku wzgórzom. Obejrzałem się na Aedana.

– Co tam jest?

– Dolina o nazwie Ezdrelon. I kolejna droga stąd do Cezarei.

Zastanowiłem się nad tym chwilę. Przejazd przez ten łańcuch wzgórz będzie nas kosztował pewnie z pół dnia. Czy zaspokojenie mojej ciekawości warte jest tej ceny?

Uznałem, że tak.

Jeżeli w Galilei szykują się jakieś kłopoty, im szybciej się o tym dowiem, tym lepiej. Poza tym nawet jeżeli żołnierze i „wielki pan”, o których mówił pasterz, okażą się grupą nadzorców pracujących dla pomniejszego zbieracza podatków, odnalezienie ich będzie dobrym ćwiczeniem dla nowych rekrutów. Wiedziałem teraz, że niedoświadczeni ludzie Aedana dadzą sobie radę w zażartym boju, jednak muszą jeszcze udoskonalić przeprowadzanie zwiadów. Kawaleria ma działać jak oczy i uszy armii na nieznanym terytorium, chroniąc przed zasadzkami, szukając

najlepszych tras dla piechoty i znajdując źródła jedzenia i paszy. Wybranie określonej drogi da nam kolejną okazję do podszkolenia tych umiejętności.

Lecz znaleźliśmy dużo więcej niż to, na co liczyłem.

Słońce znajdowało się daleko na zachodzie, kiedy wjechaliśmy na wzniesienie górujące nad doliną Ezdrelon. Kilkaset metrów poniżej rozciągała się olbrzymia mozaika pól pszenicznych, gotowych do zaorania i obsiania. Na wschodzie gęsty las wysokich dębów i sosen porastał strome stoki góry Tabor. Daleko po prawej, niemal poza zasięgiem wzroku, inny pas zieleni oznaczał pogórze Karmelu.

Zbocze było tu zbyt strome, by po nim zjechać, więc podążyliśmy północno-zachodnim szlakiem w kierunku mniejszej doliny, oddzielonej od Ezdrelonu bocznym pasmem głównego łańcucha.

Mimo naszych najszczerszych wysiłków, nie znaleźliśmy żołnierzy, który mieli działać w tych okolicach, ale to, czego się dowiedzieliśmy, wypytujac spotkanych pod drodze rolników i pasterzy, wydawało się potwierdzać opowieść tamtego pasterza. Wszyscy słyszeli o rzymskim wojsku, choć relacje bardzo się różniły co do liczby żołnierzy, miejsca i celu.

Niektórzy twierdzili, że żołnierzy są dziesiątki, w błyszczących zbrojach i płaszczach z najlepszych materiałów. Inni mówili, że tylko garstka. Jedni sądzili, że człowiek, którego strzegą, to jakiś wysoki urzędnik z Cezarei Nadmorskiej. Inni powiedzieli nam, że to prokurator Judei. Niektórzy byli przekonani, że musi to być ktoś ważniejszy, może syn samego imperatora. Jeden człowiek powiedział, że żołnierze wyjechali trzy dni wcześniej. Kolejny zapewnił, że Rzymianie nadal stacjonują w tej okolicy, choć nie mógł zdecydować się, czy są w Garis, Gathha-Chefer, Jaffie czy jakiejś innej z licznych wiosek.

Można się było wściec.

Kiedy powiedziałem to Aedanowi, potaknął współczująco:

– Cały czas się na to natykamy, prefekcie. Niewielu Żydów mówi nam chętnie to,

co wiedzą. Posyłają nas w złym kierunku, jeżeli tylko mogą. A bogowie mi świadkiem, że wszyscy co do jednego o niczym nie mają pojęcia. – Uśmiechnął się cierpko. – Sądzę, że po prostu chcą, byśmy odjechali i zostawili ich w spokoju, więc mówią nam to, co ich zdaniem chcemy usłyszeć.

Zdegustowany pokręciłem głową. Wysłaliśmy się na próżno i to ja zdecydowałem, by tędy pojechać.

Szlak wił się w dół wzniesienia, a potem biegł na zachód, do małej doliny, którą wcześniej widziałem. Otoczona górami i pagórkami z trzech stron, stanowiła niemal naturalny amfiteatr. Na południu ziemia była prawie płaska, porośnięta gajami oliwnymi i małymi polami, porozdzielanymi niskimi kamiennymi murami. Rozpadające się budynki wyglądały na beładnie porzrzucone na niewielkim wzgórzu, wznoszącym się na północy. Tarasowe pola, ogródki warzywne i sady rozciągały się wzdłuż skupiska domów.

Westchnąłem. Jeszcze jedna galilejska wioska pełna upartych, umyślnie ślepych, głuchych i niemych chłopów. Bez wątplenia, tym razem powiedzą nam, że sam Tyberiusz pędził tędy na złotym rydwanie, ciągnionym przez słońce.

Było późne popołudnie. Cienie się wydłużały od zachodzącego słońca. Wszystko dookoła – ptaki, nawet owady – dziwnie ucichło. Skrzypienie skórzanego siodła, stukot końskich kopyt na kamiennej ścieżce i cichy szmer głosów żołnierzy jadących za mną wydawał się wisieć w powietrzu i z wolna rozwiewać.

Nagle mrozące krew w żyłach wycie przerwało tę niesamowitą ciszę, odbijając się echem od okolicznych wzgórz i głązów. W chmurze gwałtownie łopoczących skrzydeł dziesiątki padlinożernych ptaków wzbiły się wysoko, na moment zacerniając niebo nad splątaną kępą drzew i krzaków nieopodal.

– Bogowie – ostro zatrzymałem konia. – Co to było, na Hadesa?

Aedan pokręcił głową z wytrzeszczonymi oczyma.

– Nie wiem! – Dobył miecza. – Ale nic dobrego, to pewne!

Nachyliłem się, uspokajając Tancerkę łagodnym klepnięciem. Szukałem wśród drzew tego, co wywołało ów okropny krzyk przerażenia. Niczego nie dostrzegałem. Las spowity był cieniem i nic się chyba w nim nie poruszało.

– Tam!

Odwróciłem się do Pawła, słysząc jego podniecony, chłopięcy krzyk. Wskazywał na dolinę. Zauważył uciekającego z lasu człowieka, który jak oszalały wdrapywał się na górę do wioski.

Nie zastanawiając się dalej, wydałem Aedanowi rozkaz:

– Przyrowadź mi go, dekurionie! Tylko żywego!

– Tak, panie! – wysoki Celt odwrócił się w siodle ku żołnierzom za sobą. – Wydwaj! Za mną!

Z dzikim okrzykiem trzech kawalerzystów zjechało ze ścieżki. Rozbryzgując wodę, przejechali przez płytki strumień i pogalopowali w górę stoku, po skosie, by odciąć biegnącemu drogę ucieczki. Jeden za drugim przeskakiwali przez kamienne mury dzielące pola. Miecze błysnęły w słońcu, kiedy z trzech stron okrążali uciekającego.

Ścigany upadł na kolana. Wyrzucił ramiona w geście poddania.

Aedan pochylił się i szorstko szturchnął mężczyznę czubkiem miecza, każąc mu wstać. Dekurion i jego żołnierze sprowadzili więźnia z powrotem na dół.

Upadł przede mną na kolana, a łzy płynęły mu strumieniami po policzkach.

Przyjrzałem mu się uważnie. Był mniej więcej mojego wzrostu, ale tęższy, miał pulchną opaloną twarz i wydatny nos nad pełną, zmierzwioną brodą. Nosił tylko sandały i zwykłą białą tunikę. Ciernie i nisko wiszące gałęzie rozdarły mu ją w kilku miejscach. Podrapane ręce i nogi krwawiły.

Nie odrywając od niego oczu, powiedziałem do Pawła:

– Spytaj, czemu uciekał z tego lasu. Co go tak bardzo przestraszyło?

Chłopiec ochoczo przetłumaczył moje pytania na aramejski, język, którym

głównie posługiwali się galilejscy wieśniacy.

Składając razem dłonie, więzień wpatrywał się we mnie śmiertelnie przerażony. Z trudem wykrztusił z siebie kilka zdławionych, niemal niezrozumiałych słów.

Paweł skierował muła bliżej mnie. Twarz mu zbladła.

– Mówi, że wśród drzew są martwi ludzie. – Przełknął ślinę. – Zamordowani ludzie.

– Kim są i kto ich zabił? Zapytaj o to! – zażądałem.

Wyłapałem tym razem kilka słów, ale nie na tyle, by zrozumieć, co znaczą.

Paweł pokręcił głową.

– Przysięga, że nie wie. Mówi, że nazywa się Nahum, i jest tylko biednym rolnikiem z tamtejszej wioski.

Zostawiłem to na chwilę.

– Czy jest tam ktoś jeszcze? To znaczy, ktoś żywy?

– Tylko martwi – przetłumaczył Paweł. Zadrżał. – Co tam się dzieje, Aureliuszu Walensie?

Patrzyłem na więźnia.

– Nie wiem, chłopcze. Ale zamierzam się dowiedzieć. – Wyciągnąłem miecz. – Powiedz temu Nahumowi, żeby nas zabrał tam, gdzie znalazł ciała.

Kiedy Paweł przekazał mój rozkaz, wieśniak gwałtownie pokręcił głową rozpryskując łzy na wszystkie strony. Znowu złożył ku mnie ręce, błagalnie coś jękając.

– Błaga cię, żebyś nie zmuszał go do pójścia tam, do tych drzew. – Pawłowi trząsał się głos. – Są teraz przeklęte, zbrukane tym obrzydlistwem.

Zacisnąłem zęby. Nie miałem czasu ani cierpliwości na ten absurd. Nachyliłem się, zbliżając miecz do gardła wieśniaka. Oczy mu się jeszcze bardziej rozszerzyły.

– Powiedz mu, że martwi to martwi – rozkazałem Pawłowi. – Jeżeli chce się do nich przyłączyć, mogę się o to postarać. Jeżeli nie, ma słuchać moich rozkazów.

Niech wybiera.

Tak jak się spodziewałem, ta groźba przekonała naszego więźnia, by zapomniał o swoim lęku przed skażeniem. Trzęsąc się tak, że ledwo trzymał się na nogach, niechętnie zgodził się zaprowadzić nas do zamordowanych. Ukrywając ulgę, schowałem miecz.

Zostawiłem kilku kawalerzystów, by strzegli naszych koni, zwierząt jucznych i służących, i wziąłem żołnierzy do zacienionego lasu. Galilejczyk Nahum szedł pierwszy. Ja tuż za nim, z Aedanem i jednym z młodych żołnierzy z tyłu. Następni byli Paweł i Arystydes. Reszta zamykała kolumnę.

Gęste zarośla ciernistych krzaków porastały brzeg małego strumienia spływającego zakosami ze wzgórz. Prowadziło przez nie kilka ścieżek. Były wąskie i zarośnięte, używane prawdopodobnie tylko przez dzikie zwierzęta idące do wodopoju. Jedna była większa, na tyle szeroka, by przeszedł nią człowiek. Z ponurymi twarzami weszliśmy pomiędzy drzewa, ocierając się o niskie gałęzie i płożące się ciernie, które zaczepiały o płaszcze i tuniki, rozdzierając materiał.

Nahum prowadził nas w porośnięty zaroślami zagajnik, prosto do małej polany, gdzieś w samym jego środku.

Tam znaleźliśmy to, czego szukaliśmy.

Dziewięć okaleczonych ciał pokrywało otwarty teren groteskowo wyglądającą bezładną plataniną ramion i nóg. Zwłoki były zupełnie nagie, pozbawione wszystkich ubrań i rzeczy. Polanę wypełniał oleisty, zjełczały odór śmierci i rozkładu.

Przełknąłem ślinę, pokonując chęć wymiotowania, wbiwszy przy tym mocno palce w dłonie. Nie skompromituję się – przysięgłem sobie bezgłośnie.

Inni nie byli tacy dumni. Słyszałem, jak Paweł i kilku rekrutów nie mogli powstrzymać się od torsji. Nahum upadł na kolana, jęcząc z przerażeniem.

Aedan wymamrotał:

– To okropny widok, prefekcie. Jak z najczarniejszych snów. – Zerknął na mnie.

– Co teraz zrobimy?

Oddychałem wolno i płytko, starając się nie wciągać potwornego smrodu wiszącego w powietrzu.

– Trzymaj ludzi z dala. Arystydes i ja najpierw się im dokładniej przyjrzymy.

Dekurion skinął ponuro głową.

– Lepiej ty niż ja. Ale chyba ani ty, ani lekarz wiele dla nich nie zrobicie.

– Możemy się dowiedzieć, jak zginęli – odpowiedziałem krótko. – To już coś.

Zbliżył się Arystydes, ściągając z ramienia sakwę z przyborami medycznymi.

Westchnął:

– Są chwile, Lucjuszu, w których żałuję, że mam taką profesję.

Lekarz ukląkł na skraju polany i zaczął wykladać rzeczy z torby: dwa kawałki płótna, zapieczętowany słoik i lśniący rząd skalpeli, kleszczy oraz innych narzędzi chirurgicznych. Potem otworzył słoik i wsmarował trochę silnie pachnącej maści w każdy kawałek materiału.

Aedan patrzył z zaciekawiony.

– A cóż to jest, jeżeli wolno spytać?

Greki wręczył mi jeden kawałek.

– Mieszanina mirry i kadzidła oraz lanoliny, wyciągu z wełny. – Nałożył drugi na usta i nos, po czym zawiązał go z tyłu. – Ten zapach trochę nas ochroni przed smrodem rozkładu.

Podążyłem za jego przykładem. Od ostrego zapachu kadzidła łzawiły mi nieco oczy, ale wszystko było lepsze od okropnego odoru unoszącego się na miejscu masakry.

Weszliśmy na polanę, starannie omijając bezładnie porzrzucone ciała. Chodziliśmy metodycznie od jednego do drugiego, starając się dowiedzieć wszystkiego, co możliwe, o tej rzezi.

Kilka osób miało poderżnięte gardła. Inni wyglądali na pobitych na śmierć. Ich czaszki były roztrzaskane, a zmiążdżone kawałki kości i mózg leżały rozrzucone na zrytej ziemi. Dzikie zwierzęta oraz kruki i sępy, które teraz leniwie krążyły nam nad głowami, ucztowały na zmarłych, dziobiąc oczy i inne miękkie części ciała.

Grzywa przesiąkniętych krwią białych włosów, przylepionych do zmiążdżonej czaszki jednego z ciał, przyciągnęła moją uwagę. Klęknąłem przy nim, wpatrując się w zniekształconą twarz.

Serce mi stanęło.

Mimo okropnych ran, rozpoznałem ten smukły, arystokratyczny profil. Poprzednio widziałem go w eleganckim domu w Antiochii.

Był to Decymiusz Juniusz Silanus, członek rzymskiego senatu, niegdyś konsul, a także przyjaciel i bliski sojusznik cesarza Tyberiusza.

Arystydes wpatrywał się w ciało, w którym rozpoznałem Silanusa. Wyglądał na ogromnie zmartwionego.

– Jesteś tego pewien, Lucjuszu?

Pokiwałem ponuro głową.

– Absolutnie.

– A ci inni?

Przesunąłem wzrokiem po zasłanej ciałami polanie.

– Jego domownicy zapewne.

O dziwo, teraz, gdy rozpoznałem Silanusa, łatwiej mi było patrzeć na czyste okropieństwo strzaskanych kości i okaleczonych ciał, i szukać tego, co się za tym kryło.

– Tam – wskazałem na kolejne okaleczone ciało z szarą czupryną. – To stary niewolnik imieniem Tiro.

Przez króciutką chwilę zastanawiałem się, czy biedny Tiro wydał tego denara, którego tak dawno i tak daleko stąd wsunąłem mu w dłoń, czy też moneta brzęczy

teraz w sakiewce jednego z morderców.

Coś w ciele najbliższej Silanusa przyciągnęło uwagę Arystydesa. Pokazał na prawą dłoń zabitego.

– Spójrz tu, Lucjuszu.

Choć była zwinięta w pięść, nadal można było dostrzec plamy na palcach i na tym, co zostało z wnętrza dłoni.

– Atrament?

Lekarz potaknął.

– Prywatny sekretarz senatora?

– Bardzo prawdopodobne – zgodził się Arystydes. Wstał. – A gdzie są strażnicy Silanusa? – zapytał cicho. – Mówiłeś, że był z nim oddział pretorian Tyberiusza.

– Tak – przeszedłem z powrotem przez polanę, jeszcze raz przyglądając się ciałom. Nawet po śmierci coś w kilku z nich – być może mocna budowa albo stare blizny – przywoływało obraz twardych, doświadczonych żołnierzy.

Trąciłem ich łagodnie stopą.

– Ten. Tamten. I ten wielki tu, z poderżniętym gardłem.

– Trzech – zauważył lekarz. – Czy to wszyscy?

Pokręciłem głową.

– Wątpię.

Kiedy spotkałem się z Silanusem w Antiochii, widziałem dwóch żołnierzy przy drzwiach. Nikt nie trzyma tych samych ludzi na warcie przez cały dzień, a zwłaszcza rozpieszczonych pretorian. Najogólniej mówiąc, aby dwóch czujnych strażników pilnowało przez cały czas wejścia, potrzeba przynajmniej jeszcze sześciu na zmianę. Opierając się na tym, domyślałem się, że Tyberiusz dał senatorowi co najmniej ośmiu swoich ludzi na tę tajemniczą podróż przez wschodnie prowincje. Trzech nie żyje. Gdzie więc są pozostali?

Rozdział IX

Po obejrzeniu wszystkich zwłok lekarz i ja wróciliśmy tam, skąd Aedan, Paweł i reszta przyglądała się naszemu zajęciu. Wysoki, jasnowłosy Celt wyszedł nam naprzeciw.

Przekazałem mu złe wiadomości.

– Senator leży zamordowany? – powtórzył zaskoczony Aedan. – Tutaj?

Ściągnąłem nasączoną kadzidłem szmatkę z twarzy. Tak daleko od polany odór był do zniesienia.

Ze zmarszczoną miną dekurion pokazał ruchem głowy ciała.

– Robota bandytów, jak myślisz?

– Na to wygląda – powiedziałem bezbarwnym tonem. – Zabójcy zdarli z Silanusa i reszty, co się dało. Zabrali wszystko, co miało jakąś wartość: ubrania, broń i pieniądze. Nawet pierścienie i osobistą biżuterię.

– Bandydzi czy nie, to brzydka sprawa, Lucjuszu. – odezwał się Arystydes.

Usta zacisnął w cienką kreskę. To dopiero powściągliwość – pomyślałem cierpko. To prawdziwa katastrofa. Rzymscy senatorzy nie powinni znajdować się martwi w środku samego nigdzie, zwłaszcza senator, który był jednym z zaufanych przyjaciół imperatora. A zwłaszcza nie senator, o którym mówiło się, że jeździ po wschodzie z tajną misją zleconą przez Tyberiusza.

– Co zrobisz? – zapytał Arystydes.

– Spełnię swój obowiązek, mam nadzieję. – Popatrzyłem znowu na polanę. – Spróbuję znaleźć tych, którzy zamordowali Silanusa i pozostałych.

Teraz doktor miał jeszcze bardziej zmartwioną minę.

– Czy to rozsądne, Lucjuszu? Jesteśmy na terytorium Heroda. Czy nie powinieneś pozwolić prowadzić śledztwa jego ludziom?

Przez chwilę mnie to kusiło. Seforis leżało w pobliżu, nie więcej niż godzina lub dwie drogi. Czemu nie pozwolić ludziom tetrarchy zdjąć tej odpowiedzialności z moich barków?

Potem pokręciłem głową.

– Nie, Silanus był naszym obywatelem i senatorem. Ktokolwiek go zabił, podlega prawom rzymskim, nie prawom Heroda. A teraz ja jestem tutaj najwyższym rangą oficerem rzymskim.

To oznaczało, że tropienie morderców jest moim obowiązkiem, czy tego chcę, czy nie.

Arystydes westchnął. Wiedziałem, co go martwi. Mnie też to niepokoiło.

Jako trybun Szóstego Legionu, już włożyłem rękę do gniazda żmij. A co zyskałem, ujawniając wsparcie Gnejusza Pizona dla nieuczciwości, wymuszeń i bandytyzmu? Capito nie żyje. Mój dawny legat, Faustus, jest w drodze do domu, pozbawiony stanowiska. Pizon nadal jest namiestnikiem Syrii, a ja o mały włos uniknąłem hańby lub śmierci w bocznej uliczce.

Teraz tutaj patrzę na coś, co może być jeszcze bardziej skomplikowane, a stawka jest o wiele wyższa. Germanik interweniował, by ocalić mnie od gniewu Pizona. Nikt nie będzie mi w stanie pomóc, jeżeli tym razem popełnię błąd.

Wiadomości o tej masakrze nie dotrą do Rzymu przez tydzień, może nawet miesiąc. Ale kiedy dojdą, całe miasto zapłonie. Będzie wielkie zamieszanie w senacie. Sam imperator zażąda wyjaśnień. I okrutnej zemsty.

Zerknąłem na śmiertelnie bladego wieśniaka, który przyprowadził nas do pomordowanych.

Znałem zasady. Kiedy rzymski urzędnik ginie zabity przez bandytów, reagujemy twardo, szybko i ostro. Gdzie tylko możliwe, wymierzamy karę tym, którzy za to odpowiadają. Jeżeli nie, większość żołnierzy postępowała zgodnie z podstawową zasadą: uderzyć w najbliższą wioskę. Zasada jest prosta i sensowna. Większość grup

przestępczych działa dzięki wsparciu okolicznych mieszkańców – rolników dostarczającym im jedzenie, paserów sprzedających skradzione rzeczy i informatorów mówiących im, gdzie można się obłowić. Represje przeciwko miejscowym mają wyrzeć na tych właśnie ludzi nacisk, by zachęcić ich do wydania bandytów w nasze ręce.

Różne cesarskie edykty zalecają dowódcom powściągliwość przy podejmowaniu działań odwetowych. Znowu zasada jest rozsądna. Używanie nadmiernej siły może łatwo przynieść odwrotny skutek: miejscowi mogą obrócić się przeciwko nam, a nie przeciwko bandytom.

Nachmurzyłem się. Jakoś wątpiłem, czy ktokolwiek w Rzymie w tym wypadku pochwali powściągliwość. Nie wtedy, kiedy jeden z nieżyjących jest przyjacielem cesarza. Sam Tyberiusz, każdy senator i każdy wybitny obywatel będzie oczekiwać, że nie cofnę się przed niczym, ścigając morderców Silanusa – nawet jeżeli będę musiał zostawić za sobą płonące wioski i płaczące wdowy.

Wszystko to oznaczało, że w moich rękach spoczywa los przerażonego wieśniaka, jego rodziny i wszystkich sąsiadów. Nie była to zbyt przyjemna świadomość.

Potrząsnąłem niecierpliwie głową. Składałem przysięgę wojskową z własnej, nieprzymuszonej woli. Nikt mi nigdy nie obiecywał, że wynikające z niej obowiązki będą łatwe lub wolne od trosk.

W oddali rozległy się krzyki.

Opuściłem dłoń na miecz wiszący u boku. Byłem nieostrożny. Ktoś zaatakował Silanusa oraz jego świtę i ich zamordował. Jak mogłem założyć, że nadal się tu gdzieś nie czai? Jedno spojrzenie na twarz Aedana powiedziało mi, że myśli o tym samym.

Ścieżką biegł kawalerzysta. Był to jeden z ludzi, których zostawiłem, by pilnowali koni i służących.

Zatrzymał się, omal się nie wywróciwszy.

– Prefekcie!

– Mów! – rzuciłem.

– Zbliżają się tu jeźdźcy – powiedział podekscytowany rekrut. – Od doliny. Są uzbrojeni, ale niczego więcej nie możemy jeszcze dostrzec.

Uznałem, że nie można ryzykować. Obróciłem się gwałtownie ku Arystydesowi.

– Weź Pawła i ukryj się, dopóki się nie dowiem, kim są ci ludzie.

Skinął głową.

Chwyciłem jednego z młodych żołnierzy i pchnąłem ku galilejskiemu wieśniakowi.

– Litas! Nie spuszczaaj go z oka. Jeżeli będzie próbował uciekać, zabij. Zrozumiałeś?

– Tak, prefekcie!

Obróciłem się do Aedana.

– Ty i reszta za mną!

Z dekurionem i czternastoma ludźmi pośpieszyłem na skraj lasu.

Dotarliśmy tam w samą porę, by zobaczyć małą grupkę jeźdźców kłusujących w górę, od strony szlaku wiodącego z doliny Ezdrelonu. Policzyłem szybko. Tylko sześciu jeźdźców, w tym pięciu w zbrojach.

Zatrzymali się na chwilę w oddali, wyraźnie zaskoczeni widokiem tylu koni i zwierząt jucznych pasących się na zboczu przed nimi. Ruszyli dalej.

Z Aedanem i żołnierzami po bokach wyjechałem im na spotkanie.

Dowodzący był znacznie starszy ode mnie – wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Na surowej twarzy o kwadratowej szczęce i zaciśniętych ustach malował się gniew. Nagolenice chroniące nogi, srebrny połysk zbroi, różga z winorośli zatknięta przy boku i ułożona w poprzek kita na hełmie pozwalały w nim rozpoznać centuriona gwardii pretoriańskiej.

Za nim jechało jeszcze czterech gwardzistów. Przynajmniej wiedziałem, gdzie są pozostali strażnicy senatora. Cywil – najwyższy z nich wszystkich, człowiek o krzywym nosie i wielkich ciemnych oczach – zamykał ten mały pochód. Nosił czerwoną jedwabną szatę z długimi czarnymi rękawami.

Zdałem sobie sprawę, że już widziałem tę dziwnie wyglądającą postać w Antiochii. Poszukałem w pamięci i się skrzywiłem. Niewolnik Silanusa, Tiro, podał mi jego imię – Araneusz. Stary sługa twierdził też, że to mag, potężny wróżbita lub czarownik. Co ważniejsze, był to kolejny członek świty senatora, który jakoś uniknął masakry.

Centurion zatrzymał konia tuż przed nami.

Przyjrzał się najpierw Aedanowi, a potem utkwił spojrzenie we mnie.

– A kim wy, na Hadesa, jesteście? – warknął, pochylając się w siodle. – I co tu robicie?

Zacisnąłem zęby.

Nigdy nie przepadałem za gwardią pretoriańską. Choć wielu członków jej dziewięciu kohort było żołnierzami zaprawionymi w bojach, to coraz liczniejsi z nich okazywali się zepsutymi smarkaczami z najlepszych rzymskich rodzin i reszty Italii. Służba w gwardii dawała im wyższą płacę i więcej przywilejów, a przy tym niewielkie ryzyko prawdziwej walki. Wśród oddziałów walczących w Germanii krążył gorzki żart: Czy ktokolwiek widział martwego pretorianina?

Cóż – pomyślałem ponuro, przypominając sobie masakrę na polanie – teraz ja już tak.

Centurion przynajmniej wyglądał wystarczająco męsko. Biała blizna po cięciu mieczem, biegnąca w dół policzka, i pomarszczony stary ślad po uderzeniu strzałą na prawym przedramieniu udowodniały, że brał udział w bitwach.

– Zadałem ci pytanie, przyjacielu – powiedział chłodno. – A ja nie lubię się powtarzać.

Aedan poczerwieniał ze złości. Zrobił krok do przodu. Machnąłem, żeby się cofnął. Jako prefekt regimentu kawalerii przewyższałem rangą tego pretorianina, ale nie było sensu wdawać się w utarczkę z tym aroganckim sukinsynem. Przynajmniej nie teraz.

– Nazywam się Aureliusz Walens – powiedziałem łagodnie. – Dowodzę Trzecim Galijskim Kawalerii.

Oczy zwężyły mu się w szparki.

– Jesteś tu nowy.

Przytaknąłem.

– Jadę do Cezarei objąć regiment.

Centurion zeskoczył z konia i wręczył wodze jednemu z pozostałych strażników.

– Jestem Marek Emiliusz Sewerus – przedstawił się. – Dowodzę oddziałem gwardii pretoriańskiej.

– Co robisz tu, w Galilei, centurionie? – starannie zaakcentowałem jego niższą rangę.

Na moment Sewerus się zjeżył. Podejrzywałem, że jest to człowiek przyzwyczajony do zadawania pytań, a nie odpowiadania na nie. Potem wzruszył ramionami.

– Szukam senatora – uśmiechnął się blado. – Brzmi to dziwnie, prawda? Ale tak właśnie jest. Nazywa się Decymiusz Juniusz Silanus.

– Widziałem Silanusa – powiedziałem cicho. – A raczej to, co z niego zostało.

To sprawiło natychmiast, że ponury uśmiech z twarzy centuriona zniknął.

– O co ci chodzi?

– Chodzi mi o to, że Decymiusz Silanus nie żyje. Znaleźliśmy jego ciało w tym lesie jakąś godzinę temu, zanim tu przyjechałeś.

Pretorianin nawet nie drgnął.

– To niemożliwe – warknął. – Z senatorem byli moi najlepsi ludzie.

– Najlepsi czy nie, już nie żyją. Wraz ze służbą. Jak dotąd naliczyłem dziewięć ciał, wszystkie rozebrane i okaleczone.

– Dziewięć? – nachmurzył się Sewerus. – Chcę to sam zobaczyć. – Spojrzał na mnie podejrzliwie. – Jeżeli ciała są okaleczone, skąd wiesz, że jest wśród nich Silanus?

– Spotkałem go raz w Antiochii. – Wzruszyłem ramionami. – Ale sam osądź.

– Bez obaw. Zrobię to.

Poprowadziłem go do zalesionej kotlinki, gestem sygnalizując Arystydesowi i pozostałym, by wyszli z ukrycia.

Pretorianin odrzucił propozycję założenia maski na twarz. Stałem, przyglądając się, jak przechodzi od ciała do ciała, przyklękając tu i ówdzie, by przyjrzeć się niektórym bliżej.

Po kilku minutach wrócił. Miał kamienny wyraz twarzy. Oczy gorzały mu gniewem.

– Miałeś rację – przyznał. – To senator i jego domownicy.

– Wszyscy?

Centurion pokręcił głową.

– Nie. Brakuje jednego z moich ludzi. Silanus miał ze sobą czterech.

– Walensie! – rozległ się za nami głos Pawła. – Chyba jeszcze coś znalazłem! – Kiedy kazałem Arystydesowi się ukryć wraz z nim, obaj zeszli kilka kroków ze ścieżki, w głąb splątanych drzew i krzaków. Chłopiec nadal tam był.

Z Sewerusem, postępującym zaraz za mną, zszedłem z polanki i pośpieszyłem ku Pawłowi. Klęczał, patrząc na kępę ciernistych zarośli.

– O co chodzi? – zapytałem ostro.

– Ktoś tędy przechodził. – Paweł wskazał na jedną część gęstwiny. – Widzisz?

Spojrzałem uważniej i zobaczyłem, co miał na myśli. Ktoś przedzierał się na oślep przez gęstwinę w jednym miejscu, zostawiając za sobą wąski ślad połamanych

gałązek i podeptanych krzaków.

Chłopiec sięgnął ostrożnie i podniósł jedną złamaną gałązkę, żebym się jej przypatrzył. – A to widzisz?

Kawałek szkarłatnej nici zwieszał się z jednego z cierni ostrych jak brzytwa. Oczy mi się zwężyły. Nie można być pewnym, lecz wyglądało to jak nić z wojskowego płaszcza.

Odwróciłem głowę.

– Aedan!

Pojawił się dekurion.

– Panie?

Wyciągnąłem miecz i skinąłem na ścianę ciernistych zarośli.

– Idziesz ze mną. Ty lewą stroną, ja prawą.

Pracując razem, Aedan i ja torowaliśmy sobie drogę głębiej w zarośla, wycinając coś na kształt ścieżki w podszyciu. Choć nie staliśmy w słońcu, było to ciężkie zajęcie. Czułem, jak pot ścieka mi po twarzy i plecach, zanim uszliśmy kilka kroków.

Znaleźliśmy kolejne zwłoki parę metrów dalej, tym razem leżały twarzą do ziemi, a drzewce strzały wystawało z porozrywanych ogniów kolczugi. Pusta pochwa wisiała u prawego boku. Dekurion pomógł mi przewrócić ciało na bok.

Zmarszczyłem się. Ziemia, gdzie leżał, była zboczona zaschniętą już krwią. Odsunąłem fałdę jego płaszcza i dech mi zaparło na widok bardzo ostrego grotu strzały, wystającego na szerokość palca z kolczugi okrywającej tors. Żeby przejść przez dwie warstwy zbroi, z przodu i z tyłu, ta strzała musiała zostać wystrzelona z bliska.

– Kolejny pretorianin – powiedział Aedan.

Sewerus szedł za nami przez krzaki. Przytaknął ponuro.

– To Kasjusz Celer.

Nie mówiąc nic więcej, odwrócił się na pięcie i sztywnym krokiem odszedł wyciętą ścieżką. Nakazałem Aedanowi zadbać o zanieśenie martwego gwardzisty do głównej ścieżki, a potem ruszyłem za oficerem pretorii.

Zrównałem się nim na skraju lasu. Sewerus wyszedł na otwartą przestrzeń. Stał długą chwilę, oddychając głęboko.

Czekałem.

– Kasjusz i ja służyliśmy razem ponad dwadzieścia lat – powiedział w końcu cicho. – W starym Szesnastym Legionie na początku. To była dobra drużyna. A my ryczeliśmy z najlepszymi, on i ja.

Skinąłem głową. Godłem Szesnastego był lew – symbol Jowisza. Ten legion był powszechnie znany jako twarda i skuteczna siła bojowa.

– Kiedy przeszedłem do gwardii, poszedł ze mną. Ciężką pracą zasłużyliśmy sobie na awans. Nie tak, jak niektórzy.

Znowu skinąłem głową.

– A pozostali?

– To byli dobrzy żołnierze – powiedział Sewerus i zamilkł.

Uznałem, że to całkiem niezłe epitafium, jakiego każdy mógłby sobie życzyć.

Wiatr zmienił trochę kierunek, przynosząc lekki zapach śmierci z lasu. Zmarszczyłem nos. Ten odór przypominał mi o pilnym problemie, który wymagał wyjaśnienia. Potrzebowałem odpowiedzi na kilka pytań od tego człowieka, i to szybko.

– Co cię tu sprowadziło w poszukiwaniu Silanusa?

– Wysłał wiadomość z prośbą o pomoc – powiedział spokojnie Sewerus. – Doszła do mnie w Cezarei, wczoraj pod koniec dnia.

– Mogę ją zobaczyć?

Przez sekundę wyglądało na to, że pretorianin odmówi. Ale potem wyjął kartkę papirusu z sakiewki przy pasku i wręczył mi ją.

Przebiegłem pismo wzrokiem. Pośpiesznie nagryzmołona wiadomość była krótka i – ku mojej konsternacji – zagadkowa.

M. Emiliusz Sewerus

Przyprowadź duże siły tak szybko jak to możliwe do wioski Nazaret w Galilei, na południe i zachód od Seforis. Mogę potrzebować twojej pomocy.

D. Juniusz Silanus, senator i specjalny wysłannik na wschód Tyberiusza Klaudiusza Nerona Cezara

Podniosłem wzrok znad wiadomości.

– Nazaret?

Sewerus wskazał wioskę na wzgórzu nad nami.

– Tak. Tak mi powiedziano.

Zerknąłem na czterech pretorian, których ze sobą przywiódł.

– I to nazywasz dużymi siłami?

Centurion uśmiechnął się, ale spojrzenie szarych oczu pozostało lodowate.

– Nie, prefekcie. I dlatego jadą tu trzy oddziały kawalerii, z twojego własnego regimentu w dodatku. Powinny być niecałą godzinę drogi za nami.

To była dobra wiadomość.

Sprawdziłem położenie słońca. Jeśli szczęście dopisze, te posiłki przybędą dobrze przed zmrokiem. Oczywiście, to nadal nie rozwiązuje problemu, co mam z nimi zrobić.

Popatrzyłem znowu na Sewerusa.

– Czy wiesz, dlaczego senator chciał tu żołnierzy?

– Nie.

Szorstka, lakoniczna odpowiedź centuriona zaskoczyła mnie. Uniosłem brwi. – Nie?

Sewerus pokazał ruchem głowy wiadomość, którą trzymałem.

– Wiem, co Silanus tu napisał. Reszta to tylko spekulacje – skrzywił się. – A ja

nie lubię zgadywanek.

Zgrzytnąłem zębami. Ten pretorianin i ja pokłócimy się szybciej, niż przewidywałem.

– Prefekcie! Więcej jeźdźców!

Obróciłem się w stronę, z której rozległ się krzyk. Jeden z moich żołnierzy wskazywał na zachód.

Moim oczom ukazała się długa kolumna jeźdźców zbliżających się ku nam miarowo. Słońce połyskiwało na ich hełmach i kolczugach. Z liczenia zwiadowców i straży bocznej jadącej równoległe do głównego oddziału wyszło mi jakieś sześćdziesiąt ludzi.

Sewerus pokiwał głową z satysfakcją. Wskazał na obramowany złotymi frędzlami zielony proporzec powiewający u czoła kolumny.

– To twoi żołnierze, prefekcie. Szybko jadą. – Obrócił się ku mnie z dłonią na rękojeści miecza. – Teraz możemy zrobić to, co trzeba.

– Co proponujesz? – zapytałem cicho.

Po raz pierwszy oficer pretorii był zdziwiony.

– To chyba oczywiste?

– Nie dla mnie.

Popatrzył na mnie badawczo, a potem skinął na wioskę na wzgórzu.

– To proste. Zabieramy oddziały do tej wioski tam. Ukrzyżujemy wszystkich Żydów. Kobiety i dzieci bierzemy w niewolę. Zarzynamy zwierzęta. A potem równamy z ziemią każdy dom i stodołę.

– W jakim celu?

– Żeby przywrócić strach przed Rzymem wśród tych Galilejczyków, oczywiście.

– Sewerus spojrział na mnie. – Znasz politykę tak samo jak ja. Nikt nie morduje rzymskiego obywatela, a co dopiero senatora i konsula, i odchodzi bezkarnie.

– Znam politykę – zgodziłem się. – Ale nie wiem dokładnie, co tu się stało, żeby

niszczyć tę wioskę. Przynajmniej nie teraz.

Oficer pretorii prychnął:

– Ta masakra zdarzyła się na ich ziemi. Czego ci więcej potrzeba?

– Dowodu ich winy na początek.

– Dowodu? – Sewerus pokręcił głową. – Rozejrzyj się, prefekcie. To prawdziwy świat, a nie jakiś wyłożony marmurem sąd w Rzymie. Tu nasza władza opiera się na jednym. Na sile. Nic więcej. Jeżeli okażemy słabość, będziemy skończeni.

Pokręciłem głową.

– A co ze sprawiedliwością, centurionie?

– Sprawiedliwość? – przybrał groźny ton. – Czym jest sprawiedliwość? Czy moi ludzie potraktowani zostali sprawiedliwie?

Nic nie odpowiedziałem.

Podszedł bliżej.

– Teraz albo ty wydasz rozkaz zniszczenia tej wioski, albo ja to zrobię!

Uśmiechnąłem się krzywo. I to by było tyle, jeżeli chodzi o podjętą przez Germanika próbę znalezienia mi bezpiecznego stanowiska w zapadłej dziurze. Spojrzałem na Sewerusa i spokojnie powiedziałem:

– Ja tu dowodzę, centurionie. Nie ty.

Jego twarz o kwadratowej szczęce pokryła się ciemną czerwienią, co uwydatniło starą bliznę w poprzek policzka.

– Zamierzam odnaleźć i ukarać tych, którzy zamordowali Silanusa, jego służbę i twoich ludzi – ciągnąłem. – I nie popełnić błędu. Jeżeli ci wieśniacy brali udział w tym morderstwie, zapłacą za to wysoką cenę. Ale nie przyjmę ich winy za pewnik. I nie ukarzę niewinnych tylko po to, żeby wywołać strach u winnych.

Sewerus wpatrywał się we mnie długo. W końcu ponuro potrząsnął głową.

– Masz odwagę, chłopcze, ale nie masz głowy. – Wzruszył ramionami. – Zapamiętaj to sobie, Aureliuszu Walensie. Imperator nie ceni sobie tych, którzy

przeciwstawiają się jego woli. A jeżeli Tyberiusz sobie czegoś nie ceni, to szybko się tego pozbywa.

Rozdział X

Weszliśmy z całym wojskiem do Nazaretu.

Licząc posiłki z Cezarei, przyzwane przez Sewerusa, miałem teraz około osiemdziesięciu kawalerzystów do dyspozycji: rekrutów, których przywiozłem z Antiochii, oraz prawie sześćdziesięciu doświadczonych żołnierzy, podzielonych na trzy oddziały – Pierwszy, Piąty i Siódmy. Nowych i ich służbę nadzorował Arystydes. Dostali rozkazy zebrania ciał i przeczesania lasu w poszukiwaniu śladów zostawionych przez zabójców.

Aedan i zaprawieni w bojach żołnierze wjechali ze mną do wsi. Dołączył do nas Paweł jako tłumacz. Sewerus, astrolog Araneusz i czterech pretorian, którzy przeżyli, zamykali kolumnę.

Ulice były wąskie, właściwie to raczej niebrukowane przejścia. Wiły się pomiędzy prymitywnymi domami zbudowanymi z ciemnych, ledwo ociosanych kamieni. Niektóre nie były niczym więcej jak wykopanymi we wzgórzu i ogrodzonymi pieczarami, by mogły służyć za prymitywne domostwo lub stajnię dla zwierząt. Wszystkie drzwi, które mijaliśmy, były zamknięte na głucho. Nie widzieliśmy nikogo z miejscowych. Najwyraźniej wiadomość o naszym przybyciu prędko obiegła osadę.

Nieopodal środka Nazaretu rozciągał się zbity labirynt domów, który otwierał się na nierówny plac wokół małej fontanny. Ta fontanna, zasilana przez strumień płynący ze stoku, wyglądała na główne źródło wody we wsi. Wąski kanał odprowadzał nadmiar wody w dół wzgórza, ku lasowi, w którym znaleźliśmy Silanusa i jego świtę.

Obróciłem się do Aedana.

– Tu poczekamy.

Skinął potakująco.

– Dobry wybór. Kontrolujemy wodę, więc będą musieli wyjść i z nami rozmawiać.

Nie potrwało to długo.

W ciągu kilku minut drzwi wychodzące na plac zaczęły się otwierać. Patrzyły na nas gromady milczących mężczyzn, kobiet i dzieci. Wyglądali na przerażonych.

Starszy człowiek z gęstą siwą brodą i długimi powiewającymi włosami wyszedł z jednego z większych domów i podszedł do nas wolno. Podjechałem Tancerką na spotkanie, z Pawłem na mule u boku, w razie gdybym potrzebował tłumacza. Sewerus opuścił koniec kolumny i też do nas dołączył. Ukryłem irytację. Czterech jego ludzi zostało zamordowanych i centurion pretorii ma prawo słuchać tej rozmowy.

Zatrzymałem się tuż przed wieśniakiem. Chyba obawiał się mojego konia. Cofnął się trochę. Znowu podjechałem, lekko dotykając Tancerki piętami. Nie byłem tu po to, by ten Galilejczyk czuł się bezpiecznie.

Tym razem stary człowiek się nie ruszył.

– Mówisz po grecku? – zapytałem.

Skinął nieufnie.

– Trochę. – Głębokie bruzdy, wyłobione troską i znojem, otaczały jego brązowe oczy. – Panie, nazywam się Mateusz. Jestem jednym z nazaretańskiej starszyny i głową naszego zgromadzenia.

– Jestem Lucjusz Aureliusz Walens – powiedziałem cicho. – Dowodzę Trzecim Galijskim Regimentem Kawalerii. Służymy cesarzowi Tyberiuszowi i obywatelom Rzymu.

– Rzymianie? – wydawał się zaskoczony, ale niespecjalnie zmartwiony. – Dlaczego przyjechaliście do naszej wioski?

– Jestem tu z powodu Decymiusza Juniusza Silanusa – uważnie go

obserwowałem, żeby zobaczyć, jak zareaguje.

Mateusz tylko skinął spokojnie głową.

– Oczywiście.

Nachyliłem się w siodle.

– Znasz zatem to nazwisko?

– Ten rzymski arystokrata? Tak, naturalnie.

– Skąd?

– Ponieważ ten człowiek i jego ludzie przyjechali do Nazaretu dwa dni temu – powiedział Mateusz. – A przedtem całe wzgórza huczały od plotek o jego podróży po tej ziemi. – Uniósł ramiona. – Jesteśmy biednymi ludźmi. Żyjemy prosto. Wiadomości o rzymskim senatorze, odzianym w bogate szaty, z dumnymi żołnierzami i niewolnikami w świetle, rozchodzą się szybko.

Skinąłem na znak, że rozumiem, i zapytałem:

– Jak długo Silanus i jego świta przebywali w twojej wiosce?

Mateusz nie wahał się.

– Jedną noc. Wyjechali wczoraj po południu.

Zaskoczony tą odpowiedzią Paweł zaczął coś mówić, ale uciszyłem go gniewnym spojrzeniem. Skupiłem się znowu na starszym mężczyźnie:

– A gdzie potem pojechali?

Mateusz pokręcił głową.

– Nie powiedzieli. Widziałem, jak senator i jego towarzysze kierują się na północny zachód ku Seforis, ale tam leży kilka innych wsi. – Rozłożył ręce. – Może wrócili do miasta.

– Nie widzieliście ich od tego czasu?

– Nie.

Tym razem Sewerus próbował mi przerwać. Podjechał bliżej.

– Dość – warknął. – Ten stary Żyd kłamie i ty o tym wiesz.

Przerwałem mu szorstkim gestem.

– Nie teraz, centurionie!

Twarz pretorianina poczerwieniała, ale milczał.

Odwróciłem się do Mateusza, który przeniósł wzrok z Sewerusa na mnie z rosnącym niepokojem. Pewność siebie, którą wcześniej w nim widziałem, teraz prawie znikła.

– Dlaczego Silanus przyjechał do Nazaretu? – zapytałem go.

Mateusz szarpał niespokojnie brodę.

– Tego nie wiem. Nie wyjaśnił powodów swojej obecności ani mnie, ani nikomu ze starszyny. Mogę tylko powiedzieć, co robił wśród nas.

– Czyli? – zażądałem.

– Zadawał wiele pytań – odrzekł powściągliwie. – Dziwnych pytań.

Na przykład: Jakie są główne rodziny w Nazarecie? Skąd pochodzą? Czy wszyscy, którzy tu mieszkają, urodzili się we wsi?

Uniosłem ze zdziwienia brwi, ponownie przyglądając się otaczającej nas garstce prymitywnych domów. Choć było tu dużo czystiej niż w niektórych osadach, jakie widziałem w Germanii, a nawet w niektórych regionach Italii, to miejsce było małe i wyraźnie ubogie. Czemu bogaty, potężny człowiek, taki jak Silanus, mógł w ogóle sądzić, że ta wioska, lub inne na tych wzgórzach, go zainteresuje. Niejeden z jego niewolników prowadził lepsze życie niż najzamożniejszy wieśniak w Nazarecie.

– I podaliście mu informacje, których szukał?

– Bardzo się staraliśmy. – Widać było, że Mateusz starannie dobierał słowa.

Wątpiłem, czy senator znalazł wielu wieśniaków, którzy udzielili mu wyczerpujących informacji. Widziałem to już wcześniej. Mieszkańcy osad byli zbyt słabi i biedni, by otwarcie przeciwstawić się możliwym, ale zawsze mogli się uciec do ignorancji.

Oczywiście, ta sama taktyka mogła utrudniać moje dochodzenie w sprawie

śmierci Silanusa. Zaniepokojony tą myślą, poruszyłem się w siodle. Jeżeli znajdzie taka potrzeba, do prawdy w Nazarecie będę musiał przebić się mieczem, bez względu na to, ile cierpienia wyrządzi to jego mieszkańcom.

– Dlaczego ten oficer – Mateusz wskazał na Sewerusa – uważa, że kłamię, mówiąc, że senator wyjechał stąd i nie wrócił? – w jego głosie słychać było obawę.

Uznałem, że pora zdjąć maskę.

Pochyliłem się, patrząc w zmartwione brązowe oczy starego.

– Z prostego powodu. Decymiusz Juliusz Silanus, jego żołnierze i jego służba, nie żyją, a ich ciała leżą na waszej ziemi.

Krew odpłynęła z jego brodatej twarzy. Ochrypłym głosem zapytał:

– Gdzie?

Wskazałem w dół wzgórza, ku ocienionemu zagajnikowi, kilkaset kroków dalej.

– Tam, wśród drzew i cierni.

Mateusz zadrżał.

– Przysięgam na Najwyższego, że nie zabiliśmy tych ludzi ani nic nie wiemy o ich śmierci!

– Naprawdę sądzisz, że w to uwierzę, gdy znalazłem dziesięciu zamordowanych ludzi tak blisko waszych domów i pól?

– Ale my nigdy tam nie chodzimy... do tego miejsca – jękał się. – To nieużytek, bezwartościowy dla człowieka i zwierzęcia.

– Teraz kłamiesz – powiedziałem obcesowo. – Ujęliśmy człowieka uciekającego z tamtego lasu. To nazaretańczyk imieniem Nahum. On zaprowadził nas do ciała.

Mateusz wydawał się naprawdę zaskoczony tymi wieściami.

– Nahum? – Roztrzęsiony pokręcił głową. – Nahum to szanowany rolnik, ma czterech synów i córki. Dlaczego miałby tam iść, zwłaszcza podczas żniw?

– To jedna z rzeczy, których zamierzam się dowiedzieć. W taki sposób, jaki uznaję za konieczny.

Odwrociłem się w siodle. Robiło się późno. Postanowiłem przeszukać okolice, zanim zrobi się ciemno. Dalsze wypytywanie tego człowieka albo reszty wieśniaków może poczekać. Być może więcej czasu pod zimnymi spojrzeniami tylu żołnierzy rozwiąże kilka języków.

Zwróciłem się do Mateusza:

– Rekwiruję kwatery dla moich oficerów i trzydziestu żołnierzy. Pięć domów powinno wystarczyć. Reszta moich żołnierzy rozbije nieopodal obóz. Dostarczycie nam jedzenia oraz paszy dla koni i jucznych zwierząt.

– Na jak długo? – wyszeptał.

– Na tyle, ile zajmie mi odkrycie prawdy o tych morderstwach – powiedziałem ponuro.

Choć to nie do uwierzenia, Mateusz zbladł jeszcze bardziej. Przyjrzał się jeźdźcom za mną, licząc prędko pod nosem.

– Ledwie nam starczy na przetrwanie zimy. Jak mamy wykarmić tylu ludzi?

Rozumiałem jego rosnącą panikę. Jak wielu biednych rolników, ci żydowscy chłopcy prawdopodobnie żyli od żniw do żniw, zbierając tyle jedzenia, by zapłacić podatki i samemu się wyżywić, jeżeli mieli szczęście. Z pewną trudnością zdusiłem w sobie wątpliwości. Sewerus mylił się, chcąc zabić wieśniaków bez dowodu winy, ale w jednym miał rację – nie należy okazywać słabości.

Ruszyłem na Tancerce, okrążając Mateusza i zmuszając, by obracał się w moim kierunku.

– Zrozum mnie, Galilejczyku. Moją troską jest znalezienie tych, którzy zamordowali senatora i jego ludzi. Jeżeli ty i twój lud nie macie nic wspólnego z tą zbrodnią, to stanowczo radzę wam się modlić do swojego boga, żeby mi się udało. Bo jeżeli poniosę klęskę, głód jest ostatnią rzeczą, o jaką musicie się martwić. Czy to jasne?

Patrzył na mnie w milczeniu, ze łzami wzbierającymi w oczach.

Nagle poczułem się zawstydzony.

Potem, zły na siebie za to, że zrobiło mi się żal tych nieszczęsnych prowincjuszy, zawróciłem konia i pogalopowałem ku moim żołnierzom. Spełnię tu swój obowiązek, bez względu na to, jak bolesne to się okaże.

– Dekurioni i zastępcy, do mnie! – krzyknąłem, przywołując dowódców i ich oficerów z trzech oddziałów, które przyprowadziłem do wioski.

Zsiedli z koni i zebrali się wokół mnie. Żałowałem, że nie mam czasu poznać lepiej tych ludzi, zanim pošlę ich do akcji, ale to musiało poczekać.

– Weźcie swoich ludzi i przeszukajcie we wsi każdy dom. Wszystkie stajnie. Każdy magazyn ziarna i cysternę z wodą. Wszystkie zakamarki! – rozkazałem. – Pierwszy oddział zaczyna od zachodu. Piąty od północy. Siódmy od wschodu. Spotkacie się tu w środku. Jasne?

Oficerowie przytaknęli.

– Znacie zasadę – ciągnąłem – szukacie bogatych strojów: starannie tkanych tunik, togi lub wojskowego płaszcza. Szukacie zbroi lub broni. Dużych ilości monet lub pierścieni i innej biżuterii. Czegokolwiek, co mogło należeć do senatora, jego niewolników lub pretorian. Jasne?

Pomruk zgody.

– Bądźcie dokładni. Ale nie rozbijajcie drzwi i nie niszczone mebli, jeśli nie musicie. – Popatrzyłem na nich twardo i zapowiedziałem, że nie będę tolerować żadnego plądrowania. Każdy przyłapany na kradzieży, zostanie wychłostany.

Kilku młodszych Celtów wyglądało na rozczarowanych. Wielu żołnierzy, zwłaszcza z oddziałów pomocniczych, formowanych spośród podbitych plemion, uważało akcje odwetowe za okazję do uzupełnienia żołądka. Ozdóbki, przedmioty gospodarstwa domowego, dzbany z winem i inne małe, cenne rzeczy miały zwyczaj zniknąć, kiedy oddziały przeszukiwały domy.

Starsi jednak pokiwali mądrze głowami. Ci wieśniacy już niemal wpadli w

popłoch. Ograbienie ich tylko wywoła kłopoty.

– Jeżeli znajdziecie coś podejrzanego, aresztować właściciela. Potem przyprowadzicie go do mnie. Zrozumiano?

Znowu potaknęli.

– Jeżeli ktoś się będzie opierać, chcę go żywego – skończyłem. – Potrzebuję więźniów do przesłuchiwania, nie kolejnych trupów. A teraz, do roboty!

Oficerowie rozbiegli się do swoich oddziałów, każdy wywrzaskując rozkazy, które rozsyłały grupki żołnierzy do akcji. Rozproszyli się oni po uliczkach. Ogłuchłem na dźwięk rękojeści mieczy uderzających o drzwi oraz gwałtowne zawodzenie kobiet i dzieci wyganianych na zewnątrz.

Mieszkańców Nazaretu czekają ciężkie chwile. Część mnie ich żałowała. Równie dobrze mogło być dużo gorzej. I jeszcze może tak być.

Mój wzrok padł na Sewerusa i jego towarzyszy. Centurion już zsiadł z konia. On i jego żołnierze spokojnie poili konie w fontannie. Astrolog Araneusz stał kawałek dalej sam, najwyraźniej przypatrując się niebu.

Zeskoczyłem z siodła i wręczyłem wodze Tancerki Komiuszowi, służącemu Aedana. Dekurion zrobił to samo, Paweł również. We trzech podeszliśmy do centuriona.

Sewerus podniósł wzrok na nasz widok.

– Takie przeszukanie to daremny trud, Walensie. Ci Żydzi mieli mnóstwo czasu, żeby ukryć łupy tam, gdzie nawet twoi Galowie o lepkich palcach ich nie znajdą.

Zignorowałem przytyk.

– Jestem otwarty na propozycje – powiedziałem spokojnie. – Gdzie jeszcze powinniśmy szukać?

Sewerus ruchem głowy wskazał stok na północy wioski. Kilka wielkich, bielonych głazów blokowało wejścia do jaskiń i innych otworów zrobionych w zboczu.

– Na początek tam.

Paweł był oburzony.

– To są grobowce! Otwarcie ich przyniesie ci hańbę i zbezczęści zmarłych.

Centurion uśmiechnął się cierpko.

– A czemu uważasz, że bandyci i mordercy wierzą w twoje przesady, chłopcze? –

Odwrócił się i nachylił, żeby poluzować popręg przy siodle.

Zerknąłem na Aedana.

– Kiedy tu skończymy, weź patrol do tych jaskiń i grobowców. Daj znać, jeżeli znajdziecie ślady wskazujące na to, że były otwierane niedawno.

Wysoki Celt skinął głową. Wiedziałem, że mogę zaufać jego rozsądkowi. Po dziesięciu latach w Judei nie będzie zalecać pogwałcenia żydowskich zwyczajów pogrzebowych bez istotnego powodu.

Sewerus zerknął na mnie przez ramię.

– Kiedy tu skończycie? Co to znaczy? Dałem ci moją radę. Czego chcesz więcej?

– Odpowiedzi – oświadczyłem stanowczo. – Słyszałeś, co powiedział stary Galilejczyk. Teraz ja chcę wiedzieć, co robił tu Silanus.

– A ja ci mówiłem, że nie bawię się w zgadywanki – warknął Sewerus. Dźwignął siodło z końskiego grzbietu.

– Dowodziłeś tą grupką pretorian. Z tego względu raczej trudno uwierzyć, że nie wiedziałeś o jego misji.

– Och, wiem, czemu Tyberiusz wysłał go na wschód – uspokoił się centurion. Położył siodło na ziemi, po czym wyprostował się i obrócił do mnie. – Ale nie widzę, żeby ten jego idiotyczny wypad do Galilei miał cokolwiek wspólnego z rozkazami, które dostał.

– Jakie były te rozkazy?

Sewerus zmierzył mnie wzrokiem, patrząc na mnie z góry. Milczał.

– Decymiusz Juniusz Silanus nie żyje. Jego misja, tajna czy nie, się zakończyła –

zwróciłem mu uwagę. Czuję, że zaraz stracę cierpliwość. – Pytam cię jeszcze raz, centurionie. Jakie rozkazy dostał senator?

– Najpierw odeślij chłopaka – powiedział znacząco pretorianin. – Wytyczne imperatora były poufne.

Odwróciłem się do Pawła i poprosiłem, żeby poczekał na mnie przy wejściu do domu Mateusza. Popatrzył na mnie spode łba, ale posłuchał, tupiąc wściekły swoimi krótkimi niezgrabnymi nogami.

Wróciłem spojrzeniem do Sewerusa.

– Zatem?

– Cesarz martwi się, że gdzieś na wschodzie zanosi się na bunt – powiedział cicho. – A jeżeli nie bunt, to może jakiś spisek polityczny przeciwko niemu. Raporty docierające do Rzymu nie były szczegółowe.

– Raporty od kogo?

Sewerus pokręcił głową.

– Tego nie wiem. A nawet gdybym wiedział, tobym ci nie powiedział. – Uśmiechnął się blado. – Mój dowódca, Eliusz Sejanus, nie zwykł rozgłaszać imion swych agentów.

Uznałem to za prawdopodobne. Według pogłosek, prefekt straży pretoriańskiej, Sejanus, miał sieć szpiegów i innych płatnych informatorów, którzy zajmowali się tropieniem różnych zagrożeń dla Tyberiusza i imperium.

Rozumiałem obawy imperatora o swoje bezpieczeństwo. August umarł we własnym łóżku, ale od prawie wieku był pierwszym wielkim Rzymianinem, któremu się to udało. Pompejusz Wielki, Juliusz Cezar i Marek Antoniusz zginęli śmiercią gwałtowną, kolejno przez morderstwo, zamach i samobójstwo.

Jednakże nie dbałem zbyt o to, co słyszałem na temat działań prefekta pretorii. Za bardzo trąciły intrygą i mętnymi knowaniami typowymi dla starych wojen domowych.

– Więc Silanus sprawdzał te raporty dotyczące konspiracji lub buntu – powiedziałem powoli.

– Zgadza się – potwierdził Sewerus. – Senator był potężnym człowiekiem – jedynym, który miał osobiste i polityczne koneksje na całym wschodzie. Podejrzewam, że miał własnych agentów w Antiochii, Cezarei i Jerozolimie. Bogowie wiedzą, że spędziliśmy mnóstwo czasu, wędząc w tych miejscach.

To było dość logiczne i z pewnością pasowałoby do plotek, które słyszałem w Antiochii. Dotykało także kłopotliwej kwestii. Zarówno Pizon, jak i Agrypina byli bardzo zaniepokojeni odmową senatora, by wyjaśnił swoje działania. Ilu jeszcze osobom: w Syrii lub Judei czy tu, w Galilei, działało na nerwy to, czym się zajmował?

Ale teraz martwiło mnie bardziej coś innego.

– Mam jeszcze jedno pytanie, Emiliuszu Sewerusie.

– Naprawdę? – drgnął mu prawy kącik ust. – Tylko jedno? Zdziwiasz mnie, Walensie.

Oparłem się pokusie ofuknięcia go.

Pomyślałem, że zaczynam lepiej rozumieć tego pretorianina. Sewerus był agresywny, zarówno na wojnie, jak i w życiu. Przybył do Nazaretu, spodziewając się, że będzie dowodził czymkolwiek, co się będzie działo. Jednak przewyższałem go stopniem i wykorzystałem moją rangę, by wydawać rozkazy, które uważał za głupie. Jego nieustanne słowne zaczepki miały wytrącić mnie z równowagi, żeby mógł jakoś odzyskać inicjatywę.

Był tylko jeden możliwy sposób na to, by sobie z nim poradzić. Musiałem powściągać swój temperament, jakkolwiek trudne by to było.

– Mów zatem dalej – powiedział niecierpliwie centurion.

– Dlaczego nie byłeś z senatorem, kiedy zginął?

– Ponieważ spełniałem polecenia – odpowiedział bezbarwnym tonem.

Popatrzyłem pytająco:

– Czyje?

– Senatora.

– Wyjaśnij to.

Sewerus wzruszył ramionami.

– To nic trudnego. Silanus wysłał mnie do Cezarei, żebym naradził się z prokuratorem, jego doradcą i niektórymi z dowódców tetrarchy Heroda. Chciał, żebym przygotował szczegółowy raport na temat sytuacji militarnej w Judei i Galilei: wielkości oddziałów, zapasów, stanu fortyfikacji i tym podobnych spraw.

To miało sens. Jeżeli Tyberiusz obawiał się buntu, potrzebowałby wszystkich możliwych informacji, by dokładnie ocenić niebezpieczeństwo i zaplanować sposób działania.

– Z tego, co ostatnio słyszałem, Silanus i reszta nadal byli w Jerozolimie – ciągnął Sewerus. Zmarszczył brwi. – I sądziłem, że nadal tam są, dopóki nie otrzymałem wiadomości z prośbą o pomoc.

To mi o czymś przypomniało.

– Kto wiózł wiadomość?

– Mój człowiek – Centurion wskazał ruchem głowy jednego z czterech pretorian rozsiadających konie. – Ten. Proklus.

Przyjrzałem się owemu żołnierzowi. Proklus zrobił na mnie wrażenie krzepkiego osobnika, który poradzi sobie w każdej walce, ale nie budzi szczególnego zaufania, jeśli chodzi o zalety umysłu.

– Czy on wie coś o tym, co robił Silanus albo dlaczego chciał wojska?

– Nie. Pytałem. Wszystko, co wie, to to, że większość z czterech dni Silanus spędził najeździe po okropnych wioskach w tej części Galilei. Nazaret nie różni się specjalnie od innych chlewów, jakie już widzieli.

Zmarszczyłem się.

– Porozmawiaj z nim, jeżeli musisz. Jeśli dowiesz się czegoś więcej, złamię swoją łaskę na kolanie i wycofam się do posiadłości, którą obiecał mi cesarz.

Prychnąłem.

– Nie za bardzo wyglądasz na gospodarza.

Oficer odsłonił zęby w złośliwym, okrutnym uśmiechu.

– Bo nim nie jestem.

Skinąłem głową. Większość doświadczonych żołnierzy niecierpliwie czekała na przyznanie ziemi, którą im obiecano po skończeniu służby. Dobrze prosperująca posiadłość oznaczała stabilność i zabezpieczenie na starość. Ale ten pretorianin, jak wielu mu podobnych, miał większe marzenia. Przykładna służba w gwardii może otworzyć drzwi ku coraz wyższym stanowiskom wojskowym i politycznym.

Stałem, rozmyślając. Wszystko, co usłyszałem, pasowało do siebie. Jednak nie wyjaśniało, dlaczego znaczący i potężny rzymski senator jak Silanus tracił czas, włóczęc się po Galilei i zadając dziwne pytania o pochodzenie żydowskich chłopów.

Kątem oka zauważyłem szkarłatny i czarny jedwab. Araneusz, astrolog i mag, skończył obserwację nieba i teraz chodził w tę i z powrotem po placu, zatrzymując się tu i ówdzie, by zajrzeć uważnie do stojących w pobliżu domów.

– A ten czarnooki okultysta tam? – zapytałem Sewerusa. – Zostawiłeś go w Jerozolimie z senatorem?

– Ta dziwaczna istota? – Sewerus nachmurzył się. – Nie. Pojechał ze mną do Cezarei.

– Po co?

Sewerus pokręcił głową.

– Sam go o to zapytaj. Staram się nie mieć nic wspólnego z tymi wygłupami.

Zbliżyłem się do Araneusza wraz z Sewerusem i Aedanem, idących za mną.

Wróż popatrzył na mnie ze zdziwieniem, kiedy zadałem mu swoje pytanie.

– Z Decymiuszem Juniuszem Silanusem? Dlaczego miałbym zostać w jego

towarzystwie?

– Służyłeś mu chyba? Powiedziałbym, że przyjęte jest, iż służący towarzyszy swojemu panu.

– Służyć mu? Temu kawałkowi zwykłej gliny? Nigdy! – zaśmiał się nieprzyjemnie Araneusz. – Służę Trazyłowi, a przez niego waszemu imperatorowi.

Trazył? Zerknąłem na Sewerusa.

– Osobisty astrolog cesarza Tyberiusza. – Pretorianin zacisnął usta. – Ten typ jest jego pieczeniarem co najmniej od piętnastu lat.

Wyjaśniało to, jak Araneusz obszedł dekrety skierowane przeciwko astrologii i magii. Bez wątplenia, ustawodawstwo zawierało mały kodycył wykluczający domostwo cesarza.

– Przybyłem na wschód, żeby dla mojego pana sprawdzić starożytne rejestry cudów i zapowiedzi – oznajmił Araneusz. – Ten stary żydowski król, Herod Wielki, zgromadził w swoim pałacu w Cezarei cenne pisma. Podróżowałem tam, by je przestudiować. – Żachnął się. – Wygodnie mi było przyłączyć się do orszaku senatora. Jego błahe sprawy polityczne nie miały znaczenia w porównaniu z ogromną pracą, jakiej się podjąłem.

– Te „błache sprawy polityczne” mogły być przyczyną jego śmierci – zauważyłem ponuro.

Mag wzruszył ramionami, by pokazać, że to go nie interesuje.

– Oczy Silanusa już wcześniej nie widziały. Teraz są ślepe na wieczność. Jego dusza wyszła. Teraz jest tylko pyłkiem unoszącym się na wietrze wieczności. Jego los został postanowiony tysiące lat przedtem, nim matka go urodziła, a jego śmierć tyle znaczy, co śmierć mrówki zgniecionej stopą małego dziecka.

Wbrew sobie zadrzałem.

Nauczyciele, którzy próbowali mi wbić w dzieciństwie do głowy filozofię stoików, chwalili nauki astrologiczne. Przeznaczenie, na które nie mamy wpływu,

można wyczytać w gwiazdach, mówili. Pozostając bardziej pod wpływem sceptycyzmu Arystydesa niż żarliwości opiekunów, miałem co do tego wątpliwości. Lecz teraz coś z absolutnej pewności w głosie tego człowieka sprawiło, że przeszły mnie ciarki.

Nie byłem jedyny. Dostrzegłem, że dłoń Aedana szybko sięgnęła do amuletu przedstawiającego Eponę, który nosił na szyi.

Tylko Sewerus nie stracił pewności siebie. Plunął na ziemię.

– Gwiazdy świecą na niebie, nic więcej. – powiedział lodowato. – Człowiek sam odpowiada za swój los, a przynajmniej mój leży w moich własnych rękach.

Jego słowa sprawiły, że czar prysł, jeżeli to właśnie było to, co odczuliśmy.

Dwie czerwone plamy pojawiły się na bladych policzkach astrologa. Czarne oczy załśniły, ale milczał.

Wypuściłem powietrze z płuc. Miałem zimne ręce, lecz pierścień dziadka był dziwnie ciepły.

Później, kiedy byliśmy zbyt daleko, by ktoś nas usłyszał, Aedan gwizdnął cicho.

– Niezła z nich parka. No, ten pretorianin i ten tyczkowy czarownik. – Wykrzywił się teatralnie. – Możesz sobie wyobrazić, że musiałbyś spędzać dużo czasu z którymś z nich? Niemal mi żal tych wielkich pacanów, co tam stoją, tych paradnych gwardzistów, a to wymaga pewnego wysiłku, mówię ci.

Uśmiechnąłem się z grzeczności na tę myśl.

Sewerus i astrolog. Rozmyślałem nad tym, czego się dowiedziałem i co zobaczyłem. Aedan miał rację. Stanowili dziwną parę. Ale z polecenia Cezara na wschód przyjechało trzech ludzi – nie dwóch. Pierwszy – dumny, mściwy żołnierz. Drugi – okultysta nie z tej ziemi, skupiony bardziej na gwiazdach nad głową niż na rzeczywistości dookoła. I ostatni, Decymiusz Juniusz Silanus, potężny, cyniczny polityk, któremu imperator nakazał tropić potencjalnych buntowników lub spiskowców nastających na jego życie.

Wpatrywałem się w tę maleńką wioskę i po raz kolejny zastanawiałem się, co mogło tu przywieść Silanusa – tak daleko od czegokolwiek, co miało prawdziwe znaczenie.

Rozdział XI

Przeszukanie wioski nie przyniosło żadnych obciążających dowodów.

Jeden dekurion za drugim podchodzili z raportami. Każdy przyniósł przedmioty, które jego żołnierze uznali za istotne. Wśród znalezisk była pewna liczba noży noszonych przy pasie, wszystkie miejscowej produkcji, misternie tkany materiał z frędzlami, w którym Paweł rozpoznał szal modlitewny, oraz kilka garści brązowych i srebrnych monet wybitych przez Heroda Antypasa. Jediną odnalezioną bronią było parę włóczni, proce i małe łuki używane przez pasterzy do odpędzania wilków. Szczególnie uważnie przyjrzałem się strzałom, ale żadna nie pasowała do tej, która była w ciele pretorianina znalezionego w krzakach. Nawet Sewerus musiał przyznać, że nie widzi niczego, co mogłoby należeć do senatora lub innych zamordowanych.

Kiedy skończyliśmy sprawdzać skonfiskowane rzeczy, kazałem Aedanowi położyć je na kocu na głównym placu.

– Pozwól wieśniakom przyjść i odebrać to, co do nich należy.

Sewerus zaśmiał się.

– To będzie zabawne. Powinniśmy zobaczyć jakieś awanturki pomiędzy nimi.

Paweł nachmurzył się i potrząsnął głową.

– Tak się nie stanie. Przekonasz się, Emiliuszu Sewerusie. Nasze podstawowe prawa: Przykazania dane nam przez Najwyższego, zabraniają kradzieży. My, Żydzi, nie kradniemy.

Centurion Pretorii tylko zachnął się i odszedł.

W głębi duszy miałem wątpliwości. Chłopiec z Tarsu niezwykle cenił swój lud i ich prawa, ale ludzka natura to ludzka natura. Niektórzy nie są w stanie oprzeć się pokusie wzbogacenia się kosztem innej osoby.

Wydarzenia jednak usprawiedliwiały wiarę Pawła. Nazaretańczycy przychodzili

na plac pojedynczo lub dwójkami, poważni i zdenerwowani przy tyłu żołnierzach dookoła. Każdy szybko i w milczeniu zabierał swoje rzeczy. Jeżeli były jakieś kłótnie lub spory co do prawa własności, to działo się to dyskretnie.

Jedno było jasne. Jeżeli ci ludzie obrabowali Silanusa i jego towarzyszy z ubrań, broni i biżuterii, nie ukryli łupu w wiosce ani też w żadnym oczywistym miejscu nieopodal.

Tak jak nakazałem, Aedan wziął patrol, by przyjrzeć się grobom i pieczarom poza Nazaretem. Wrócił z niczym i zameldował, że wszystkie są zapieczętowane i nic nie wskazuje na to, żeby je ostatnio otwierano.

Niewiele więcej dało przeszukanie lasu, w którym zamordowano Silanusa i jego ludzi. Prowadzeni przez Arystydesa rekruci przeczesali cały teren, zanim zrobiło się ciemno. Głównym znaleziskiem była sterta rzeczy porzuconych przez Nahuma, kiedy uciekał w panice: pęknięty dzban, w którym wcześniej było wino, okrągły bochenek jęczmiennego chleba i szorstki wełniany koc. Nie odkryto niczego, co należało do Silanusa lub pozostałych.

Nadal więziliśmy Nahuma. Ciągłe nie był w stanie podać sensownego wyjaśnienia dla swojej dziwnej wizyty w lesie. Nie byłem pewien, co to oznacza, ale zamierzałem się tego dowiedzieć. Jedno, czego nie chciałem, to, aby wieśniak wymyślił jakieś wiarygodne kłamstwo do spółki z sąsiadami lub krewnymi. Nakazałem więc trzymać go w obozie, który moi żołnierze rozbijali na niskim wzniesieniu, tuż na zachód za Nazaretem.

Stawiano równe rzędy skórzanych namiotów – każdy w stanie pomieścić ośmiu ludzi i ich ekwipunek. Konie przywiązano do sznurów rozciągniętych pomiędzy palikami wbitymi w ziemię. Wartownicy zostali rozstawieni w rogach obozu i w miejscach, z których był dobry widok na każde możliwe dojscie. Wodę dla ludzi i zwierząt mogliśmy brać ze strumienia płynącego u podnóża wzniesienia.

Nie było idealnie, ale do wytrzymania.

Wiedziałem, że bez rowu lub palisady obóz nie wytrzyma zdecydowanego ataku. Lecz moje celtyckie gorące głowy nie miały temperamentu do kopania, nie takiego jak legioniści. Jak większości oddziałów kawalerii, naszą prawdziwą bronią była ruchliwość, a nie fortyfikacje. Odpowiednio wcześnie ostrzeżeni, możemy uciec przez potężniejszymi wrogami – i uprzędzić atak słabszych.

Słońce chyliło się już niemal ku zachodowi, kiedy pojawiłem się w obozie.

Złożyłem pierwszą wizytę starszemu dekurionowi, przysadzistemu, barczystemu oficerowi. Człowiek ten był kuzynem starego prefekta Trzeciego Regimentu Kawalerii, Sekstusa Gallusa. Przyjął rzymskie imię: Tytus Marcjusz Taedifer. Taedifer, co oznacza „niosący pochodnię” – opisuje zarówno jego wygląd, jak i charakter. Żołnierz o włosach koloru ognia, dobry w walce, lecz nieskory do głębszego namysłu w czasie pokoju.

Było to jasne od chwili, kiedy posiłki z Cezarei spotkały się z rekrutami, których przywiodłem z Antiochii. Kiedy Taedifer zauważył koło mnie Aedana, olbrzymi uśmiech pojawił się na jego szerokiej, piegowatej twarzy. Zwinny mimo swoich rozmiarów, zsunął się z siodła i pośpieszył przywitać starego towarzysza – wyższego, szczuplejszego, jasnowłosego Celta.

– Aedan? – rudowłosy klepnął go w oba ramiona. – Ty draniu! Jesteś ostatnim człowiekiem, jakiego się tu spodziewałem spotkać! Czy antiochijskie kobiety nie były wystarczająco piękne, żeby cię zatrzymać?

Aedan zaśmiał się.

– Och, były świetne: radosne dziewczyny o śmiałych oczach, wszystkie. Ale ważny obowiązek kazał mi wrócić, czy tego chciałem, czy nie.

Potem mnie przedstawił.

Zanim go poznałem, obawiałem się, że Taedifer może mieć za złe, iż nie został dowódcą regimentu. Jako najbliższy krewny starego prefekta, zdecydowanie mógł spodziewać się awansu. Taki był zwyczaj w wielu oddziałach utworzonych ze

sprzymierzonych lub podległych nam plemion. Ale czasy i zwyczaje się zmieniały. Zarówno Germanik, jak i jego stryj, Tyberiusz, chcieli mieć ściślejszą kontrolę nad oddziałami pomocniczymi.

Jednakże wyglądało na to, że starszy dekurion z ulgą przyjął wiadomość, iż ja przejmuję oddział.

– Lepiej ty niż ja, chłopie! Widziałem to ciągle przekładanie zwojów, którym stary Gallus musiał się zajmować. Rejestry wypłat. Formularze o przydział siana. Raport tego. Raport tamtego. – Taedifer pokręcił wolno wielką głową. – Czasami myślę, że wy, Rzymianie, kazalibyście nam notować wszystkie ruchy końskich kiszek, gdybyście mogli. – Wielki Gal wyszczerzył zęby w takim samym uśmiechu, jakim powitał Aedana. – Nie, prefekcie. Wiem, kiedy mi dobrze. Dowodzenie oddziałem mi pasuje. Wskaż mi wroga, a raz-dwa go posiekam. Ale daj mi rylec albo atrament i sztywnieję!

Kilka godzin później starszy dekurion regimentu udawał mi, że wbrew brakom umiejętności administracyjnych nie jest głupcem, gdy przychodzi do taktyki.

Kiedy powiedziałem mu, że chcę rozesłać patrole we wszystkich kierunkach, Taedifer pokiwał głową.

– Słusznie, prefekcie. Ktoś rzucił się na senatora i jego ludzi. Jeżeli to miejscowi, to trzymamy ich za jaja. Ale jeżeli to ktoś inny: bandyci czy buntownicy, powiedzmy, wolałbym ich przyuważyć, zanim zakradną się i utną nam głowy.

– Herod ma wojsko w Seforis – przypomniałem mu. – To tylko kilka kilometrów stąd. Mogą coś wiedzieć o jakichś bandytach grasujących w okolicy.

Taedifer wzruszył ramionami.

– Armia tetrarchy to głównie piechota. Byłem tam kilka razy. Połowa ludzi Heroda nie znalazłaby wyjścia z tawerny w biały dzień. – Klepnął mnie w ramię. – Zostaw to mnie, prefekcie. O brzasku wyślę zwiadowców.

Przekonany, że mogę na nim polegać, skierowałem się do namiotu, w którym był Nahum i strzegący go żołnierze.

Sewerus był tam przede mną.

Wysłałem straż na zewnątrz i zacząłem szczegółowo przesłuchiwać wieśniaka, bombardując go pytaniami. Centurion pretorii stał z założonymi rękoma, niedbale oparty o jedną z podpór. Nic nie mówił, tylko patrzył. Na razie wyglądał na zadowolonego, że ja się wszystkim zajmuję.

Paweł znowu służył za tłumacza. Nie podobało mi się wciąganie chłopaka w tę brzydką sprawę, ale nie było innego wyjścia. Nahum nie mówił po grecku ani po łacinie, a nikt inny w obozie nie znał na tyle dobrze aramejskiego.

– Dlaczego poszedłeś do tego zagajnika? – po raz kolejny domagałem się wyjaśnienia.

Nahum wyjąkał tę samą odpowiedź, co wcześniej.

– Było mi gorąco i byłem zmęczony. Chciałem odpocząć w cieniu.

– Mogłeś znaleźć cień bliżej swoich pól – odwarknąłem. – Czemu tam nie odpocząłeś?

Wieśniak przełknął ślinę.

– Jest pora żniw – wydusił z siebie. – Było za dużo hałasu. Za dużo innych ludzi. Chciałem ciszy. Chciałem być dalej.

– Dalej od własnej rodziny? – nie kryłem sceptycyzmu. – A gdyby synowie potrzebowali twojej pomocy albo rady?

Nahum wyglądał na załamane.

– Moi synowie są prawie dorośli. Najstarszy już niemal jest mężczyzną. Nie muszę ich trzymać za rękę. Wiedzą, co robić.

Potrząsałem gniewnie głową. Byłem pewien, że mnie okłamuje. Jak inni wieśniacy, ten Galilejczyk i jego rodzina, chcąc uniknąć głodu w trakcie zimniejszych i wilgotniejszych miesięcy, byli zależni od tych żniw. Już raz padało.

Gdy jesienne deszcze zaczną się na dobre, plony pozostawione na polach czy owoce wiszące na drzewach szybko zmarnieją i zgniją. Czy rolnik, przed którym stoi taka perspektywa, mógłby tak po prostu sobie pójść w środku dnia?

Nie. Byłem pewien, że coś innego przyciągnęło Nahuma do lasu. Jakiś inny powód. Ale jaki?

Zacząłem od nowa, zadając te same pytania. I dostałem te same niezadowolające odpowiedzi. Do środka wszedł żołnierz i zapalił wiszącą lampę oliwną, ponieważ robiło się coraz ciemniej.

W końcu Sewerus stracił cierpliwość. Centurion podszedł, by popatrzeć gniewnie na więźnia.

– Każ swoim ludziom wycisnąć prawdę z tego głupkowatego chłopca – zasugerował – albo pozwól moim ludziom się z nim rozprawić. – Popatrzył na mnie i uśmiechnął się blado. – Całkiem nieźle radzą sobie z pejczem.

Spojrzałem na pretorianina, starając się ukryć wstręt.

– To wolny człowiek, nie niewolnik, centurionie. Tortury powinny być ostatecznością...

Zeznania od niewolników zawsze są brane na torturach, ponieważ nie można ufać, że nieprzymuszeni powiedzą prawdę, ale ludzi wolnych, nawet obcokrajowców, przepisy chronią przed pochopnym pobiciem czy chłostą w trakcie przesłuchania. Choć te subtelne rozróżnienia często są ignorowane w chaosie wojen cywilnych, sam August ciężko pracował nad tym, aby ograniczyć wykorzystywanie tortur po przywróceniu pokoju. Ludzie mają przestrzegać prawa z szacunku dla władzy, a nie wyłącznie ze strachu.

To prawda, że użyłem siły, przesłuchując bandytów Domicjusza Capita, lecz to byli żołnierze przyłapani na łamaniu przysięgi wojskowej, a nie biedny, niemądry wieśniak, którego opowieść mnie nie zadowalała. Surowa dyscyplina, słusznie narzucona żołnierzowi, nie jest odpowiednia dla cywila.

Sewerus patrzył na mnie z lekkim zdumieniem.

– Ty rzeczywiście zbyt długo przebywałeś w prowincjach, Aureliszu Walensie. W Rzymie stosujemy łamanie kołem, ogień i chłostę, by złamać każdego, kto jest winny przestępstwa, bez znaczenia kim jest.

Ukryłem niezadowolenie. Pierwsze lata panowania Tyberiusza odznaczały się ostrożnym umiarkowaniem i poważaniem dla senatu, konsulów i prawa. Mój ojciec był szczególnie zadowolony, wymieniając przymioty Tyberiusza jako dowód boskiej mądrości Oktawiana Augusta, który w końcu wyznaczył go na swojego następcę. Słyszałem jednak pogłoski, iż imperator staje się coraz gwałtowniejszy wobec tych, którzy mu się sprzeciwiają. Teraz wyglądało na to, że te pogłoski były prawdą.

O, boski Auguście – pomyślałem z goryczą – położyłeś kres anarchii i wojnie domowej, i za to cały Rzym będzie ci wiecznie wdzięczny! Ale co nam zostawiłeś na swoje miejsce?

Zmusiłem się, by mówić uprzejmie. Otwarta kłótnia z drugim oficerem byłaby zła dla dyscypliny.

– Dziękuję, że mówisz mi o najnowszych rzymskich praktykach, Emiliuszu Sewerusicie. Sądzę jednak, że będę się trzymać praw, których nauczyłem się jakiś czas temu.

– Jak sobie życzysz – pretorianin zasalutował niedbale. – Ty tu dowodzisz... na razie. – Ruszył do wyjścia. – Zostawię cię z twoją łagodną perswazją, prefekcie, i poszukam swojej kwatery. Jeden z tych Żydów, który nazywa się członkiem starszyzny, oddał swój dom na mój użytek. – Skrzywił się. – Mam tylko nadzieję, że będzie czystszy niż reszta tych zapuszczonych gniazd brudu.

Kiedy zasłona przy wejściu opadła, Paweł wyskoczył z pytaniem.

– Nie pozwolisz torturować tego człowieka, prawda?

Westchnąłem.

– Jeżeli nie dowiem się prawdy w jakiś inny sposób, chłopcze, mogę być do tego zmuszony.

– Ale on jest Galilejczykiem i poddanym Heroda Antypasa! – zaprotestował Paweł. – Nie podlega waszym prawom.

– Tetrarcha rządzi tu za zgodą Rzymu. Aż za dobrze o tym wie – wyjaśniłem łagodnie. – A Silanus był senatorem, powiernikiem samego Tyberiusza. Biorąc to pod uwagę, jestem pewien, że Antypas z chęcią pozwoliłby mi ukrzyżować każdego mężczyznę, kobietę i dziecko w tej wsi, gdyby uznał, że to może odwrócić gniew cesarza.

Chłopiec milczał Odezwałem się cicho:

– Idę wzdłuż przepaści, Pawle. I jestem w towarzystwie człowieka, który, jak sądzę, ochoczo strąciłby mnie w dół.

Paweł pokręcił głową z uporem.

– Nie rozumiem.

– Sądzę, że rozumiesz. Ten pretorianin to ambitny człowiek, taki, który nie widzi granic w gwiazdach czy własnej przyszłości. A teraz jest zarówno wściekły, jak i upokorzony. Sewerusa wysłano na wschód, by chronił senatora, a on zawiódł. Co więcej, jego ludzie zostali zarżnięci jak owce. Jeżeli zajdzie potrzeba, skryje swą porażkę we krwi, nawet krwi niewinnych, a ja stoję mu na drodze.

Odwróciłem się do Nahuma i warknąłem:

– Muszę znać prawdę o tych morderstwach, a nie mam na to za wiele czasu. Jeżeli ten wieśniak wie więcej o tym, co się naprawdę wydarzyło w lesie, wydobędę to z niego, nawet jeżeli będę musiał łamać mu jedną kość za drugą. – Dźgnąłem palcem Galilejczyka. – Powiedz mu to. I tym razem zrób to tak, żeby uwierzył!

Paweł nie odezwał się ani słowem. Patrzył tylko na mnie z tą upartą miną, którą widziałem za każdym razem, gdy uważał, że ma rację.

Dałem temu spokój.

Szybkie zerknięcie na nazaretańczyka przekonało mnie, że tłumaczenie mojej groźby jest zbędne. Nie mógł opanować drżenia. Na ten widok zrobiło mi się niedobrze. Czy dlatego zostałem żołnierzem? By terroryzować wieśniaków?

Odwróciłem się do Pawła i westchnąłem.

– Chodź, chłopcze. Słońce zaszło. Pora, żebyś poszedł spać. Zostawimy tu Nahuma na noc, żeby rozpamiętywał prawdę... i ile z niej powiedzieć.

Zanim wyszedłem, wydałem rozkazy dwóm żołnierzom wyznaczonym na strażników.

– Jeden człowiek ma cały czas być przy więźniu. Nie pozwólcie mu zrobić nic głupiego, jak próbować uciec albo się zabić. Zrozumiano?

Obaj skinęli głowami.

– I niech nikt nie zbliża się do niego bez mojego pozwolenia. Nikt! Nawet sam cesarz. Jasne?!

Ponownie potaknęli.

Nadal niepewny, co zrobię rano, zaprowadziłem Pawła z powrotem przez ciemny obóz, przez dolinę i w górę wzgórza do Nazaretu.

Rozdział XII

Wcześniej następnego ranka niebo było szare i zamglone, gdy Arystydes, Sewerus i ja spotkaliśmy się, by omówić to, czego się jak dotąd dowiedzieliśmy. Zebraliśmy się w pierwszej izbie domu Mateusza. Siedziałem u szczytu zbitego z desek stołu. Centurion i lekarz zajmowali ławkę stojącą wzdłuż jednego z jego boków. Na śniadanie dostaliśmy półmisek ciemnego chleba, dzban wina i trzy gliniane kubki. Paweł siedział po turecku na tkanej macie w dalekim rogu, nieopodal półek zastawionych naczyniami rozmaitych rozmiarów.

Uśmiechnąłem się szeroko. Chłopak wślizgnął się do środka jak duch, wyraźnie mając nadzieję, że jeżeli będzie cicho, to nikt go nie odeśle. Postanowiłem, że na razie może z nami siedzieć. Przynajmniej mam go na oku i nie sieje zamętu gdzieś we wsi.

– Dowiedziałeś się czegoś więcej od swojego więźnia? – zapytał Sewerus, skubiąc mały okrągły bochenek.

– Jeszcze nie – przyznałem.

– To twoje śledztwo to niebezpieczna strata czasu – stwierdził. – Teraz już wiadomo, że rzymski arystokrata został zamordowany, a my tylko siedzimy na tyłkach, roznosi się lotem błyskawicy po tych wzgórzach. – Pokręcił głową. – Ci Żydzi niewiele rozumieją, ale rozpoznają słabość, kiedy ją widzą.

– Więc nadal uważasz, że powinienem zniszczyć tę wieś? Tylko po to, żeby zademonstrować naszą siłę?

Sewerus skinął głową.

– Tak. – Szybkim ruchem rozłamał trzymany bochenek w pół. – To najlepsze rozwiązanie. Zostaw tego głupiego wieśniaka i tego Mateusza, żeby ich dalej przesłuchiwać, jeżeli musisz, ale pozbadźmy się tego gniazda bandytów lub

buntowników, zanim kłopoty się rozprzestrzenia.

– Bandyty? Buntownicy? – zapytałem sceptycznie. – Nie ma na to żadnego dowodu.

– Senator posłał po wojska – wytknął centurion. – Z jakiego innego powodu miałby to robić?

– Nie wiem. A zresztą nadal nie rozumiem, dlaczego senator tu w ogóle przyjechał. – Ruchem głowy wskazałem na pustą izbę. – Popatrz, Sewerusie. Ta rudera jest domem najważniejszego człowieka w Nazarecie. Czy jest tu coś godnego uwagi przyjaciela cezara? Ci ludzie to tylko biedni wieśniacy.

– A Spartakus był tylko niewolnikiem – zareagował ponuro centurion, mając na myśli wielkie powstanie niewolników niemal sprzed wieku. Stłumienie buntu zajęło kilku legionom prawie trzy lata ciężkich walk.

– Spartakus był gladiatorem – poprawiłem go. – Ci Galilejczycy nie szkolili się, jak używać broni, której zresztą nie mają. Wieśniacy z kosami i procami nie stawiają czoła dobrze wyposażonym i wyćwiczonym żołnierzom. Jak mogliby pokonać twoich gwardzistów?

Sewerus z irytacją wzruszył ramionami.

– Ukradkiem. Podstępnie. – Rzucił na bok kawałek chleba, który gniótł, i nalał sobie wina. – Wiemy, że Silanus i pozostali zatrzymali się w Nazarecie – ciągnął. – Ale mamy tylko słowo tego starszego Żyda, Mateusza, że opuścili wioskę.

– Mów dalej.

Sewerus wpatrzył się markotnie w kubek.

– Wieśniacy musieli ich złapać bez straży i nieuzbrojonych – powiedział w końcu. – Stado szcurek może powalić najlepszego psa, zwłaszcza jeżeli dopadną go samego i śpiącego.

– Ale senatora i twoich żołnierzy nie dopadnięto we śnie, przynajmniej nie wszystkich – powiedział Paweł z rogu.

Centurion gwałtownie odwrócił się do niego, wyraźnie wściekły, że mu przerwano.

– Skąd to wiesz, chłopcze? Widziałeś ciała. Rozebrano ich. Nie da się stwierdzić, czy zostali zaatakowani, kiedy byli uzbrojeni czy kiedy spali. Czy twój mały żydowski bóg zesłał ci jakieś olśnienie, którym się z nami nie podzielił?

Paweł oblał się szkarłatnym rumieńcem, ale się nie wycofał.

– Widziałem żołnierza w ciernistych zaroślach – powiedział mężnie.

Pokiwałem głową, przypomniawszy gwardzistę znalezionej w gęstwinie. – Chłopak ma rację, Sewerusie. Przynajmniej twój towarzysz Kasjusz Celer nie spał i był uzbrojony.

Centurion nachmurzył się.

– Prawda. – Odstawił kubek i pokręcił głową. – Tak czy inaczej, nie ma znaczenia, kto zabił. Nie możesz zaprzeczyć, że ci Żydzi byli w to jakoś zaangażowani. Ten las jest zbyt blisko wioski. Musieli coś słyszeć, kiedy mordowano senatora i moich ludzi.

Po raz pierwszy zabrał głos Arystydes: – Niekoniecznie.

– Co to znaczy? – zapytał ostro Sewerus.

– Zeszłego wieczora zająłem się dokładniejszymi oględzinami ciał – odparł lekarz. Wyjrzał przez otwarte drzwi. – Powinno być już wystarczająco dużo światła, żeby wam pokazać, co znalazłem. – Grek uśmiechnął się krzywo – Jeżeli oczywiście skończyliście śniadanie.

Popatrzyłem na stół. Nigdy nie miałem dużej ochoty najedzenie rano, lecz teraz zupełnie straciłem apetyt.

Sewerus i ja poszliśmy za Arystydesem na zewnątrz, w dół wzgórza, do pojedynczego namiotu, w którym leżały okaleczone ciała Silanusa, gwardzistów i jego niewolników. Za namową Pawła trzymaliśmy ciała w pewnej odległości od Nazaretu, by nie skazić rytualną nieczystością jego mieszkańców.

Wokół namiotu stało czterech strażników, po jednym przy każdym rogu. By się ustrzec przed smrodem, każdy miał nasączone kadzidłem płótno na ustach i nosie. Choć noce były chłodne, to w ciągu wcześniejszych dni panowała dość wysoka temperatura i ciała już zaczynały się rozkładać.

Arystydes wręczył nam skrawki materiału i poczekał, aż je zawiążemy. Potem weszliśmy za nim do środka.

Byłem rad, że nadal mam pusty żołądek. W środku małego namiotu mdlący, słodkawy zapach śmierci był dużo gorszy niż na polanie. Sewerus nie cofnął się. Pokiwałem w zamyśleniu głową. Nie lubiłem centuriona pretorii i wątpiłem, czy kiedykolwiek zapałam do niego sympatią, ale odwagi nie sposób mu było odmówić.

Razem patrzyliśmy, jak Arystydes klęka przy zniekształconym ciele, które kiedyś było Decymiuszem Juniuszem Silanusem. Zwinnymi palcami lewej ręki delikatnie rozwarł usta senatora. Następnie użył małych żelaznych kleszczy, by wyjąć coś spomiędzy zębów.

Wyciągnąłem szyję, ale nie mogłem dojrzeć, co to jest. Pomimo bladego światła poranka, wpadającego przez wejście, i lampki oliwnej zwisającej z belki dachowej, w namiocie nadal panował półmrok.

– Jest! – powiedział Arystydes z satysfakcją. Odłożył kleszcze i wyciągnął rękę, żebyśmy mogli obejrzeć, co wydobył.

Był to maluteńki kawałek materiału.

Gwizdnąłem cicho, kiedy nagle zrozumiałem.

– Był zakneblowany!

Lekarz potaknął.

– Byli. Wszyscy, z wyjątkiem żołnierza, którego młody Paweł znalazł w zbroi.

– I tyle? – zapytał szorstko Sewerus pełnym napięcia głosem.

Arystydes pokręcił głową.

– Nie, centurionie, jest więcej. – Podniósł rękę senatora, żebyśmy się jej mogli

uważniej przyjrzeć. – Widzicie?

Mrużąc oczy w słabym świetle, zauważyłem głębokie obtarcia na obu nadgarstkach.

A potem to się stało...

Czy był to sen na jawie? Wizja? Scena wywołana bujną wyobraźnią, jaką miałem od dziecka?

Jakiegolwiek było ich źródło, obrazy, które powstały przed moimi oczyma, wydawały się tak prawdziwe, tak żywe, że nie mogłem się ruszyć, nie mogłem się odezwać, nie mogłem krzyknąć. Zastygłem, zmuszony patrzeć na to z rosnącym przerażeniem.

Była noc.

Ogarnięci paniką Decymiusz Juniusz Silanus, jego strażnicy i niewolnicy potykali się, idąc przez las. Byli skrupowani i zakneblowani. Ludzie, których twarze nie widziałem, ciągnęli ich na polanę. Pochodnie migotały pod koronami drzew, rzucając cienie, które upiornie tańczyły na małym kawałku ziemi.

Na szybko wymamrotany rozkaz pałka spadła na twarz senatora, zamieniając ją w krwawą miazgę. Nóż błysnął wzdłuż odsłoniętego gardła przerażonego niewolnika, znajdującego się koło senatora. Był to początek masakry, tym potworniejszej, że dokonywanej w ciszy, przerywanej tylko zduszonymi jękami umierających i chrapliwym, ciężkim oddechem ich morderców.

Kręciłem jak oszalały głową, próbując odrzucić te odrażające obrazy, przesuujące mi się przed oczyma jeden za drugim. Bładły z wolna, aż znikły, a ja wpatrywałem się w powykręcane ciała leżące rzędami na skórzanej podłodze namiotu.

Znajomy głos wyrwał mnie z zamyślenia.

– Nie, nie sądzę, że możemy się dowiedzieć czegoś więcej – mówił cicho Arystydes do Sewerusa. – Rozkład ciał jest zbyt zaawansowany. Im dłużej

zostawimy je niepogrzebane lub niespalone, tym większe ryzyko zarazy.

Wolno wypuszczałem powietrze.

Ani lekarz, ani centurion nie zauważyli, że coś jest nie w porządku.

Zastanawiałem się nad tym, co widziałem. Choć wstrząśnięty do głębi, przyjąłem prawdę tych obrazów. Tak właśnie zginęli Silanus i reszta. Lecz ta wizja, jeżeli nią była, nadal pozostawiała najpilniejsze pytania bez odpowiedzi.

Kto ich zamordował?

I dlaczego?

Wyszedłem na dwór i oddychałem głęboko świeżym powietrzem, jeszcze pachnącym deszczem, by oczyścić płuca i umysł. Odkrycia Arystydesa i wywołana nimi okropna wizja stawiały więcej pytań, niż dawały odpowiedzi.

Silanus i ośmiu jego ludzi zostało zamordowanych, kiedy byli skrępowani i zakneblowani. To oznaczało, że wpierw zostali pojmani. Ale gdzie ich uwięziono? W wiosce? W lesie, gdzie ich znaleźliśmy, czy jeszcze gdzieś indziej? A co z Celerem, gwardzistą leżącym w ciernistych zaroślach? Pozbawiono go broni, ale na nadgarstkach nie było śladów wskazujących na to, że został związany. Ani zakneblowany. Dlaczego nie?

Pokręciłem sfrustrowany głową. To przypominało bieganie po krętym i pełnym ślepych zaułków labiryncie Minotaura ze starego greckiego mitu, ze świadomością, że potwór depta mi po piętach. Potrzebowałem więcej informacji, i to szybko.

Lekarz i Sewerus wyszli z namiotu i razem wspinaliśmy się na górę. Po drodze dołączył do nas Aedan.

Wielki, jasnowłosy Celt miał dla mnie dwa raporty.

Pierwszy był od zwiadowców wysłanych północno-zachodnim traktem do Seforis. Jeżeli senator i jego świta wpadli tam w kłopoty, miałem nadzieję, że moi ludzie znajdą ślady zasadzki. Spotkał mnie zawód. Patrol przejechał całą drogę do Seforis i z powrotem, oglądając każde możliwe miejsce, i nie znalazł nic

nadzwyczajnego.

– Deszcz? – zapytałem.

– Wystarczająco duży, by zmyć ślady – zgodził się Aedan. – Zwłaszcza że tam po drodze jest sporo nagich skał. Jakakolwiek zasadzka wzdłuż tego szlaku nie zostawiłaby wielu śladów, nawet bez złej pogody minionej nocy.

– Powinieneś być obejrzyć ten szlak wczoraj – powiedział Sewerus. – Przed deszczami.

Powstrzymałem się od ostrej riposty. Centurion musiał wiedzieć, że ta krytyka jest niedorzeczna. Ciała znaleźliśmy dopiero wczoraj późnym popołudniem. Gdybym miał wystarczająco dużo ludzi, mógłbym od razu rozesłać zwiadowców we wszystkich kierunkach. Ale nie miałem. A potrzebowałem wszystkich żołnierzy do przeszukania wioski i jej najbliższych okolic przed zmrokiem.

Stan liczebny był przedmiotem drugiego raportu Aedana.

Tytus Marcjusz Taedifer przyprowadził trzy oddziały kawalerii z Cezarei – swój Pierwszy, Piąty i Siódmy. Każdy oddział powinien liczyć trzydziestu dwóch żołnierzy. Jednak Trzeci Kawalerii był tak przetrzebiony długą służbą z dala od Galii, że żaden nie miał więcej niż dwudziestu ludzi.

Nie podobało mi się to. Można tylko forsować ludzi do pewnego stopnia, a dwudziestu kawalerzystów nie może wykonywać w nieskończoność pracy trzydziestu. W celu tymczasowego rozwiązania nakazałem Aedanowi rozdzielić dwudziestu rekrutów z Antiochii pomiędzy trzema formacjami.

– Jak poszło? – zapytałem go.

– Nieźle – zapewnił mnie Aedan. Wyszczrzył zęby. – Oczywiście, jeden z narwańców narzekał bardziej niż trochę.

– Duriks? – próbowałem zgadnąć.

Ten młody Celt miał najbardziej niewyparzoną gębę ze wszystkich nowych żołnierzy, lecz jego chęci i umiejętności jako jeźdźca i wojownika niemal to

wynagradzały.

Dekurion potaknął:

– Mówił wszystkim, którzy chcieli słuchać, że z rekrutów powinieneś utworzyć elitarny oddział, że nie należy ich łączyć z masą podupadłych na zdrowiu starców i wycieńczonych szkap. Bardzo był wygadany, przynajmniej dopóki się nie okazało, że przydzielono go do kopania latryny z jednym z tych „podupadłych na zdrowiu starców”.

Pomimo okropieństw, które widziałem w ciągu minionego dnia, uśmiechnąłem się na myśl o tym, jak arogancki młodzik dostaje tak mu potrzebną lekcję pokory.

A potem dotarło do mnie coś, co Aedan powiedział nagle. Coś, co przeoczyłem. Coś oczywistego.

Zatrzymałem się i zakląłem głośno:

– Konie! Na Jowisza Wielkiego, ależ ze mnie idiota!

Pozostała trójka popatrzyła na mnie zdezorientowana. Spojrzeli na siebie, a potem pytanie za wszystkich zadał Arystydes:

– O czym ty mówisz, Lucjuszu?

– Konie! Gdzie są konie i inne zwierzęta należące do Silanusa i jego ludzi?

Zdziwienie zaczęło ustępować miejsca zrozumieniu.

– Na Boginię – powiedział Aedan. – Prefekt ma rację. Nie żyje dziesięciu ludzi. Brakuje dziesięciu zwierząt.

– Więcej – oznajmił krótko Sewerus. – Senator miał dwa konie na zmianę: świetne wierzchowce kupione w Antiochii, oraz cztery czy pięć mułów do niesienia rzeczy.

– Czyli szesnaście lub siedemnaście koni i mułów – dodałem. – Więc gdzie one są?

Aedan zmarszczył brwi.

– Nie w wiosce, to pewne. Ci ludzie mają kilka wołów, którymi się dzielą

podczas orki, oraz parę mułów. Nic więcej.

– Zatem ci Żydzi musieli je sprzedać – powiedział kategorycznie Sewerus, który nadal uparcie obstawał, że to wieśniacy zasadzili się na jego ludzi i ich zamordowali.

– A dlaczego nie? To dla nich większy zysk.

– A gdzie można sprzedać naraz tyle zwierząt? – zastanawiałem się na głos. – W żadnym z tych miasteczek. Z tego, co widziałem, są zbyt biedne i zbyt małe.

Centurion się nachmurzył.

– Zatem w Seforis. To miasto królewskie i ponoć dość duże.

– Jak duże?

Sewerus wzruszył ramionami.

– Podobno tamtejszy amfiteatr mieści pięć tysięcy osób. Sądzę, że w całym mieście może być dwa razy tyle ludzi.

Zastanowiłem się nad tym. W Seforis z pewnością znajduje się tętniący życiem rynek. Mimo to, ktoś próbujący szybko sprzedać prawie dwadzieścia koni i mułów, niektórych dość cennych, powinien zwrócić na siebie uwagę. Warto to sprawdzić.

Poprosiłem Aedana, żeby wziął żołnierzy do Seforis i popytał na tamtejszym rynku. Chciałem, żeby wrócił najpóźniej następnego popołudnia.

Sewerus popatrzył na mnie.

– A co będziesz robił w tym czasie? Spróbujesz wyciągnąć więcej odpowiedzi z tego łączącego wieśniaka, którego trzymasz?

Pokręciłem głową. Już postanowiłem odłożyć przesłuchiwanie Nahuma na jakiś czas. Chciałem porozmawiać z jego przyjaciółmi i sąsiadami, zanim znowu go przycisnę. Były też inne pytania, które postanowiłem im zadać. W głębi duszy zaczynałem wątpić, by wieśniacy byli poważnie zaangażowani w morderstwo Silanusa, choć coś musiało spowodować tę masakrę.

Oficer pretorii skrzywił się, kiedy to usłyszał.

– Zatem, za twoim pozwoleniem, chciałbym towarzyszyć dekurionowi.

Uniosłem brwi.

– Och, dlaczego?

– Niektóre znajomości z urzędnikami Heroda mogą okazać się przydatne – odparł. – Ktoś próbujący sprzedać tyle zwierząt mógł zainteresować poborców podatkowych tetrarchy.

To też miało sens.

– Będę bardzo wdzięczny za każdą pomoc, której możesz udzielić Aedanowi – starałem się ukryć zaskoczenie.

Czy on naprawdę chce mi pomóc w znalezieniu i ukaraniu morderców senatora? Choć bardzo chciałem w to wierzyć, wydawało mi się to nieprawdopodobne. Sewerus był zbyt ambitny – i prawdopodobnie za bardzo zdeterminowany, by zlikwidować ślady tego, że nie udało mu się ochronić Silanusa. Musi wiedzieć, że nie podyktuje treści żadnego raportu do Tyberiusza lub prefekta pretorii, póki ja kontroluję śledztwo.

Arystydes powtórzył moje myśli później, gdy patrzyliśmy, jak Aedan, Sewerus i sześciu kawalerzystów klusem wyjeżdża z Nazaretu, kierując się na północny zachód ku miastu. Wyglądał na zmartwionego.

– Ten człowiek coś szykuje, Lucjuszu.

– Wiem – odparłem cicho. – Jestem niemal pewien, że nasz przyjaciel centurion planuje namówić jednego z oficerów tetrarchy, by powierzył mu tę sprawę.

– I mimo to pozwalasz mu jechać?

– Jak go mogę powstrzymać? – wzruszyłem ramionami. – Przynajmniej w ten sposób Aedan zyska jego pomoc przy poszukiwaniu zaginionych koni senatora.

– A co, jeżeli Sewerus wróci z pełnomocnictwem, na które liczy? Będziesz stał z boku i pozwolisz mu zniszczyć wioskę?

To poważne pytanie. Niczego nie zyskałem, chroniąc tych Galilejczyków przed Sewerusem i jego pragnieniem zemsty – nic, oprócz czystego sumienia. Ale jeżeli

najgorsze obawy były słuszne, jeżeli moja niechęć do przeprowadzenia akcji odwetowej za zamordowanie senatora ośmieli do otwartego buntu przeciw Herodowi i naszej władzy, to nic mnie nie ocali. Ani wpływy mojego ojca. Ani Germanik. Nikt.

W końcu udzieliłem lekarzowi odpowiedzi:

– Nie, Arystydesie, nie będę stać z boku. Przysiągłem przed imperatorem i senatem. Nie przyjmę jednak rozkazów od jakichś urzędników Heroda.

– Co planujesz zrobić? – nie dowierzał Paweł.

– Porozmawiamy z wieśniakami – powtórzyłem. – O masakrze. I o tym, co Nahum mógł robić w tym lesie. I o senatorze i jego dziwnych pytaniach.

– Aureliusz Walensie – powiedział chłopiec z udawaną cierpliwością. – W Nazarecie jest sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt domostw. Czy masz pojęcie, ile czasu zajmie nam przepytanie ich wszystkich?

Oparłem się chęci dania mu w ucho. Było to trudne. Bardzo trudne. Za każdym razem, gdy zaczynałem przychylnie o nim myśleć, znajdował nowy sposób, by mnie zezłościć.

– Nie zamierzam rozmawiać ze wszystkimi, a tylko z tymi, którzy mogą znać odpowiedź.

– A kim oni są? – zapytał Paweł i nie starał się ukryć przekonania, że jestem idiotą, jeśli biorę w ogóle pod uwagę takie postępowanie.

Wyliczyłem ich na palcach:

– Starszyzna. Najbliżsi sąsiedzi Nahuma. Mieszkający na skraju wsi, najbliżej lasu.

– Cóż, to chyba ma sens – przyznał niechętnie chłopak.

– Cieszę się, że to doceniłeś – powiedziałem oschle.

– To nadal idiotyczne – upierał się. – Ci wieśniacy zdają sobie sprawę, co im grozi. Gdyby coś wiedzieli, z pewnością i ty już byś o tym wiedział.

Nie kryjąc gniewu, wymieniłem podjęte działania. Poza wysłaniem Aedana do Seforis, nakazałem kolejne przeszukanie lasu. Inne patrole przeczesywały sąsiednie miasteczka i wzgórza. Arystydes po raz ostatni oglądał każdy centymetr zwłok.

– Możesz coś jeszcze dodać do tej listy, chłopcze? – zapytałem ostro. – Cokolwiek?

Przez moment Paweł wytrzymał moje spojrzenie. W końcu westchnął i spuścił wzrok.

– Nie.

Nie byłem taki chętny wypuścić go z rąk.

– Może wolałbyś tłumaczyć krzyki Nahuma, kiedy każę go wychłostać.

Prędko zaprzeczył.

Skinąłem głową:

– Zatem chodź ze mną.

I tak z Pawłem u boku zacząłem przesłuchiwać pozostałych we wsi mężczyzn – od najważniejszych – starszyzny zgromadzenia, przez wieśniaków, aż po najniżej stojących w hierarchii, czyli prostych rzemieślników.

Jeden z drugim szczerze zaprzeczali udziału w masakrze. Nie potrafili powiedzieć, czemu senator spędził tyle czasu w Nazarecie czy w innych miasteczkach, zadając takie dziwne pytania. I nikt, bez względu na to, jak mocno na nich naciskałem, nie był w stanie dać mi sensownego wyjaśnienia dziwnego zachowania Nahuma.

W miarę jak zbliżał się wieczór, miało się wrażenie, że pesymizm Pawła był uzasadniony. Coraz bardziej wychodziło na to, że będę zmuszony torturami wydusić z Nahuma prawdę.

Jakieś dwie godziny przed zachodem słońca przybyliśmy do podupadłego domostwa na skraju wioski. Kilka biednych rodzin dzieliło ten mały budynek z płaskim dachem. Ciemne wulkaniczne kamienie, jeden na drugim, formowały jego

mury. Wąskie wejście prowadziło do malutkiego podwórka ze wspólnym paleniskiem, kamieniem do mielenia pszenicy i jęczmienia oraz zbiornikiem na wodę.

Na ten dziedziniec wychodziły drzwi do izb każdej rodziny. Trzy młode kobiety szykowały wieczorny posiłek. Czwooro lub pięcioro małych dzieci gonilo się wokół matek, śmiejąc się i piszcząc z radości. Kiedy zobaczyły moją tunikę i szkarłatny wojskowy płaszcz, umilkły, obserwując mnie szeroko otwartymi, przerażonymi oczyma.

Mimo narastającego zmęczenia i irytacji Paweł i ja przechodziliśmy z izby do izby, zadając pytania najstarszemu w rodzinie. Raz za razem słyszeliśmy te same zaprzeczenia i te same zapewnienia o niewinności i niewiedzy.

Byłem zmęczony, głodny i spragniony, a także prawie gotowy przyznać się do porażki, kiedy przyszliśmy do ostatniego lokatora tego budynku.

Był to młody cieśla, który mieszkał w najmniejszych, najędzniejszych dwóch pokojach z owdowiałą matką. Ku mojej uldze, posługiwał się łamaną, prostą greką – językiem, którego, jak uznałem, nauczył się podczas pracy przy jednym z okazałych budynków tetrarchy w pobliskim Seforis.

Na imię miał Jezua.

Galilejski rzemieślnik był mniej więcej w moim wieku, najwyżej rok czy dwa lata starszy. I mniej więcej mojego wzrostu. Miał brązowe włosy i także oczy. Niespecjalnie odróżniał się od pół tuzina innych młodych mężczyzn we wsi.

Przepytywaliśmy go w pierwszej izbie jego skromnego domostwa. Po ławce zastawionej prostymi narzędziami ciesielskimi – kilka dłut, piła, drewniany młotek i strug do wygładzania drewna – widać było, że pracuje w tym malutkim pomieszczeniu. Cienki siennik w jednym rogu wskazywał na to, że i tutaj sypia.

Zanim zacząłem, Jezua wręczył mi poobijaną glinianą czarkę mocno rozwodnionego wina, bym ugasił pragnienie. Podziękowałem mu i wziąłem do ust

mały łyk, bardziej z grzeczności niż z pragnienia. Nikt, z kim przez cały dzień rozmawialiśmy, nie ośmielił się nam niczego takiego zaproponować.

Paweł machnął ręką. Wyglądał na zakłopotanego. Był raczej przyzwyczajony do dawania jałmużny biedakom niż korzystania z ich gościnności.

– Słudzy mojego ojca mają lepsze mieszkanie, jedzenie i wino – wymamrotał do mnie.

Poza delikatnym, smutnym uśmiechem Jezua zignorował oczywisty nietakt Pawła. Byłem za to wdzięczny. Nie było żadnego powodu, by zawstydzać tego biednego Galilejczyka.

Gdy jednak zacząłem mu zadawać pytania, jego odpowiedzi nie rzuciły żadnego światła na masakrę w lesie.

Galilejczyk tylko pokręcił głową.

– Obawiam się, że na własne oczy nie widziałem niczego, co się tam stało. I niczego tymi uszami nie słyszałem.

Nie próbował też zgadywać, dlaczego Silanus przybył do Nazaretu.

– Ten wasz senator nigdy ze mną nie rozmawiał – powiedział po prostu.

Sfrustrowany tym, stwierdziłem znacząco:

– Bardzo starannie dobierasz słowa!

Jezua rozłożył ręce.

– To, co mówię, jest prawdą. Nic ponadto powiedzieć nie mogę.

Dotknięty tym, że przez cały dzień nie udało mi się dowiedzieć nic sensownego, odpowiedziałem surowiej, niż zamierzałem:

– Musisz wiedzieć, że mógłbym kazać cię przesłuchać dokładniej. I dużo boleśniej.

Galilejczyk przytaknął:

– Zaiste. – Potem się uśmiechnął. – Ale uważasz się za sprawiedliwego człowieka, Lucjuszu Aureliuszu Walensie, prawda? To, co usłyszałeś z moich ust,

jest prawdą. Jeżeli w to wierzysz, dlaczego chcesz mnie bić?

Zamilkłem, zdumiony zarówno pewnością siebie tego prostego rzemieślnika, jak i jego świadomością, że ma rację.

Zaczynałem rozumieć, że w tym młodym cieśli jest coś niezwykłego. Inni wieśniacy, z którymi rozmawiałem, bali się mnie. Wiedzieli, że od moich żołnierzy i ode mnie zależy ich wolność, ich ziemia i ich życie. Lecz Jezua, choć jeden z najbiedniejszych, nie okazywał strachu – nawet najmniejszej obawy.

Paweł przyglądał się nam obu, zaskoczony moim przeciągającym się milczeniem. W końcu sam zapytał:

– Skoro nie wiesz, dlaczego senator tu przybył ani dlaczego został zamordowany, to może przynajmniej powiesz nam, z jakiego powodu Nahum zachowuje się tak dziwnie? Czemu zostawił swoją ziemię podczas żniw i pośpieszył do lasu?

Cieśla pokręcił głową:

– Znowu z tego, co wiem, nie potrafię wam powiedzieć, dlaczego Nahum miałby coś takiego zrobić.

Paweł westchnął. Zrozumiałem, że nie spodziewał się wiele po Jezui, i jego przewidywania się potwierdziły.

Galilejczyk uśmiechnął się, niezrażony rozczarowaniem chłopca.

– Ale sądzę, że moja matka mogłaby.

Odzyskałem głos:

– Zatem chciałbym z nią porozmawiać.

Jezua podszedł do drzwi łączących dwie izdebki i poprosił matkę, żeby się do nas przyłączyła.

Kobieta nosiła długą szatę w kolorze spłowiałego błękitu, przepasaną w talii. Prosty szal luźno okrywał jej długie, ciemne włosy. Pomimo biedy miała w sobie szlachetność i spokojną pewność siebie, której pozazdrościłyby jej najmodniejsze Rzymianki.

Nazywała się Miriam.

Kiedy ją zapytałem, dlaczego wieśniak opuścił swoje pole podczas żniw, powiedziała cicho:

– Odpowiedź, której szukasz, jest prosta. Nahum poszedł do zagajnika, bo oczekiwał kobiety, by znaleźć z nią przyjemność.

Byłem zaskoczony.

– Tajna schadzka? Czemu nam o tym po prostu nie powiedział, by oszczędzić sobie dalszych niebezpieczeństw?

– Ponieważ ta kobieta jest żoną innego mężczyzny.

Pokiwałem wolno głową, w końcu zrozumiawszy dylemat mojego więźnia i powód jego kłamstw. Nahum mógł udowodnić, że nie jest związany z morderstwem, tylko przyznając się do cudzołóstwa. W Rzymie takie zachowanie najpewniej skończyłoby się publicznym wstydem i hańbiącym rozwodem. Ci Żydzi jednakże przestrzegali znacznie surowszego kodeksu.

Popatrzyłem na Jezusę i jego matkę.

– Muszę porozmawiać z tą kobietą.

Miriam pokręciła głową:

– Obawiam się, że to niemożliwe. Nie ma jej już w Nazarecie.

– Gdzie jest?

– Została przez nas wysłana do swoich krewnych w innej wiosce. Nie wróci, dopóki nie będzie gotowa oprzeć się zalotom Nahuma i żyć w czystości.

– Nas? – zapytałem ostro.

– Kobiety z Nazaretu – odpowiedziała miękko Miriam z błakającym się na ustach uśmiechem. – Zrobiłbyś znacznie lepiej, prefekcie, zadając pytania dotyczące Nahuma namiętnego, Nahuma głupca nam, a nie mężczyznom.

Mimo irytacji, którą wzbudziło we mnie to, że byłem tak bardzo w błędzie, uśmiechnąłem się krzywo, uznając sprawiedliwość jej łagodnej krytyki. Nigdy nie

pomyślałem, żeby przesłuchać kobiety. Zbyt łatwo przyjąłem powszechne założenie, że nic nie znaczą. Zdałem sobie sprawę, że moja matka szybko by mi wytknęła ten błąd. Tak samo Agrypina.

Paweł jednakże nie złagodniał tak szybko.

Spojrzał na Miriam z marsową miną.

– Zbyt wiele bierzecie na siebie! Jeżeli ta kobieta jest cudzołożnicą, powinna być osądzona przez zgromadzenie, potępiona i skazana na śmierć!

Jeszua zwrócił się do chłopca:

– Powinniśmy ją ukamienować, Szawle?

Paweł poczerwieniał. Przypomniałem sobie, że to jego ulubione hebrajskie imię. Jak cieśla to zgadł, nie wiem.

– Takie jest Prawo – odparł stanowczo.

– Takie jest Prawo – zgodził się Jeszua. Podniósł się i wyszedł z izby, lecz chwilę później wrócił z czymś w dłoni. Podał to Pawłowi.

Chłopiec wpatrywał się w ostre, poszarpane krawędzie kamienia wyciągniętego z podwórka na zewnątrz.

– Zrobiłeś kiedyś coś złego, Szawle? Cokolwiek, czego należy się wstydić? – zapytał Jeszua.

Paweł mocno zacisnął kamień.

– Jeżeli tak, to zostałem za to ukarany!

– Za wszystko, co zrobiłeś? – spytał cicho cieśla. – I w pełni zgodnie z Prawem?

Po długiej chwili Paweł zrobił się jeszcze bardziej czerwony. Potem rozwarł dłoń i kamień upadł na zaśmieconą podłogę.

– Niech ten, który jest bez grzechu, pierwszy rzuci kamieniem – powiedziała Miriam, uśmiechając się z aprobatą.

Zły i speszony chłopiec wypadł na zewnątrz, zostawiając mnie w tyle – przeprosiłem za jego nieuprzejmość i podziękowałem Jeszui oraz jego matce za

pomoc.

Rozważając to, czego się właśnie dowiedziałem, wróciłem do domu Mateusza. Zatrzymałem się nagle. Wiedziałem, że zacząłem przepytywać Jezusę po grecku. Teraz jednak ogarnęła mnie dziwna pewność, że cały czas mówił do mnie najczystszą łaciną, z erudycją uczonego. To było niemożliwe, i miałem tego świadomość, ale nieważne, jak bardzo się starałem, nie mogłem myśleć inaczej o tej rozmowie.

Później, tego samego wieczora, kiedy niepewnie zapytałem Pawła, czy mowa cieśli zrobiła na nim wrażenie, chłopiec pokręcił głową.

– Łacina? – prychnął. – Nie słyszałem żadnej. Nawet jego greka ledwie nadawała się do targowania przy straganach. – Skrzywił się, zaciskając pięść, w której trzymał wcześniej kamień. – A przy całej aurze mądrości i uczoneości, którą jakobyś widział, ten Jezua do niczego się nie przydał. Ani on, ani pozostali wieśniacy, których wypytywaliśmy.

Nie mogłem temu zaprzeczyć.

Mogłem za to wykreślić Nahuma z listy podejrzanych, lecz nie miałem nikogo innego na jego miejsce. Ludzie z mojej wizji byli pozbawieni twarzy. A przede wszystkim nadal nie rozumiałem, dlaczego senator przybył do Nazaretu.

Rozdział XIII

Aedan i Sewerus wrócili do Nazaretu koło południa następnego dnia.

– Spotkałem się z nimi na skraju wioski.

– Udało się?

Centurion pretorii posłał mi gniewne spojrzenie. Nie odzywając się, zeskoczył z konia i rzucił wodze jednemu z żołnierzy Aedana.

– No i? – zapytałem ponownie.

– Nic nie znaleźliśmy! – odparł krótko. – To było oczywiste od samego początku.

Z tymi słowy Sewerus sztywno odszedł w kierunku domu, który tymczasowo przejął. Patrzyłem na niego z lekkim rozbawieniem. Wyglądało na to, że jego zaufanie do mnie zmalało jeszcze bardziej.

– Co do niego, to nie mogę się zdecydować – powiedział cicho Aedan zza mojego ramienia.

Zerknąłem na dekuriona.

– W jakiej kwestii?

Skrzywił się.

– Nie wiem, czy wolałbym pomachać na pożegnanie tej gwardyjskiej kanalii i odesłać do Rzymu, czy czułbym się bezpieczniej, mając go cały czas na oku.

Pokiwałem głową. Aedan myślał tak samo jak ja. Przytyki i krytyka Sewerusa, jak i jego naleganie, żebym natychmiast wyrznął wioskę w ramach akcji odwetowej, były nieustannym źródłem irytacji i podkopywaniem mojego autorytetu. Jednak, kiedy tu był, przynajmniej miałem jakieś pojęcie o tym, co robi. Jego nieobecność była jeszcze bardziej niepokojąca. Źle spałem ostatniej nocy, wyobrażając sobie, jak wraca z Seforis z wydanymi przez Heroda Antypasa rozkazami zniszczenia Nazaretu i jego mieszkańców.

– Ale w jednej sprawie ma rację – ciągnął Aedan. – Nie znaleźliśmy żadnego śladu zwierząt senatora.

Celt opowiedział mi, czego zdołał się dowiedzieć w ciągu dnia spędzonego na chodzeniu po targu w Seforis. Śledztwo wśród kilku handlarzy końmi nic nie dało. Nikt nie sprzedał ani nawet nie próbował sprzedać ostatnio tyłu zwierząt. Oficerowie wojska Heroda kupili w ciągu minionego tygodnia dwa lub trzy wierzchowce, ale żaden nie pasował do opisów podanych przez Sewerusa.

– Co więcej, pytałem o Silanusa i jego towarzyszy w mieście. Wartownicy pamiętają, jak wyjeżdżali na wzgórze kilka dni temu, ale nikt nie widział ich wracających.

Skrzywiłem się. Wszędzie ta sama historia. Mam dziesięciu zamordowanych, lecz żadnych świadków i prawie żadnych dowodów. Byłem teraz pewien, że senator, jego niewolnicy i straż opuścili Nazaret trzy dni temu. Po tym zniknęli bez śladu – aż znaleziono ich martwych kilkaset kroków od miejsca, w którym stoję.

Jak dotąd, każdy patrol, który wysyłałem, by zbadał okoliczne miasta i tereny, wracał z pustymi rękoma. Z powodu niedawnych deszczy i skalistej ziemi zwiadowcy nie byli w stanie odnaleźć żadnych śladów zasadzki ani nawet przejazdu dużej grupy ludzi. Nie widzieli też niczego, co wskazywałoby na obozujących bandytów.

– Co z Sewerusem? – zapytałem. – Przyniósł jakieś wieści od urzędników tetrarchy?

Aedan zachnął się i potrząsnął głową.

– Nic a nic. W każdym razie nic mi nie powiedział. Och, centurion szybko pomknął do pałacu. Wyglądał jak usychający z miłości chłopiec, pędzący na spotkanie z ochoczą dziewczyną. Ale szybko wrócił w okropnie złym humorze.

– Ludzie Heroda mu nie pomogli?

Dekurion uśmiechnął się krzywo.

– Wygląda na to, że nie było tam nikogo ważnego. Tetrarcha pojechał do nowej stolicy, którą buduje nad Morzem Galilejskim, i zabrał ze sobą większość dworu.

Uniosłem brwi.

– Kiedy?

– Trzy dni temu.

Ciekawe – pomyślałem. Więc Herod Antypas i jego najważniejsi urzędnicy opuścili Seforis tego samego dnia, co Silanus Nazaret. Czy to coś więcej niż przypadek? Prawdopodobnie nie. Ich ścieżki nie powinny się skrzyżować. A jednak jest się nad czym zastanawiać.

Zdawałem sobie sprawę, że najpierw trzeba rozważyć coś innego. Byłem całkiem pewien, że Sewerus pośpieszył do pałacu w swoich sprawach, nie moich. Musiał mieć nadzieję, że uzyska od Heroda rozkaz dający mu wolną rękę. Nieobecność tetrarchy pokrzyżowała mu plany, co wyjaśniało, dlaczego centurion wrócił w tak fatalnym nastroju.

Ile więc czasu upłynie, zanim Sewerus znajdzie jakiś powód, by podążyć za Herodem nad Morze Galilejskie? Podejrzewałem, że niewiele.

Arystydes, Aedan i ja spotkaliśmy się przy wieczornym posiłku. Paweł się do nas przyłączył, a Sewerus, ku mojej uldze, nie.

Strawa była bardzo prosta, lecz sycąca: soczewica duszona z cebulą, chleb i mały talerz fig. Przez chwilę wszyscy czterej jedliśmy w ciszy, pochłonięci zaspokojeniem głodu, zanim zwróciliśmy myśli ku poważniejszym sprawom.

Pierwszy odezwał się lekarz. Poklepał łyżką soczewicę.

– Zagłodzimy tych wieśniaków, jeżeli zostaniemy tu dłużej, Lucjuszu. Nie mają tyle żywności, by długo karmić setkę dodatkowych ludzi i ponad setkę zwierząt. Już teraz będą zaciskać pasa na długo przed końcem zimy.

Przytaknąłem.

– Jestem tego świadom. – Rozejrzałem się, zanim zacząłem mówić dalej: – I

dlatego postanowiłem od jutra rekwirować potrzebne nam jedzenie i paszę ze spichlerzy Heroda i wojskowych magazynów w Seforis.

Aedan odstawił pucharek z winem.

– Co oznacza, że zdecydowałeś, iż wieśniacy nie brali żadnego udziału w zamordowaniu Silanusa i jego ludzi – powiedział cicho.

Ponownie skinąłem głową.

– Zgadza się. Powiedziałem raz, że nie ukarzę niewinnych, by odstraszyć winnych. I nie zmieniłem zdania.

– Czy pretorianin o tym wie? – zapytał Arystydes.

– Jeszcze nie.

– Nie spodoba mu się to – ostrzegł lekarz.

Wzruszyłem ramionami.

– Jestem tu, by odnaleźć prawdę, a nie by zadowolić Marka Emiliusza Sewerusa.

– Odważne słowa, Lucjuszu. – Arystydes wyglądał na zmartwionego. – Ale czy masz na nie argumenty? Czy możesz udowodnić, że nazaretańczycy nie popełnili tej zbrodni?

– Udowodnić? Ponad wszelką wątpliwość? – Pokręciłem przecząco głową i odsunąłem pusty talerz na bok. – Ale wszystkie fakty, o jakich wiemy, wskazują, że wieś nie ma z tym nic wspólnego.

Trzej moi towarzysze słuchali uważnie, gdy przedstawiałem im swoje rozumowanie. Robiłem to, by przekonać nie tylko ich, ale i po raz kolejny siebie samego. Jeżeli nazaretańczycy zamordowali Silanusa i pozostałych, gdzie są rzeczy senatora? Gdzie broń i zbroja jego gwardzistów? I gdzie konie, i juczne muły?

– Czyż zwierzęta nie mogły zostać puszczone wolno? – zastanawiał się Arystydes.

– Mało prawdopodobne. Wyszkolone konie zazwyczaj nie odchodzą daleko. Nawet jeżeli mordercy je odpędzili, zatrzymałyby się gdzieś w pobliżu. Nasi

zwiadowcy by je znaleźli.

Nikt nie zaprzeczył.

– I jeszcze ciała. Jeśliby to ludzie z tej wioski zamordowali senatora i resztę, dlaczego nie pogrzebali ciał? Dlaczego ryzykowałiby, że ktoś się na nie natknie, tak jak przypadkiem znalazł je Nahum?

Aedan nachylił się.

– Może nie mieli czasu – zasugerował. – Kopanie grobów to niełatwa praca.

Lekarz pokręcił głową.

– Był czas. Każdy z tej wioski zdążyłby to zrobić. Silanus i reszta byli już martwi jakiś czas, nim ich znaleźliśmy.

– Prawie cały dzień – zauważyłem, przypominając sobie moją wizję. – Sadzę, że zostali zamordowani w nocy, przy świetle pochodni.

Arystydes dziwnie na mnie spojrzał, ale zignorowałem to. Zdałem sobie sprawę, że przecież nie powiedziałem mu o przerażających obrazach, jakie widziałem w namiocie, w którym leżały zwłoki.

– Albo mogli ich wrzucić do grobowca czy pieczary – dodałem. – Wiemy, że jest kilka nieopodał.

Odezwał się podekscytowany Paweł: – Zatem mordercami byli jacyś obcy, ludzie, którzy nie mogli pozwolić sobie na to, by zobaczyli ich wieśniacy .

Zauważył, że na niego patrzę, zarumienił się i jękając się, urwał.

– Mów dalej – poprosiłem łagodnie. – Powiedz nam, co miałeś na myśli, Pawle.

– Cóż, bo to by wyjaśniało, dlaczego ciała nie zostały zakopane – mówił niepewnie. – Ponieważ mordercy musieli opuścić ten teren przed wschodem słońca, zanim wieśniacy by ich zobaczyli i zaczęli zadawać niewygodne pytania.

Pokiwaliśmy głowami. To, co powiedział Paweł, miało sens.

– I wreszcie – argumentowałem – czy taki okropny uczynek da się utrzymać w tajemnicy w tak małej wiosce? Większość tych Galilejczyków jest jakoś ze sobą

powiązana. Czy to naprawdę możliwe, żeby dziesięciu, piętnastu lub dwudziestu z nich zarżnęło rzymskiego arystokratę, jego niewolników oraz strażników i sądziło, że ta wiadomość się nie rozniesie wśród ich krewnych? Nie rozejdzie się od brata do ojca, od wujów do kuzynów?

– Nie – Aedan potarł szczękę. – Coś takiego nie jest możliwe.

– Jesteś tego bardzo pewien – zauważył sceptycznie doktor.

Aedan wzruszył ramionami.

– Dorastałem w niewiele większej wiosce. I mieliśmy takie powiedzenie: Krzycz do księżycy! Rycz do wiatrów! Ale szept przy wiejskiej studni jest głośniejszy niż te wszystkie wrzaski!

Wysoki, jasnowłosy Celt wyszczerzył zęby.

– Na Panią, była to prawda! Kiedy miałem czternaście lat, pocałowałem dziewczynę zaręczoną z synem starego wodza. W tajemnicy... tak przynajmniej sądziłem. Szkoda tylko, że wiadomość o tym zaczęła się rozchodzić niemal jeszcze, zanim nasze usta się rozdzieliły.

– I co się stało? – zapytał wyraźnie zainteresowany Paweł.

– Uznałem, że żołnierski los będzie bezpieczniejszy. – Aedan uśmiechnął się jeszcze szerzej. – I oto jestem tutaj.

– Fascynujące – powiedział sucho Arystydes i zwrócił się do mnie. – Bardzo dobrze. Wieśniacy nie są winni tej masakry. Przyjmuję twoje rozumowanie. Ale nadal stoimy przed dość poważnym problemem, czyż nie?

Przytaknąłem.

– Owszem. Jeżeli nazaretańczycy nie zabili Silanusa i jego ludzi, to kto?

– Może buntownicy lub bandyci – zasugerował Aedan. – Ten wasz senator węszył po Galilei, szukając oznak kłopotów. Cóż, może znalazł więcej, niż się spodziewał.

– Lecz nasi zwiadowcy nie zauważyli w tej okolicy niczego, co trąci buntem –

stwierdziłem, myśląc o tym, co zaobserwowałem podczas służby wzdłuż Renu. – Żadnych ukrytych obozów. Żadnych ćwiczących ludzi. Żadnych tajnych składów broni czy zbroi.

– Prawda – powiedział poważnie dekurion. – Ale patrzcie. – Wziął kawałek chleba, poskubał go na małe kawałki i rozrzucił okruszki na stole przed sobą. – Nazaret to jedna z wielu osad na tych wzgórzach. Powiedzmy, że w bandzie jest dwu lub trzech mężczyzn z każdej. Większość to zwykli wieśniacy, jak reszta Galilejczyków, a wtedy są niemal niewidzialni...

Pokiwałem ponuro głową:

– Mów dalej.

– Kiedy jednak dostaną sygnał – przysunął do siebie okruszki – zbierają się razem, atakują i znowu się rozpraszają, nie zostawiając żadnego śladu, którym moglibyśmy pójść.

Zastanowiłem się nad tym. To możliwe. Powiedziałem to głośno.

Arystydes skrzywił się.

– Mam nadzieję, że nie. Bunty to podłe, bezużyteczne zajęcie, pełne marnotrawstwa, zabijania i okrucieństwa. – Zaciśnął zęby. – Na bogów, tego ci ludzie powinni się już byli nauczyć!

Kiedy zapytałem, co ma na myśli, lekarz powiedział nam, że spędził trochę czasu na rozmowach z Mateuszem i innymi członkami starszyzny. To mnie nie zaskoczyło. Arystydes zwykł wypytywać miejscowych o leki oraz techniki ich uzdrowicieli. Często mi mówił, że swojej sztuki nauczył się przez powolne i nieustanne przyswajanie wiedzy, więc wszędzie poszukiwał nowych metod leczenia.

W tym wypadku jego poszukiwania były bezowocne. Żydzi z Nazaretu zazwyczaj polegał na znanych mu już remediach lub modlitwach do swojego boga.

Kiedy to ustalił, jego rozmowa ze starszymi przeszła na historię ich ludu i ich wioski. Takie opowieści również fascynowały greckiego lekarza, a to

zainteresowanie od dawna z nim dzieliłem.

Arystydes opowiedział nam, że dwadzieścia trzy lata temu, mniej więcej wtedy, kiedy się urodziłem, zmarł Herod Wielki i w kraju zapanowało wrzenie. Zmęczeni stawianiem wystawnych budowli przez starego władcę, jego „bezbożnością” i nadmiernym opodatkowaniem mieszkańcy Galilei i Judei powstali przeciw jego trzem synom.

– Galilejczycy zebrali się wokół człowieka imieniem Judasz i nazwali go swoim królem – mówił Arystydes. – Mówią, że jego ojciec wcześniej walczył przeciw samemu Herodowi.

Lecz Judasz i jego nowe „królestwo” nie przetrwało długo.

W ciągu miesiąca namiestnik Syrii zebrał potężne siły złożone z legionów oraz oddziałów pomocniczych, i wyruszył stłumić bunt. Większość żołnierzy skierowała się do Judei, lecz silny oddział ogniem torował sobie drogę przez Galileę, likwidując wioski i biorąc niewolników. Tysiące Żydów zostało ukrzyżowanych, a ich ciała wisały dopóty, dopóki nie uległy rozkładowi. Tysiące, w tym wielu mieszkańców Nazaretu, uciekło w góry i tam się ukryło. Niektórzy odeszli nawet dalej, do Egiptu lub innych prowincji, spędzając tam całe lata, zanim ośmielili się wrócić. Każda wioska i każda rodzina w Galilei nadal była naznaczona naszym potwornym odwetem.

Paweł, słuchając opowieści Arystydesa, wyglądał, jakby mu się zbierało na wymioty.

Wiedziałem, co czuje. Jak dotąd, chłopiec z Tarsu wiódł życie uprzywilejowanego. Urodził się w zamożnym mieście, w prowincji cieszącej się względami, chronionej przed pewnymi negatywnymi stronami naszych rządów. Teraz jednak został zmuszony stanąć twarzą w twarz z surowymi środkami niezbędnymi do utrzymania rzymskiego pokoju.

W przeciwieństwie do Pawła, rozumiałem potrzebę stosowania tych środków.

Wojna przeciwko Germanom nauczyła mnie, że trzeba uderzać mocno i szybko. Szybkie, brutalne i zwycięskie kampanie są w rezultacie łagodniejsze niż krwawy, przewlekły impas. Mimo to wiele opisywanych przez Arystydesa sytuacji wydawało się bezsensownych – czysta nieuzasadniona nienawiść i okrucieństwo.

– Kto dowodził tą wyprawą? – zaciekawilem się.

– Kwintyliusz Warus był wtedy namiestnikiem Syrii – odparł chłodno lekarz.

Prychnąłem:

– Warus tępak!

To wyjaśniało niepotrzebne zniszczenia. Kwintyliusz Warus był typem nieudolnego dowódcy, który polegał na brutalnej sile, by nadrobić własne braki jako stratega i taktyka. Dziesięć lat temu, jakiś czas po tym, jak Warus zniszczył Galileę, August popełnił błąd, mianując go dowódcą w Germanii.

Ten idiota natychmiast wprowadził swoje wojska w zasadzkę w dziewiczych, mokrych od deszczu puszcach germańskich. W ciągnącej się bitwie barbarzyńcy wymordowali całe trzy legiony i kilka regimentów pomocniczych. Zginęło ponad dwadzieścia tysięcy ludzi. Była to najgorsza katastrofa, jaka spotkała Rzym w ciągu minionych pięćdziesięciu lat. Pierwsze doświadczenie wojskowe zyskałem podczas podejmowanych przez Germanika prób odzyskania granicy i resztek honoru po upokorzeniu, które przyniosła porażka Warusa.

Siedzieliśmy w milczeniu przez jakiś czas po tym, jak Arystydes skończył swoją relację, każdy ponuro zamyślony.

Paweł drgnął.

– Może Silanus przybył tu za następcą tego Judasza buntownika – powiedział niechętnie. – Za synem lub wnukiem. Za kimś, kto mógłby znowu podjąć walkę. To z pewnością wyjaśniałoby jego dziwne zainteresowanie pochodzeniem i pokrewieństwem.

Lekarz wzruszył ramionami.

– Mateusz i inni twierdzą, że Judasz i cała jego rodzina albo zginęli w walce, albo zostali pojmani i straceni. Możliwe jednak, że podczas takiego chaosu i rzezi kilku z nich mogło uciec.

– Mimo wszystko to szaleństwo – skrzywił się Aedan. – Herod Antypas ma mnóstwo urzędników i żołnierzy, jak i wszystkie możliwe powody, by dbać o bezpieczeństwo własnego tronu. Nawet gdyby krążyły jakieś plotki o dziedzicu buntownika, dlaczego wysyłać senatora taki kawał drogi z Rzymu, by go odnalazł?

Żaden z nas nie miał na to odpowiedzi.

Obudziłem się nagle.

Przez moment leżałem nieruchomo z bijącym sercem. Coś mnie wyrwało z niespokojnego snu. Lecz co?

Czy to tylko wrażenie pozostałe po sennym koszmarze? Czy na pół słyszałem jakiś dźwięk, jakiś sygnał niebezpieczeństwa, dryfując pomiędzy snem a przytomnością? Czy to intruz stojący nieopodal, szykujący się do zadania mi ciosu? W moim umyśle pojawił się obraz okaleczonego ciała Silanusa. Zadrzałem pod wpływem tego wspomnienia.

Ostrożnie, z bezmierną cierpliwością, macałem po podłodze przy wąskim łóżku. Moje palce znalazły i zamknęły się na rękojeści miecza. Uspokojony odetchnąłem cicho.

Potem czekałem, nasłuchując.

Nic.

Otworzyłem oczy. Pomieszczenie było puste.

Serce się uspokoiło, ale było już za późno – odeszła mi ochota na spanie. Czy to zwykły koszmar, czy daleki dźwięk, coś mnie całkiem rozbudziło ze snu.

Wstałem, przywdziałem tunikę i płaszcz, włożyłem sandały oraz przewiesiłem miecz w pochwie przez ramię. Cicho wyszedłem do wspólnej izby domu, który dzieliłem z Aedanem, Arystydesem i Pawłem. Pochrapywania z innych pomieszczeń

oznaczały, że cokolwiek obudziło mnie, pominęło pozostałych.

Nadal poruszając się lekko, podszedłem do drzwi prowadzących na dwór i ostrożnie je otworzyłem. Niebo było czarne i usiane gwiazdami. Księżyc zaszedł. Tylko lekki odcień szarości na wschodzie zapowiadał nadchodzący świt.

Wyszedłem na zewnątrz, czym zaskoczyłem kawalerzystę, którego Aedan postawił jako strażnika. Drzemał oparty o chropowatą kamienną ścianę domu.

Gał wyprostował się pośpiesznie.

– Nic się nie dzieje, panie – wymamrotał nerwowo. – Wszędzie spokój.

Żołnierz miał powody, żeby się martwić. Zaśnięcie podczas straży było poważnym wykroczeniem, za które spotkałaby go surowa kara, gdybym postanowił wnieść oskarżenie.

Przyjrzałem się uważnie wartownikowi. Był to Litas, jeden z młodych rekrutów, których przywiodłem na południe z Antiochii. Ponieważ nie był to doświadczony żołnierz, postanowiłem być łagodny. Tym razem. Zanotowałem sobie w pamięci, żeby kazać Aedanowi, by dołożył mu obowiązków. Może kilka dni usuwania końskiego nawozu ze służącymi przypomni żołnierzowi, żeby poważniej traktował swoje żołnierskie obowiązki.

Ruchem głowy wskazałem wąską uliczkę prowadzącą w głąb wioski.

– Idę się przejść. – Zmierzyłem młodego Gała spojrzeniem. – Zostań na posterunku. I tym razem nie zaśnij!

Przełknął ślinę.

– Tak, prefekcie.

Odszedłem w ciemność. Starłem się wytłumaczyć sobie, że cokolwiek mnie obudziło, nie było to nic ważnego. Jednak jakieś przeczucie mówiło, że tej nocy w Nazarecie dzieje się coś niedobrego. Mój dziadek zawsze mnie zachęcał, bym polegał na instynkcie, zwłaszcza w ciemnościach. „Jesteś Rzymianinem, Lucjuszu. Dzieckiem wilczycy – mawiał. – Dzień to pora dla oczu i umysłu. Kiedy zajdzie

słońce, życie jest inne. Jak wilk, musisz ufać swoim uszom, nosowi, a nawet włoskom na karku. Pozwól się im prowadzić”.

Przechodziłem pomiędzy domami, ostrożnie stawiając stopy. Tu i ówdzie zatrzymywałem się, by nasłuchiwać. Przez jakiś czas nie słyszałem niczego niezwykłego.

A potem dobiegł mnie dźwięk. Z początku było to tylko słabe kwilenie niesione lekkim wiatrem, tak ciche, że wydawało się bardziej wytworem wyobraźni niż rzeczywistością.

Zatrzymałem się, nasłuchując uważnie.

Usłyszałem to znowu, tym razem głośniejsze. Teraz był to cichy, przerażony jęk. Nachmurzyłem się. Coś w tym dźwięku sugerowało cierpiącą kobietę.

Stłumiony krzyk rozległ się ponownie. Wyraźnie dochodził z domu nieopodal. Położyłem dłoń na rękojeści miecza i ruszyłem w tamtym kierunku. Zatrzymałem się przed drzwiami, spoza których przeświecało migoczące światło lampy. Serce zaczęło mi szybciej bić. Przeczucie dobrze mnie poprowadziło. Ktoś inny też nie spał.

Ale kto? I co tam robią?

Wyciągnąłem miecz z pochwy i przez chwilę stałem zamyślony. Czy powinienem zwołać pomoc?

Uznałem, że nie. Zbudzenie ludzi śpiących po drugiej stronie wioski zabierze za dużo czasu i wywoła zbyt wiele harmideru. Nie chciałem dawać temu, kto był za tymi drzwiami, okazji do wymknięcia się.

Odezwał się głos wydający rozkaz tonem, w którym była lodowata groźba i niewątpliwe okrucieństwo. Zmroziło mi to krew w żyłach.

Pora ruszyć.

Wyciągnąłem lewą rękę i spróbowałem delikatnie otworzyć drzwi. Były zamknięte na zasuwkę od środka.

Wzięłem głęboki oddech, by dodać sobie sił. Potem potężnym kopniakiem uderzyłem w drzwi. Zadrżały, odchylając się na roztrzaskanej zasuwce. Uderzyłem w nie jeszcze raz stopą. Tym razem otworzyły się z trzaskiem.

Bez wahania wpadłem do środka małej izby z wyciągniętym mieczem, gotów odbijać wymierzone ciosy.

Nikt mnie nie atakował.

Zamiast tego znalazłem się twarzą w twarz z Araneuszem.

Wysoki astrolog o ogolonej głowie wpatrywał się we mnie zszokowany. W prawej dłoni, bardzo blisko płomienia lampy oliwnej, trzymał długi sztylet o cienkim ostrzu. Młoda dziewczyna siedziała skulona w kącie koło stołu zarzuconego zwojami. Na jej przerażonej twarzy były ślady łez. Patrzyła dzikim, niewidzącym wzrokiem. Długie czarne włosy miała splątane. Kilka kosmyków zwisało z zaciśniętych palców lewej dłoni astrologa.

Przez moment nie zrobiłem nic, opierając się bitewnemu szałowi, który we mnie wrzał. Wpadłem przez drzwi, spodziewając się walki, a teraz wszystko we mnie nakazywało mi rzucić się na Araneusza.

Twarz astrologa pociemniała z gniewu.

– Wynoś się! – wysyczał. – Nie masz tu czego szukać!

Dochodząc do siebie, uniosłem miecz, podstawiając jego koniuszek tuż pod wąską, kościstą szczękę astrologa.

– Mylisz się – powiedziałem stanowczo. – A teraz rzuć sztylet albo przekonamy się, jak dobrze oddychasz przez dziurę w gardle.

Oczy mu się rozszerzyły. Wypuścił ostrze z ręki. Upadło na podłogę.

Nadal trzymając miecz przy jego gardle, kazałem mu się cofnąć pod ścianę. Stał przyparty do muru, nie mogąc się ruszyć bez nadziania się na ostrze miecza. Dziewczyna patrzyła na nas obu, trzęsąc się ze strachu.

Teraz mogłem wezwać pomoc.

Okrzyk sprowadził biegnących żołnierzy, wpierw Litasa, a potem kilku jego towarzyszy. Ruchem głowy wskazałem astrologa.

– Związać go!

Araneusz zaczął miotać pod moim adresem przekleństwa i wstrętne zaklęcia, przywołujące mroczne boginie i bogów.

– Ty wścibski szczeniaku! Niech Hekate wypije twoją krew! Niech Seth zwiąże ci język i duszę! Niech Anubis cię połknie!

Dziewczyna zajęczała.

Byłem zbyt zły, by poczuć strach.

– I zakneblujcie tego drania – warknąłem.

Moi żołnierze prędko spełnili rozkazy, ucinając potok złowieszczych gróźb Araneusza kawałkiem materiału, oddartym z jego własnej szaty. Wił się, próbując przerwać krepujące go więzy, ale dwu Celtów przyparło astrologa znowu do ściany.

– Wyprowadźcie go stąd! – rozkazałem. – Zabierzcie do mojej kwatery!

Żołnierze wypchnęli Araneusza na dwór, w ciemność.

Obudzeni zgiełkiem Aedan, Arystydes, a potem Paweł wepchnęli się do małej izdebki. Słuchali w ciszy mojej relacji, ale na ich twarzach wyraźnie malował się gniew i odraza. Byłem zadowolony, że ich widzę, zwłaszcza chłopca. Z tego, co mogłem zrozumieć poprzez szloch, dziewczyna mówiła tylko po aramejsku.

Posłałem dekuriona do naszej kwatery, nakazując mu sprawdzenie, czy astrolog jest pod czujną strażą.

– Nie pozwól mu z nikim rozmawiać, Aedanie – powiedziałem twardo. – Z żołnierzami, z wieśniakami, ani z Sewerusem. Jasne?

Celt skinął głową i wyszedł.

– Pawle. Chcę, żebyś porozmawiał z tą dziewczyną. Spróbuj się dowiedzieć, co tu się działo, co ten tak zwany astrolog robił albo czego chciał. Ale traktuj ją łagodnie, rozumiesz?

Chłopiec miał ogromne oczy w świetle lampy. Przełknął konwulsyjnie ślinę, a potem podszedł ostrożnie do płaczącej dziewczyny i ukląkł przy niej. Siedziała z kolanami przyciągniętymi do twarzy, kołysząc się w tył i w przód, nadal śmiertelnie przestraszona. Zaczął do niej mówić cichym, nagłym tonem.

Arystydes rozłożył ręce.

– A co ze mną, Lucjuszu?

Wyszczерzyłem do niego zęby w uśmiechu, czując się odprężony po raz pierwszy od momentu, kiedy tu wpadłem przez wyłamane drzwi.

– Co z tobą, doktorze?

Wzruszył ramionami.

– Jesteś w nastroju do wydawania rozkazów. Pomyślałem, że może masz jakieś dla mnie.

To prawda, zdałem sobie sprawę. Po brnięciu przez bagno wątpliwości i niepewności otaczające morderstwo senatora, poczułem ulgę, mogąc działać prędko i zdecydowanie, choć ku czemu miało to prowadzić, nie wiedziałem.

Sewerus, centurion pretorii powiedział mi, że Araneusz ma potężnych sojuszników w otoczeniu Tyberiusza. Jeżeli to prawda, będę musiał zważyć, jak go traktuję. Wiedziałem jedno. Przecistawiając się Sewerusowi w sprawie odwetu, którego żądał, w gruncie rzeczy wziąłem pod opiekę wioskę i jej mieszkańców. Przyjaciel cesarza czy nie, nie pozwolę temu tak zwanemu astrologowi na jego dziwaczne, sadystyczne postępowanie bez mojej wiedzy.

Mój wzrok padł na zwoje spiętrzone na stole. Araneusz zabrał więc ze sobą do Nazaretu owoce swych wychwalanych okultystycznych poszukiwań. Uznałem, że warto dowiedzieć się czegoś więcej o tych tajemniczych poszukiwaniach, na które wyruszył dla swego mistrza Trazyła. Machnąłem kciukiem w ich kierunku.

– Jeżeli chcesz zadania, Arystydesie, zobacz, czy coś z tego zrozumiesz.

Greki podniósł jeden ze zwojów i go rozwinął. Gwizdnął cicho.

– To nie będzie łatwe. – Wyciągnął zapiski, by mi je pokazać.

Przejrzałem zapiski szybko i zobaczyłem, o co mu chodzi. Papirus był pokryty niemal nieczytelną plątaniną astrologicznych symboli, różnych alfabetów i dziwnych rysunków. Oddałem mu zwój.

– To jakieś tajemne pismo – Arystydes mówił bardziej do siebie niż do mnie. Postukał w kilka linijek. – Tu mieszanka greki i łaciny... a tu jakiś inny język... może chaldejski? – Zmarszczył czoło. – Niczego nie obiecuję, Lucjuszu.

Pokiwałem głową.

– Rozumiem. Ale postaraj się. – Poklepałem go lekko po ramieniu. – W końcu to ty lubisz rozmaite zagadki, a przynajmniej tak twierdzisz.

Arystydes potaknął z roztargnioną miną, już biorąc naręczce zwojów astrologa.

– Aureliusz Walensie? – odezwał się niepewnie Paweł.

Odwróciłem się do niego. Chłopiec zdjął swój płaszcz i okrył nim dygoczącą dziewczynę, która nadal siedziała skulona w kącie, ale przynajmniej wyglądała już na spokojniejszą.

– Czego się dowiedziałeś?

– Nazywa się Sara. Jest córką jednego z członków starszyny. Araneusz upierał się, żeby była tu jego służącą, a nikt nie czuł się na siłach, by mu odmówić.

Pokiwałem głową. Była to typowa praktyka.

– Zasadniczo jej obowiązki były znośne: przynoszenie wody, przygotowywanie posiłków i tym podobne – relacjonował Paweł. – Mówi, że astrolog był surowy i krytykował ją za byle co, lecz nic więcej. Aż do dzisiejszego wieczoru.

– A co się wtedy stało?

– Zaczął ją wypytywać o wioskę i mieszkające tu rodziny. Chciał poznać ich pochodzenie. Czy żyły tu jakieś rodziny kapłanów? Kto się urodził poza Galileą? Pod jakim znakiem? I o inne podobne sprawy.

– Mniej więcej te same informacje, których szukał Silanus.

Paweł potaknął ponuro.

– Czy dziewczyna udzieliła mu odpowiedzi?

Chłopiec pokręcił głową.

– Niewiele. Sara powiedziała mu, co wiedziała, a nie było tego dużo, ale mówi, że Araneusz domagał się więcej. Zagroził jej okropną karą i torturami – powiedział gniewnie Paweł. – Jego groźby były poważne. Jej ręce są pokryte siniakami, ranami i oparzeniami.

Poczułem, jak twarz mi czerwienieje ze złości, zarówno na siebie, jak i na Araneusza. Byłem tak zajęty badaniem śmierci Silanusa, że nie zwracałem uwagi na to, co ten ogolony drań kombinuje za moimi plecami. Jego dziwny wygląd i osobliwe zachowanie tak mnie wytrącały z równowagi, że byłem zadowolony, iż nie wchodzi mi w drogę. Ta biedna dziewczyna zapłaciła za moje niedbalstwo i lęk.

– Zabierz Sarę do domu, do jej ojca, Pawle – powiedziałem cicho. – Zapewnij go, że dostanie odszkodowanie za to, co wyrządzono jego córce, i że sam ukarzę krzywdziciela. Powiedz mu, że przysięgam na honor rzymskiego żołnierza.

– Co możesz zrobić? Jest obywatelem. Możesz przedstawić sprawę przeciwko niemu w Cezarei? – zapytał niepewnie chłopiec. – Czy rzymski sąd w ogóle się przejmie córką biednego wieśniaka?

– Prawdopodobnie nie – przyznałem. – Ale nasze prawo zabrania złego użycia magii, czarów i zaklęć. A Araneusz próbował mnie przekląć, na co mam świadków. Jeżeli będzie trzeba, oskarżę go o czarną magię i sam będę jego oskarżycielem.

Zastanawiałem się, czy będę mógł dotrzymać tej obietnicy. Teoretycznie prawo traktowało wszystkich tak samo. W praktyce imperator miał olbrzymią władzę i mógł zadbać o to, by sądy przyjęły jego interpretację w ważnych sprawach. Przez jakiś czas po zajęciu miejsca Oktawiana Augusta Tyberiusz skrupulatnie unikał mieszania się do tych zagadnień. Lecz teraz? Czy rzeczywiście powstrzyma się przed wydaniem opinii i nie przeważy szali, jeżeli sprawa dotyczy ucznia jednego z

jego najbliższych kompanów?

Robiłem, co mogłem, by oddalić od siebie te wątpliwości. Rzym i imperator byli daleko. Terazja miałem tutaj władzę i byłem odpowiedzialny za przestrzeganie prawa, tak jak ja je rozumiałem. To wystarczy.

Odwróciłem się na pięcie i poszedłem do drzwi. Miałem kilka pytań do tego tak zwanego astrologa.

Niestety prędko się przekonałem, że popełniłem błąd, nie przesłuchawszy go od razu. Był dużo twardszy niż Nahum. Opóźnienie pozwoliło mu tylko odzyskać równowagę i zebrać myśli.

– Mój pan cieszy się względami imperatora. Kto chroni ciebie? – zaszydził, gdy tylko Aedan wyciągnął mu knebel z ust.

Puściłem to mimo uszu.

– Czemu jesteś tu w Nazarecie?

Astrolog wyprostował się wyniośle.

– Nie masz prawa zadawać mi takich pytań.

– Mam wszelkie prawa – zauważyłem spokojnie. – Zamordowano rzymskiego senatora. Moim obowiązkiem jest pochwylenie i ukaranie tych, którzy za to odpowiadają.

– Oskarżasz mnie o tę zbrodnię? – Araneusz ruchem głowy wskazał na swoje związane ręce. – Widzisz tu skrzydła? Byłem w Cezarei Nadmorskiej, kiedy Silanus spotkał swe przeznaczenie. Widział mnie tam tuzin osób.

Potrząsnąłem głową.

– Nie oskarżam cię o to.

– Więc natychmiast mnie uwolnij! – zażądał astrolog. – Moje badania są niezbędne dla imperatora i Rzymu.

– Torturowanie młodej kobiety? – Nie próbowałem ukryć wzgardy. – Nazywasz to ważną pracą?

Wzruszył ramionami:

– Robię, co muszę, w służbie cesarzowi. Dziewczyna znała część odpowiedzi, których szukam. Ból, który jej zadałem, wyciągnął je z niej, a zatem był usprawiedliwiony.

– Wątpię, czy Tyberiusz byłby zadowolony, słysząc, jak to mówisz – powiedziałem oschle.

– Mógłbyś się zdziwić – odparł Araneusz. Jego czarne oczy zaśniły. – Imperator znajduje przyjemność w robieniu wielu niezwykłych i ciekawych rzeczy.

Zacisnąłem zęby, ale nic nie powiedziałem. Nie zamierzałem zaszczycać jego sprośnych kpin odpowiedzią.

– Uwolnij mnie! – zażądał ponownie.

– Nie. – Popatrzyłem na niego chłodno. – Raz mnie okłamałeś. Teraz chcę prawdy.

– Nie okłamałem cię! – warknął.

Skrzyżowałem ramiona.

– Wcześniej twierdziłeś, że twoja misja tutaj nie ma związku z zadaniem senatora. Ale teraz dowiedziałem się, że szukasz tych samych odpowiedzi na te same dziwaczne pytania. Jak to wyjaśnisz?

Dwie czerwone plamy pojawiły się na wąskiej, bladej twarzy astrologa. Nachmurzył się, wyraźnie rozdrażniony sugestią, że on i senator zmierzali do tego samego tajemniczego celu.

To ciekawe – pomyślałem. Silanus był senatorem i ongiś konsulem. Potrafił wywieść swoje pochodzenie od przodków spod lśniących wież Troi. A jednak ten cudak uważa się za lepszego. Czy mogę wykorzystać jego próżność przeciwko niemu samemu?

– Przyznaj, całe te twoje okultystyczne brednie to fikcja – prowokowałem go. – Koniec końców, jesteś tylko nadętym praktykantem wysłanym tu z jakąś pospolitą

polityczną sprawą.

– Wcale nie! – Araneusz wprost kipiał. – Mój pan i ja czuwamy nad duchem imperatora, nad jego geniuszem. Jesteśmy opiekunami Tyberiusza, a przez niego i Rzymu: bronimy przed złośliwością duchów ziemi, wiatru, wody i ognia. – Spiorunował mnie wzrokiem. – Wiedza, jakiej dla Trazyła poszukuję, jest nie do pojęcia dla ograniczonych głupków, zwłaszcza tak chciwych, zachłannych i kupczących wpływami, jak Decymiusz Juniusz Silanus.

Pokręciłem sceptycznie głową.

– Elokwentnie, ale nieprzekonująco.

Astrolog skrzywił się.

– Słuchaj, głupcze! Czekają nas wielkie i straszne wydarzenia, które mogą wstrząsnąć podstawą całego świata. Wielu upadnie. Kilku się wzniesie. To miejsce może być źródłem tych zmian. Tu mogą się dziać tajemne sprawy, które dotyczą sfery nieskończoności.

Tego było dla mnie za wiele. Zaśmiałem się zdumiony.

– W Nazarecie? W tej małej wiosce? – Pokręciłem z niedowierzaniem głową. – Czemu po prostu nie przyznasz, że przyjechałeś w poszukiwaniu rzekomego żydowskiego buntownika, tak jak senator?

– Silanus przybył w poszukiwaniu buntownika – zasyczał Araneusz. – Ślepy śmiertelnik szukający innego ślepego śmiertelnika.

Więc Paweł miał rację – pomyślałem.

Wtedy dotarły do moich uszu dalsze słowa astrologa.

– Lecz ja, Araneusz, potężny i uczony mag, przybyłem tu szukać boga!

Rozdział XIV

Nie byłem zdziwiony, widząc Sewerusa wcześniej rano następnego dnia. Centurion pretorii przyszedł się ze mną zobaczyć, ubrany w strój paradny, zupełnie jakby wybierał się na spotkanie samego Tyberiusza. Słońce odbijało się od rzędów wypukłych srebrnych i złotych medali, wiszących na wypolerowanej kolczudze. Kilka błyszczących opasek na ramionach i prosta obręcz na głowie dodatkowo świadczyły o jego niekwestionowanej odwadze i nienaganej służbie. Wyraźnie dążył do oficjalnej rozmowy, by obstawać przy swoich żądaniach – prawdopodobnie przy świadkach.

A to oznaczało kłopoty.

Przywitałem go przy drzwiach wejściowych do domu Mateusza. Pretorianin chce więc mnie onieśmielić swoimi odznaczeniami i nagrodami za waleczność? W porządku. Jednak to nie oznacza, że muszę na to przystać. Skoro nie mogę uniknąć konfrontacji z Sewerusem, przynajmniej zadbam o to, by przebiegała na moich warunkach. Dobry dowódca, jeżeli tylko może, nigdy nie walczy na gruncie wybranym przez przeciwnika.

– Chodź i przejdź się ze mną, Emiliuszu – powiedziałem radośnie, odnosząc się do niego jak do przyjaciela. – Słońce wzeszło, a ja potrzebuję dobrego, czystego powietrza.

Przez moment Sewerus wyglądał na zaskoczonego moim swobodnym zachowaniem. Prędko jednak doszedł do siebie. Z lekko skrzywioną miną wyszedł za mną na plac w środku Nazaretu. Zaczęliśmy wolno spacerować po wiosce.

– Rozumiem, że umieściłeś Araneusza pod ścisłym nadzorem – odezwał się w końcu centurion, który wydawał się nieco bardziej spięty niż zwykle.

– Zgadza się.

– Pod jakim zarzutem?

– Czarna magia. Utrudnianie śledztwa w sprawie morderstwa – wzruszyłem ramionami. – Jeszcze się nie zdecydowałem.

Sewerus nachmurzył się.

– Radzę ci nie ciągnąć tej sprawy przeciwko niemu, Walensie. Ten astrolog może i jest głupcem, lecz to mściwy głupiec, i to taki, który ma potężnego protektora.

– Jestem tego świadom.

– Przesłuchałeś go? – zapytał centurion.

– Pokrótce.

Sewerus przyjrzał się uważnie mojej twarzy.

– I czego się, jak dotąd, dowiedziałeś?

Opisałem dziwne twierdzenia astrologa. Centurion zachnął się:

– Araneusz twierdzi, że szuka nowego boga? Tutaj? – Pokręcił głową. – Ten typ jest jeszcze bardziej obłąkany, niż sądziłem.

– Zgadzam się. Lecz przynajmniej potwierdza, że Silanus szukał przywódcy buntowników, ukrywającego się gdzieś pośród galilejskich górskich osad.

Pretorianin wzruszył ramionami. Wydawał się teraz spokojniejszy.

– Tak zwany bóg albo przeklęty buntownik. Żadna różnica. – Stuknął swoją różgą z winorośli o kamienną ścianę domu. – Tak czy inaczej, to tylko kolejny powód, by teraz uderzyć. Zlikwiduj tę wioskę, a zniszczysz zagrożenie, które się tu szykuje.

– *Nazara delenda est?* – powiedziałem z lekkim uśmiechem, odwołując się do Katona Starszego, senatora starej republiki, który zwykł kończyć każdą mowę tym samym surowym żądaniem, by Kartagina została zniszczona: *Carthago delenda est.*

Sewerus skrzywił się.

– Kpij ze mnie, jeżeli chcesz, lecz pamiętaj, że Katon miał rację... i ja.

Potrząsnąłem głową.

– Nie nakażę odwetu, ot tak sobie.

– Na bogów, Walens! – poskarżył się centurion – Czego ci trzeba?

– Dowodu. Lub przynajmniej jakiegoś wyjaśnienia tych morderstw, które byłoby logiczne.

– Chcesz logiki? Zatem rozważ to. Fakt: Silanus przybył do Nazaretu w poszukiwaniu buntownika. – Wskazał w dół wzgórza na ciemny zagajnik. – Fakt: Silanus i jego świta zostali zamordowani tam, w odległości krzyku od tej wioski. – Zwrócił się do mnie: – Konkluzja: senator znalazł buntowników, których szukał. A oni go zabili.

Znowu potrząsnąłem głową.

– Niestety Emiliuszu, są elementy tej układanki, które nie pasują do twojej teorii, choć jest wygodna.

Popatrzył na mnie.

– A jakież to?

Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że nie przeszkadzał mi, gdy wymieniałem argumenty, których użyłem poprzedniego wieczora w rozmowie z Arystydesem i pozostałymi. Kiedy skończyłem, było jasne, że moje rozumowanie go nie przekonało.

Wzruszył ramionami.

– To tylko czyste spekulacje, Walens. Nie dowody, które tak sobie cenisz.

– A co z tym żołnierzem, którego znaleźliśmy martwego wśród cierni? – przypomniałem.

– Kasjusz Celer? Co z nim?

– Silanus i reszta zostali rozebrani do naga. Celer był nadal w zbroi. Oni byli związani i zakneblowani. On miał wolne ręce. Oni zostali zatłuczeni albo poderżnięto im gardła. On zginął od strzały.

– Co z tego? – Sewerus był zadziwiony. – Ludzie mogą ginąć na różne sposoby.

Tak czy inaczej są martwi.

– Ale skąd tyle różnic? Jeżeli senator wpadł w zasadzkę w drodze do Seforis, a potem został przyprowadzony tu w nocy, to dlaczego Celer nie był związany jak pozostali? Dlaczego nie zdjęto mu zbroi? Dlaczego go nie zakneblowano? Skąd zabójcy wiedzieli, że nie rzuci się do ucieczki albo nie zacznie wołać o pomoc?

Centurion zeszywniał.

– Kasjusz Celer był jednym z najodważniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem – Sewerus cedził słowa przez zaciśnięte zęby. Położył dłoń na rękojeści miecza. – Jeżeli chcesz pluć na jego pamięć, sugerując, że okazał się tchórzem albo jeszcze gorzej, to zdecydowanie radzę ci to przemyśleć jeszcze raz.

– Niczego nie sugeruję, centurionie – powiedziałem łagodnie. Stanowczość jego reakcji mnie właściwie nie zdziwiła. Wcześniej jasno dał do zrozumienia, że Celer był jednym z jego najbliższych towarzyszy. – Staram się tylko dopasować niektóre elementy.

Odprężywszy się lekko, oficer pretorii zdjął rękę z miecza. Potem pokręcił głową.

– Zbyt komplikujesz sprawy, Walens. Jak zwykle. Odpowiedź jest prosta i dowodzi, że ci wieśniacy brali w tym udział.

– Tak?

– Senator i jego ludzie nigdy nie opuścili Nazaretu – argumentował Sewerus. – Musieli zostać zwabieni do tego lasu jakimś podstępem. Kasjusz natknął się na zasadzkę i wyrwał się z niej. Mordercy posłali mu strzałę. Przeżył na tyle, by przepchać się w te krzaki; nikomu się nie chciało wyciągać jego ciała. Dlatego nie został związany ani zakneblowany i stąd znalazłeś go w zbroi.

Przemyślałem to. To, co przedstawił centurion, miało z pozoru jakiś sens, ale tylko z pozoru. Nie wyjaśniało to zaginionych ubrań, broni, uzbrojenia oraz koni ani nieoprzebanych ciał. Ja nadal nie mogłem uwierzyć, żeby wieśniacy tak długo

utrzymali taki potworny sekret. Już przepytalem co najmniej ćwierć mężczyzn w Nazarecie. Wszyscy oprócz Jezui, młodego cieśli, byli przerażeni, lecz nie miałem nawet najbliższego podejrzenia, że ktokolwiek mnie okłamuje.

– Ci Żydzi mają świadomość stawki – zareplikował Sewerus. – Który z nich powie ci prawdę, ryzykując własne życie? – Pokręcił z niesmakiem głową. – Przyjmij fakty, Walens. Nic nie usprawiedliwia twojej pobłażliwości. Zamiast tego ryzykujesz pokój i naszą władzę, będąc tak niebezpiecznie litościwy.

Oho, zaczyna się – pomyślałem.

– Jakie masz teraz zamiary? – zapytał, wskazując okoliczne domy. – Chcesz stracić jeszcze więcej czasu, próżnując w tych norach? Albo spędzać dni, włócząc się bez celu po okolicznych wzgórzach?

Z wielkim trudem pohamowałem gniew. Prowokował mnie.

– Niezupełnie.

– Cóż zatem?

– Zaczynam myśleć, że być może szukamy morderców senatora w niewłaściwym miejscu – powiedziałem wolno, ubierając w słowa myśli, które od jakiegoś czasu kłębiły mi się w głowie. – I zadajemy niewłaściwe pytania.

Sewerus utkwiał we mnie spojrzenie.

– Co przez to rozumiesz?

– Wszyscy przyjęliśmy, że śmierć senatora miała jakiś związek z Nazaretem lub jedną z wiosek, które odwiedził. A co, jeżeli to nie jest prawda? Sam mi powiedziałeś, że nikt w Rzymie nie wie wiele o pogłoskach na temat spisku i rebelii, które miał zbadać. Tylko to, że stanowią poważne zagrożenie dla imperium lub samego Tyberiusza.

Centurion przytaknął, choć raczej niechętnie, jak pomyślałem.

– Cóż, rozejrzyj się wokół siebie – mówiłem cierpliwie. – Czy naprawdę widzisz tu lub gdzie indziej w Galilei, coś, co mogłoby stanowić prawdziwe zagrożenie?

Kiedy ostatnim razem ci wieśniacy sprawiali kłopoty, jeden oddział naszych wojsk zgniótł ich i nawet się nie spocił.

Sewerus nic nie powiedział. Drgnęła mu blizna po cięciu mieczem na lewym policzku.

– Lecz co zrobisz, jeżeli prawdziwy spisek jest gdzie indziej: w Jerozolimie, Seforis lub Cezarei czy nawet Antiochii? – zapytałem. – Co, jeżeli prawdziwi spiskowcy chcieli zakończyć misję senatora, zanim znajdzie się zbyt blisko prawdy? Jakie jest lepsze miejsce na wykończenie go niż tu, gdzie nikt nie powiąże jego śmierci z nikim, poza tymi wieśniakami lub bandytami?

Sewerus prychnął.

– I stąd teraz uważasz, że ci nieznani i bezimienni „konspiratorzy” wysłali jakichś zabójców taki kawał drogi do Galilei, tylko po to, by zabić Juniusza Silanusa?

Istnieje taka możliwość.

Przyznaję, że moje nagłe olśnienie brzmiało raczej słabo, jeżeli tak ująć sprawę, ale takie jest niebezpieczeństwo myślenia na głos.

– Twoje patrole nie znalazły żadnych dowodów na istnienie wynajętych zabójców – zauważył pretorianin.

– To prawda – przyznałem. – Lecz moi zwiadowcy szukali głównie fizycznych znaków: śladów, obozów, kryjówek. Obawiam się, że zbyt mało moich ludzi posługuje się aramejskim na tyle, by zadać właściwe pytania właściwym Galilejczykom.

– A kim oni są? – w głosie Sewerusa słychać było rosnące zniecierpliwienie i irytację.

– To pasterze rozrzućeni po tych wzgórzach – powiedziałem wolno, przypomniawszy sobie człowieka, którego spotkaliśmy na drodze do Seforis.

Jego niewinna uwaga o rzymskich żołnierzach w górskich miasteczkach

sprowadziła mnie do tego miejsca, tego nowego brzemienia, które tak ciążyło moim ramionom i myślom. Ze zdumieniem zdałem sobie sprawę, że to było zaledwie trzy dni temu. A wydawało się, że całe życie.

Oficer wzruszył ramionami.

– I?

Staralem się najlepiej, jak mogłem, wyjaśnić mu swoje rozumowanie. Uważałem, że mieszkańcy Nazaretu są niewinni jakiegokolwiek współudziału w zamordowaniu senatora. Potrzebowaliśmy więc świadka, kogoś, kto widział prawdziwych morderców, czy byli to bandyci, buntownicy, czy zabójcy spoza Galilei.

Każdy, kto jest ostrożny, z łatwością może uniknąć zostania zauważonym przez wieśniaków. Chłopi w ciągu dnia zajmują się polem, a przed zmrokiem już śpią. Ich poczynania są niemal całkowicie przewidywalne. Co innego pasterze. O tej porze roku ich stada wędrują w poszukiwaniu pastwisk daleko. Obozują pod gołym niebem, zazwyczaj gdzieś wysoko, skąd mają dobry widok na okolicę. Każdy pasterz pilnuje zwierząt przed wilkami i innymi drapieżnikami.

Bardzo możliwe, że jeden z nich (lub więcej) mógł zauważyć coś ważnego, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– A jak zdobędziesz zaufanie tych żydowskich pasterzy? – zapytał sarkastycznie centurion. – Nie żywią do nas miłości ani nie mają powodu nam pomagać, zwłaszcza jeżeli Silanusa zabił ktoś z nich.

– Zabiorę ze sobą Gajusza Juliusza Pawła – odparłem. – Chłopiec płynnie mówi w języku tego narodu. I czci tego samego boga, co oni. Potrafi z nimi rozmawiać tak, jak żaden z moich żołnierzy nigdy nie zdoła.

– To szaleństwo – powiedział bezceremonialnie centurion. – Stracisz więcej dni, tygodni nawet, i niczego nie osiągniesz. A przez cały czas nasza kontrola nam nimi osłabnie. – Pokręcił głową. – Nie zostawiasz mi wyboru. Zamierzam wystąpić do

Heroda Antypasa o pełną kontrolę na tą sprawą.

– Kiedy?

– Dziś.

Skinąłem głową tak spokojnie, jak tylko mogłem. Wiedziałem, że do tego kiedyś dojdzie, ale przez to wcale nie było łatwiej to usłyszeć.

– Masz takie prawo. Naturalnie będę się temu sprzeciwiał.

– Nie radziłbym. – Sewerus zniżył głos. – Popełniłeś już jeden wielki błąd, chłopcze. Nie powiększaj swojej głupoty kolejnym.

Przez moment poczułem wahanie. Cóż zyskam, przeciwstawiając się Sewerusowi? Akcja odwetowa, której się domagał, jest zgodna z naszymi zwyczajami i polityką imperium. Nikt w Rzymie nie podziękuje mi za chronienie mało znanej wioski pełnej upartych, ubogich Żydów. Bynajmniej.

Cesar Tyberiusz miał niewielu prawdziwych przyjaciół. Jednym z nich był Decymiusz Juniusz Silanus. Imperator z pewnością będzie żądał krwi i ognia w zemście za zamordowanie senatora. Ponury centurion gwardii pretoriańskiej da mu to, czego oczekuje.

Nagle poczułem zmęczenie i znużenie. W Syrii przeciwstawiłem się demoralizacji legata mojego legionu, Faustusa, i namiestnika Gnejusza Pizona. W rezultacie niemal straciłem życie i reputację. Oczywiście, Germanik interweniował w mojej sprawie. Nawet mnie awansował. Ale teraz zacząłem podejrzewać, że zrobił to bardziej po to, by ukoić moją dumę, niż pochwalić moje działania. W istocie, z pewnością nie tracił czasu, odsyłając mnie do najnudniejszego, najmniej wspaniałego regionu imperium.

Na jaką karę zasłużę sobie tym razem, przeciwstawiając się woli cesarza? Dlaczego mam narażać swoją karierę wojskową, a może i nawet życie dla kilku wieśniaków i ich rodzin? I co ja się naprawdę spodziewam osiągnąć, zyskując czas najeżdżenia od stada do stada w poszukiwaniu odpowiedzi, które może wcale nie

istnieją?

Sewerus musiał wyczuć moje wahanie. Podeszedł bliżej.

– Jesteś dobrym żołnierzem, Walensie. Ale każdy dobry żołnierz wie, kiedy walczyć, a kiedy się wycofać. Teraz odejdz i zostaw los Nazaretu w moich rękach.

Te słowa paliły jak ogień. Spojrzałem na złotą obrączkę na serdecznym palcu lewej dłoni. Honor i prawda – pomyślałem. Ciężkie brzemie. Znowu stałem przed wyborem dwóch dróg. Jedna prowadzi do bezpieczeństwa, ale bezpieczeństwa kupionego za życie niewinnych. Druga daje same niebezpieczeństwa i wątpliwe pocieszenie własnego honoru.

Wiedziałem, którą drogę mój dziadek pragnąłby, żebym wybrał.

Chciałbym móc powiedzieć, że to wystarczyło do podjęcia decyzji.

Lecz tak nie było.

Przed oczyma stanęły mi twarze Mateusza, Sary, młodego cieśli Jeszui oraz jego matki Miriam. Oni niczemu nie zawinili. Czy to sprawiedliwe, by ponieśli śmierć lub zostali niewolnikami, by zaspokoić żądzę zemsty? Albo napełnić lękiem tych, którzy mogą powstać przeciwko naszej władzy?

Podniosłem wzrok i zauważyłem cień uśmiechu zadowolenia na twarzy pretorianina. Sewerus wydawał się już przekonany, że ustąpię i ulegnę jego żądaniom.

Ta lekka sugestia triumfującego uśmiechu przeważała szalę.

Zesztywniał mi kark.

– Będę działać zgodnie ze swoim sumieniem, centurionie. Nie oddam ci tej osady.

Oficer pretorii westchnął:

– Zatem jesteś zdecydowany upaść dla tych Żydów na własny miecz. Naprawdę mi przykro. Nie są wari ryzyka, na które się narażasz – zmierzył mnie zimnym spojrzeniem. – Bardzo dobrze. Herod to rozstrzygnie. Moi ludzie i ja wyjeżdżamy w

ciągu godziny. Szykuj swoich galijskich próżniaków, by ruszyli z nami. Albo zostańcie, nie będziemy na was czekać.

Z tymi słowy Sewerus odszedł, a ja rozważałem niebezpieczeństwa nadchodzącego dnia. Jakoś będę musiał wytłumaczyć Herodowi Antypasowi, by zostawił śledztwo w moich rękach. Jeżeli mi się nie uda, nazaretańczykom nie zostanie wiele dni życia.

Rozdział XV

Słońce stało wysoko nad głową, kiedy zjeżdżaliśmy ze wzgórz i skręcaliśmy na wschód, na drogę do Morza Galilejskiego. Zostawiłem Taedifera, starszego dekuriona regimentu, razem z ponad pięćdziesięcioma żołnierzami w obozie z zadaniem pilnowania Nazaretu. Oddział trzydziestu kawalerzystów, Siódmy, oraz ich służący, pojechali ze mną.

Obok mnie jechał Aedan, za plecami miałem Arystydesa i Pawła. Medyk na swoim mule miał tobołek z zebranymi dowodami – strzała, od której zginął Kasjusz Celer, strzępki materiału użytego do kneblowania oraz przysięgi podpisane przez Mateusza i resztę starszyny, zaprzeczające jakiegokolwiek odpowiedzialności za morderstwa. Wiózł również zwoje i notatki odebrane Araneuszowi. Sam astrolog jechał dalej w kolumnie, nadal pod strażą. Nie wiedziałem, ile czasu da mi Herod Antypas, ale chciałem być przygotowany na każdą ewentualność.

– Zrobić przejście! – rozległ się okrzyk za nami.

Obróciłem się w siodle i zobaczyłem Sewerusa i pretorian chcących się wysforować przed nas. Wyglądali imponująco w paradnych zbrojach i powiewających na wietrze szkarłatnych płaszczach. Tancerka zarżała w proteście, kiedy galopowali koło nas, ale odsunąłem się nieco i pozwoliłem im przejechać.

– Ten to ma o sobie wysokie mniemanie – Aedan skrzywił się, zobaczywszy centuriona. – Tu ty dowodzisz, nie Sewerus.

– Mam nadzieję. – Uśmiechnąłem się cierpko. – Musimy mu wybaczyć. Sami bogowie z pewnością by zadrżeli, gdyby jakiś pretorianin musiał łykać kurz jak inni śmiertelnicy.

Celt odwrócił się i zobaczył tuman spowijający ludzi jadących za nami wąską drogą. Dwa dni bez deszczu znowu wysuszyły Galileę.

– A nam jedzenie piasku pewnie służy?

Wzruszyłem ramionami.

– Dla niektórych jesteśmy zwykłymi żołnierzami, zdatnymi tylko do służby w błocie.

Paweł podjechał mułem na tyle blisko, by słyszeć, co mówiliśmy. Zmarszczył brwi.

– Ale legiony i oddziały pomocnicze strzegą granic. Wy egzekwujecie pokój w każdej prowincji. Z pewnością cesarz docenia waszą służbę.

Przytaknąłem.

– Dobrze zna naszą wartość.

Zniżyłem głos, mówiąc na tyle głośno, by moje słowa dotarły tylko do Aedana i chłopca ponad brzękiem zbroi, skrzypieniem upręży i rytmicznym stukotem kopyt o ubitą ziemię.

– Strzeżemy granic i utrzymujemy pokój, lecz pretorianie dbają o życie Tyberiusza. Prowincję spustoszoną przez barbarzyńców czy buntowników zawsze można odzyskać i odbudować, ale kto wepchnie wnętrzności imperatora do brzucha, kiedy otworzy go sztylet skrytobójcy? Wiedząc to, jak sądzisz, kto z nas droższy jest cesarzowi?

Paweł zamilkł. Zwolnił i zrównał się z Arystydesem.

Jechałem dalej, odczuwając wyrzuty sumienia za okazanie takiego cynizmu przy chłopcu. Przy całej jego dumie ze swego narodu i swego boga, Paweł okazał się być równie dumny z rzymskiego obywatelstwa. Czy do mnie należy niszczyć jego idealizm, zwłaszcza że do niedawna sam go podzielałem?

Nachmurzyłem się. Co się ze mną dzieje?

Kiedyś wierzyłem, że nie ma większego błogosławieństwa dla obcokrajowców niż nasze łaskawe rządy. Wszystko, czego zostałem nauczony, umacniało tę zasadniczą pewność. Każda historia, którą czytałem. Każda lekcja, którą wpajali mi

moi nauczyciele. Każda publiczna mowa, którą słyszałem. Moje doświadczenia podczas walk nad Renem tylko ugruntowały mnie w przekonaniu, że mamy prawo narzucać światu porządek. Poza imperium panowało barbarzyństwo i chaos, wewnątrz – pokój i dobrobyt.

Teraz jednak życie zmuszało mnie do uznania pewnych nieprzyjemnych prawd. Rzymskie rządy takich ludzi, jak Oktawian August czy Tyberiusz, mogły stanowić błogosławieństwo, lecz czy mogę powiedzieć to samo o prowincjach zdominowanych przez podobnych Faustusowi czy Pizonowi, i o prawach realizowanych przez takich jak Sewerus?

Ścisnąłem piętami boki Tancerki, ponaglaając ją łagodnie do nieco szybszego kroku.

Zbliżał się już wieczór, kiedy pokonaliśmy wąską przełęcz i zjechaliśmy na zachodni brzeg Morza Galilejskiego. Przed nami leżała Tyberiada, nowa stolica Heroda.

Nazwana na cześć imperatora w jego sześćdziesiąte urodziny, Tyberiada miała ledwie rok. Antypas zaoferował ziemię części osadników i siłą przesiedlił innych z pobliskich wiosek, lecz jego nowa stolica nadal bliższa była rozmiarom miasteczka niż prawdziwego miasta. Cieśle i kamieniarze ciężko pracowali wzdłuż brzegu, kończąc kilkadziesiąt domów i innych budynków. Białe tynkowane ściany i czerwone dachy przypominały mi o domu, o Italii.

Tymczasem robotnicy kładli kamienne płyty, brukując główną ulicę. Zauważyłem też rząd pali wbitych w ziemię i sterty kamieni leżące w równych odległościach. Wyznaczały one planowane mury miasta. Cytadela o grubych ścianach już górowała na skale nad resztą Tyberiady.

Pokiwałem głową. Tetrarcha dobrze ustalił priorytety. Wiedział, że nie jest kochany, więc skończył swoją twierdzę, zanim zaczął prace nad resztą miasta.

Nowy pałac Heroda Antypasa stał nieopodal cytadeli, wysoko nad brzegiem

morza. Sklepony dach, pokryty listkami złota, lśnił w popołudniowym słońcu. Rusztowania, sterty kamienia, cegieł i drewna świadczyły o tym, że budowla nie jest jeszcze skończona, choć w bramie stali łucznicy i włócznicy. Tetrarcha Galilei przebywał w pałacu.

Sewerus i ja wysłaliśmy kurierów z wiadomościami o zamordowaniu Silanusa i o naszym sporze, co pozwoliło nam uniknąć licznych pomniejszych urzędników otaczających Heroda. Skomplikowane warstwy protokołu i hierarchii ostro kontrastowały ze staranną prostotą zachowania, którą widziałem u Oktawiana Augusta, kiedy odwiedziłem go wraz z ojcem. Każdy człowiek z dalekiego kraju, przebywający w Rzymie, mógł uznać Augusta za dość łagodnego sędziego średniej rangi. Ten sam obcokrajowiec, wchodząc do tego pałacu, mógłby spokojnie przyjąć, że to Herod rządzi całym imperium.

Aedan i kawalerzyści zostali w mieście szukać kwater i stajni dla zwierząt. Zostawiłem z nimi Araneusza.

Sewerusa, Arystydesa, Pawła i mnie poprowadzono w głąb pałacu. Mijaliśmy wiele pięknie urządzonych pomieszczeń i korytarzy. Kolorowe freski zdobiły ściany. Na marmurowych posadzkach znakomicie ułożono mozaiki. Niektóre przedstawiały mitologiczne zwierzęta, między innymi skrzydlate barany i lwy z ludzkimi głowami. Inne pokazywały niesamowite polowania. Jeźdźcy ścigali, zakłuwali włóczniami i zabijali strzałami tygrysy, lwy, wilki i jelenie. Kilka scen było wyraźnie erotycznych, pełnych bogów oraz ludzi baraszkujących i hulających w dzikim zapamiętaniu.

Paweł popatrzył na te ściany i podłogi. Twarz mu pociemniała z gniewu.

– To skandaliczne – wymamrotał.

Zerknąłem na niego zaskoczony. Nie było tu nic, co nie znajdowałoby się w dowolnej zamożnej willi imperium. Jeżeli już coś drażniło, to raczej to, że wystrój sprawiał wrażenie, iż Antypas chce być bardziej rzymski niż Rzymianie i bardziej

grecki niż Grecy.

– Skandaliczne? Jak to?

– Te obrazy są surowo zakazane przez nasze prawa! – powiedział gniewnie Paweł. Jego głos odbił się echem od wysokiego sufitu. – Nikt, kto nazywa się Żydem, nie może tu mieszkać, nie będąc hipokrytą najgorszego rodzaju.

Wytwornie ubrany urzędnik prowadzący nas do tetrarchy obejrzał się. Uniósł jedną, idealnie wyskubaną brew i prychnął z pogardą.

Skrzywiłem się. Podobnie jak ja, Paweł miał dar mówienia akurat tego, czego nie należy mówić akurat wtedy, kiedy nie należy. Niezależnie od tego, jak wyglądała prawda na temat tetrarchy, nie była to odpowiednia chwila na robienie sobie wrogów w jego pałacu.

– Zniź głos, chłopcze! – wycodziłem przez zęby. – I zatrzymaj swoje wątpliwości dla siebie. Tu rządzi Antypas. Jedno gniewne słowo z jego ust może zgładzić mieszkańców Nazaretu. Chcesz być winnym ich śmierci?

Zawstydzony Paweł poczerwieniał jak burak. Został w tyle i szedł daleko ode mnie przez resztę drogi.

W końcu nasz przewodnik doprowadził nas do wymyślnie urządzonego ogrodu w sercu pałacu. Palmy górowały nad marmurowymi ławkami, klombami egzotycznych kwiatów, lśniącymi fontannami i kunsztownymi rzeźbami sprowadzonymi z najlepszych greckich warsztatów. W środku ogrodu dworzanie w powłóczystych kolorowych szatach otaczali Heroda Antypasa.

Był to brzuchaty, brodaty mały człowiek, spoczywający na poduszkach bogato zdobionego łoża. Kilka złotych talerzy i wysadzone klejnotami puchary na małym stoliku wskazywały na to, że przeszkodziliśmy mu w wieczornym posiłku. Grupa strażników stała nieopodal, nieufnie się nam przypatrując.

Wziąłem głęboki oddech, przygotowując się do czekającej mnie męki. Zamierzałem zrobić co w mojej mocy, ale nie miałem wielu złudzeń, jeśli chodzi o

wynik rozmowy. Centurion pretorii ma lepsze kontakty w Rzymie niż ja, a tetrarcha nie zrobił na mnie wrażenia człowieka, który zwykł sprzeciwiać się woli cesarza.

Przypomniała mi się jedna z ulubionych maksym mojego dziadka: Dobry dowódca zachowuje spokój, kiedy wszystko wydaje się stracone. Nie okazuje strachu ani niepewności. Na wszelkie problemy, wszelkie niepowodzenia, wszelkie nieszczęścia reaguje pewną ręką i odważnym sercem.

Wyprężyłem się.

Odziany w togę dworzanin dał nam znać, że możemy podejść.

– Tetrarcha Herod, władca całej Galilei i Perei, przyjaciel Rzymu i przyjaciel cesarza, wysłucha waszych prośb.

Centurion i ja zasalutowaliśmy.

Powitanie Heroda było krótkie i oficjalne. Pozdrowił nas obu i wziął odpowiedzialność rozsądzenia nas, lecz nie był w stanie ukryć ogromnego napięcia w głosie.

Nic dziwnego – pomyślałem. Wiadomość, że senator i bliski sojusznik Tyberiusza został zamordowany na jego ziemi, musiała stanowić straszny wstrząs.

Pierwszy mówił Sewerus, zabiegając o pełną kontrolę nad śledztwem i o pozwolenie podjęcia akcji odwetowej przeciwko Nazaretowi. Szczególnie podkreślił zażyłe stosunki Silanusa z imperatorem. Nie cofnął się też przed napomknięciem o wpływie, jaki ma jego zwierzchnik, Eliusz Sejanus, prefekt gwardii pretoriańskiej.

Ważki argument – uznałem w duchu. Tetrarcha dobrze wie, że rządzi tu dzięki Tyberiuszowi. Jaki powód mam podać, by oderwać Heroda od szybkich, łatwych i brutalnych środków proponowanych przez Sewerusa?

Herod zwrócił się do mnie.

– Centurion prezentuje argument nie do odparcia na rzecz natychmiastowej akcji, prefekcie. A jednak ty się nie zgadzasz?

Nie było więcej czasu na zastanowienie.

– Nie, panie. Nie zgadzam się – powiedziałem stanowczo. – Jeżeli mieszkańcy Nazaretu w jakikolwiek sposób przyczynili się do zamordowania Silanusa, sam poprowadzę atak, i to z przyjemnością. Nie znalazłem jednak żadnych dowodów na poparcie takiego wniosku. Co więcej, uważam ich za zupełnie niewinnych popełnienia tej zbrodni.

– A jakie to ma znaczenie? – przeszkodził mi Sewerus. – To, czy są winni, czy nie, jest nieistotne. Rzymski senator został zamordowany w obrębie tej wioski. Wioski podlegającej tobie, najszlachetniejszy Herodzie. Musisz ukarać tych ludzi i musisz zrobić to szybko, w przeciwnym razie słabość zrodzi bunt przeciw Rzymowi... i przeciw tobie.

– Sprawiedliwość to nie słabość – sprzeciwiłem się. – A bunt równie łatwo wywołać przypadkowym okrucieństwem, jak i odmową pośpiesznego lub niemądrego działania.

Herod unikał mojego spojrzenia. Zdałem sobie sprawę, że przegrywam. Tetrarcha nie jest człowiekiem, który zaryzykuje swój majestat dla abstrakcyjnego ideału. Posłucha swoich lęków. Stanie po stronie Sewerusa i zapewni sobie bezpieczeństwo, bez względu na to, ile będzie to kosztowało jego poddanych. Potrzebuję czegoś, co sprawi, że bardziej będzie się bać mnie niż pretorianina i jego wpływów.

Ale co? A raczej kto?

Germanik.

To imię zapłonęło mi w umyśle jak latarnia morska w nocy. Może nadszedł moment, by rzucić kość i zaufać Parkom. Podniosłem nieco głos.

– Nie sądzę, by Germanik Cezar pochwalił akcję odwetową. Nie bez ważnych dowodów.

Herod zwrócił się ku mnie:

– Jesteś blisko zaznajomiony z szanowanym Germanikiem?

– Tak.

– Jak blisko? – zapytał, uważnie mi się przyglądając.

– Otrzymałem nominację na dowódcę regimentu z jego rąk – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Nie okłamałbym tetrarchy, lecz nie czułem obowiązku wyprowadzać go z błędu, jeżeli powziął mylne przekonanie. Przy odrobinie szczęścia zrozumie moje słowa jako dowód, że jestem jednym z ulubionych podwładnych Germanika. Może mój dziadek by tego nie pochwalił, lecz nie było czasu na subtelności, a przynajmniej na te, na które ja bym się zdobył. Życie zbyt wielu ludzi było zagrożone, by podejmować inne działania.

Miałem tylko nadzieję, że nie rozeszły się jeszcze pogłoski o prawdziwych powodach mojego nagłego przeniesienia do Judei.

Tak jak się spodziewałem, na Herodzie zrobiło to wrażenie.

– I nie uważasz, by Germanik Cezar pochwalił plan centuriona?

– Nie – odpowiedziałem stanowczo. – Często powtarzał, że użycie przez nas siły nigdy nie może być przypadkowe, że zawsze musi być uzasadnione zarówno przez prawo, jak i zdrowy rozsądek.

Co zresztą było prawdą. Rozmowy przy kolacji podczas mojego pobytu w jego domu w Antiochii często dotyczyły najlepszych sposobów na utrzymanie pokoju w rzymskich dominiach.

– Jako przedstawiciel imperatora, z pewnością szukałby wpierw winnych, zanim ukarałby niewinnych, bez poważnej przyczyny.

Herod westchnął. Czoło mu się zmarszczyło z zafascynowania.

Wiedziałem, dlaczego.

Był rozdarty pomiędzy przeciwstawnymi lękami. Odmowa Sewerusowi może rozniewać Sejanusa, a nawet samego Tyberiusza, lecz Germanik to adoptowany syn imperatora i dowódca wszystkich wschodnich prowincji. Co więcej, zanim

wiadomości dotrą do Rzymu i z powrotem, miną tygodnie. Antiochia – centrum władzy Germanika, jest blisko.

Tetrarcha w milczeniu oparł się na poduszkach. Widać było, że czuje się bardzo niepewnie.

Sewerus i ja przyglądaliśmy się z rosnącym zniecierpliwieniem, jak bawił się najpierw jednym daniem, potem drugim, przesuwając jedzenie z miejsca na miejsce, podczas gdy próbował podjąć jakąś decyzję.

W końcu się odezwał:

– Ta sprawa jest trudna. Bardzo trudna. Z jednej strony centurion ma zupełną rację. Szlachetny Decymiusz Juniusz Silanus nie żyje, a jego śmierć musi zostać pomszczona. Równocześnie nie mogę odmówić mądrości radom Aureliusza Walensa. Z pewnością lepiej jest, gdy tylko możliwe, by zemsta spadała na winnych.

Ani Sewerus, ani ja nawet nie drgnęliśmy.

Herod zwrócił się do mnie:

– Zatem, przyznaję ci więcej czasu, prefekcie. Użyj go mądrze. Ufam, że ustalisz i pojdziesz tych, którzy zamordowali senatora.

Starałem się, jak mogłem, by nie uśmiechnąć się triumfalnie. I słusznie, bo następne słowa tetrarchy dokładnie pokazały, że ma on nadzieję działać na dwa fronty.

– Masz tylko siedem dni. Nie więcej. O świcie ósmego dnia twoja władza nad śledztwem się kończy.

Zwrócił się do Sewerusa.

– A wtedy ty, centurionie, masz moje pozwolenie na całkowite zniszczenie Nazaretu wraz z jego mieszkańcami.

Sewerus przyszedł do mnie tego wieczora.

Dostałem pomieszczenia w pałacu, podobnie jak Arystydes i Paweł. Aedan i moi żołnierze zostali ulokowani w barakach Straży Królewskiej Heroda, znajdujących

się w pobliskiej cytadeli.

Moja kwatery składała się z przedpokoju, sypialni i małego pomieszczenia do ubierania się i mycia. Ich wystawne urządzenie sławiło raczej bogactwo tetrarchy niż jego dobry smak. Dywany, malowidła naścienne, rzeźby i meble prezentowały najwyższą jakość, lecz nie było w odpowiednim kolorze lub stylu.

Właśnie zmywałem pył podróżny z twarzy i rąk, kiedy służący zawiadomił mnie, że chciałby się ze mną widzieć centurion. Wysuszyłem się szybko, włożyłem tunikę i wyszedłem do przedpokoju.

W pomieszczeniu było sporo krzesel, jednak Sewerus postanowił stać. Ze wstrętem oglądał jeden z fresków – dość przesadne wyobrażenie Dionizosa prowadzącego pijany orszak. Odwrócił się raptownie, kiedy wszedłem, jak zwykle opryskliwy:

– Skrzyżowaliśmy miecze, Aureliusz Walensie.

– To prawda – powiedziałem ostrożnie, zastanawiając się, co tym razem szykuje pretorianin.

– Nie będę udawać, że ten zrzędlawy, niezdecydowany cudzołożnik Herod podjął słuszną decyzję. Ale ją podjął. I ja to uszanuję.

– Jestem wdzięczny.

Centurion zachnął się:

– Oszczędź mi swego sarkazmu. – Wzruszył ramionami. – Próbuję ci powiedzieć, że wygrałeś spór... na razie. Zatem moim obowiązkiem jest ci pomagać, jak potrafię.

Twoim obowiązkiem było mi wcześniej pomagać – pomyślałem, ale zachowałem to dla siebie. Bardziej potrzebuję współdziałać z tym oficerem pretorii, niż stawiać w rozmowie na swoim jego kosztem.

– Wystarczająco źle, że Silanus zginął – ciągnął Sewerus. – Ale ktokolwiek zamordował jego, zarżnął też czterech moich ludzi. Więc chcę, by ci dranie, którzy

zabili Kasjusza Celera i pozostałych, zostali ukrzyżowani.

Skinąłem głową.

– Przynajmniej w tym jesteśmy zgodni.

Centurion skrzyżował ramiona.

– Nadal planujesz włóczyć się po tych wszystkich wzgórzach wokół Nazaretu, licząc na to, że znajdziesz jakiegoś pasterza, który być może widział obcych jeźdźców?

Ponownie przytaknąłem:

– Zgadza się.

Sewerus potrząsnął głową.

– Trochę ryzykowne, prawda? Siedem dni, które na to dostałeś, szybko upłynie. A co, jeżeli ci się nie uda? Co, jeżeli nie zdołasz znaleźć hipotetycznych świadków na czas lub jeżeli ci wszyscy żydowscy pasterze byli ślepi lub z rozmysłem patrzyli w inną stronę?

Te wątpliwości też mnie dręczyły. Ponieważ tylko Paweł mógł tłumaczyć, było całkiem możliwe, że pobieżne przeszukanie wzgórz zajmie zbyt wiele czasu. Mając go wystarczająco dużo, mogłem myśleć, że znajdziemy coś przydatnego. Jednakże ultimatum tetrarchy zamieniło zaplanowane poszukiwania w rozpaczliwie ryzykowne przedsięwzięcie.

– Mówiłem wcześniej, że jestem otwarty na propozycje, Emiliuszu Sewerusie – starałem się, by mój głos brzmiał spokojnie i beztrosko. Czy naprawdę zamierzał mi pomóc, czy też nie, znałem centuriona na tyle dobrze, by wiedzieć, że wykorzysta każdą moją słabość, jaką zauważy.

– Nadal masz ze sobą tę strzałę, którą twój grecki lekarz wyjął z Kasjusza? – zapytał szorstko.

– Tak. Jest u Arystydesa.

– To dobrze – Sewerus uśmiechnął się nagle kwaśnym uśmiechem – ponieważ

mam pewien pomysł. Być może, znam kogoś, kto może nam dużo powiedzieć o tej małej strzale.

Przyzwałem Arystydesa, podczas gdy pretorianin poszedł przyprowadzić swojego znawcę. Wkrótce po tym, jak pojawił się medyk, wrócił Sewerus. Przywiódł człowieka niewiele ode mnie wyższego, mocnej budowy, a mimo to nadal szczupłego i gibkiego.

Przyjrzałem się uważnie nowo przybyłemu. Misternie utkana przepaska wokół czoła przytrzymała burzę długich czarnych włosów, by nie spadały na twarz i głęboko osadzone brązowe oczy. Gęste, starannie przycięte wąsy maskowały wielki nos i wydatną szczękę. Nogi miał lekko wygięte przez, jak osądziłem, lata spędzone w siodle. Emanowała z niego stanowczość, władza i świadomość własnej potęgi.

Twardy typ – pomyślałem. I urodzony przywódca.

Sewerus dokonał prezentacji.

– Przedstawiam Wardanesa, syna Bessasa, pana ziem wokół Dary, a teraz dowódcę setki łuczników konnych w służbie Herodowi.

– Dara? – zapytałem. – A gdzie to dokładnie jest?

– W Partii – powiedział mi centurion. – Daleko, na wschodzie. Za Morzem Kaspijskim i Hyrkanią.

Chyba nie udało mi się ukryć zaskoczenia:

– Part? W służbie Herodowi?

Niemal przez trzy pokolenia Partia była naszym najzacieklejszym i najprzebieglejszym przeciwnikiem. Gwałtowni konni łucznicy i ciężkozbrojni włócznicy stanowili ciągłe zagrożenie dla bezpieczeństwa Syrii i pozostałych naszych ziem na wschodzie. Nie toczyliśmy z nimi otwartej wojny od ponad pięćdziesięciu lat, jednak wzdłuż granicy niewielkie potyczki i najazdy zdarzały się dość często.

Wardanes uśmiechnął się.

– Jestem Partem, owszem. – Jego greka była czysta, choć z silnym akcentem. –

Lecz nie jestem wrogiem Rzymu.

Uniosłem brwi:

– Naprawdę? Zatem dla mnie jesteś pierwszym Partem, który tak twierdzi.

Uśmiech partyjskiego nobila nieco zbladł.

– Wątp, jeśli chcesz, ale mówię prawdę. Moi ludzie i ja zobowiązaliśmy się służyć Herodowi, przyjacielowi waszego władcy. Dotrzymuję przysięg.

Odpowiedzi na moje pytania szybko ukazały jego dzieje.

Partia to obca ziemia, w wielu aspektach przeciwieństwo Rzymu. Z zasady nie mamy króla, lecz w praktyce jeden człowiek, Tyberiusz, trzyma tam władzę. Partowie mają króla, lecz jest on władcą tylko z nazwy. Prawdziwa władza skupiona jest tam w rękach wielkich arystokratycznych rodzin i ich dziwnych kapłanów, magów. Spory i rywalizacja stanowią wśród nich normę. Urazy często przechodzą z pokolenia na pokolenie.

Jeden z takich zatargów spowodował upadek Wardanesa.

Ileś lat wcześniej on i jego sąsiad starli się o kontrolę nad jakimiś pastwiskami leżącymi pomiędzy ich ziemiami. Jego rywal zginął. Niestety, miał potężnych przyjaciół na partyjskim dworze, którym udało się skazać Wardanesa. Ze skonfiskowanym majątkiem i w obliczu śmierci nie miał wyboru, jak tylko uciec. Zabrał ze sobą gromadę uzbrojonych zwolenników i od tego czasu żyli jako najemnicy w armii Heroda.

Sewerus poznał go na jednej z narad, które centurion zwołał w Cezarei.

– A jakie są twoje obowiązki? – zapytałem, nadal zastanawiając się, dlaczego Sewerus uważa, że ten najemnik może mi jakoś pomóc.

– Nieciekawe – uśmiechnął się ze swojego żartu.

Zmierzyłem go chłodnym spojrzeniem. Nie miałem czasu na niedoszłego komedianta.

Part wzruszył ramionami i przybrał poważniejszy ton.

– Patrolujemy ziemię tetrarchy. Walczymy z bandytami w okazjonalnych potyczkach. Mamy oko na Arabów na wschodzie. Strzeżemy Heroda podczas jego podróży.

Zdałem sobie sprawę, że robią mniej więcej to samo, co mój regiment w Judei. Być może okaże się jednak użyteczny.

– Powiedziano mi, że możesz wiedzieć coś o strzale, którą znaleźliśmy nieopodal Nazaretu.

Wardanes potaknął.

– To możliwe. – Wyciągnął rękę. – Mogę zobaczyć tę strzałę?

Arystydes mu ją podał.

Part podniósł strzałę do światła lampki oliwnej. Mrużąc oczy, popatrzył na jej trzon, przyjrzał się ufarbowanym na czarno piórom i przeciągnął po grocie zgrubiałym kciukiem. W końcu westchnął.

– Znam ją. Zbyt dobrze nawet. Takich strzał używa banda dowodzona przez człowieka, którego zwą Gideon. Prawdziwy łotr, którego jeszcze, niestety, nie dopadłem.

– Jesteś pewien? – zapytał Arystydes.

– O tak. – Wardanes wręczył strzałę Sewerusowi i zwrócił się do lekarza: – Wyciągnąłem wystarczająco wiele takich strzał z moich ludzi i koni lub z ciał, które znaleźliśmy przy drogach.

Więc może jednak ścigamy bandytów! Poczuję się trochę lżej. Spekulowałem wprawdzie, że senatora mogli zabić tajemniczy konspiratorzy, których przyjechał tu wyśledzić, lecz bałem się, że będę musiał to udowodnić. Bandyci to łatwiejsza sprawa.

– Gdzie ukrywa się ten Gideon? Gdzieś na wzgórzach wokół Seforis?

Wardanes pokręcił głową.

– Nie. On i jego rabusie mają kryjówkę gdzieś na północ stąd, na zachód od leżącej nad jeziorem osady o nazwie Magdala. Zasadzają się głównie na podróźnych i karawany pomiędzy Tyberiadą a Cezareą Filipową. – Nachmurzył się. – Tamte tereny są bardzo nierówne. Usiane głazami i pieczarami.

Skinąłem głową. To wyjaśniało, dlaczego partyjskim najemnikom nie udało się zlikwidować Gideona i jego bandytów. Konni łucznicy Wardanesa nie nadają się do walki wręcz na nierównym terenie. Najskuteczniejsi sana równym, otwartym terenie, gdzie mogą wystrzelić, odjechać, by założyć nową strzałę, i wrócić do bitwy.

Arystydes był sceptyczny.

– Dla tych twoich bandytów Nazaret z pewnością leży zbyt daleko – powiedział Wardanesowi. – Musi być ponad trzydzieści kilometrów od miejsca, które opisujesz. To cały dzień drogi na piechotę. Czemu bandyci mieliby tyle iść i ryzykować, że natkną się na któryś z twoich patroli?

Part miał gotową odpowiedź.

– Bogactwo zachęci każdego do zaryzykowania życia, moim zdaniem. Ten wasz senator miał wystarczająco dużo złota w bagażach, by zwabić nawet najostrożniejszego złodzieja. Z tego, co słyszałem, rozrzucił tyle pieniędzy po Jerozolimie, by wiadomości o tym rozeszły się po całej Judei i Galilei.

Popatrzyłem na Sewerusa.

Oficer pretorii skinął tylko głową.

– Wardanes mówi prawdę. Silanus bardzo hojnie wykorzystywał skarb powierzony mu przez imperatora. Nazywał to „formą praktycznej dyplomacji”.

– Ile tego było? – warknąłem zły na Sewerusa, że zataił przede mną kolejną ważną informację. Zaczynały mnie już męczyć te ciągle niespodzianki z jego strony.

Centurion wzruszył ramionami.

– Nie wiem. W każdym razie niedokładnie.

– A mniej więcej? – zapytałem zimno.

– Może ekwiwalent pół miliona denarów – odparł cicho. – Głównie w złocie.

Arystydes gwizdnął zaszokowany.

– Na Zeusa! To wystarczy, by kupić armię.

Medyk był blisko. Policzyłem tak szybko, jak mogłem. Za pieniądze powierzone przez Tyberiusza senatorowi można było opłacić pięć tysięcy żołnierzy przez niemal sześć miesięcy. A ciężar tego skarbu, nawet w złocie! Teraz rozumiem, dlaczego Silanus i jego ludzie mieli ze sobą tyle jucznych mułów.

Nachmurzyłem się.

– To urocza wiadomość, Sewerusie. Jeżeli wiadomo było, że senator wiezie tyle złota, moja lista podejrzanych poszerza się o wszystkich chciwców w Galilei i Judei!

Pretorianin podniósł strzałę, która zabiła jego starego przyjaciela i towarzysza, Kasjusza.

– Niekoniecznie, moim zdaniem.

– Nie – zgodziłem się. – Najpierw zajmiemy się tym Gideonem i jego bandą.

Kiedy Sewerus i Part wyszli, Arystydes popatrzył na mnie uważnie.

– Wierzysz w to wszystko, Lucjuszu?

– A mogę sobie pozwolić, by w to nie wierzyć?

– To może być podstęp tego pretoriańskiego sukinsyna, by cię odciągnąć w złym kierunku. Niczego by tak nie chciał, jak zobaczyć twoją porażkę, żeby mógł przejąć sprawę. To jedyny sposób, który gwarantuje mu raport dla Tyberiusza uwalniający go od jakiegokolwiek winy.

– Wiem – przytaknałem. Potem wzruszyłem ramionami. – Ale to najlepszy trop, jaki teraz mamy. Widziałeś twarz tego Parta. Nie ma wątpliwości, że rozpoznał strzałę, którą wyjąłeś z Celera. I ma rację co do motywu. Wieści o takiej ilości złota mogą przyciągnąć bandytów oddalonych o sto czy nawet więcej kilometrów.

– Prawda – przyznał Arystydes. – Mimo to nadal mi się to nie podoba.

– Mnie też nie. Ścigamy ich przez trzy dni, nie dłużej. Jeżeli ich złapiemy i okażą

się winni, to świetnie. Jeżeli nie, nadal mamy trzy dni, by znaleźć dowody, dzięki którym Herod zmieni zdanie.

Rozdział XVI

Magdała leżała tylko kilka kilometrów na północ od Tyberiady.

Dotarliśmy tam wcześniej rano następnego dnia, wjechawszy do miasta dobrze utrzymaną drogą wysadzaną wysokimi palmami. Biegła prosto wzdłuż wąskiej nadbrzeżnej równiny leżącej nad Morzem Galilejskim. Poza palmami po obu stronach znajdowały się winnice i gęste gaje figowców, orzechów oraz drzew oliwnych. Więcej winorośli i sadów porastało stromą górę wznoszącą się na wschodzie.

Ze mną byli Arystydes, Paweł, Aedan oraz kawalerzyści i służący, których zabrałem z Nazaretu. Sewerus i jego czterech gwardzistów zostali. Centurion twierdził, że nie chce ze mną rywalizować, kiedy będę ścigać Gideona i jego bandytów.

Medyk prychnął pogardliwie, dowiedziawszy się o tym, kiedy gromadziliśmy się na dziedzińcu pałacu tetrarchy.

– A śwynie mogą latać, Lucjuszu. – Strzepnął swój wysłużony kapelusz o nogę, wytrzepując z niego kurz, i nasadził z powrotem na głowę. – Idę o zakład, że chce pobyć z Herodem, by wbić ci sztylet w plecy.

– Prawdopodobnie tak. Ale nie mogę nic zrobić, by go zatrzymać. Skoro tak, to mogę się przynajmniej cieszyć jego nieobecnością.

W Tyberiadzie został również Araneusz, którego oddałem pod opiekę Sewerusa. Nie miałem wielkiej nadziei, że centurion będzie go trzymać w odosobnieniu, ale zatrzymałem jego zwoje i pozostałe notatki. Arystydes nadal próbował odszyfrować tajemne pisma astrologa, choć dotąd nic mu się nie udało.

Magdała tętniła życiem. Miasto było kilkakrotnie większe od Tyberiady. Łodzie rybackie wszelkich rozmiarów tłoczyły się w jego portach z porannym połowem.

Ulice były pełne ludzi zajmujących się codziennymi sprawami. Głównie byli to Galilejczycy, widziałem też trochę Greków. Jednak wszyscy się zatrzymywali popatrzeć, jak przejeżdżamy.

Zatrzymałem kolumnę na rozległym rynku głównym. Zsiadliśmy z koni. Żołnierze kolejno szli napoić konie.

Aedan i ja zostawiliśmy ich przy tym zajęciu i poszliśmy się przejść po mieście, żeby się rozejrzeć. Najważniejszą sprawą było znalezienie kwater dla moich ludzi i zwierząt, jakiś budynek lub kompleks budynków, których moglibyśmy użyć jako bezpiecznej bazy, podczas gdy nasi zwiadowcy będą badać teren w poszukiwaniu śladów bandytów.

Nie za bardzo podobało mi się to, co widziałem.

Miasto było zbyt tłoczne. Uznałem, że każdy nasz ruch przyciągnie natychmiastową uwagę jego mieszkańców i narazi nas na ujawnienie naszych planów Gideonowi. Jeżeli ów przywódca jest choć w połowie tak przebiegły, jak twierdził Wardanes, ma wśród mieszkańców Magdali siatkę szpiegów. Nie mogę liczyć na ukrycie faktu, że rzymskie wojsko działa w okolicy, ale to nie oznacza, że chcę, by Gideon otrzymywał szczegółowe informacje za każdym razem, kiedy wydmucham nos.

– Możemy obozować pod gołym niebem – zaproponował Aedan. – Noce są bliżej jeziora cieplejsze. Jeszcze trochę chłopaki obędą się bez wygod.

Potrząsnąłem głową. Mam ze sobą trzydziestu żołnierzy – za mało, by zbudować i obronić umocniony obóz. Postawienie tak po prostu kilku namiotów i ogrodzenia dla koni to tylko proszenie się o kłopoty. Przy tyłu sadach i zagajnikach służących za miejsce ukrycia śmiała grupka bandytów może się podkraść blisko, zasztyletować strażników i dopaść nas we śnie. Przyjechałem do Magdali, by rozbić bandę Gideona, a nie po to, by on wybił mój oddział.

Po obejrzeniu pewnej liczby budynków publicznych, które moglibyśmy

zarekwirować, dekurion i ja zawróciliśmy zatłoczonymi ulicami w kierunku rynku. Żadne miejsce nie spełniało minimum wymagań. Nadal zastanawialiśmy się, co zrobić, kiedy rozwiązanie samo nas znalazło.

Przyszło w postaci paradnego, zadufanego w sobie człowieczka, odzianego w długą, misternie wyszywaną szatę. Pokażnych rozmiarów pęk kluczy wiszący mu u pasa, pierścienie na pulchnych palcach i łańcuch z czystego srebra na szyi świadczyły, że jest zarządcą jakiejś bogatej posiadłości.

Podszedł prosto do mnie, skłonił się nisko, a potem zapytał:

– Proszę o wybaczenie, panie. Nazywam się Ilasios. Jestem głównym zarządcą u pani Mary, która dowiedziała się, że w mieście są rzymscy żołnierze. Czy mam wielki zaszczyt zwracać się do ich wielce szanowanego dowódcy?

Zwalczyłem uśmiech i zamiast tego skinąłem z powagą.

– Istotnie.

Zarządca rozpromienił się:

– A czy długo zatrzymacie się w Magdali? Moja pani prosi, bym o to zapytał – wyjaśnił.

– Dzień lub dwa – powiedziałem ostrożnie. Wieść o naszym przybyciu rozeszła się szybciej, niż przewidywałem.

Mały człowiek ponownie się skłonił.

– To wspaniała nowina. W takim razie przynoszę zaproszenie od mej pani. Proponuje tobie i twoim żołnierzom gościnę w swej posiadłości na okres waszego pobytu. Jej willa znajduje się tuż poza miastem i ma wszelkie niezbędne wygody.

Aedan wyszczerzył zęby z szelmowskim błyskiem w zielonych oczach.

– Gościnność pani, co? Niezła propozycja, prefekcie. Wszystkim nam dobrze zrobi zobaczenie kilku ładnych krągłości i usłyszenie słodkiego, melodyjnego głosu.

Ilasios oburzył się:

– Uważaj, co mówisz! Pani Mara to porządna kobieta. Jest osobą godną

najwyższego szacunku, wdową po jednym z bardziej znaczących obywateli naszego miasta.

Ponownie ukryłem uśmiech. Uwaga dekuriona może i była niezręczna, lecz boleśnie prawdziwa. Po tylu tygodniach i miesiącach bez dotyku kobiety mój puls przyśpieszył na samą myśl o znalezieniu się pod tym samym dachem z jedną z nich. Może i lepiej dla wszystkich zainteresowanych, iż nasza gospodyni najwyraźniej jest starszą kobietą o surowej moralności.

Szybko wygładziłem nastroszone piórka zarządcy kilkoma uprzejmymi frazesami i z wdzięcznością przyjąłem zaproszenie.

Człowieczek skłonił się po raz trzeci, a potem odbiegł pośpiesznie, by przygotować wszystko na nasz przyjazd.

Aedan roześmiał się w końcu.

– A to dopiero sprawa, Aureliuszu Walensie. Takie już nasze szczęście, że pewnie ten maluch okaże się bardziej kobiecy od staruchy, której służy.

– Cóż, jeżeli to prawda, mam nadzieję, że będziesz w stanie się powstrzymać.

Wysoki, jasnowłosy Celt wyszczerzył zęby i grzmotnął się w pierś, salutując.

– Tak, prefekcie. Będę grzeczny.

Posiadłość pani Mary okazała się dla moich celów idealna, położona nieco na północ od Magdali. Spore sady figowców, zadbane winnice i rozległe pola otaczały dużą, okoloną murem willę, zbudowaną na łagodnym wzniesieniu górującym nad jeziorem. Była to ziemia warta rzymskiego senatora.

Kiedy podjechaliśmy wysadzaną drzewami drogą na dziedziniec willi, poczułem zadowolenie, że zadałem sobie trud przywdziania zbroi paradnej. Na co dzień wolę nosić dobrą kolczugę. Modelowany na kształt torsu pancerz z brązu, noszony przez większość oficerów na tunikę, wygląda imponująco, ale nie odbije ostrza miecza ani nie zatrzyma włóczni. Jednocześnie było to coś, co zrobi wrażenie na bogatej wdowie, szczodrej na tyle, by otworzyć swój dom przede mną i moimi oddziałami.

Ilasios stał na stopniach prowadzących do zadaszonego portyku i głównego wejścia do willi.

Aedan, Arystydes, Paweł i ja zsiadliśmy z koni i podeszliśmy ku schodom.

Mały człowiek podniósł głos:

– Moja pani, przedstawiam ci szanowanego prefekta kawalerii, Lucjusza Aureliusza Walensa, oraz jego oficerów, żołnierzy i towarzyszy!

Z zacienionego portyku na słońce wyszła kobieta. Miała na sobie szatę z najlepszego, szmaragdowozielonego jedwabiu, zebraną w pasie zdobionym srebrem paskiem. Jej włosy opadały luźno falami na ramiona, nieprzytrzymywane chustą ani nieupięte. Miały złotobrzowy kolor najcenniejszego bursztynu. Jej oczy, jaśniejsze niż u większości mieszkańców wschodu, błyszczały w świetle.

Wpatrywałem się w nią. To nie była starsza wdowa, żadna wiekowa starucha.

Pani Mara z Magdali była młoda – nie więcej niż rok czy dwa lata starsza ode mnie i uderzająco piękna.

Stała na szczycie schodów, przyglądając się nam ze spokojnym i opanowanym wyrazem twarzy.

– Dzielni rzymscy żołnierze – powiedziała energicznie. – Witam was w Magdali i w moim domu.

Nie myśląc, Paweł wykrzyknął:

– To nie Galilejka!

Mara zaśmiała się ucieszona. Klasnęła w dłonie z aprobatą.

– Gratuluję prefekcie! Masz w swoim orszaku uczonego lub jasnowidza!

Zwróciła się do chłopca. Oczy jej załśniły, kiedy ten poczerwieniał jak burak.

– Powiedz mi, nauczycielu, skąd wiesz, że nie urodziłam się w tym zacofanym, wiejskim rejonie?

Paweł zaczął się jąkać:

– Ależ twój akcent... intonacja... użyte słowa. To brzmienie Judei, nie Galilei.

Mara uśmiechnęła się, wyraźnie pod wrażeniem.

– W rzeczy samej nauczyciel.

Potem skierowała spojrzenie na mnie. Nagle zrobiło mi się gorąco. To słońce – powiedziałem sobie stanowczo. Tylko słońce.

– To, co mówi ten chłopiec, to absolutna prawda, prefekcie – powiedziała miękko. Moja rodzina jest z Judei. Jako młoda dziewczyna zostałam zaręczona z moim mężem, a po zaślubinach przybyłam tu, by mieszkać na jego ojczystej ziemi. – Twarz jej stężała. – Lecz teraz mój mąż nie żyje.

Szukałem rozpaczliwie słów, jeszcze bardziej świadom maleńkich kropelek potu na skroniach. Odniosłem nagle wrażenie, że chodzę po niebezpiecznym gruncie. Uciekłem się do konwencjonalnych formułek uprzejmego społeczeństwa.

– Przyjmij, proszę, pani, moje współczucie z powodu tej straty.

Mara wzruszyła ramionami.

– To było dawno temu. – Zawahała się na moment, a potem ciągnęła: – Jego śmierć nie była całkiem niespodziewana. Był dużo starszy. Dużo starszy.

Coś w jej oczach i głosie wywołało kolejną opływającą mnie falę gorąca.

– I cała ta posiadłość należy do ciebie, pani? – usłyszałem siebie. Nieczęsto kobiety w tym regionie były właścicielkami posiadłości mającej taką wartość, przynajmniej nie bez opiekuna.

Mara skinęła głową.

– Tak. Ten dom i ziemia należą do mnie. Mój mąż nie miał bliskiej rodziny. – Oczy jej zabłyśły gniewnie. – Nie było żadnych mężczyzn noszących jego nazwisko, którzy ograbiliby mnie z tego, co mi się prawnie należy.

Zdałem sobie sprawę, że to rzeczywiście niebezpieczny grunt. Może już pora zmienić temat na bezpieczniejszy. Odchrząknąłem.

– Jesteś z Judei, pani. Masz tam nadal rodzinę?

Ogień w oczach Mary przygasł.

– Tak. Nadal żyje mój starszy brat i siostra. Mieszkają niedaleko Jerozolimy.

Stała jeszcze chwilę na schodach, nadal uważnie przyglądając się mojej twarzy. Nie byłem w stanie określić, czego szuka. Potem westchnęła.

– Ale wybaczyć, że cię zanudzam, prefekcie. Z pewnością odrywam cię od obowiązków. A ja również mam pracę, którą należy wykonać. Przez okres waszego pobytu tutaj, proszę, byście traktowali mój dom jak własny.

Odwróciła się, chcąc odejść.

Pod wpływem impulsu zrobiłem krok naprzód.

– Pani, moment, proszę. Czy zobaczymy cię na kolacji dziś wieczorem?

Mara obejrzała się przez ramię. Wydawało mi się, że dostrzegam błąkający się na jej ustach cień uśmiechu.

– A czy ucieszy was moje towarzystwo, prefekcie?

Zarumieniłem się. Powiedz coś, ty idioto! – nakazałem sobie gniewnie. Nie jesteś już uczniakiem!

– Byłoby mi bardzo... to znaczy, tak oczywiście... byłoby nam...

Kąciki jej warg uniosły się nieco w uśmiechu.

– Skoro tak... – Oczy jej znowu załśniły. – Może.

A potem odeszła i zniknęła w willi – mignął zielony jedwab i jej pełen gracji ruch.

Arystydes szturchnął mnie.

– Możesz tu złapać tygrysicę, Lucjuszu – zachichotał. – Uważaj, albo ona każe ci czesać sobie włosy i zarządzać służbą, zanim twój pas do miecza opadnie na ziemię.

Prychnąłem, a potem zerknąłem za siebie, dostrzegając pośpiesznie tłumione uśmiechy na twarzach moich żołnierzy. Poczulem, że znowu się czerwienię.

Odwróciłem się do Aedana, mówiąc ostrym tonem.

– Dekurionie! Porozmawiaj z zarządcą i zajmij się kwaterami dla tych niemrawych Galów! Lecz niech nikt nie zajmuje się sobą, póki jego koń nie będzie

oporządzony, napojony i nakarmiony. Zrozumiano?

– Tak, prefekcie! – Aedan odpowiedział szybko, ukrywając uśmiech.

– Dobrze – zerknąłem na słońce. – A kiedy już to zrobisz, dekurionie, znajdź mnie i przyprowadź ze sobą swoich dwóch najlepszych tropicieli. Mamy coś do zrobienia.

Aedan, dwóch doświadczonych zwiadowców i ja jechaliśmy już od ponad godziny. Wyruszyliśmy na północ, przecięliśmy tereny wiejskie i jechaliśmy równoległe do wysokiego grzbietu, biegnącego wzdłuż zachodniego brzegu Morza Galilejskiego. Im dalej, tym grań robiła się coraz bardziej stroma, aż w końcu wznosiła się na ponad trzysta metrów nad brzegiem wielką pionową masą warstwowo ułożonych skał – szarej i czerwonej. Zarządca Mary powiedział nam, że ów szczyt nazywa się Arbel.

Zatrzymaliśmy się trochę dalej, zsiadliśmy z koni i podeszliśmy bliżej, by mu się przyjrzeć.

Podnosiłem głowę, wyciągając szyję, aż zaczęła mnie boleć. Na całej wysokości masywu były pieczary i szczeliny. Większość z nich znajdowała się wysoko, sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt metrów od wierzchołka.

Aedan spojrzał na mnie. Uniósł brwi.

– Jak myślisz? Czy banda Gideona może się tu gdzieś ukrywać?

Pokręciłem głową.

– Wątpię.

Z pieczar roztacza się efektowny widok na Galileę i podróżujących wzdłuż morza. Jednak znajdują się one za wysoko i są zbyt niedostępne, by nadawać się na bandycką kryjówkę. Rozbójnik chowający się na tych urwistych zboczach musiałby być kozicą lub ptakiem.

Wsiedliśmy na konie.

Ścieżka prowadziła wokół podstawy klifu i skręcała do szerszego szlaku

odchodzącego od głównej drogi wzdłuż wielkiego jeziora i prowadzącej na zachód, głębiej w łąd. Było tam kolejne przejście, wąska przełęcz na wysokiej grani, przy której jechaliśmy.

Zatrzymałem konia.

Nie podobał mi się ten wąwóz zwany Doliną Gołębic. Biegł z południa na zachód pomiędzy stromymi ścianami skalnymi, górującymi po obu stronach. Było tam tylko kilka kęp zarośli i jeszcze mniej drzew, głównie karłowatych dębów. Żadnej osłony, żadnej możliwości poruszania się tak, by nie zostać zauważonym przez kogoś patrzącego z góry klifu. Włosy zjeżyły mi się na karku.

Aedan podzielał moje obawy. Zabębnił nerwowo palcami po rękojeści miecza.

– To jest dobra ścieżka, by tam wejść, Walensie – ostrzegł. – Powrót jednak może się okazać trudniejszy.

– Wiem. – Teraz, kiedy sam zobaczyłem okolicę, lepiej rozumiałem, dlaczego Wardanesowi i jego łucznikom nie udało się złapać atakujących ten region grabieżców.

Tancerce udzieliło się moje zaniepokojenie. Zarżała cicho i rzuciła łbem. Uspokoilem ją łagodnym klepieniem, a potem obejrzałem się na Aedana.

– Pojedziemy ostrożnie, dekurionie.

Skinął ponuro głową.

– Spokojnie. Przyjechaliśmy tu znaleźć bandytów. Nie bądź rozczarowany, jeżeli nam się uda – powiedziałem to z wymuszonym uśmiechem.

Wysoki Celt zachnął się:

– Chyba masz rację. Gdyby to było proste, ten partyjski najemnik już by dawno ukrzyżował Gideona i jego ludzi.

Wjechaliśmy do Doliny Gołębic. Mniej więcej po półtora kilometra droga wspięła się na płaskowyż ciągnący się na zachód, w kierunku Morza Śródziemnego. Po lewej teren był dość równy i otwarty. Daleko przed nami majaczyło wysokie,

czarne wzgórze w kształcie stożka. Po prawej znajdował się labirynt obsypanych głazami wzgórz i zarośniętych wąwozów.

Aedan, zwiadowcy i ja skręciliśmy z drogi w kierunku mniej równego terenu, zatrzymując się często, by zsiąść z konia i przeszukać dokładniej ziemię. Słońce było już znacznie niżej, kiedy znaleźliśmy pierwsze, ledwie widoczne ślady, mogące należeć do tych, na których polowaliśmy.

Prowadziliśmy konie wzdłuż szlaku wijącego się w górę wzniesienia, przez kępy krzaków, cierni i ostów. Leżące tu i ówdzie owcze i kozie odchody oznaczały, że to teren czasem wykorzystywany przez pasterzy. Jednak zwierzęce bobki były stare i suche – kruszyły się, lekko dotknięte. Żadne stado nie wędrowało tędy od wielu dni lub nawet miesięcy.

– Panie! – Jeden ze zwiadowców przywołał mnie gestem do kawałka nieubitej ziemi, ocienionej przez dwie wielkie skały. Wskazał na pył. – Widzisz?

Były tam świeże ślady. Dwa różne, należące do ludzi noszących sandały. Były również cztery wyraźne odciski podków. W ciągu minionego dnia przynajmniej jeden mężczyzna siedział na koniu, a dwu szło piechotą.

– Nie pasterze – powiedziałem.

Kawalerzysta potrząsnął głową.

– Konno? I bez owiec? Na pewno nie, prefekcie.

Popatrzyłem za skały. Wydawało się, że ślady prowadzą prosto do ujścia wąwozu w grani, na którą się wspinaliśmy. Pomimo słońca, poczułem zimno. Jesteśmy blisko – pomyślałem. Ale jak blisko?

Był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

Zostawiłem jednego ze zwiadowców z końmi i zabrałem Aedana oraz drugiego żołnierza. Szliśmy ostrożnie, przepatrując każdy centymetr ziemi w poszukiwaniu czegoś nietypowego. Jaszczurki, wystraszone naszą obecnością, pryskały na przód, biegnąc lekko po stertach porzrzucanych, połamanych skał i stromych zboczach

pokrytych zwirem.

Szliśmy dalej rozpadliną. Uszliśmy jakieś sto kroków, kiedy zatrzymałem się, nagle uświadomiwszy sobie panującą ciszę. Były zbyt cicho. Nic się nie poruszało. Ani jaszczurki. Ani ptaki.

Aedan podszedł bliżej.

– Nie jesteśmy tu sami – wymamrotał.

Skinąłem.

– Czujka?

– Tak.

– Gdzie jest?

– Jakieś pięćdziesiąt kroków przed nami. Po lewej, wysoko na zboczu – dekurion starannie unikał patrzenia w stronę, którą opisywał. – W dużej grupie głazów.

Zaryzykowałem szybkie, ostrożne spojrzenie. Tam, wśród głębokich cieni, zauważyłem kolejny kształt, który nie był cieniem. Ktoś się tam ukrywał, kucnąwszy nieruchomo wśród skał. Wartownik.

– Dobrze. Doszliśmy wystarczająco daleko – powiedziałem cicho. – Widzieliśmy jednego. Dalej może być ich tuzin.

Aedan splunął na bok.

– Jak na bandytów, mają dobre straże.

Nachmurzyłem się.

– Prawda. Sądzę, że jakiś szpieg w mieście mógł ich uprzedzić.

– Całkiem prawdopodobne – zgodził się dekurion. – I co teraz, Walensie? Jak wrócimy, nie zdradzając naszej obecności?

To był duży problem. Byłem niemal pewien, że znaleźliśmy wejście do obozu bandytów. Ale jeśli oni zdadzą sobie z tego sprawę, mogą z łatwością wymknąć się do innej kryjówki, zanim zbiorę wojsko, by ich zaatakować. Nie miałem czasu ścigać tych kryminalistów po całej Galilei, ponieważ ostateczny termin wyznaczony

przez Heroda spędzał mi sen z powiek. Jakoś będę musiał przekonać obserwującego nas człowieka, że nie znaleźliśmy tu niczego użytecznego.

– Będziemy aktorami, Aedanie – powiedziałem w końcu. – Miejmy nadzieję, że oszukamy naszą widownię.

Wprowadziłem swoje słowa w czyn. Usiadłem na najbliższym głazie i teatralnym gestem otarłem czoło. Spojrzałem na wysokiego, jasnowłosego dekuriona z grymasem na twarzy.

– No – powiedziałem głośno, by mój głos rozniósł się po wąwozie – zatem straciliśmy czas?

Aedan zamrugał, zaskoczony przez chwilę. Potem twarz mu się rozjaśniła i wzruszył ramionami.

– Na to wygląda, panie. – Zatoczył ręką koło. – Nic tu nie ma oprócz skał i ziemi. I cierni – dodał.

Zakląłem mocno i popatrzyłem na żołnierza stojącego nieopodal z niepewnym uśmiechem na twarzy.

– Idiota! – fuknąłem. – Gdybym chciał pójść na długi spacer na pustkowiu, zabrałbym ze sobą ochoczą dziewczynę, a nie jakiegoś wielbiciela kóz, bezużytecznego, kiepskiego żołnierza!

Kawalerzysta przygarbił się, starając się wyglądać na zawstydzonego.

Nie łudziłem się, by nasze zachowanie nawet na moment oszukało wyrefinowaną widownię bywalców rzymskich teatrów. Przy odrobinie szczęścia jednak wartownik nie powinien być wymagający. Z pewnością nie zna naszego języka, ale wystarczająco dobrze zrozumie ton głosu.

Liczyłem również na normalny ludzki upór. Według Wardanesa Gideon i jego ludzie działają tu, niewykryci, od ponad roku. Jeżeli mają bezpieczną, wygodną kryjówkę w tym wąwozie, raczej niechętnie będą się chcieli z niej ruszyć, nie mając dowodu, że ich znaleźliśmy.

– Idziemy za zachód – oznajmiłem bez ceregieli, wstając. – Zaczyna się ściemniać, a ja już się napatrzyłem na to wypalone słońcem pustkowie.

Aedan i zwiadowca kiwnęli głowami.

Potem, nadal głośno narzekając, zawróciliśmy i wyszliśmy z wąwozu. Nie oglądaliśmy się za siebie.

Na wypadek innych nieprzyjaznych oczu nakazałem pozostałej trójce zbadanie kilku innych jarów i rozpadlin położonych dalej na zachód. Opuszczaliśmy wąwóz każdy z wyraźnym niesmakiem, aż w końcu, zataczając koło, doszliśmy do drogi prowadzącej do Morza Galilejskiego.

Zanim przejechaliśmy przez Dolinę Gołębic i zobaczyliśmy przed sobą jezioro, słońce już prawie zaszło. Niskie, pofałdowane wzgórza na odległym brzegu już były spowite cieniem i nocą.

Aedan jechał w milczeniu obok mnie, z ponurą nieruchomą twarzą.

– Co myślisz?

– Nic dobrego, to pewne – odparł cicho. – Ten wąwóz to śmiertelna pułapka. Dziesięciu odważnych ludzi z łukami może się przeciwstawić całemu regimentowi, a co dopiero trzydziestoosobowemu oddziałowi.

Przytaknąłem. Dekurion miał rację. Jakikolwiek atak na to wąskie gardło spowoduje morze krwi. Nasz marsz w górę starym szlakiem pasterzy będzie wolny i głośny. W dodatku będziemy musieli iść pieszo. Nawet bez koni nie rozstawię więcej niż pięciu ludzi w szeregu. Jeżeli bandyci, gotowi, będą się nas spodziewać, nie mamy szans.

Lecz jaki mam wybór? Jeżeli wycofam się z walki, jeżeli zostawię Gideona i jego bandytów, minie termin wyznaczony przez Heroda. Centurion pretorii, Sewerus, przejmie dowodzenie, a mieszkańcy Nazaretu zginą.

Czy mogę na to pozwolić? Czy moja duma, mój honor na to pozwolą?

Nie – pomyślałem. Lepiej zginąć szybko w bitwie, nawet i ponieść porażkę, niż

umierać długie lata ze wstydu. Czego znieść nie mogłem, to myśli o poprowadzeniu Aedana i reszty żołnierzy na pewną zagładę.

Czy jest jakaś inna możliwość?

Zjechałem na bok drogi i siedziałem tam przez jakiś czas, myśląc intensywnie. Dookoła przygasały ostatnie światła. Wysokie klify Arbeli płonęły czerwienią, a potem stały się czarną, niewyraźną masą na tle nieba.

Przyszła odpowiedź. Odwróciłem się do Aedana.

– Powiedz mi, dekurionie. Gdybyś był bandytą, grabieżcą, mordercą i ściagała cię połowa armii Heroda, czy pozbawiłbyś się możliwości odwrotu?

– Nie – odpowiedział wolno Celt. – Nie zrobiłbym tego. – Zęby mu błysnęły w ciemności. – Na Panią, Walensie, zaczynam rozumieć, o co ci chodzi. Tam musi być inna droga!

– Ano musi. I zaczniemy jej szukać jutro przed brzaskiem.

Pociągnąłem delikatnie wodze, nakłaniając Tancerkę, by wróciła na drogę. Już czułem się radośniej. Czekala mnie kolacja i towarzystwo pięknej kobiety.

Rozdział XVII

W powietrzu unosił się ledwie wyczuwalny zapach palonego drzewa, niesiony w naszą stronę poranną bryzą. Podniosłem lewą rękę, sygnalizując Aedanowi i dwóm kawalerzystom, by się zatrzymali. Grań, na którą się wspinaliśmy, wyrównywała się, a potem raptownie opadała, tworząc głęboki wąwóz, który badaliśmy poprzedniego dnia.

Nasza czwórka szukała innego podejścia do kryjówki bandytów, tym razem od góry. Aby nie zostać zauważonym przez ich czujki, wyjechaliśmy z posiadłości Mary na długo przed wschodem słońca i pojechaliśmy okrężną drogą do surowych terenów leżących poza Doliną Gołębic.

Aedan wciągnął powietrze i wyszczerzył zęby jak wilk.

– Nadal tu są.

Przytaknąłem z ulgą. Mimo naszego wczorajszego udawania, obawiałem się, że mogliśmy spłoszyć Gideona i jego rzezimieszków do innej kryjówki, której nie zdążyłbym znaleźć.

Podkradaliśmy się do krawędzi, czołgając się ostatnie parę kroków. Zapach dymu stał się silniejszy. Teraz wyczuwałem w nim również pieczone mięso. Zdjąłem hełm i wyjrzałem ostrożnie. W tym miejscu zbocze gwałtownie opadało o ponad dziesięć metrów. Tak wcześnie rano dno wąwozu nadal było w cieniu. Trochę potrwało, zanim moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, ale już słyszałem cichy szum głosów.

Aedan podpełzł do mnie i wyjrzał. Znajdowaliśmy się tuż nad obozem Gideona. Widać było kilku ludzi ubranych w bure, brudne stroje. Dwóch siedziało po turecku na ziemi i czyściło kozłą skórę, zdrapując sierść ostrymi nożami. Trzech przysiadło na głazach, ostrząc groty włóczni i noże. Wąwóz ciągnął się na północ i na południe.

Ze swego miejsca widziałem tylko nieruchome, ciche kształty wartowników rozstawionych po obu stronach.

Gdzie wobec tego są pozostali? Wardanes powiedział mi, że Gideon ma co najmniej trzydziestu ludzi. Według opisów ich dawnych starc i potyczek, nie widziałem powodu, by wątpić w słowa partyjskiego najemnika. I gdzie ogień, którego zapach czuję?

Kolejny mężczyzna dołączył do pozostałych, pojawiając się tak nagle, jak gdyby wyszedł tuż ze skały pode mną. Był starszy, miał brodę i długie, potargane włosy z pasmami siwizny. Mówił krótko do dwójki skrobiącej skórę, a potem poszedł niespodziewanie lekkim krokiem, jak na swój wiek, w dół wąwozu, by sprawdzić strażę.

Jeden z pozostałych podniósł się, wziął naostrzoną włócznię i podszedł do ściany wąwozu. Zniknął nam z oczu. Teraz pojąłem.

Bandyci mieli kryjówkę w jaskini pod nami. Skinąłem na Aedana i się wycofaliśmy.

Dekurion pokręcił głową.

– Nie podoba mi się to. Zupełnie. Mają drugie dojście, ale jest równie śmiertelnie niebezpieczne dla nas, co pierwsze. – Pokazał na wąwóz. – Którąkolwiek drogą pójdziemy, wpakujemy się w kłopoty.

Miał rację. Przeprowadzenie ataku na ten wąski, usiany głazami wąwóz z dowolnej strony jest bezcelowe. Jeżeli Gideon i jego bandyci staną do walki, posiekają nas na kawałki. Jeśli uciekną, nie będziemy w stanie ich złapać. Jeżeli się rozproszą, nie dam rady ich znaleźć. To ich ziemia. Znają każdą ukrytą ścieżkę i każdą pieczarę w promieniu paru kilometrów. Ja mam tylko trzydziestu żołnierzy – zbyt mało, by przypuścić atak i zablokować oba wyjścia.

Czy powinienem posłać po pięćdziesięciu kawalerzystów, których zostawiłem w Nazarecie? Przez moment rozważałem tę możliwość. Potem ją odrzuciłem.

Przyzwanie posiłków zajmie kolejne dwa dni. Gdybym miał pewność, że ci bandyci są odpowiedzialni za śmierć Silanusa, gra warta byłaby ryzyka. Problem w tym, że niczego nie byłem pewien.

Nie, muszę dopaść tych bandytów w wąwozie bez posiłków. Jakoś musimy zaskoczyć ludzi Gideona i pozbawić ich wyboru pomiędzy walką a ucieczką – zmusić do bitwy na naszych warunkach.

Lecz jak? Żadna z oczywistych możliwości nie gwarantowała nam ewentualnego sukcesu.

Podpełzłem znowu do krawędzi skały i leżałem przez jakiś czas, przyglądając się temu, co się tam dzieje. Zorientowałem się, że przeliczam wysokości, odległości i kąty. Przypomniały mi się nagle łodzie rybackie tłoczące się w porcie Magdali, jak i innych położonych nad jeziorami miast. W mojej głowie zaczął się formować plan – tak szalony i tak dziwaczny, że każdy rozsądny żołnierz z miejsca by go odrzucił.

Cóż, uznałem, że może pora przestać myśleć jak rozsądny żołnierz.

Wróciliśmy do posiadłości Mary późnym rankiem.

Ponieważ byłem niemal pewien, że czujki obserwują przełęcz, rozesłałem więcej zwiadowców po wzgórzach. Moi żołnierze dostali rozkazy, by udawać, że poszukują bandytów, a równocześnie mieli nie pakować się w kłopoty i trzymać się z daleka od obozu Gideona. Chciałem, by bandyci wierzyli, że nadal są bezpieczni.

Usiadłem na kamiennej ławie przed willą z widokiem na Morze Galilejskie. Na spokojnych, nasłonecznionych wodach wielkiego jeziora rozsiane były dziesiątki łodzi rybackich.

Moje myśli biegły swobodnym torem. Starłem się skupić na kwestiach dotyczących zamordowania Silanusa, ale coraz bardziej łapałem się na myśleniu o Marze.

Podczas kolacji poprzedniego dnia była bardzo uprzejma, nawet serdeczna, jednak wydawała się zdystansowana, wręcz zamknięta w sobie. Chociaż

konwersacja poruszała wszystkie odpowiednie dla dobrze wychowanych osób tematy – jedzenie, wino, pogoda – to o sobie ani o swoich poglądach nie powiedziała niemal nic. Nie pytała również o nasze sprawy w Magdali. Choć wiedziała, że poszukujemy bandytów, nie interesowały ją żadne szczegóły.

Cała bystrość i inteligencja, cała pasja, ukryty ogień gniewu lub radości, jakie wyczułem przy naszym pierwszym spotkaniu, jakby zniknęły.

A jednak...

A jednak przysięgłbym, że chwilami widziałem w jej oczach ten błysk pragnienia czy tęsknoty. Ale nie byłem o tym przekonany, nie byłem pewien.

Westchnąłem. Pani Mara była dla mnie tajemnicą, i to taką, do której odkrycia byłem raczej słabo przygotowany. Jak większość mężczyzn w moim wieku, zaznałem rozkoszy miłości fizycznej. Rzecz jasna, nie w burdelach ani tawernach, do których często zaglądali zwykli legionieści. Jednak nawet nieopodal nadreńskich obozów zawsze było kilka lepiej wyglądających kobiet, które zachowywały swoje wdzięki dla oficerów. W razie potrzeby ich uczucie można było dyskretnie kupić.

To nie było to samo. Zupełnie nie.

Mara nie była obywatelką, ale miała dużo więcej wspólnego z kobietami z mojego kręgu niż z nierządnicami, z którymi niegdyś przestawałem. Były to kochanki na jedną noc: przyjemne tarzanie się w poduszkach, śmiechy, czara wina, a potem szybka ucieczka za drzwi do prawdziwego świata wojaczki na niebezpiecznym froncie.

Mara przeciwnie, była bogatą, wykształconą i dobrze urodzoną kobietą. Arystydes dowiedział się co nieco o historii jej rodziny od zarządcy Ilasiosa. Jej mąż, zanim zmarł, służył Herodowi Antypasowi jako wysokiej rangi galilejski urzędnik finansowy. W Judei jej ojciec wykonywał podobną pracę wpierw dla etnarchy Archelaosa, a później dla rzymskiego prokuratora. Nawet jej dziadek był ważnym doradcą Heroda Wielkiego.

Nachmurzyłem się. Pod pewnymi względami zbyt długo byłem daleko od Rzymu, od cywilizacji. Po spędzeniu tak długiego okresu w towarzystwie żołnierzy i markietanek, nie byłem pewien, jak rozmawiać z kimś takim jak Mara – jak ją uradować, jak wzbudzić jej zainteresowanie, jak ją ożywić.

Usłyszałem kroki na żwirze. Podniosłem wzrok, szczerze zadowolony, że oderwie to mnie od tych myśli.

To Arystydes z ciągnącym się za nim jak zwykle Pawłem. Poczulem się nieco winny na jego widok. Powinienem był prawdopodobnie posłać Pawła do tego nauczyciela w Jerozolimie, jednak prawda była taka, że za bardzo potrzebowałem jego znajomości języka mieszkańców Galilei, by go już odprawić.

Medyk wyglądał na znużonego i całkowicie umęczonego. Upuścił swoją sakwę na ścieżkę i opadł koło mnie na ławkę ze zduszonym stęknieniem.

– Ciężka noc spędzona na uganianiu się za służącymi? – zapytałem niewinnie.

Arystydes skrzywił się.

– Bardzo śmieszne, Lucjuszu. – Potarł nabiegłe krwią oczy. – Prawdę mówiąc, nie. Gdybym, na Afrodytę, tak zrobił, może lepiej bym spożytkował czas.

– Zatem musiałeś pracować nad bredniami astrologa.

Potaknął.

– Udało się coś?

Sfrustrowany Arystydes pokręcił głową.

– Niewiele. Przejrzałem każdy fragment tekstu oraz każdy rysunek i wykres po kilka razy. Tak jak się obawiałem, niemal wszystko jest pisane jakimś dziwnym, tajnym pismem. I chociaż bardzo się starałem, nie znalazłem do niego klucza. – Wzruszył ramionami. – Pozostałe rzeczy to w zasadzie majaczenie szaleńca.

– Na przykład?

– W jednym zwoju są uwagi dotyczące znaku astrologicznego wielkiej wagi: nowa gwiazda na niebie, zdaje się, co oznacza narodziny króla albo wielkiego

człowieka. Możliwe, że boga. Sformułowania są niejasne.

Pokiwałem głową. Kiedy go indagowałem, Araneusz twierdził, że w Nazarecie szuka boga. Może coś, co zaobserwował na niebie, spowodowało, że wyruszył na te dziwne poszukiwania.

– Na innym jest jakiś skomplikowany rodowód, choć mogę się mylić. Jeżeli dobrze odczytuję te bazgrały, astrolog próbował odtworzyć pochodzenie czegoś, co nazywa „domem Dawida”.

Paweł wyglądał na zaskoczonego. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale potem je zamknął i szybko pokręcił głową, jakby stanowczo odrzucając coś, co jego zdaniem jest nieprawdopodobne. Popatrzyłem na chłopca z zaciekawieniem. Co takiego usłyszał i zrozumiał, co umknęło mnie i Arystydesowi?

– A popatrz na to – ciągnął Arystydes, wyciągając z sakwy trzy małe zwoje. Wręczył mi jeden.

Rozwinąłem go, podnosząc do słońca, by odcyfrować ledwie widoczny zapis znaków, linii i zarysów gwiazd.

– Co to?

– Horoskop – odpowiedział medyk. – Dla człowieka urodzonego pod znakiem Koziorożca.

– A pozostałe?

– Też wykresy. Drugi jest dla innego, późniejszego dnia tego samego znaku, trzeci dla urodzonego pod znakiem Ryb.

W głosie Arystydesa było pewne napięcie, które mnie zdziwiło. Nie ma nic osobliwego w tym, że wśród zapisków Araneusza są horoskopy. To przecież podstawowe zajęcie każdego astrologa. Wzruszyłem ramionami.

– I?

– O ile mogę stwierdzić – powiedział wolno medyk – dotyczą tej samej osoby.

Wpatrywałem się w niego.

– Człowiek urodzony w trzech różnych dniach?

Arystydes przytaknął.

Gwizdnąłem cicho. Lekarz miał rację. Araneusz to szaleniec.

– Jest jeszcze jedno pismo, które odszyfrowałem – powiedział niechętnie Grek. – Sądzę, że prorocstwo, a raczej jego część. Nie rozumiem tego. – Zacytował. – „Orły skłonią się przed Gołębicą. A Synowie Wilczycy klękną przed Pasterzem”.

Zastanowiłem się nad tym. Orzeł i wilczyca to symbole Rzymu. Ale gołębicą? I pasterz? Jakie mogą mieć mistyczne znaczenie? Co astrolog wyczytał z tej zagadkowej przepowiedni?

Mój wzrok przyciągnął ruch na jeziorze. Na łodziach rybackich wciągano żagle lub wiosłowano, zbliżając się do brzegu. Rzuciłem zwój Arystydesowi i wstałem. Pora zacząć wprowadzać w życie moje plany.

Od południa minęła już ponad godzina.

Stałem w drzwiach, patrząc, jak Aedan i czterech żołnierzy idą wzdłuż nabrzeża Kafarnaum, dobrze prosperującego miasteczka kilka kilometrów na północ od Magdali. Dekurion i jego ludzie oglądali każdą łódź przywiązaną do kamiennego pirsu na przystani wychodzącego w jezioro. Co jakiś czas zatrzymywali się, by porozmawiać z galilejskimi rybakami, którzy pracowicie wyładowywali poranny połów i czyścili sieci.

Inny kawalerzysta podszedł do mnie od ulicy, prowadząc konia za uzdę. Był to jeden z doświadczonych zwiadowców, z którym dzień wcześniej byłem na wzgórzach.

Wyszedłem na zewnątrz.

– I?

Zwiadowca pokręcił głową.

– Nikt tu za tobą nie jechał. Ręczę życiem.

To była dobra wiadomość. Kiedy zabrałem Aedana i pozostałych do Kafarnaum

kilka godzin temu, zostawiłem tego żołnierza, każąc mu pilnować, czy nikt za nami nie jedzie. Mieliśmy tam ważne sprawy, które chciałem utrzymać w tajemnicy przed tymi, którzy mogliby szpiegować dla bandytów. Istniały spore szanse, że Gideon i jego ludzie mają przyjaciół w Magdali. Kafarnaum leżało na tyle daleko, by nie było tam ich zwolenników.

Dekurion i jego ludzie dołączyli do nas, kiedy skończyli oględziny.

– Znaleźliśmy odpowiednią dwójkę – powiedział Aedan. – Wydają się wystarczająco uczciwi i mówią trochę po grecku.

– Dobrze. – Zerknąłem na ulicę przed pirsem. Rybacy zaczęli się rozchodzić do domów lub na targ z koszami świeżo złowionych ryb na ramionach. – Poczekajcie jeszcze trochę, a potem ich zabierzcie. Zróbcie to dyskretnie, na ile się da. Spotkamy się za miastem.

Dekurion skinął głową.

Wsiadłem na Tancerkę i wyjechałem trochę za Kafarnaum. Zatrzymałem się w chłodnym cieniu orzechowca.

Za jakiś czas Aedan dołączył do mnie z dwójką wyraźnie oszołomionych rybaków. Byli braćmi.

Starszy, brodacz o szerokich ramionach, wystąpił naprzód.

– Dlaczego nas przyzwałeś panie? – zapytał nerwowo. – Czy chcesz zabrać nasz dzisiejszy połów dla swoich żołnierzy?

Pokręciłem głową.

– Nie, nie chcę waszych ryb.

Rybak, który, jak się później dowiedziałem, nazywał się Szymon, utkwiał we mnie spojrzenie. – Zatem, dlaczego tu jesteśmy?

– Jesteście tu – odparłem cicho – ponieważ potrzebuję waszych sieci.

Otworzył usta.

– Naszych sieci?

– Właśnie – potwierdziłem. – Ale wpierw muszę coś wiedzieć. – I wyjaśniłem, do czego ich potrzebuję.

Starszy z braci popatrzył na mnie, a potem na otaczających nas kawalerzystów. W końcu z wahaniem pokiwał głową.

– Myślę, że się nadadzą. Ale lepiej by było, gdybyśmy je najpierw wzmocnili.

– Czy możecie to zrobić przed jutrzejszym świtem?

Szymon przełknął ślinę. Potem skinął głową.

– Możemy.

– Mam taką nadzieję – powiedziałem cicho. – Ponieważ ty i twój brat pojedziecie z nami. Jeżeli wasze sieci przerwą się w niewłaściwym momencie, ostatnią rzeczą, jaką poczujecie, będzie kilka centymetrów zimnej stali wsuwającej się wam w plecy. Rozumiemy się?

Obaj bracia, śmiertelnie bladzi, posłusznie pokiwali głowami.

Nieszczerólnie podobało mi się grożenie tym biednym rybakom, jednak nie miałem innej możliwości sprawdzenia, czy mogę im ufać. Nie było czasu. Dni, wyznaczone mi przez Heroda, mijały jeden za drugim.

Rozdział XVIII

Kolacja tamtego wieczora przypominała sen. Czas płynął inaczej, poza rzeczywistością. Godziny mijały jak minuty, a minuty rozciągały się w godziny. W miarę zbliżania się akcji byłem coraz bardziej spięty – gotów podjąć ryzyko, stawić czoło niebezpieczeństwu. Byłem jednak boleśnie świadom, że ta gra łatwo może skończyć się porażką i hańbą. Lub śmiercią. Bez względu na to, co się zdarzy, wiedziałem, że tej nocy nie zasnę.

Kucharz pani Mary zadał sobie wiele trudu, by przygotować ucztę, która mogłaby zaszczyścić stół każdej rodziny patrycjusza w Rzymie. Dostaliśmy pieczoną rybę w lekkim szafranowym sosie. Były gotowane jajka w małych srebrnych czarkach i sałatka z mięty, kolendry, zielonych cebulek i sałaty. Stół wypełniały półmiski sera, fig, daktyli i granatów. Przy każdym nakryciu znajdowały się małe okrągłe bochenki świeżo upieczonego chleba.

Arystydes, Aedan i Paweł jedli z apetytem i radością.

W przeciwieństwie do nich, nie byłem zbyt głodny. Jadłem bardziej z nawyku i uprzejmości. Gdzieś tam miałem świadomość, że każde danie idealnie przyprawiono i przygotowano, lecz ja byłem rozpaczliwie spragniony, więc piłem dużymi łykami wyśmienite wina podawane do każdego dania.

Czy powinienem winić alkohol za to, co się wydarzyło później?

Nie. Nie mogę. Nie chcę.

To prawda, że wypilem więcej, niż to miałem w zwyczaju, ale nie byłem pijany. Mój umysł należał do mnie. Moje myśli i czyny były całkowicie moje.

Sądzę, że od początku wiedziałem, czego chcę, bez względu na to, jak bardzo starałem się to przed sobą ukryć.

Chciałem Mary.

Ułożyła się w pozycji półleżącej naprzeciwko mnie. Poświata rozwieszonych wokół pomieszczenia lampek oliwnych przydawała złotego odcienia jej bursztynowym włosom. Diadem ze słodko pachnących kwiatów nadawał jej godność królowej albo bogini. Tej nocy miała na sobie obcisłą szafirową suknię z jedwabiu zdobioną srebrem. Oczy jej błyszczały promiennie, ogromne w łagodnym świetle.

Mara również jadła niewiele, skubiąc tylko wyborne dania stawiane przed nią. Miała jednak ochotę słuchać moich opowieści o służbie w odległych krajach i o moim dzieciństwie w Rzymie. Czy to przez wino krążące w żyłach, czy też przez czystą przyjemność, jaką dawało mi patrzenie na jej radość i słuchanie jej śmiechu, stanąłem na wysokości zadania. Moje słowa płynęły swobodnie i znacznie potoczniej niż zazwyczaj.

Mimo to, kiedy tylko rozmowa dotyczyła jej życia, nadal zachowywała tę ostrożność, którą wcześniej wyczułem. Dystans ten tylko raz, pod koniec wieczoru, zniknął.

– Och, dni mijają tu wygodnie – mówiła w odpowiedzi na pytanie Pawła. – Lecz każdy dzień jest mniej więcej taki sam jak inne. Tu w Magdali nie dzieje się nic ekscytującego, nic, co by miało znaczenie.

Mara upiła mały łyk wina i odstawiła czarkę na bok. Służący natychmiast ją powtórnie napełnił.

– Nie ma tu nikogo o jakiegokolwiek wiedzy lub wrażliwości. Ci Galilejczycy to ograniczeni ludzie. Nie przejmują się niczym, poza ceną ryb, rytmem pór roku i ograniczeniami Prawa. Nikt tak naprawdę nie żyje w tym zaścianku. Oni tylko istnieją.

Zauważyłem, że Aedan i Arystydes wymienili rozbawione spojrzenia. Popatrzyłem na nich krzywo. Medyk mrugnął do mnie w odpowiedzi. Zarumieniłem się.

– Przecież Tyberiada jest niedaleko – odezwał się Paweł. – Twój mąż był urzędnikiem tetrarchy. Z pewnością byłabyś mile widziana na jego dworze. Tam muszą być wykształceni i dobrze urodzeni ludzie.

– Mój mąż był dobrze widziany na dworze Heroda – odparła Mara. Zacisnęła na moment usta. – Ale kiedy jego grubi, chciwi sługusi na mnie patrzą, widzą niewiele ponad moją willę, moje sady i te żyzne pola. Dla nich jestem tylko śliczną wdową po Eisakiosie. Jestem środkiem do wielkiej posiadłości, i nikim więcej.

Pokiwałem wolno głową. Stara historia. Jej ojciec dobrze, jak mu się wydawało, wydał córkę za mąż. Z pewnością jego rodzina weszła w korzystny sojusz z człowiekiem postawionym wysoko z kręgu tetrarchy. Małżeństwa kojarzone przez rodziców były typowym losem kobiet z wyższych warstw w każdym cywilizowanym społeczeństwie. Czasami były udane.

Lecz nie tym razem – pomyślałem. Małżeństwo Mary ze starszym Eisakiosem zdecydowanie zapewniło jej majątek. I równie wyraźnie nie dało jej szczęścia. Teraz jej mąż nie żyje, a ona nie jest skłonna ryzykować wolności i dobytku, by szukać innego. Nie ona stworzyła sobie więzienie z bogactwa i luksusu. To jej duma i ostrożność strzeże jego murów i tarasuje bramy.

Ona miała tego świadomość.

Nasze spojrzenia spotkały się nad stołem.

Uświadomiwszy sobie nagle, że wyjawiała więcej, niż zamierzała, Mara zarumieniła się. Szybko nakłoniła mnie do opowiedzenia jeszcze jednej przygody z germańskich lasów.

Posłuchałem, i powiedziałem o tym, jak poproszono mnie o eskortowanie misji dyplomatycznej w głąb terytorium wrogiego plemienia. Była to podróż pełna nieszczęśliwych wypadków, nieporozumień i niebezpieczeństw, a z perspektywy – nawet i humoru. Kiedy wróciliśmy, nie byłem pewien, co stanowiło większe zagrożenie dla bezpieczeństwa granicy – Germanie czy ten niekompetentny

wysłannik, którego musiałem prowadzić, nieudolny, nadęty daleki krewny samego Oktawiana Augusta.

Dwukrotnie dolewano wina, zanim skończyłem.

– Do dziś nie wiem, czy tak naprawdę miałem chronić Serwiusza Tuliusza, czy go dyskretnie zgubić gdzieś w dziczy. Ale Germanik niedługo po powrocie awansował mnie na trybuna wojskowego, więc przypuszczam, że spisałem się dobrze.

Mara zaśmiała się zachwycona. Zanim odzyskałem oddech, już zadawała pytania o inne kampanie przeciwko barbarzyńcom.

– Jeżeli pozwolisz, moja pani – Arystydes podniósł rękę, uśmiechając się szeroko – powiem już dobranoc. Słyszałem relacje Lucjusza przy kilku okazjach i za każdym razem Germanie są coraz liczniejsi i straszniejsi. – Wstał od stołu i klepnął Pawła w ramię. – Poza tym ten młody człowiek potrzebuje więcej zajęć z porządnej greckiej filozofii, jeżeli naprawdę chce się uważać za uczonego.

– Co? – Paweł był zaskoczony. Pokręcił głową. – Już nie muszę się więcej uczyć. Nie teraz. A poza tym ja nie znam wszystkich przygód prefekta.

Jednak nikt nie słuchał protestów chłopca. Arystydes prędko wyekspediował go z jadalni. Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, a już Aedan wstał i cicho się pożegnał.

Tak się dobrze czułem, zabawiając Marę, że ledwie zauważyłem ich odejście. Jej uśmiechy, radość, którą okazywała, słuchając o obcych miejscach i ludziach, sposób, w jaki jej oczy promieniały, kiedy się śmiała – wszystko to mnie upajało. Wypiłem jeszcze więcej wina, prawie tego nie dostrzegając. Ona piła tyle samo – rozmawialiśmy bez końca.

Służący przychodzili i wychodzili, sprzątajac resztki jedzenia i dyskretnie napełniając czarki. Przykręcone lampki oliwne rzucały cienie tańczące na ścianach.

Zamilkłem, uświadomiwszy sobie nagle, że jesteśmy sami.

Słońce zaszło już dawno temu. Zniknęli służący. W domu panowała cisza.

Z początku wydawała się równie zakłopotana jak ja, ale wzięła głęboki oddech i z gracją wstała z sofy. Zerwałem się i stanąłem naprzeciwko niej, świadom, że dzieli nas tylko pusty stół.

Jej oczy błyszczały w półmroku jadalni.

– Zrobiło się późno, Lucjusz – powiedziała chrapliwie. – Wszyscy służący poszli już chyba spać. Zamiast ich budzić, może odprowadzisz mnie do pokoju?

– Oczywiście, moja pani... to znaczy, Maro – wyjąkałem. – Z wielką chęcią.

Zacząłem podnosić jedną z lamp, by oświetlić nam drogę, ale ona łagodnie potrząsnęła głową. – Nie będziemy tego potrzebować, Lucjusz. To mój dom i znam drogę.

Podeszła do mnie, wzięła moją dłoń i poprowadziła mnie ciemnym korytarzem do swej sypialni. Sam jej dotyk mnie rozpałił. Cały świat mieścił się teraz w jej smukłej sylwetce, promiennej twarzy i lśniących oczach. Zatrzymała się przed drzwiami i odwróciła ku mnie.

Przez moment staliśmy blisko siebie, a nasze twarze oddalone były od siebie o kilka centymetrów.

Czas się zatrzymał. Ważyła się przyszłość.

Potem rozchyliła wargi, a ja się nachyliłem i ją pocałowałem. Z początku łagodnie, potem z większą namiętnością. Jej usta były słodkie, smakowały głównie miodem i winogronami z lekką domieszką innych owoców – malin, jeżyn i granatów.

Dotknąłem jej miękkiego policzka drżącymi palcami i ponownie ją pocałowałem.

Mara przyciągnęła moja dłoń do swoich piersi. Były okrągłe i jędrne pod gładkim jedwabiem sukni. Ująłem jedną i poczułem twardniejący w dłoni sutek.

Westchnęła z rozkoszy i wyszeptała:

– Jestem twoja tej nocy, Lucjusz. – A potem wstydliwie, z wahaniem dodała: –

Jeżeli mnie chcesz...

Ledwie wierząc w moje szczęście i czując, jak w uszach huczy mi tętno, wszedłem za nią do pokoju i zamknąłem za nami drzwi.

Jedna mała lampka dawała migotliwą poświatę, rzucając światło na łóżko. W sypialni były też i inne meble, ale nie zwracałem na nie uwagi. Wpatrywałem się w Marę.

Przyciągnęła mnie bliżej dłońmi splecionymi na moim karku. Otoczyłem ramionami jej szczupłą kibić. Nasze wargi i języki spotkały się i zespoliły po raz trzeci. Wiedziałem, że czuje moją męskość twardniejącą pod tuniką i ocierającą się natarczywie o jedwab okrywający jej biodra.

Mara przerwała nasz pocałunek cichym jękiem rozkoszy. Potem, uśmiechając się, zrobiła krok do tyłu. Nie odrywała ode mnie spojrzenia. Zwinnymi palcami rozpięła srebrny pasek. Opadł na podłogę. Za nim jej suknia, ześlizgując się wpierw z jednego idealnie uformowanego ramienia, potem z drugiego. Szafirowy jedwab spłynął kaskadą do jej stóp.

Stała przede mną naga, otwarcie rozkoszując się zachwytem, który malował się na mojej twarzy. Jej pełne piersi zwieńczone były dumnie sterczącymi w nocnym chłodzie sutkami. Moje oczy powędrowały niżej, po jej napiętym brzuchu, do miękkiej kępki kręconych złotobrazowych włosów pomiędzy nogami.

Wolno położyła się na łóżku, rozkładając ramiona.

– Chodź do mnie – wyszeptała. – Jestem twoja...

Moje ubrania pośpiesznie spadły na podłogę i dołączyłem do Mary na łóżku, unosząc się nad nią na wyciągniętych ramionach. Przez długą chwilę tak trwałem, zafascynowany blaskiem lampki na jej piersiach, wilgotnością warg i rosnącym pożądaniem w oczach.

Potem przyciągnęła mnie i obejmując ręką moją męskość, wprowadziła ją głęboko do siebie.

Z początku kochaliśmy się z wolna, rozkoszując się każdą nową chwilą, każdym nowym doznaniem. Nasza przyjemność nasilała się coraz bardziej. Powodowani tym poruszaliśmy się coraz szybciej, znajdując dziki, szybki, gwałtowny rytm, który poniósł nas do rozdygotanej chwili wspólnej ekstazy.

Z łomoczącym sercem leżałem zamknięty w ramionach Mary. Moja głowa spoczywała pomiędzy jej śliskimi od potu piersiami. Dłuższy czas nie poruszaliśmy się, oddychając zgodnie w niczym niezmaconym nasyceniu. Nie rozmawialiśmy. Słowa są bezbarwne wobec tej wspaniałości – pomyślałem.

Pocałowałem jeden z jej sutków, przebiegając po nim i wokół niego językiem. Smakowała słono i korzennie. Moja męskość drgnęła i znowu nabrzmiała. Mara też to poczuła i zaśmiała się głośno z radości. Potem wciągnęła mnie w siebie drugi raz.

Jeszcze dwukrotnie tej nocy się kochaliśmy, za każdym razem znajdując nowe sposoby dawania sobie przyjemności i satysfakcji.

A kiedy w końcu poczuliśmy się wyczerpani, leżeliśmy razem, spleceni w uścisku, wpatrując się sobie głęboko w oczy.

– Lucjuszu – powiedziała miękko Mara, przebierając palcami po moim torsie. – Opowiedz mi jeszcze raz o swoim domu. Opowiedz mi o Rzymie.

Posłuchałem chętnie i starałem się namalować wszystko słowami. Wyczarowałem obraz Rzymu w jego najlepszym wydaniu – jako miejsca wspaniałych świątyń, budynków publicznych i mostów, posągów i ogrodów, szumiących fontann, eleganckich willi i sadów rozsianych w bujnym krajobrazie obrzeży miasta.

Mara chłonęła każde słowo. Oczy jej błyszczały.

– Ach, Rzym! – wyszeptała. – To musi być miasto cudów, wspaniałe centrum naszego świata.

Poczerwieniałem lekko, myśląc o tym, czego nie powiedziałem. O ciemniejszej stronie mojego wielkiego miasta – ciasnych, cuchnących kamienicach, w których

tłoczą się biedacy, zaśmieconych uliczkach pełnych złodziei i bandytów, koszarach dla niewolników i krwawych igrzyskach. Wiem, że takie same mroczne prawdy można znaleźć w każdym dużym mieście imperium. Być może, tak naprawdę są one częścią uniwersalnej ludzkiej kondycji. Mimo to ukryłem przed nią te ponure miejsca. Nie chciałem plamić skrzęcej się iluzji, która ją tak cieszyła.

Mara westchnęła. Przymknęła oczy i złożyła głowę na moim ramieniu.

– Co to będzie za radość zobaczyć twój dom, Lucjuszu. Zobaczyć go z tobą... żyć tam z tobą... – wymruczała sennie.

Zesztywniałem, w jednej chwili zdając sobie sprawę z rozmiarów mojej głupoty. Jak mogłem być tak bezmyślny, tak bezduszny? Możliwość, że ona może oczekiwać, iż się z nią ożenię, nigdy nie przeszła mi przez myśl. Działalem pod wpływem chwili, kierowany pożądaniem i tęsknotą. Nie zatrzymałem się, by zastanowić się nad konsekwencjami tego, czego tak bardzo pragnąłem.

Moje serce mogło sobie pragnąć, czego chciało, ale prawda była taka, że nie mogłem wybrać sobie własnej ścieżki miłości. Nie tylko kobiety muszą stawiać czoło ułożonym małżeństwom. Mój ojciec planował dla mnie różne koligacje od dnia, w którym się urodziłem. Wczesne zaręczyny z córką jednego z jego znajomych potentatów już się nie udały z powodu mojej choroby. Jednak nie porzucił marzenia, by poprzez małżeństwo związać naszą rodzinę z jakimś innym potężnym rodem.

Przy całym jej bogactwie, Mara była cudzoziemką, kobietą z podbitego narodu. Ja – rzymskim oficerem i członkiem warstwy ekwitów. Mój ojciec nigdy nie dałby mi swojej zgody na jej poślubienie. Nawet gdybym przewyciężył jego zastrzeżenia, surowe prawa zakazywały oficerom małżeństw z kobietami z prowincji, w których służyli.

Czy pomimo to mogę ją zabrać ze sobą do Rzymu? Czy mogę prosić, by żyła tam w tajemnicy jako moja kochanka? To również było nie do wyobrażenia. Oznaczałoby to dla niej upokorzenie, sekretne spotkania, życie w ukrytej hańbie.

Takie związki były dość częste podczas służby na prowincji, ale nie do pomyślenia w samej stolicy.

Słodycz, którą się dopiero co delektowałem, teraz zamieniła się w popiół.

Mara spojrzała na mnie, wyraźnie zaskoczona moim dystansem i milczeniem.

– Lucjuszu? O co chodzi? Czy coś jest nie tak?

Co mogłem jej powiedzieć? Jak mogłem wyjaśnić jej te okropne myśli szalejące w moje głowie?

– Maro, moja pani – powiedziałem ochryple.

Uśmiech znikł najpierw z jej oczu, a potem z ust. Twarz Mary, niedawno zarumieniona z radości i zaspokojenia, teraz wydawała się wyrzeźbiona z kamienia. Wysunęła się z moich ramion i usiadła prosto.

– Maro – nadal nie byłem pewien, jakich mógłbym użyć słów. Wyciągnąłem do niej rękę, ale mnie odepchnęła.

– Nic nie mów – burknęła. Znowu miała ożywione spojrzenie, ale teraz jej oczy pełne były gniewu i wzgardy. – Nie ma o czym mówić. Wiem teraz, jak musisz mnie widzieć. I co musisz o mnie myśleć. – Usta wygięły jej się w podkówkę. – Pozbawiona miłości wdowa, tak zdesperowana, że odda się każdemu – powiedziała gorzko, parodiując rzymski akcent. – Zagraniczna dziwka. Dość ładna, by się z nią zabawić, lecz niewystarczająco, by dać jej więcej.

Byłem przerażony zarówno jej słowami, jak i nienawiścią do samej siebie, jaką ujawniła.

– Nie, Maro – jękałem – to nieprawda. Z bólem zamknęła oczy.

– Zostaw mnie, prefekcie. Teraz. – Jedna łza spłynęła wolno po jej udręczonej twarzy. – Nie martw się. Wiem, że to moja wina. To mój grzech. Wziąłeś tylko to, co sama ci dałam. Nic nie jesteś mi winien. Niczego mi nie obiecywałeś.

Kolejna łza dołączyła do pierwszej, tocząc się po policzku, który dopiero co z taką radością pieściłem.

– Idź! – powiedziała z wściekłością. – O nic więcej nie proszę. Błagam tylko, żebyś oszczędził mi dalszego upokorzenia.

Przerażony zarówno moją własną, samolubną głupotą, jak i wściekłością oraz smutkiem Mary, wyszedłem z jej łóżka. Ona przykrywszy się, odsunęła ode mnie, chowając przede mną twarz. Trzymała się sztywno, zimna i nieruchoma, jakby była z marmuru.

Wpatrywałem się w nią przez długą, bolesną chwilę, rozpaczliwie szukając czegoś, co mógłbym powiedzieć, czegoś, co mógłbym zrobić. Czy mogłem znaleźć w sobie jakieś słowa lub gesty, które naprawiłyby wyrządzone krzywdy?

Lecz zarówno mój umysł, jak i serce mnie zawiodły, tak samo jak już zawiodły Marę.

Pełen wstydu, ubrałem się szybko w milczeniu. Z ponurą miną wysliznąłem się z jej sypialni i wolno szedłem smutny przez ciemną willę do swojego pokoju.

Przez jakąś godzinę lub dłużej przewracałem się na sienniku z boku na bok, rozpaczliwie starając się na tyle uspokoić, by trochę odpocząć. W końcu zdałem sobie sprawę, że to niemożliwe. W którą stronę się obróciłem, widziałem udręczoną twarz Mary. Myśl, że zadałem jej tyle bólu, rozdzierała mnie jak wbity w brzuch sztylet.

Wstałem, włożyłem tunikę oraz płaszcz i wysliznąłem się cicho z domu. Uznałem, że skoro nie mogę spać, to przynajmniej spróbuję odzyskać trochę spokoju w czystym nocnym powietrzu. Wkrótce mam poprowadzić swój oddział do desperackiego ataku na Gideona i jego bandytów. Przynajmniej jestem winien Aedanowi i pozostałym jasny umysł.

Spacerowałem w tę i z powrotem po ogrodzie. Wschodził księżyc, rzucając cienie na kwietniki, małe kępy drzew i wysypane żwirem ścieżki, wijące się pomiędzy ozdobnymi krzewami. Dochodziłem do sięgającego piersi muru i odwracałem się w stronę willi.

Nagle drzwi domu otworzyły się i zamknęły. Ktoś nachodził, szybkim krokiem oddalając się od domu i kierując się do muru. Zastygłem. Szpieg? Czyżby jeden ze służących Mary był na usługach bandytów i śpieszył poinformować Gideona o naszym ataku?

Nachmurzyłem się. To było możliwe. Nie zdradzałem nikomu dokładnych planów, lecz któremuś z żołnierzy coś mogło się wymknąć. Ręka opadła mi do boku. Pusto. Przez zamęt w głowie, poczucie winy i zmęczenie zostawiłem swój miecz i sztylet.

Spocony mimo zimna, cofnąłem się do cienia rzucanego przez pobliskie drzewo i czekałem. Kiedy postać znalazła się na wyciągnięcie ręki, wyszedłem na ścieżkę i zagroziłem przejście.

– Stać! – krzyknąłem. – Kim jesteś?

Blade światło księżyca świeciło na niepowstrzymywane łyzy płynące po kobiecej twarzy. To Mara, zawinięta w płaszcz.

Podszedłem bliżej.

– Moja pani – powiedziałem delikatnie. – Po co tu jesteś? Dokąd idziesz tak późno w nocy?

Milczała. W końcu odpowiedziała gorzko:

– Odmówisz mi nawet tego? – Gniew i smutek w jej głosie ukłuły mnie w serce. Kolejna łza zostawiła srebrny, oświetlony księżycem ślad na jej policzku. – Odmówisz mi nawet prawa do chodzenia po mojej ziemi?

Zawahałem się na moment. Jakie mam prawo teraz się do niej wtrącać, zadreć ją? Ale mam obowiązki wobec swoich ludzi. Nie mogę podjąć ryzyka, jakkolwiek nieznacznego, że bandyci mogliby się dowiedzieć, że zamierzamy ich zaatakować. Ruchem głowy wskazałem mur. – Twoja ziemia nie sięga poza tę granicę. Zatem pytam cię ponownie, tylko dlatego, że muszę: Dokąd idziesz?

Mara, wściekła, uderzyła mnie w twarz – silne uderzenie, od którego w uszach

mi zadzwoniło.

Stałem bez ruchu.

Patrzyła na mnie oczyma pełnymi łez.

– Oskarżasz mnie teraz o zdradę, Rzymianinie? Tak źle o mnie myślisz, że uważasz, iż sprzedałabym cię bandycie, ponieważ mnie odtrąciłeś?

Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, spoliczkowała mnie jeszcze mocniej. Głowa mi odskoczyła.

– Maro – powiedziałem cicho – proszę!

Dźwięk jej imienia na moich ustach wywołał wybuch tłumionej wściekłości. Twarz Mary wykrzywiła się niemal w nieludzkiej furii. Mimo to nadal była piękna, lecz było to piękno gniewnej bogini, zdecydowanej na straszliwą zemstę. Dreszcz przesądu przebiegł mi po kręgosłupie.

Rzuciła się z paznokciami do moich oczu.

Przeżony złapałem ją za szczupłe nadgarstki i rozpaczliwie trzymałem. Musiałem użyć całej swojej siły, by nie pozwolić jej zranić mnie lub siebie. Mara zwijała się dziko w moim uścisku, walcząc, jak złapane w potrzask zwierzę. Przez długi moment walczyła w moich ramionach.

Jednak potem, tak szybko, jak przyszła, jej furia znikła. Mara opadła na mnie z głośnym szlochem. Trzymałem ją mocno i nic nie mówiłem, czując, jak jej gorące łzy spadają na moją pierś. Z wolna jej płacz cichł, aż w końcu zapadła straszna cisza.

Łagodnie, bardzo łagodnie wziąłem ją za rękę. Zesztywniała, lecz się nie wyrwała. Jej dłoń była lodowata.

– Chodź ze mną, błagam cię. Chodź do środka – powiedziałem cicho.

Otępiała, pozwoliła mi się zaprowadzić do willi, a potem korytarzem do pokoi dzielonych przez Arystydesa i Pawła. Łzy przestały jej płynąć, lecz poruszała się wolno, powłócząc nogami, jakby była w transie.

– Arystydesie – wyszeptałem ochryple przez zamknięte drzwi. – To ja, Lucjusz.

Potrzebuję twojej pomocy!

Po chwili usłyszałem kroki. Drzwi się otwarły. Medyk stał w luźnej tunice bez paska, pocierając mocno zaspane oczy. Choć był wyraźnie zdziwiony naszym widokiem, nie zadawał żadnych pytań.

Odsunął się i pozwolił mi wprowadzić Marę do środka. Doprowadziłem ją do krzesła. Usiadła, nic nie mówiąc, i wpatrywała się tępo w ścianę. Jeżeli słyszała, co mówimy, nie okazywała tego.

Arystydes przyjrzał się jej uważnie i odwrócił do mnie.

– Jak mogę ci pomóc, Lucjuszu? – zapytał cicho.

Zawahałem się, z wielką starannością dobierając słowa.

– Pani jest... wzburzona. Potrzebuje snu, spokojnego snu. Czy któraś z twoich ohydnych mikstur przyniesie jej trochę ulgi?

Medyk pokiwał wolno głową.

– Na jakiś czas, tak. – Ponownie przyjrzał się Marze, wyraźnie zmartwiony. – Lecz zważ na to, że moje medykamenty nic nie mogą zrobić, by pomóc tej miłej pani pozbyć się zmartwień, które nie dają jej spokoju za dnia. To ponad moje siły. Kiedy się obudzi, kiedy lek przestanie działać, nadal będzie musiała stawić czoło swojemu życiu, takiemu jakie jest.

Przytaknąłem ponuro, ogromnie zły na siebie i na wszystkich innych mężczyzn, którzy odebrali jej prawdziwą miłość, prawo, które powinna mieć od urodzenia. Najpierw wiek jej męża, a potem jego śmierć spowodowały, że nie zaznała pociechy z dzieci. Potem otwarta chciwość sługusów Heroda zmusiła ją do tego samotnego wygnania nad Morzem Galilejskim.

Wtedy, kiedy zwróciła się ku mnie, szukając ukojenia, pocieszenia i ratunku w moich ramionach, zawiodłem ją. Okazałem się tchórzem, zarówno w jej oczach, jak i w swoich. Było mi niedobrze, czułem wstyd i ledwie skrywany gniew.

– Zrób, co możesz, Arystydesie – poleciłem szorstko lekarzowi. – Bogowie jedni

wiedzą, że możesz dać jej więcej niż ja teraz.

Lekarz pokiwał posępnie głową.

Odwrociłem się i mój wzrok padł na opatulonego Pawła, chrapiącego cicho na sienniku w przyległym pokoju.

– Niech chłopiec ma nią oko, kiedy wyjedziemy. Powiedz mu, że jest chora. Że nie wolno jej zostawiać bez opieki.

– Zostawiasz Pawła? – Grek potrząsnął głową. – Nie będzie z tego powodu szczęśliwy.

– Wiesz, czym się zajmuję – rzuciłem oschle. – To krew, cierpienie, przerażenie i śmierć. Paweł to młokos. Już widział rezultaty jednej rzezi. Chcesz, by zobaczył kolejną?

Arystydes mądrze nic nie odpowiedział. Pokręcił tylko głową.

– Zatem zostaje tutaj – rozkazałem.

Podszedłem do najbliższego okna i wyjrzałem przez nie. Niebo na wschodzie było jaśniejsze. Gwiazdy bladły.

Odwrociłem się, nagle nie mogąc się doczekać, aż opuścę miejsce, do którego wniosłem tyle smutku.

– Zajmij się panią, Arystydesie. Postępuj z nią łagodnie. A kiedy położysz ją spać, znajdź mnie. Idę obudzić Aedana i resztę ludzi.

Lekarz popatrzył na mnie.

– Już czas?

– Już czas – powiedziałem przez ramię, idąc do drzwi. – Noc blednie. Zbliża się dzień. Czas przeznaczony nam przez Heroda mija szybko, a nasz pobyt w Magdali się kończy.

Rozdział XIX

Wyruszyliśmy wkrótce po tym, jak zostawiłem Marę w profesjonalnych rękach Arystydesa. Aedan i pozostali żołnierze już nie spali i szykowali swoje rzeczy, gdy przyszedłem ich obudzić. Wątpię, czy dekurion w ogóle kładł się tej nocy. Podobnie jak ja, wiedział, jak niewielka jest nasza przewaga w tej akcji. Różnicę pomiędzy zwycięstwem a sromotną porażką można łatwo zmierzyć kilkoma szczegółami.

Niebo na wschodzie było lekko szare, ale nadal panowały ciemności, kiedy wyjechaliśmy przez bramę posiadłości Mary i skręciliśmy w stronę Doliny Gołębic. Księżyc wysoko nad naszymi głowami oświetlał drogę, rzucając niesamowitą, srebrną poświatę na krajobraz.

Tylko to światło umożliwiło ten manewr.

Nocne wyprawy to rzadkość w legionach czy oddziałach pomocniczych – i nie bez powodu. Legioniści mają takie powiedzenie: Do zwycięstwa na wojnie przyczyniają się proste rzeczy. Lecz na wojnie nawet te najprostsze są najtrudniejsze. To prawda.

W hałasie i zamieszaniu bitwy skomplikowane plany i manewry często zawodzą. Rozkazów można nie dosłyszeć i źle zrozumieć; mogą być też niemożliwe do wykonania w wyznaczonym czasie. To, co wydaje się proste dla dowódcy, okazuje się niemożliwe w obliczu wroga. Poruszanie się nocą zwiększa każdą trudność setki razy.

Arystydes dołączył do kolumny, zanim ujechaliśmy daleko, truchtając na swoim cierpliwym mule. Znalazł mnie na czele wojsk i podjechał bliżej.

– Pani śpi – powiedział cicho. – Zostawiłem kolejną dawkę Pawłowi, gdyby się szybko obudziła. Chłopak wie, co należy zrobić.

Kiwnąłem sztywno głową.

– Dziękuję ci.

– Lucjuszu, nie wiem, co się wydarzyło między wami, ale... – zaczął medyk.

– Nie teraz, Arystydesie – rzuciłem, zwalczając chęć puszczenia Tancerki galopem, by zwiększyć odległość pomiędzy mną a miejscem porażki.-Później.

Jeżeli przeżyję nadchodzącą bitwę, będę musiał stawić czoło ocenie cierpienia, smutku i bólu, które „podarowałem” Marze. Tego nie uniknę. Lecz nie pora to i nie czas. Nie wtedy, kiedy życie tylu innych ludzi zależy od mojego jasnego osądu.

Lekarz popatrzył na mnie i zobaczył moją ponurą minę. Potem skinął głową.

– Bardzo dobrze, Lucjuszu. Później. – I zwolnił, przesuwając się na tył kolumny.

Zdążaliśmy naprzód, jadąc tak szybko, jak się dało, przez wąską przełęcz, a następnie po pogórzcu. Księżyc zniżał się ku horyzontowi.

Wkrótce dotarliśmy do punktów orientacyjnych, które wybrałem poprzedniego ranka – do samotnej pary dębów. Stamtąd odchodziła ścieżka wijąca się po stokach do miejsca tuż nad obozem Gideona i jego bandy. Kolumna skręciła na nią.

Poleciałem czterem zwiadowcom, by zrobili rozpoznanie. Dojechałem tak daleko, by zaskoczyć przywódcę bandytów, a nie zostać zaskoczonym przez niego. Nie licząc Aedana i Arystydesa, zostało mi dwudziestu sześciu ciężkozbrojonych jeźdźców. Dwu galilejskich rybaków jechało z nami na ciągniętym przez muły wózku, wysoko załadowanym specjalnie splecionymi sieciami.

Ścieżka była miejscami nierówna i opadała stromo. Od czasu do czasu wózek utykał na stoku. Wtedy zsiadaliśmy z koni i podnosiliśmy go w górę. Była to ciężka, wyczerpująca praca, ale zawsze byłem jednym z pierwszych, którzy zeskakiwali do pomocy. Dobry oficer jest zawsze gotów świecić przykładem. Mój dziadek zwykł mawiać, że każdy dowódca z prawdziwego zdarzenia nie cofnie się przed ciągnięciem liny, jeżeli zajdzie taka potrzeba, bez względu na to, jak elegancki jest jego strój.

Wszyscy byliśmy spoceni, zakurzeni i posiniaczeni, kiedy dotarliśmy do urwiska

nad pieczarą bandytów. Dotarliśmy tam przed brzaskiem.

Podpełzłem do krawędzi i spojrzałem uważnie w ciemność wąwozu. Dostrzegłem cztery czujki, które zauważyłem poprzedniego dnia. Strażnicy obserwowali dojścia południowe i północne.

Zmrużyłem oczy. Gideon trzymał swoją bandę grabieżców pod większą kontrolą, niż mogłem się tego spodziewać. Stanie na straży nocą nie było zajęciem, z którego większość bandytów byłaby zadowolona. Cóż, przy odrobinie szczęścia ci wartownicy na dole będą ospali, a ich czujność usypiona długimi, cichymi godzinami nudy i beczynności. Co ważniejsze, nie powinni patrzeć w naszą stronę.

Wycofałem się znad krawędzi i dołączyłem do moich żołnierzy. Przycupnęli jakieś sto kroków od ściany urwiska w niewielkim zagłębieniu, które miało stłumić odgłosy naszych przygotowań. Konie i muły zostawiliśmy uwiązane dużo niżej, dobrze poza zasięgiem słuchu.

Wszedłem do kotlinki i stanąłem z rękami na biodrach.

– No to jesteście, chłopaki – powiedziałem spokojnie. – Mamy jedną szansę zrobić to jak należy. Tylko jedną szansę. Więc słuchajcie uważnie.

Galijscy kawalerzyści wstali i stoczyli się wokół mnie. Dwóch galilejskich rybaków, Szymon i jego młodszy brat, stało pomiędzy nimi, a ich brodate twarze były w mroku blade i nieruchome.

– Pierwsza zasada. Bez zbroi. Tylko miecze i tarcze. – Wprowadzając słowa w czyn, zdjąłem hełm i kolczugę. Potem przełożyłem pas miecza przez uchwyty w tarczy i przewiesiłem go przez plecy – w ten sposób miałem wolne ręce.

Nie czekając na dalsze rozkazy, Aedan i pozostali podążyli za moim przykładem.

– Druga zasada: Tylko dwóch ludzi na sieciach jednocześnie. Czekacie, dopóki ci przed wami nie zejną, zanim wy zaczniecie. Zrozumiano?

Kiwnęli głowami.

– Trzecia zasada: Nie patrzeć w dół. Dopóki wasze stopy nie dotkną ziemi.

Zawierzcie swojemu chwytowi. Nie martwcie się, że spadniecie. Tak się nie stanie. I nie przejmujcie się swoją wagą. Sieć wytrzyma. – Zerknąłem na rybaków. – Prawda?

Przytaknęli gorliwie, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

Większość kawalerzystów uśmiechnęła się w odpowiedzi. Czuję ich rosnącą chęć działania. Wiedzieli, że to niebezpieczne, ale żaden człowiek nie zostaje żołnierzem, nie będąc skłonny trochę zaryzykować.

– Czwarta zasada: Kiedy będziecie już na dole, szybko się schowajcie...

Krok za krokiem, wyłuszczyłem swój plan ataku. Kiedy upewniłem się, że każdy zrozumiał dokładnie to, co chciałem, oraz jaka jest jego rola w napaści, podprowadziłem ich cicho do krawędzi wąwozu.

Na mój sygnał wystąpiła grupa robocza, zataczając się pod ciężarem ciężkich, połączonych sieci rybackich. Szymon i jego brat szybko przywiązali jeden koniec każdej sieci do pobliskich głazów. Potem, kierowani przez Galilejczyków, moi żołnierze ostrożnie opuścili je za brzegiem urwiska, delikatnie kołysząc końcami, by ominąć wszystkie przeszkody.

Sieci dotknęły ziemi.

Byliśmy gotowi.

Podszedłem do krawędzi i wyjrzałem. Nadal panowała tam cisza i spokój.

Aedan położył rękę na moim ramieniu.

– Pani o ciebie zadba, Walensie – powiedział wysoki, jasnowłosy Celt. – Ona szanuje odważnych.

Skinąłem głową w podziękowaniu, wziąłem głęboki oddech i przewiesiłem się przez krawędź urwiska. Zwalczając falę mdłości, schodziłem powoli, ale pewnie. Skóra na karku mi ścierpła w oczekiwaniu nagłego okrzyku jednego z wartowników, co oznaczałoby katastrofę. Jednak niczego nie usłyszałem. Niczego oprócz skrzypienia sieci i mego ciężkiego oddechu.

Kiedy stopami dotknąłem ziemi, odwróciłem się, już zdejmując tarczę z pleców i

zakładając ją na lewe ramię. Schylając się nisko, rzuciłem się do głazów jakieś trzydzieści kroków od wejścia do jaskini bandytów. Widziałem małe migoczące światełko wewnątrz smoliście czarnej głębi. Zaszło mi w ustach. Wyciągnąłem miecz i odłożyłem pochwę oraz pas na jeden z kamieni.

Jeden za drugim, moi żołnierze schodzili tak samo bezpiecznie i dołączali do mnie za osłonę z głazów. Policzyłem ich bezgłośnie. Trzynaście... czternaście... piętnaście.

I wtedy pierwsze promienie wschodzącego słońca przedarły się przez horyzont nad nami, rzucając długie i szerokie cienie.

Jeden z wartowników przy południowym wyjściu wstał i przeciągnął się. Odwrócił się w naszą stronę. Nawet z tej odległości widziałem zdziwienie i przerażenie na jego twarzy, kiedy zobaczył długą kolejkę żołnierzy schodzących po kamiennej ścianie, którą wcześniej miał za plecami.

Otworzył usta, ale chyba był zbyt zszokowany, by zawołać.

Z mieczem i tarczą wspiałem się na jeden z głazów i zeskoczyłem na pokrytą żwirem ziemię.

– Na nich! – krzyknąłem. – Dorwać drani!

Czterech moich żołnierzy pobiegło w kierunku zaskoczonych wartowników, dwóch na północ i dwóch na południe.

Pozostali podążyli za mną wzdłuż wąwozu, ku jaskini, wywrzaskując wojenne okrzyki. Wrzeszcząc razem z nimi, pędziłem w górę niskiego zbocza ku wejściu do pieczary.

Jeden z bandytów wyszedł z niej w momencie, kiedy tam dobiegałem. Gapił się na mnie głupio, mrugając w świetle poranka. Nie był uzbrojony.

Uderzyłem go w twarz metalowym guzem tarczy. Krew rozprysła się dookoła. Uderzenie posłało go na ziemię, a ja wpadłem do środka. Kolejny bandyta rzucił się na mnie ze sztyletem w rękę, wykrzykując gniewnie w ciemności. Dźgnąłem go w

brzuch i odepchnąłem na bok tarczą. Wrzasnął, skulił się i upadł.

Pieczara nie była duża – nie więcej niż sześć metrów szeroka i jakieś trzydzieści głęboka. Jej dno stanowiła głównie czarna skała, tu i ówdzie pokryta piaskiem. Niewielki ogień palący się u wejścia rzucał olbrzymie cienie, tańczące na ścianie. Kiedy wpadłem do środka, światła było na tyle dużo, bym dostrzegł, że większość bandytów gramoli się z posłań. Niektórzy rozpaczliwie macali obok siebie, szukając broni. Inni po prostu gapili się z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma.

Wyszczерzyłem dziko zęby. Całkowicie zaskoczyliśmy Gideona i jego rabusiów.

Właśnie wtedy okrutnie ostry grot włóczni dźgnął powietrze koło mojej głowy, nieomal trafiwszy mnie w prawe oko. Zakląłem i podniosłem tarczę akurat, by zablokować następne pchnięcie. Ostrze uderzyło w drewno i utknęło na chwilę. Straciwszy równowagę, bandyta zachwiał się, starając się uwolnić włócznię. Jeden z żołnierzy idących za mną powalił go ciosem miecza.

Z ciemności wypadła strzała i zafurkotała obok. Za nią poleciał kamień. Gdzieś za sobą usłyszałem przekleństwo.

Następny bandyta zerwał się na nogi i rzucił się naprzód, krzycząc plugawe wyzwiska. Uchyliłem się przed gwałtownym uderzeniem mieczem i zatopiłem własne ostrze w jego klatce piersiowej. Drugie szybkie pchnięcie go dobiło.

Coraz więcej moich żołnierzy wpadało do jaskini. Każdy, kto się opierał, każdy, kto stawał im na drodze, szybko umierał – kładziony przez dzikich, wrzeszczących, śmiejących się Celtów. Kilku bandytów stanęło do walki. Inni pozostali przy życiu rzucili broń i kulili się ze strachu.

Garstka zdołała ustawić się pod ścianą naprzeciwko nas. Jeden z ogarniętych szalem bitewnym kawalerzystów zaatakował ich, wydając okrzyk wojenny. Zabił dwu, zanim sam padł pod ich mieczami i włóczniami, którymi walczyli, zadając ciosy na oślep.

Skrzywiłem się. Pora wziąć tę akcję pod kontrolę.

– Oddział Siódmy! Uformować linię! – rzuciłem. Mój głos odbił się dziwnym echem w zamkniętej przestrzeni. – Tarcze razem!

Przez mgnienie oka nie byłem pewien, czy Celtowie walczący z obłędem w oczach posłuchają moich rozkazów. Jednak przeważała wbijana im przez lata treningu dyscyplina. Otrząsnęli się z żądzы krwi i posłusznie zajęli pozycje po obu stronach. Zaryzykowałem szybkie spojrzenie za siebie i zobaczyłem Aedana prowadzącego kolejną grupę żołnierzy do pieczary. Uspokojony odwróciłem się.

Niewielka gromadka bandytów pod ścianą zbiła się ciałniej. Żaden nie wyglądał na gotowego się poddać. Odgłosy walki w pozostałej części jaskini zamarły, pozostały tylko po niej ciche jęki i dyszenie zranionych.

– Żołnierze Trzeciej Kawalerii – powiedziałem cicho. – Naprzód!

Wolno i miarowo szliśmy po ciałach tych, którzy już padli, coraz bliżej schwytyanych w pułapkę bandytów. Tym razem żołnierze trzymali się tuż koło siebie. Od przodu nasz szyk musiał wyglądać jak ruchoma ściana zachodzących na siebie tarcz.

Nawet w tych ciemnościach widziałem na twarzach naszych wrogów rozpacz i strach. Nie byli tchórzliwi. Gdyby tak było, już by się poddali. Jednak nawet odważnemu człowiekowi kolana zamieniają się w galaretę, kiedy patrzy na nieustępliwe natarcie dobrze wyćwiczonych oddziałów.

Znajdowaliśmy się jakieś półtora metra od nich, kiedy nerwy im puściły. Natarli na nas, dziko krzycząc. Groty włóczni i ostrza mieczy połyskiwały w migającym świetle.

Wymordowaliśmy ich.

Brodaty rabuś rzucił się z włócznią. Duriks, jeden z młodych rekrutów, odparł atak tarczą. W tej samej chwili żołnierz koło niego nachylił się i pchnął Galilejczyka w gardło. Rzucił się kolejny bandyta, machając nad głową mieczem. Zanim zadał cios, wykończyło go dwóch moich Celtów. Jeden odrąbał mu rękę przy samym

ramieniu, drugi przebił brzuch.

Nie miałem czasu więcej patrzeć na walkę. Starłem się ze starszym człowiekiem, tym z gęstą brodą i długimi, siwiejącymi włosami. Byłem pewien, że to sam Gideon. Widziałem go poprzedniego dnia, jak sprawdzał wartowników.

Przywódca bandytów nie należał do tchórzy. Z zębami wyszczerzonymi z wściekłości natarł na mnie, tnąc dziko mieczem o krótkim ostrzu. Miał siłę, ale żadnych umiejętności.

Odparłem uderzenie tarczą, a potem się cofnąłem, odciągając go od ściany. Zaatakował ponownie. Znowu przyjąłem cios na tarczę i go odbiłem.

Gideon potknął się. Nachyliłem się i uderzyłem go mocno w nadgarstek płazem miecza. Jęknął głośno. Broń wypadła mu ze zdrętwiałych palców. Zanim zdążył dojść do siebie, gwałtownie obróciłem tarczę i uderzyłem nią prosto w jego pierś.

Na wpół ogłuszony przywódca bandytów zachwiał się i przewrócił do tyłu. Przybliżyłem się i podsunąłem miecz pod jego gardło. Z trudem łapiąc powietrze, lewą ręką macał w poszukiwaniu sztyletu zawieszzonego u boku.

Kopnąłem go w rękę i nadepnąłem ciężko na nadgarstek. Poczułem pękające pod piętą kości. Twarz mu zbladła, stała się niemal bezkrwista. Oczy stanęły mu w ślup, bezwładnie oparł się o ścianę pieczary. Patrzyłem na niego nieufnie, jak się okazało – słusznie.

Gideon podjął ostatnią próbę walki, chcąc uniknąć niewoli. Z zaskakującą szybkością rzucił się naprzód, starając się nadziać na miecz, który trzymałem przy jego gardle.

Zrobiłem krok wstecz i ostrze go nawet nie drasnęło.

– O nie! – powiedziałem zimno.

Chciałem go żywcem. Coś tu było bardzo nie w porządku i chciałem się dowiedzieć, co dokładnie.

Podniosłem wzrok.

Bitwa była skończona. Większość bandytów umarła już lub właśnie konała, ale mieliśmy kilku więźniów, w sumie pięciu. Żołnierze otoczyli ich z wyciągniętymi mieczami.

Nasze straty były niewielkie. Jeden zabity. Trzech rannych, choć nikt poważnie.

– Związać tego łajdaka! – nakazałem dwóm stojącym najbliżej żołnierzom. – I trzymać z dala od reszty!

Zasalutowali szeroko uśmiechnięci.

– Tak jest, prefekcie!

Zostawiłem im Gideona i dołączyłem do Aedana, by razem przejrzeć broń i łupy zaścielające pieczarę. Miałem ponurą minę, kiedy zaczynaliśmy, i jestem pewien, że była jeszcze bardziej ponura, kiedy kończyliśmy.

Kilku bandytów miało łuki. Jednak żadna ze strzał w ich kołczanach nie pasowała do wyciągniętej z ciała pretoriańskiego gwardzisty znalezionej nieopodal Nazaretu. Nie było też znaku broni, zbroi czy ubrań mogących niegdyś należeć do Decymusza Juniusza Silanusa, jego strażników, niewolników lub służących. Nie widać też było śladu tysięcy złotych monet, które miały dźwigać juczne muły. Znaleźliśmy skórzaną torbę pełną monet srebrnych i brązowych – co najmniej kilka setek – ale chyba wszystkie miały inskrypcje wskazujące na to, że wybito je dla Heroda Antypasa.

Podniosłem wzrok znad dzbanów na wino, które Gideon i jego ludzie musieli zrabować jakiemuś przejeżdżającemu kupcowi. Większość była pusta.

Aedan rzucił naręcze mieczów i sztyletów na ziemię. Upadło z głośnym brzękiem. Popatrzył na mnie ze zmarszczonym czołem.

– Ten partyjski wąż, Wardanes, nas oszukał.

– Na to wygląda – zgodziłem się. – Ale po co?

By się tego dowiedzieć, kazałem wyprowadzić pojmanego na zewnątrz. Pozostali więźniowie już potwierdzili, że to, tak jak podejrzewałem, ich dowódca.

Dwu żołnierzy posadziło go przy głazie i tam zostawiło. Krzepkie ręce związali mu za plecami. Nie zamierzałem ryzykować z tym typem. Pod potem, brudem i bólem widziałem twarz dumnego i aroganckiego człowieka, który prędzej umrze, niż pogodzi się z porażką.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu przez jakiś czas.

Gideon miał wściekle spojrzenie.

– No, Rzymianinie – warknął w końcu. – Pobiliś mnie, ale tylko przez jakiś nikczemny podstęp. Gdybyś zaatakował ten wąwóz jak uczciwy człowiek, wykończylibyśmy was.

– Całkiem prawdopodobne – zgodziłem się z lekkim rozbawieniem.

– Więc co teraz zrobicie moim ludziom i mnie? – szydził przywódca bandytów. – Zarzniecicie nas jak owce, związanych i bezbronnych?

– Nie. Zabiorę was przed Heroda Antypasa. Zostaniecie osądzeni. Będę zeznawać przeciwko wam. Sądzę, że zostaniecie uznani za winnych i skazani na śmierć.

– Za jakie przestępstwo? – zapytał odważnie.

Wzruszyłem ramionami.

– Choćby za zamordowanie senatora Decymusza Juniusza Silanusa i jego świty.

– Silanus? – twarz mu wykrzywiło bezgraniczne zdumienie. – Kto to taki?

Zapanowałem nad sobą, bo dezorientacja w jego głosie była prawdziwa. Ktokolwiek zabił Silanusa, nie był to ten człowiek ani żaden z jego złodziei. Nikt nie mógł zamordować rzymskiego arystokraty strzeżonego przez pretorian, by tego nie wiedzieć.

Zatem, dlaczego Wardanes mnie tu skierował? Czy zmęczony daremnym ściganiem Gideona przez tyle czasu partyjski najemnik po prostu wykorzystał okazję, bym wykonał za niego tę robotę? Czy też krył się za tym jakiś inny motyw? Zgrzytnąłem zębami. Gdziekolwiek mnie to irytujące śledztwo zaprowadziło, tam

pojawiły się tylko kolejne pytania bez odpowiedzi.

Spojrzałem na pojmanego przywódcę bandytów. Czy mogę się w ogóle dowiedzieć od niego czegoś użytecznego?

– Jeżeli nie za śmierć senatora, to każda z innych twoich zbrodni wystarczy, by cię skazać – oznajmiłem chłodno. – Kara będzie ta sama. Ukrzyżowanie.

Na brodatej twarzy Gideona nie widać już było takiej buty. Pomyślałem, że po raz pierwszy widzę w jego oczach strach. Przełknął ślinę. – Ukrzyżowanie...

Przytaknąłem.

– To zwyczajowa kara za morderstwo, kradzież i bandytyzm.

Spuścił wzrok.

– Krzyż to brzydki sposób umierania.

– Tak – zgodziłem się. – I powolny.

Śmierć na krzyżu to przerażające i przejmujące widowisko. Skazańca przybija się gwoździami lub przywiązuje i tak zostawia, by powoli udusił się pod własnym ciężarem. Wyjątkowo okrutni oprawcy dają umierającemu niewielkie podparcie pod stopy, co potrafi przedłużyć proces o kilka dni. My, Rzymianie, uważamy to za najwyższą karę, najpaskudniejszą i najhaniebniejszą śmierć.

Gideon patrzył w milczeniu na ziemię przez jakiś czas. Nic nie mówiłem.

Kiedy podniósł wzrok, zuchwałość go opuściła. Strużki potu spływały mu po brudnym czole.

– Są rzeczy, o których wiem... i mógłbym ci opowiedzieć...

Nachyliłem się.

– Słucham.

Bandyta przełknął ślinę.

– Jeżeli to zrobię, czy puścisz nas wolno, mnie i moich ludzi?

– Nie – odpowiedziałem natychmiast. – Nie będę cię okłamywać.

Nie puszczę was wolno, byście znowu napadali na podróżnych. Zbrodnie, które

już popełniliście, ponad tuzin razy zagwarantowały wam stracenie.

Gideon westchnął. Znowu umilkł, patrząc w dół. W końcu zapytał:

– Zatem, czy przynajmniej zapewnisz nam lżejszą śmierć?

– Daj mi powód – powiedziałem cicho.

Prawdę mówiąc, nie miałem najmniejszej ochoty skazywać na ukrzyżowanie tych ludzi. Nawet jako chłopiec uważałem widok krzyża za groteskowy i zły. I nie byłem w tych odczuciach odosobniony. Kiedy Juliusz Cezar był młodym mężczyzną, piraci pochwycili go nieopodal wyspy Rodos. Jako więzień przysiągł, że ich wytropi i ukrzyżuje, kiedy tylko okup zostanie wypłacony. Piraci go wyśmiali. Nie powinni byli, bo tak właśnie zrobił. Cezar jednak był litościwym człowiekiem – powiesił ich na krzyżu, najpierw poderznawszy im gardła.

Gideon ponownie podniósł wzrok, uważnie przyglądając się mojej twarzy. To, co zobaczył, musiało go upewnić, że ja umów dotrzymuję, ponieważ zaczął mówić – z początku wolno, a później szybciej, jakby tajemnice, które tak długo zachowywał, wylewały się z niego.

– Ostrzeżono nas, że wy, Rzymianie, nadchodzicie, i zaoferowano nam nagrodę za waszą śmierć – zaczął.

Przez ostatnie lata on i jego banda zasadzali się na samotnych podróżnych i małe karawany wędrujące zarówno wzdłuż Morza Galilejskiego, jak i po górskich drogach. Część ukradzionych towarów sprzedawali przez małą siatkę przyjaciół i zwolenników w Magdali. Jednak najlepsze rzeczy, między innymi wyśmienite wina i materiały oraz najdroższe przyprawy, zachowywali dla swojego patrona, potężnego człowieka na wysokim stanowisku, który ich chronił.

– Jak się nazywa ten człowiek? – zażądałem wyjaśnień.

Gideon potrząsnął głową.

– Tego nie wiem.

Zachnąłem się:

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Ale to prawda. Przysięgam na Najwyższego – obstawał pośpiesznie.

Pot już z niego kapał. Niegdyś był w miarę zamożnym rybakiem, dopóki nie stracił wszystkiego przez rosnące podatki narzucone przez Heroda. Kiedy nie mógł ich spłacić, urzędnicy tetrarchy skonfiskowali mu łódź i dom, zostawiwszy go bez grosza i środków do życia. Przez jakiś czas żył skromnie, napadając na przechodniów. Prędko jednak został złapany, skazany i wrzucony do jednego z lochów Heroda Antypasa w oczekiwaniu na publiczną egzekucję. Była to zwykła, smutna, ohydna kolej rzeczy dla człowieka zmuszonego do przestępstwa. Wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Człowiek ubrany w płaszcz z kapturem przyszedł to jego celi, by zawrzeć z nim pewien układ.

Osobnik ten powiedział, że zorganizuje Gideonowi ucieczkę i dostarczy mu broń oraz chętnych ludzi. Co więcej, zapewni nowo utworzonej bandzie bezpieczną kryjówkę w górach i ochronę przed patrolami Heroda. W zamian za to bandyci dadzą mu połowę swojego łupu i przyjmą każde rozkazy, jakie im wyda.

Nie mając nic do stracenia, Gideon chętnie się na to zgodził.

Zakapturzony człowiek okazał się słowny. Tamtej nocy drzwi celi Gideona zostały otwarte. Gideon zbiegł poza miasto, do tej pieczary, o której mu opowiedziano. Pojedynczo i dwójkami napływali tam kolejni ludzie, powiększając szeregi jego małej bandy.

I tak bandyci miesiącami żyli dostatnio z bogatych kupców. Przyczajali się, gdy tajemniczy patron ostrzegał ich o przeczesywaniu okolicy. Część zrabowanych towarów składali dla tego człowieka w jednej z kilku wyznaczonych przez niego kryjówek.

Potem, tuż przed świtem dwa dni temu, ten zakapturzony osobnik sam tu przyjechał konno, żeby się osobiście spotkać z Gideonem. Ostrzegł go o naszych planach wytropienia go i zaproponował dużą nagrodę za schwytanie nas i zabicie.

– Ta sakwa monet, którą znaleźliście, to zadatek – powiedział przywódca znużonym głosem. – Gdyby nie to, już byśmy stąd zniknęli zaraz po tym, jak ty i twój patrol przyszlście tu węszyć.

Skinąłem z roztargnieniem, myśląc o odciskach końskich kopyt tak niedaleko wejścia do wąwozu. Ten tajemniczy patron poruszał się szybko. Decyzję o tropieniu Gideona i jego bandy podjąłem dopiero wieczorem, po rozmowie z Wardanesem.

Wardanes.

Wspomnienie uśmiešku wyższości na twarzy Parta zamajaczyło mi przed oczyma. Ręce zacisnęły mi się w pięści.

– Mówisz, że nigdy nie widziałeś, jak ten człowiek wygląda. – Zmusiłem się, by mówić spokojnie.

Gideon potaknął.

– Cóż, a czy rozpoznałbyś jego głos?

– Tak – powiedział bandyta z ponurą miną. – Przysięgam.

– Dobrze – obróciłem się i zawołałem Aedana.

Kiedy zjawił się dekurion, kazałem Gideonowi powtórzyć to, co mi opowiedział. Patrzyłem w milczeniu, jak twarz wysokiego Celta posepnieje. Kiedy bandyta skończył, zapytałem Aedana:

– Wierzysz mu?

Oficer kawalerii zastanowił się przez chwilę i zacisnął usta.

– Tak. Ale chciałbym mu nie wierzyć. To przykra i nieszczęsna rzecz słyszeć tak ponure wiadomości o zdradzie.

Zwróciłem się do Gideona:

– W porządku. Zatem słuchaj. Twój ludzie umrą tutaj szybko.

Przywódca skinął głową.

– A co ze mną?

– Pojedziesz z nami na dwór Heroda. Pomożesz mi znaleźć swojego patrona.

Potem obiecuję ci taki sam szybki koniec.

Gideon zamknął oczy. Ramiona mu opadły.

Poszedłem z Aedanem nakazać prędką i litościwą egzekucję pięciu pojmanyh bandytów. Kiedy wszyscy byli już martwi, dekurion odwrócił się do mnie:

– Co teraz zrobimy, prefekcie?

Wpatrzyłem się w wąwóz. Jasne promienie słońca już ześlizgiwały się po jego ścianach, odpędzając cienie; znowu nadawały barwy czarnym i czerwonym skałom oraz złotemu piachowi. Marzyłem o kąpieli, która by zmyła brud z mojej skóry i krew z rąk, o tym, by odpocząć i uspokoić strapiony umysł, lecz nie było na to czasu.

– Słyszałeś, co powiedział Gideon. Skończymy opatrywać rannych i wrócimy do Tyberiady.

– By wytropić tego człowieka, który chciał kupić naszą śmierć?

– Zgadza się.

– A kiedy znajdziemy tego człowieka? – zapytał Celt. – Co wtedy?

Wzruszyłem ramionami.

– Sprowadzę go do Heroda i postawię przed sądem.

– A jeśli tetrarcha się nie zgodzi? – nie ustawał w dociekaniach Aedan. – Słyszałeś tę opowieść. Kimkolwiek jest, ten zakapturzony ma wielką władzę.

Odwróciłem się gwałtownie i popatrzyłem mu prosto w oczy. Moje usta zacisnęły się w wąską, stanowczą linię.

– Jestem rzymskim oficerem, dekurionie. Jestem winien Herodowi szacunek, nie posłuszeństwo. Jeżeli będę musiał, zabiję tego drania w kapturze własnym mieczem.

Rozdział XX

Moja hiszpańska klacz, Tancerka, wolno szła na południe nadbrzeżną drogą z Magdali do Tyberiady. Garbiłem się w siodle, wykończony po dwu dniach bez odpoczynku. Bolała mnie każda część ciała.

Było późne popołudnie. Nadciągały już wieczorne cienie. Czerwonawe światło słońca nadal dotykało szczytów wzgórz daleko po drugiej stronie Morza Galilejskiego, jednak same wody były ciemne, tu i ówdzie udekorowane lekko wzburzonymi, pianistymi falami. Wiatr zmienił kierunek na wschodni, smagając jezioro krótkimi, acz silnymi podmuchami. Pomyślałem, że chyba z dalekich pustyń na wschodzie nadciąga burza.

Sztywno obróciłem głowę, by sprawdzić długą linię ludzi i zwierząt ciągnących za mną. Aedan i Arystydes jechali obok siebie w absolutnej ciszy. Za nimi przywódca bandytów, Gideon, zataczał się ze związanymi z tyłu rękoma. Choć wiedział, że idzie na śmierć, głowę trzymał wysoko i dumnie. Reszta moich wyczerpanych kawalerzystów wlokła się za nim dwójkami.

Gdzieś w tyle pomiędzy żołnierzami był Paweł, wlokący się na mule w upartym, gniewnym milczeniu. Chłopiec dołączył do nas po przekazaniu wskazówek Arystydesa dotyczących opieki nad Marą jej zarządcy. Ale tak jak medyk przewidywał, nadal był na mnie zły, ponieważ wykluczyłem go z ataku na obóz Gideona.

Wzruszyłem ramionami i patrzyłem przed siebie. Może to i dobrze, że Paweł nie chce jechać z nami. Jedno jest pewne: nie mam siły ani cierpliwości zajmować się teraz jego złym humorem.

Droga przed nami wiała się wzdłuż brzegu, po lewej mieliśmy wodę, a po prawej wznosiły się strome, porośnięte drzewami zbocza. Byliśmy niedaleko przedmieść

nowej stolicy Heroda Antypasa – został nam jakiś kilometr.

Wyprostowałem się, chcąc zachować czujność. Było to coraz trudniejsze. Powolny, stały rytm kopyt Tancerki na ubitej drodze usypiał moje poczucie obowiązku i rozpraszał zmęczony umysł.

Myśli powędrowały teraz ku Marze. Czy ją kocham? Wiedziałem, że wszystko w niej mnie zachwyca – jej oczy, głos, miękkość skóry, pewność siebie. Ale czy to naprawdę miłość? Czy tylko pożądanie?

Westchnąłem. A czy to ma jakieś znaczenie? Na dobre czy na złe, surowa prawda jest taka, że Mara i ja jesteśmy rozdzieleni powszechnie panującymi opiniami o urodzeniu, krwi i obowiązku. Nawet teraz. Choć bardzo chciałem do niej pojechać, pocieszyć ją, błagać o wybaczenie, nie mogłem. Dzielili nas kilometry, a ja byłem zmuszony do działania przez obowiązek żołnierski i coraz bliższy konfrontacji na dworze Heroda.

W miarę upływu czasu z pewnością o mnie zapomni – pomyślałem. Kiedyś i ja znajdę sposób, by przestać o niej myśleć. Na razie jednak dręczyło mnie wspomnienie jej mokrej od łez twarzy. Jechałem w milczeniu, pogrążony w smutku. Obojętnie, jak bardzo przekonywałem się, że to głupstwo tracić tyle czasu na rozpamiętywanie zamieszania, którego narobiłem, nie mogłem nic na to poradzić.

Dziesiątki ptaków zerwały się z najbliższej kępy drzew, kracząc i krzycząc, kiedy krążyły coraz wyżej nad naszymi głowami. Zaniepokojony, spojrzałem w tamtym kierunku, wytężając wzrok, by dostrzec coś w zaroślach. Coś przestraszyło ptaki. Ale co?

Usłyszałem ostre przekleństwo Aedana.

Zza drzew po naszej prawej stronie wyłonili się jeźdźcy. Byli to Partowie, ubrani w luźne jasnobrązowe kurty i jasnoniebieskie spodnie. Żaden nie miał zbroi, lecz wszyscy trzymali potężne kompozytowe łuki, z założonymi strzałami i naciągniętymi cięciwami.

Ich dowódca, Wardanes, podjechał do drogi i stanął jakieś pięćdziesiąt kroków przede mną. Podobnie jak jego ludzie, miał łuk. Za nim znajdował się Marek Emiliusz Sewerus, wyglądający olśniewająco w paradnej zbroi i szkarłatnym płaszczu. Zza drzew wyjechało jeszcze więcej łuczników i zajęło pozycje za plecami tych dwóch, całkowicie blokując drogę.

Byliśmy osaczeni z obu stron. Klnąc mocno pod nosem, zatrzymałem gwałtownie konia. Tancerka zarzuciła łbem. Chrapy się jej rozděły i zamrugowała zaniepokojona.

– Stać! – rozkazał Wardanes. Podniósł się wyżej w siodle, przyglądając się badawczo ludziom za mną. Zmrużył oczy.

– Czego chcesz, Parcie? – zapytałem głośno.

– Tylko tego, co moje – odparł Wardanes. Potem jednym płynnym i szybkim ruchem podniósł łuk, naciągnął go i wystrzelił.

Strzała przemknęła tuż koło mojego ucha. Usłyszałem zduszony, zdławiony kaszel i odwróciłem się. Strzała o czarnym pierzu wystawała z gardła Gideona. Przez długą chwilę przywódca bandytów patrzył na mnie z przerażeniem. Potem wyróciwszy oczy, padł, tryskając jasnoczerwoną krwią.

Wściekły obróciłem się do Wardanesa:

– Ten człowiek był moim więźniem!

Partyjski najemnik wzruszył ramionami.

– Był przestępcą, prefekcie. Nikt nie będzie go opłakiwać. Oszczędziłem sędziom tetrarchy czasu i kłopotu, to wszystko. – Zmierzył mnie zimnym spojrzeniem. – Może powinieneś się bardziej martwić o siebie.

W jednej chwili potwierdziły się moje podejrzenia. Wardanes był tym zakapturzonym człowiekiem, tajemniczym patronem Gideona. Ten zadowolony z siebie łajdak zdradzał Heroda i rządu prawa. Próbował też kupić naszą śmierć.

Straciłem panowanie nad sobą. Zareagowałem instynktownie. Coś we mnie

krzyczało, że to głupstwo, ale zignorowałem to, ulegając gwałtownej, dzikiej chęci powalenia Wardanesa. Dźgnąłem piętami boki Tancerki, która opuściwszy łeb, rzuciła się przed siebie, prosto na czarnowłosego Parta o równie czarnym sercu. Zacząłem wyciągać miecz.

Najemnik czekał cierpliwie, patrząc, jak się zbliżam. Dwaj łucznicy pod drzewami wypuścili strzały. Poczulem, jak klacz zadrżała, gdy obie sięgnęły celu i zatopiły się głęboko w jej wnętrznościach. Tancerka zarżała rozpaczliwie, a jej okropny, wysoki krzyk przeszył mi serce. Skręcając się z potwornego bólu, wierzgała i stawała dęba. Kopyta dziko cięły powietrze.

Przerzuciłem nogi na jedną stronę siodła i stoczyłem się na bok.

Tancerka przewróciła się na ziemię i wierzgała gwałtownie nogami. Potem zatrzęsła się jeszcze raz i znieruchomiała. Mój wspaniały wierzchowiec nie żył.

Leżałem na ziemi, wpatrując się, zszokowany, w martwe zwierzę. Kupiłem Tancerkę, kiedy miała zaledwie trzy lata. Sam ją wytrenowałem, wyszkoliłem w sztuce wojny, zanim razem pojechaliliśmy do Germanii. Przez te wszystkie lata była oddaną towarzyszką, zarówno w boju, jak i w drodze. Uwielbiałem ją za prędkość, zwinność, niezmiennie dobrą naturę i odwagę.

Z trudem przełknąłem ślinę, bo ścisnęło mnie w gardle. Podniosłem wzrok. Przez wzbierające łąy zobaczyłem, że partyjscy łucznicy mają podniesione i naciągnięte łuki. Byli gotowi znowu strzelić.

Zerknąłem przez ramię. Aedan i reszta galijskich kawalerzystów stali zbici na drodze. Niektórzy dobyli mieczy, ale atak oznaczałby szaleństwo. Nie było miejsca na rozwinięcie linii ani na manewry. Byliśmy w śmiertelnej pułapce pomiędzy lasem a wodą.

– Dekurionie! – krzyknąłem – Ustąp! Natychmiast!

Aedan patrzył na mnie przez chwilę. Potem jego ramiona opadły i skinął głową. Z ponurą miną wsunął miecz do pochwy. Żołnierze poszli za jego przykładem.

Widząc to, Wardanes rzucił jakiś rozkaz. Jego ludzie niechętnie obniżyli łuki.

– Wstań! – powiedział mi dowódca najemników. – Ale ostrożnie.

Uniosłem się powoli, trzymając ręce z daleka od miecza i sztyletu. Staralem się powstrzymać łyzy. Nie okażę słabości przed tymi oprawcami.

Sewerus podjechał bliżej. Nachylił się.

– To było głupie, Walens. Bardzo głupie. – Potrząsnął głową. – Mogłeś łatwo spowodować niepotrzebną masakrę własnych żołnierzy.

Starając się kontrolować wściekłość, zarówno na niego, jak i na własną głupotę, wydusiłem pytanie.

– Wiem, co tu robi Wardanes. A po co ty tu przyjechałeś?

– Po ciebie – odpowiedział spokojnie pretorianin. – Przyjechałem cię aresztować.

– Z czyjego polecenia? – zażądałem.

– Z mojego własnego.

Pokręciłem głową.

– To niemożliwe. Nie masz nade mną żadnej władzy.

Centurion wzruszył ramionami.

– To trochę nieprzepisowe, przyznaję, ale jestem pewien, że mój dowódca, Eliusz Sejanus, potwierdzi ten rozkaz, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

– A pod jakim zarzutem mam być aresztowany?

– Przeszkadzanie w śledztwie w sprawie zamordowania Decymiusza Juniusza Silanusa.

– Sam Herod Antypas dał mi siedem dni na dokończenie mojego dochodzenia – odparłem hardo. – Nadal zostały mi cztery dni. To dziwne, że chcesz mnie aresztować za przeszkadzanie w moim własnym śledztwie.

– Okoliczności się zmieniły i twój czas się skończył, Walens – powiedział beznamiętnie Sewerus. – Tetrarcha właśnie otrzymał ważne wiadomości z Antiochii.

– Jakie wiadomości? – zapytałem nieufnie.

– Tragiczne. Wkrótce cały Rzym będzie płakać. – Choć przybrał smutny wyraz twarzy, to oczy nie były smutne. – Germanik Juliusz Cezar nie żyje.

Świat wokół mnie momentalnie pociemniał. Germanik nie żyje? Nigdy nie widziałem zdrowszego i silniejszego człowieka. Wiedziałem, że był chory, kiedy opuszczałem Antiochię, ale nikt nie sądził, że to coś poważnego.

– Jak to się stało? – wychrypiałem.

– Podobno zaraził się jakąś wyniszczającą chorobą czy silną gorączką – Sewerus znowu wzruszył ramionami. – Taka jest przynajmniej oficjalna wersja. Oczywiście, krążą plotki o truciznie i czarnej magii. – Oczy mu zaślniły. – Poznawszy tę grubą ropuchę, Gnejusza Pizona i tych najbliższych niego, jestem skłonny wierzyć plotkom.

– Kto teraz rządzi w Antiochii? – zapytałem przez zaciśnięte zęby.

Germanik był zbyt dobry, zbyt ufny. Niezależnie od tego, jaka jest prawda o jego śmierci, nie powinien pozwolić Pizonowi sprawować tego urzędu.

– To kwestia dyskusyjna – przyznał Sewerus. – Niektórzy mówią, że Pizon. Inni, że Sertoriusz, nowy dowódca Szóstego Legionu. Wyobrażam sobie, że poleje się trochę krwi, zanim dowiemy się, kto rządzi Syrią i wschodem w imieniu cesarza. – Nachylił się. – Ale dla mnie największe znaczenie ma to, Aureliszu Walensie, że w końcu nie będziesz mi przeszkadzać. Już nie masz patrona, który by cię wspierał.

Nic nie powiedziałem.

– Jak możesz sobie wyobrazić, Herod raczej w pełni zdaje sobie z tego sprawę – ciągnął centurion. – Więc upoważnił mnie do znalezienia i ukarania morderców senatora w taki sposób, jaki uznam za stosowny. Pierwszym krokiem jest aresztowanie ciebie – skinął w kierunku Aedana i Arystydesa, którzy przyglądali się nam ze zmartwionymi twarzami. – Razem z dekurionem i tym greckim medykiem. Chcę, żebyście wszyscy trzej znaleźli się pod kluczem.

– Masz pozwolenie Heroda?

Sewerus wzruszył ramionami:

– Nie zwracałem sobie głowy pytaniem go. Jestem przekonany, że wolałby nie znać szczegółów tej sprawy. Tak będzie dla niego bezpieczniej.

Pretorianin miał prawdopodobnie rację. Skoro Germanik nie żyje, Herod nie ma żadnych powodów, by dalej ingerować. Może przymknąć oczy na to, co robi Sewerus, przekonany, że to wyłącznie sprawa Rzymu, za którą nie ponosi żadnej odpowiedzialności.

Uniosłem brwi.

– Jeżeli ty kontrolujesz teraz śledztwo, to po co nas aresztujesz?

Sewerus uśmiechnął się blado.

– Powiedzmy, że jestem ostrożnym człowiekiem, Aureliusz Walensie. Nie lubię ryzykować bez potrzeby – potrząsnął głową. – Robisz wrażenie bardzo stanowczego młodego oficera, a z pewnością zbyt głupiego, by wiedzieć, kiedy został pokonany. Okazujesz również dziwne upodobanie do Żydów z tej małej nory. A ja nie zniosę dalszego wtrącania się w plany, które mam co do nich.

Wpatrywałem się w niego, świadom, że na mojej twarzy musi się malować obrzydzenie.

Pretorianin skinął chłodno głową.

– Zgadza się, chłopcze. – Jego uśmiech stał się jeszcze perfidniejszy.

– Nazaret jest wreszcie mój i rozprawię się z nim po swojemu.

Potem odwrócił konia i puścił się galopem bez słowa.

Wardanes rzucił rozkaz i otoczyli nas łucznicy. Dwóch zabrało mi zbroję i broń. Inni gestem kazali zejść Aedanowi z konia i zrobili z nim to samo. Arystydes szybko zeskoczył z muła, nie czekając na rozkaz. Pogrzebał w swoich torbach i stanął z boku, nerwowo ściskając swój wysłużony stary kapelusz w obu rękach. Jeden z Partów pchnął go w moją stronę.

Nie dawałem niczego po sobie poznać.

Reszta moich ludzi już szła pod czujną strażą szeregiem, ze zwieszonymi

głowami. Żołnierze wstydzieli się, że dali się tak łatwo podejść i że zostali pojmani bez walki.

Odwróciłem wzrok.

Moje spojrzenie padło na ciało Tancerki. Czułem, jak oddech zamiera mi w płucach, kiedy przyjrzałem się uważniej strzale wbitej głęboko w jej pierś. Wzór farbowanych na czarno piór był zbyt znajomy. Poprzednio widziałem go na strzale, którą Arystydes wyjął ze zwłok Kasjusza Celera, gwardzisty pretorii, znalezionej w krzakach.

Zszokowany podniosłem oczy i zobaczyłem, że Wardanes przygląda mi się uważnie.

Wygnyany ze swego kraju Part kiwnął głową, zamarkował strzał z łuku, a potem odjechał ku przodowi kolumny, zostawiając kilku ludzi, by prowadzili Aedana, Arystydesa i mnie do Tyberiady.

Przyglądałem się, jak jeźdźcy znikają za zakrętem drogi. Brakowało jednej małej postaci na mule.

– Gdzie jest Paweł? – zapytałem cicho.

– Zniknął – odparł lekarz. – Musiał się wymknąć do lasu, jak tylko nas zatrzymali.

– Lepiej, żeby się w to nie mieszał – wymruczał Aedan. – Wątpię, by te partyjskie świny dały nam długo pożyć. Ten drań Wardanes nie będzie ryzykować, że ktoś się od nas czegoś dowie.

– Widzieliście więc strzałę?

Kiwnęli posępnie głowami.

Uwięzieni, wlekliśmy się w milczeniu ku Tyberiadzie, każdy sam ze swoimi ponurymi myślami.

Rozdział XXI

Kiedy dotarliśmy do Tyberiady, nowej stolicy Heroda, Aedan, Arystydes i ja zostaliśmy wepchnięci do małej, kwadratowej, kamiennej chatki, niegdyś używanej przez robotników budujących pałac tetrarchy. Podłogę stanowiła ubita ziemia. Wąskie szczeliny wysoko na ścianie dawały bardzo mało światła i jeszcze mniej świeżego powietrza.

Drzwi były solidne, okute żelazem i zamknięte od zewnątrz. Na straży stali łucznicy Wardanesa. Od czasu do czasu słyszeliśmy, jak rozmawiają leniwie w swoim języku.

Kiedy nas zamknięto, Aedan podsadził mnie, żebym sprawdził dach. Był zrobiony z drewnianych belek położonych na ścianach. Szpary wypełniono gęstą mieszanką wysuszonego błota i słomy. Przez jakiś czas dłubałem w nich, ale potrząsnąłem ponuro głową i zszedłem.

– Niedobrze? – zapytał Aedan.

– Za solidnie zbudowane. Pomiedzy belkami jest nie więcej niż piętnaście centymetrów odstępu. Możemy wydłubać to błoto, ale żaden z nas się tam nie zmieści.

– Podkopu też nie zrobimy – powiedział Arystydes. – Spójrzcie tutaj.

Podczas gdy z dekurionem sprawdzaliśmy dach, medyk obiema rękami skrobał podłogę. Zdrapał ziemię w kilku miejscach wzdłuż ściany, wszędzie natrafiając na litą bazaltową skałę.

Aedan westchnął.

– Podobno najsolidniejsze są domy, które rzemieślnicy budują dla siebie. Szkoda, że to się potwierdza. – Wysoki, jasnowłosy Celt zwrócił się do mnie. – No cóż. Nie wydostaniemy się stąd. Co teraz, prefekcie?

Ponownie rozejrzałem się uważnie po ścianach, dachu i podłodze, starając się znaleźć jakiś słaby punkt, który moglibyśmy wykorzystać do ucieczki. Jakieś inne wyjście. Nic. Tylko jedne drzwi – mocne, zaryglowane i strzeżone.

Popatrzyłem na niego.

– Obawiam się, że czekamy, dekurionie. Czekamy i zachowujemy ostrożność.

Celt skinął głową. Jego ponura mina odzwierciedlała moje myśli. Nie sądziłem, by któryś z nas żywił jakieś złudzenia co do planów, jakie wobec nas mieli Partowie.

Pod wpływem impulsu podszedłem do niego.

– Jeszcze jedno, Aedanie.

– Tak, prefekcie?

– Proszę, mów mi Lucjusz – powiedziałem cicho.

Pierwsze imię rezerwowano dla rodziny i bardzo bliskich domowników, takich jak Arystydes. Nie był to przywilej, którego udzielałem lekką ręką. Mimo to nie było to nic wielkiego dla dekuriona. Nie wtedy, kiedy wykonywanie moich rozkazów przywiodło go do tego ciemnego więzienia i najpewniej miejsca śmierci. Nie, to wcale nie było dużo. Lecz to wszystko, co miałem.

Aedan wpatrywał się we mnie przez długą chwilę. Mrugał oczyma w słabym świetle. Potem odchrząknął. – Dziękuję ci za ten zaszczyt, prefekcie... to znaczy Lucjuzu – powiedział zachrypniętym głosem.

Przypieczętowaliśmy tę przyjaźń uściskiem.

– Przykro mi tylko, że cię w to wciągnąłem. I ciebie też, Arystydesie.

Lekarz wzruszył ramionami.

– Mówiłem ci już dawno, Lucjuzu, gdzie ty, tam i ja – uśmiechnął się blado. – Chociaż oczywiście o wiele bardziej wolałbym, żebyś nie wkładał głowy do lwiej paszczy tak często.

– Nie jesteśmy w najlepszym położeniu, to na pewno – zgodził się Aedan. – Ale nikt nigdy nie obiecywał żołnierzom bezpiecznego i długiego życia. Poza tym, Pani

może jeszcze wcale z nami nie skończyła. Ceni odwagę i śmiałość, a tego my trzej mamy aż nadto.

Skinąłem tylko, w duchu zazdroszcząc Celtowi jego prostej wiary w końską boginię swego plemienia. Co do mnie, wątpiłem, by bogowie zwracali szczególną uwagę na losy pojedynczych śmiertelników. Widziałem, jak zbyt wielu dobrych ludzi umiera i jak zbyt wielu złych dobrze żyje, by myśleć inaczej.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy światło wpadające przez wąskie okienka przygasło. Znajdowaliśmy się w całkowitych ciemnościach. Słońce zaszło. Zapadła noc.

Kilka godzin minęło boleśnie powoli.

Siedziałem oparty plecami o ścianę, kiedy usłyszałem głosy za drzwiami i zgrzytliwy odgłos podnoszonej sztaby.

– Aedanie! Arystydesie! – wysyczałem.

Zerwaliśmy się na równe nogi.

Drzwi się otwarły. Do środka wsunięto pochodnię. Przymknąłem oczy przed oślepiającym blaskiem. Czterech łuczników weszło przez drzwi jeden za drugim, poruszając się bez wysiłku z napiętymi łukami.

Za nimi wszedł Sewerus w towarzystwie jeszcze jednego Parta, trzymającego wysoko pochodnię.

– Widzę, że nie śpicie – zauważył z zadowoleniem. – To dobrze, Walens. Podoba mi się oficer, który zachowuje czujność w obliczu wroga.

Dłonie zacisnęły mi się w pięści, lecz oparłem się pragnieniu rzucenia mu się do gardła. Partyjscy strażnicy byli zbyt czujni, zbyt chętni do konfliktu. Zamiast tego zapytałem:

– Czemu tu przyszedłeś? – Całkiem zaschło mi w gardle, więc chrypiałem.

– Żeby cię informować o moich postępach. – Sewerus udawał, że jest zaskoczony. Posłał mi kpiący uśmiech. – Wiem, jak bardzo troszczysz się o tych

Żydów z Nazaretu, choć dlaczego tak jest, nie mam pojęcia. Więc uznałem, że powinieneś usłyszeć, co dokładnie ich czeka.

Nic nie odpowiedziałem. Nie chciałem, by czerpał satysfakcję ze świadomości, że jego drwiny są boleśnie celne.

Niestety, moje milczenie nie powstrzymało pretorianina przed wyłożeniem mi swego planu zniszczenia małej galilejskiej wioski. Sewerus mówił wolno, niemal z lubością, i był bardzo dokładny. Wardanes i jego łucznicy mieli dokonać większości okrucieństw – najechać Nazaret z rozkazami zamordowania wszystkich mężczyzn oraz każdego, kto stanie im na drodze. Po rzezi mieli pochwyć kobiety i dzieci, by je sprzedać jako niewolników. Jak stwierdził bezceremonialnie, dochód z tego powinien dać niezłą sumę najemnikowi i jemu. Moich pięćdziesięciu kawalerzystów, których zostawiłem do opieki nad wioską, miało czekać w rezerwie – gotowych do ścigania zbiegów z partyjskiej sieci.

– Kiedy już skończymy z ludźmi, Wardanes i jego łucznicy podpalą każde pole, każdy sad i każdą rudę. – Sewerus uśmiechnął się. – Przed jutrzejszym zachodem słońca Nazaret w Galilei przestanie istnieć.

– A w jakim celu? – zapytałem gorzko.

Centurion pretorii wzruszył ramionami.

– Z powodu akcji odwetowej za zamordowanie Decymusza Juliusza Silanusa.

– Jesteś kłamcą – warknąłem.

Uśmiech zniknął mu z twarzy. Uniósł brwi.

– Niby dlaczego?

– Wiesz, że to Wardanes wraz ze swoimi ludźmi zamordowali senatora i jego żonę – powiedziałem wprost. – To ich strzałę znaleźliśmy w plecach twojego gwardzisty.

Sewerus utkwiał we mnie spojrzeniem. Jego twarz była zupełnie bez wyrazu. Blizna od miecza na lewym policzku połyskiwała biało w świetle pochodni.

– Zatem zauważyłeś to – powiedział w końcu. – Part mówił, że się zorientowałeś. Miałem nadzieję, że się myli.

– Przyznajesz więc, że to prawda – powiedziałem cicho, czując nagle przyływ mdłości.

Sądzę, że wiedziałem, iż centurion był jakoś zaangażowany w morderstwo, od chwili w której zdałem sobie sprawę, że Gideon i jego bandyci go nie popełnili. Z jakiego innego powodu miałby tak szybko przyprowadzić do mnie tego partyjskiego zdrajcę, by naopowiadał mi tyle kłamstw?

Sewerus skinął spokojnie głową.

– Dobrze. Przyznaję.

– A ile Wardanes ci zapłacił, żebyś patrzył w inną stronę? – zapytałem desperacko. Czuję narastający gniew. – Ile zapłacił, aby kupić twoje milczenie?

– Kupić moje milczenie? – oficer pretorii o srogiej twarzy był zdumiony. Potem zaśmiał się okrutnym śmiechem, od którego ciarki mi po plecach przeszły. Potrząsnął głową. – Na bogów, chłopcze, jesteś głupcem. Źle zrozumiałeś.

Sewerus nachylił się bliżej z ręką na sztylcie u boku.

– Nikt nie kupił mojego milczenia, Walens. Absolutnie nikt. – Wyprostował się. Miał zimne i dalekie spojrzenie. – To ja wydałem rozkaz zabicia senatora. Nikt inny. Centurion ruchem głowy wskazał łuczników stojących po jego bokach. – Partowie posłużyli mi jako broń. Nic więcej. Uśmiechnął się ponuro. – Nie można sobie życzyć wynajętych lepszych morderców. Tylko Wardanes mówi jako tako po grecku, a jeszcze nie spotkałem człowieka tak chętnego, by dostać w swoje ręce trochę złota.

Wpatrywałem się w niego, ledwie słysząc przez huk w uszach.

– Ty skazałeś na śmierć własnych towarzyszy?

– To było konieczne – powiedział Sewerus, chmurząc się. – Przykre, jak sądzę, ale konieczne. W końcu wyglądałoby trochę podejrzanie, gdyby znamienity senator

zmarł, a wszyscy jego strażnicy przeżyli.

Przeszły mnie dreszcze. Znajdowałem się w obecności zła większego, niż to sobie wyobrażałem. Widziałem twarz centuriona, gdy patrzył na ciało Kasjusza Celera, swojego starego towarzysza broni. Jaki człowiek może udawać takie zaskoczenie, taki smutek? Jaki człowiek może z zimną krwią zaplanować zamordowanie najlepszego przyjaciela? Chciałem się od niego odsunąć, przycisnąć do nierównego kamiennego muru. Zwalczyłem to pragnienie.

– Dlaczego? – zapytałem wreszcie. – Dlaczego to zrobiłeś?

Sewerus popatrzył na mnie z zaciekawieniem.

– Dla władzy, oczywiście. Co innego tak naprawdę liczy się w tym świecie?

– Dla władzy?

Centurion zaśmiał się.

– Naiwny jesteś, Walens. – Pokręcił głową z udawanym zdziwieniem. – Jestem zdumiony, że tego nie rozumiesz, nawet teraz. Czego was, odważnych, młodych oficerów uczą?

Ugryzłem się w język. Drażnił się ze mną, wypominał mi porażkę. Ale im dłużej mówił, tym więcej się dowiadywałem. I im dłużej mówił, tym dłużej Aedan, Arystydes i ja pozostawaliśmy przy życiu.

Sewerus westchnął:

– Zatem słuchaj, jeśli zdołasz zrozumieć. – Skrzyżował ręce. – Równanie jest proste. Rzym rządzi światem. Senat rządzi Rzymem. A imperator rządzi senatem. Proste?

Skinąłem głową.

– Ach, ale kto rządzi Tyberiuszem? Kto rządzi cezarem? – wzruszył ramionami.
– Wyobraź sobie Rzym sprzed paru miesięcy. Są trzy frakcje ubiegające się o łaski imperatora. Trzy frakcje, które szukają nad nim władzy. Jedna prowadzona przez mojego dowódcę, Eliusza Sejanusa, prefekta gwardii pretoriańskiej. Druga w

senacie, zdominowana przez Silanusa. I trzecia kierowana przez Trazyła, mistrza tego bełkoczącego mistyka, Araneusza.

Zacisnąłem zęby. Wiedziałbym o tym, gdybym nie był tak długo poza miastem. Mój ojciec lubował się w tego typu brudnych intrygach i plotkach. Odwróciłem się od tego, próbując służyć Rzymowi z czystymi rękoma, na dalekiej granicy. A teraz płaciłem cenę za umyślną ignorancję.

– A potem Tyberiusz Cezar miał sen, okropny sen – rozwodził się Sewerus. – Wybrał Decymiusza Juniusza Silanusa, by poprowadził misję na wschód, mającą uspokoić jego lęki, lecz pozostałe frakcje namówiły go, by udział wzięli w tym ich przedstawiciele. W tym ja. – Pretorianin uśmiechnął się do mnie. – Nie rozumiesz, Walens? To była doskonała okazja, szansa absolutnie bezpiecznego oczyszczenia pola. Były trzy równorzędne frakcje szepczące Tyberiuszowi do ucha. Teraz, kiedy wrócę do Rzymu, będą tylko dwie.

– A ty sądzisz, że twój dowódca podziękuje ci za zorganizowanie śmierci senatora? – zapytałem, zmuszając się, żeby się odezwać.

Sewerus przytaknął.

– Jestem o tym całkowicie przekonany – powiedział pewnym tonem. – Eliusz Sejanus szybko karze za porażkę, lecz jest też szczodry dla tych, którzy sprzyjają jego interesom. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, przez moment przypominając bardziej wilka niż człowieka. – Powiedziałem ci kiedyś, że jestem ambitny, Walens. Nie kłamałem.

– Chcesz awansu. Chcesz zostać trybunem – zrozumiałem. – Chcesz dowodzić kohortą gwardii. – Pretoria składała się z dziewięciu kohort po tysiąc żołnierzy, każda dowodzona przez trybuna. Centurion taki jak Sewerus mógł awansować do tej rangi, lecz było to niezmiernie rzadkie.

Pretorianin znowu skinął głową.

– Zgadza się, Walens. Przynajmniej na początek. – Zachichotał. – W końcu, kto

wie? Dlaczego człowiek taki jak ja ma godzić się z ograniczeniami? Jakimikolwiek ograniczeniami?

Z wysiłkiem opanowałem głos:

– Jeżeli już osiągnąłeś swój cel, zabijając senatora, czemu masz niszczyć Nazaret?

– Araneusz się przy tym upiera. A on ciągle mówi w imieniu Trazyła – uśmiechnął się cierpko. – Słyszałeś tego rzucającego się głupca. Przysięga, że dziwne proroctwa dotyczą tego małego miejsca, proroctwa, które mogą wstrząsnąć posadami Rzymu.

– Ale ty w to nie wierzysz?

Sewerus prychnął.

– Oczywiście, że nie. – Potem odsłonił zęby w złośliwym uśmiechu.

– Mimo to, to taki ładny mały zestaw dla Tyberiusza, nie uważasz? Jego sen był prawdziwy, powiem mu. Nazaret stanowił tragiczne zagrożenie dla cezara, co udowodniło brutalne zamordowanie jego ulubionego posła, bliskiego przyjaciela i sojusznika.

Rozumiałem to. Pretorianin miał rację. Był w stanie przekonać Tyberiusza, że wieśniacy to jego wrogowie, a potem czerpać korzyści z tego, że ich rozgromił.

Nastąpiła długa cisza, przerywana tylko skwierczeniem pochodni oświetlającej chatkę.

– Nie chcecie wiedzieć, jaki będzie wasz los? – odezwał się w końcu Sewerus, zmęczony moją powściągliwością.

– Nas też zamordujesz, jak sędzę – powiedziałem z całą pogardą. Zobaczyłem, że Aedan i Arystydes kiwają ponuro głowami.

– Tak – zgodził się pretorianin. – Jak tylko skończę to, co mam zrobić w Nazarecie, i złożę raport Herodowi. – Wzruszył ramionami. – Zbyt dobrze cię teraz znam i nie sędzę, bym mógł ci zaufać, że zachowasz milczenie, nawet gdybym

zaoferował ci cały skarb Silanusa. – Potem westchnął. – Stajesz się coraz mądrzejszy, chłopcze. Ale obawiam się, że to nie wystarczy, już za późno. Popeliłeś zbyt wiele błędów i teraz zginiesz.

Odwrócił się do wyjścia.

– Nie ja jeden popełniłem błędy, centurionie – strzelałem słowami niemal na oślep. Coś w tym, co usłyszałem, nadal nie zgadzało się z faktami odkrytymi w Nazarecie. Ale co to było? – Twój wielki plan nie do końca się powiódł, czyż nie?

Sewerus odwrócił się do mnie, wyraźnie zirytowany, że zepsułem mu triumfalne wyjście.

– Kasjusz Celer – wypowiedziałem nagłą myśl. – Partowie mieli go nie zabijać, racja? Nie twojego starego przyjaciela.

Zacisnął wargi.

– Widziałem twoją twarz – przypomniałem mu. – Nie spodziewałeś się znaleźć martwego Celera. Nie spodziewałeś się zobaczyć go ze strzałą w plecach.

Centurion milczał.

– Celer miał przeżyć „zasadzkę”, tak? – naciskałem. – Domyślam się, że miał przysiąc, iż to Żydzi z Nazaretu ich zaatakowali i zamordowali senatora.

Sewerus patrzył na mnie piorunującym wzrokiem. Nic nie mówił. Nie musiał. Choć raz czytałem w jego myślach niemal tak wyraźnie, jakby były moje własne.

– Ale coś poszło nie tak tam w ciemności, prawda? Tam pomiędzy drzewami i krzakami. Może Kasjusz Celer ostatecznie nie potrafił zdradzić pozostałych? A może to Wardanes uznał, że bezpieczniej będzie zabić wszystkich świadków?

Centurion milczał, ale blizna na jego twarzy była jeszcze bardziej widoczna.

– Na ile ufasz temu partyjskiemu mordercy, którego kupiłeś, Marku Emiliuszu? – drwiłem, starając się wytrącić go z równowagi. – Co zrobisz, jeżeli Wardanes stwierdzi, że bezpieczniej będzie pozbyć się i ciebie? Jedno jego słowo i znajdziesz się w rowie z brzuchem przesytytym strzałą i twarzą rozdziobaną przez kruki. Tak jak

twój dobry przyjaciel Kasjusz Celer.

To był silny cios. Widziałem, że trafiłem w samo sedno.

Sewerus skrzywił się. Obrócił się na pięcie i wypadł na zewnątrz. Partyjscy łucznicy i niosący pochodnię wyszli za centurionem.

Ciężkie, okute żelazem drzwi zamknęły się za nimi ze szczękiem, pograżając chatkę w całkowitych ciemnościach. Teraz, kiedy już mogłem, kiedy nikt nie widział mojej rozpaczki, ześlizgnąłem się wolno po ścianie i siedziałem z twarzą ukrytą w dłoniach. Wszystkie wysiłki na próżno. Niczego nie osiągnąłem. Niczego nie wygrałem. Sewerus osiągnie swój upragniony cel. Nazaret zostanie zniszczony. A kiedy to się stanie, nic go nie powstrzyma przed wywleczeniem nas na ohydną, bezsensowną śmierć.

Był ranek. Cienkie promienie słońca wpadały przez umieszczone wysoko wąskie okna. Podniosłem głowę, zaalarmowany ciężkimi krokami na zewnątrz. Czy Sewerus zdecydował się skończyć z nami przed wyjazdem do Nazaretu?

Zerwałem się na nogi, gestem nakazując Arystydesowi i Aedanowi to samo. Przyjrzałem się im.

– Gotowi, towarzysze?

Kiwnęli głowami, oddychając głęboko. Dekurion wyglądał na spokojnego, lekarz mniej. Jedną z rzeczy, co do których się zgodziliśmy podczas długiej nocy, było to, że nie poddamy się bez walki. Nie pozwolimy się potulnie zaprowadzić na egzekucję jak owce do rzeź.

Promień słońca padł na złotą obrączkę na palcu serdecznym mojej lewej dłoni. Honor i prawda – pomyślałem. Dobry sposób na życie – i dobry na śmierć, jeżeli tak trzeba. Wyprostowałem ramiona. Część tej strasznej rozpaczki, którą czułem w ciemnościach, ulotniła się przed perspektywą walki. Przegram czy wygram, ale dam z siebie wszystko. Żaden człowiek nie może zrobić więcej.

Nie za bardzo mieliśmy czym walczyć – tylko gołe pięści i dwa małe instrumenty

chirurgiczne, które Arystydes zdołał ukryć w swoim wysłużonym kapeluszu. Ale i to wystarczy, by kilku naszych wrogów bardzo tego pożałowało – pomyślałem z wściekłością. Jeżeli tylko zdołamy tak blisko podejść.

Podniesiono sztabę.

Już czas. Wolno wypuściłem powietrze z płuc. Ostrożnie sprawdziłem kciukiem ostrze skalpela, który ukrywałem w prawej dłoni. Był ostry jak brzytwa.

Drzwi otworzyły się, odsłaniając małą postać rysującą się w słońcu.

– Aureliusz Walensie! Arystydesie! – powiedział znajomy głos. – To ja, Paweł.

– Paweł! – wykrzyknąłem zupełnie zaskoczony. – Co ty tutaj robisz?

Niski, ciemnowłosy chłopiec z Tarsu wszedł przez drzwi z szelmowskim uśmiechem na twarzy.

– Ratuje cię, prefekcie.

Wpatrywałem się w niego ze zdumieniem.

Dwóch partyjskich łuczników pojawiło się za Pawłem. Potężne kompozytowe łuki przewiesili przez ramię, ale każdy miał u boku zakrzywioną szablę. Na ich twarzach nie było żadnych wyraźnych, dających się rozszyfrować emocji – tylko ostrożna czujność.

Wskazałem ich ruchem głowy.

– Masz dziwnych sojuszników, Pawle.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Nie martw się o strażników – powiedział pewnym siebie tonem. – Kupiłem ich pomoc.

Oczy mi się zwęziły.

– Co zrobiłeś?

Paweł poczerwieniał pod moim spojrzeniem.

– No, właściwie to nie ja – przyznał. – W każdym razie niedokładnie. To pani Mara.

Arystydes ruszył ochoczo ku otwartym drzwiom. Położyłem mu rękę na ramieniu, powstrzymując go.

– Poczekaj, doktorze – ostrzegłem. – Zanim zaryzykujemy strzałę w plecy, posłuchajmy najpierw, co Paweł ma nam do opowiedzenia.

Mówiąc szybko, niemal jękając się z rozgorączkowania, chłopiec opisał swoje przygody. Kiedy Partowie się na nas zasadzili, on jechał kawałek za kolumną, na tyle daleko, by zniknąć w lesie niedostrzeżony. Ukrył się i przyglądał, jak reszta nas zostaje otoczona i wzięta do niewoli. Potem jechał za nami w bezpiecznej odległości.

Już w pałacu Heroda udało mu się, plotkując ze służbą tetrarchy, na tyle zorientować, co się dzieje, by upewnić się, że mamy poważne kłopoty. Ruszył więc z powrotem do Magdali na swoim upartym mule tak szybko, jak tylko mógł.

Kiedy powiedział Marze, co się stało, ta nakazała swojemu zarządcy dać mu dużą sumę pieniędzy, by przekupić strażników.

– Ona się o ciebie bardzo martwi, prefekcie – powiedział poważnie chłopak. – Powiedziała mi, że mam dać Partom tyle, ile będzie trzeba, żeby kupić twoją wolność. Powiedziała, że twoje życie warte jest wszystkiego, co posiada.

Przełknąłem ślinę. Hojność ponad wszelką miarę.

– Pani jest uprzejma – powiedziałem ochryple.

Aedan zerknął na mnie. Zobaczyłem nagły błysk rozbawienia w jego zielonych oczach.

– Pani jest również piękna – wymruczał. – Nie zapominaj o tym, Lucjuszu.

Teraz ja się zaczerwieniłem.

– Sam możesz jej podziękować – powiedział rozemocjonowany Paweł. – Przyjechała ze mną.

Obróciłem się gwałtownie ku niemu, jeszcze bardziej zdziwiony.

– Mara tu jest?

– Tak – powiedział Paweł. – Czeka nieopodal z końmi dla waszej trójki. –

Wypiął pierś. – Ale to ja sam przekupiłem strażników. Nie posłuchaliby kobiety.

Prawdopodobnie nie, uznałem. Ale dlaczego mam wierzyć, że Partowie będą zważać na umowę z chłopcem? Zmartwiłem się nagle. Co Mara tu robi? Czyż nie wie, jakie to niebezpieczne? Wkłada rękę do gniazda os, do miejsca jadu i żądeł.

– Gdzie jest Sewerus? – zapytałem.

– Zniknął – odpowiedział Paweł. – Tak samo Wardanes. Zabrali dużo żołnierzy i o świcie pojechali na zachód.

Dwaj partyjscy łucznicy czekający przed drzwiami zaczęli się niecierpliwić.

– Chodź. Chodź. Wy iść – powiedział jeden gardłowo łamaną greką, popędzając nas ruchem ręki. – Szybko!

Zerknąłem na Aedana i Arystydesa.

– Jak myślicie? – zapytałem cicho. – Czy któryś z was sądzi, że nas tak po prostu puszczą?

– Nie – powiedział dekurion z cierpkim, lodowatym uśmiechem. – Dlaczego ci tam mieliby ryzykować gniew swojego dowódcy, kiedy mogą zasłużyć sobie na jego pochwałę i zatrzymać pieniądze?

Greki miał zmartwioną minę.

– On ma rację, Lucjuszu.

Skinąłem głową. Ich myśli odzwierciedlały moje. Kiedy tylko znajdziemy się na zewnątrz, staniemy się łatwym celem. Ci partyjscy strażnicy mogą zabić nas wszystkich, twierdząc, że zastrzelili nas, kiedy próbowaliśmy uciec, i zatrzymać złoto, które dostali, by puścić nas wolno.

– Zatem trochę im to utrudnimy – powiedziałem im. – Rozumiemy się?

Skinęli krótko głowami.

Paweł patrzył na nas trzech.

– O czym wy mówicie? – zapytał.

– Zobaczysz. – W moim szorstkim głosie słychać było napięcie. Widząc, że się

krzywi, dodałem: – Ale masz moje najgłębsze podziękowania za tę szansę, Pawle. Cokolwiek się stanie, ty wykazałeś się wielką odwagą i zaradnością.

Znowu się zarumienił.

Położyłem rękę na ramieniu chłopca.

– Posłuchaj mnie uważnie, Pawle. Aedan i ja wychodzimy teraz na zewnątrz. Ale chcę, żebyście ty i lekarz zostali tutaj. Bez względu na to, co powiedzą czy zrobią strażnicy, wy dwaj nie ruszycie się stąd. Rozumiesz?

– Ale, Aureliuszu Walensie, mówiłem ci, zapłaciłem im... – protestował chłopiec.

Arystydes podszedł i zabrał chłopca na tył chatki.

– Zostań ze mną. Lucjusz wie, co robi.

Miałem tylko nadzieję, że medyk się nie myli.

Part przy drzwiach już się złościł.

– Musicie iść! Teraz! – warknął i położył rękę na rękojeści szabli.

– Chwilę, przyjacielu – powiedziałem tak swobodnie, jak potrafiłem. – Idziemy.

Odwróciłem się i ukląknęłam, żeby podnieść swój płaszcz z podłogi. Gdy plecami zasłaniałem strażnikowi widok, wziąłem garść ziemi i kamyków zdrapanych wcześniej przez Arystydesa. Wstałem i zerknąłem nadekuriona.

– Jesteś ze mną, Aedanie? – zapytałem cicho.

Jasnowłosy Celt skinął głową.

– O tak, Lucjusz – odparł.

Wyszliśmy przez drzwi. Ja prowadziłem. Partowie cofnęli się i znajdowali się teraz poza naszym zasięgiem. Rzeczywiście, ostrożni. Niedobrze.

Mrugając oczami w jasnym słońcu, rozejrzałem się, gdzie jesteśmy. Znajdowaliśmy się poza Tyberiadą, tuż pod masywną górą, na której stał pałac Heroda i jego cytadela. Zamknięto w niej resztę moich żołnierzy. Nieopodal były inne budynki, które wykorzystywano jako magazyn na materiały budowlane.

Sewerus i Wardanes dobrze wybrali. Idealne miejsce na trzymanie niewygodnych więźniów.

Szczupła, drobna postać w płaszczu z kapturem czekała w pewnej odległości, trzymając wodze czterech koni i muła. Dojrzałem bladą, zdeterminowaną twarz, okoloną złotobrazowymi włosami pod kapturem. To Mara. Podniosło mnie to na duchu.

Po chwili odwaga mnie opuściła.

Pilnowało nas trzech partyjskich łuczników – nie dwóch. Trzeci przyglądał się Marze. Był zbyt blisko niej i zbyt daleko ode mnie.

A potem nagle już nie było czasu, by się martwić. Zirytowany, że Paweł i lekarz są nadal w środku, jeden z Partów wymamrotał coś do swego towarzysza. Podeszedł do drzwi i zajrzał do słabo oświetlonego wnętrza.

– Wy tam! Wychodzić! – krzyknął i zaczął wyciągać zakrzywioną broń przypiętą u pasa.

Teraz.

Rzuciłem się na drugiego łucznika, tego najbliższego mnie. Cofał się, potykając i gorączkowo wyciągając szablę. Cisnąłem mu w oczy trzymaną w lewej dłoni ziemią i kamykami, a prawą chwyciłem rączkę skalpela ukrytego w płaszczu.

Łucznik uchylił głowę, by nie zostać oślepionym.

Rzuciłem się na niego, zanim zdążył dobiec do siebie, z takim impetem, aż broń wypadła mu z dłoni. Lewą ręką objąłem go chwytem zapaśniczym za szyję i szarpnąłem, żeby stracił równowagę. Part poleciał w moją stronę, chrypiąc coś z przerażenia. Przeciągnąłem skalpelem po jego odsłoniętym gardle, otwierając je szerokim, karmazynowym rozcięciem. Krew wylewała się, pulsując w rytmie zamierającego serca.

Odepchnąłem umierającego, chwytając szablę, którą upuścił, i obróciłem się szybko. Drugi strażnik też był martwy – leżał koło drzwi twarzą do góry, z

żelaznymi kleszczami chirurgicznymi wystającymi mu z krwawiącego oczodołu. Aedan sięgał po jego broń.

Było za późno.

Trzeci strażnik już miał naszykowany łuk.

Wpatrywałem się w niego przez nieskończoną przestrzeń, dwadzieścia kroków lub więcej. Part naciągnął łuk. Zmrużył oczy. Celował prosto w moje serce...

Zamarłem.

I wtedy zobaczyłem smukłą postać w płaszczu, która jakby pojawiła się znikąd i czaiła się tuż za strażnikiem. Pchnęła ręką przed siebie, prosto w jego plecy.

Part otworzył szeroko przerażone oczy. Jego strzała chybiła, zafurkotała w niebo.

Zacząłem biec.

Strażnik upuścił łuk. Obrócił się, macając rozpaczliwie ręką, żeby chwycić rękojeść noża wystającą mu ze środka pleców. Dopadłem go i ciąłem z całej siły.

Krzyknął, upadł i znieruchomiał.

Obróciłem się, na oślep szukając następnych wrogów, kolejnych przeciwników, których miałbym zabić. Nie było żadnych.

Opadłem na kolana, ciężko dysząc. Niebo i ziemia wydawały się kręcić wokół mnie, wirować dookoła, przyprawiając mnie o zawroty głowy i mdłości.

Poczułem delikatny dotyk dłoni na ramieniu. Świat znieruchomiał.

– Lucjuszu ! Jesteś ranny? – spytała Mara, a głos jej drżał. – Coś ci się stało?

Podniosłem na nią wzrok. Kaptur spadł jej z głowy. Włosy lśniły jak złoto w słońcu. W oczach znowu miała łzy.

– Nie, nie. Nic mi się nie stało – odezwałem się cicho. – Jestem cały. Dzięki tobie.

Podniosłem się z wysiłkiem i wziąłem dłonie Mary w swoje. Palce jej drżały.

– Zawdzięczam ci życie.

– Tak jak ja tobie swoje – odparła jeszcze ciszej. – Dałeś mi radość, kiedy

myślałam, że już nigdy nie zaznam szczęścia. To nie był mały dar, nawet jeżeli krótkotrwały. Teraz to rozumiem.

– Zatem spłaciliśmy swoje długi – powiedziałem poważnie. – I możemy zacząć jeszcze raz.

Arystydes i Paweł wyszli, mrugając, na dwór. Medyk zatrzymał się na chwilę, by wyjąć zakrwawiony skalpel i kleszcze, zanim pośpieszył do nas. Chłopiec wyglądał, jakby miał mdłości. Starannie odwracał głowę od ciała.

Podszedł Aedan, prowadząc Pawiowego muła i konie Mary, które rżały i grzebały kopytami, zaniepokojone zapachem krwi.

– Co teraz? – zapytał.

Przysłoniłem oczy i sprawdziłem położenie słońca. Nadal było wczesnie, od świtu minęła jakaś godzina.

– Pojedziemy do cytadeli Heroda i uwolnimy naszych ludzi – powiedziałem Aedanowi. – Sewerus i Wardanes są przed nami, lecz nie będą jechać szybko. Nie chcą, by ich konie zmęczyły się przed atakiem... i nie wiedzą, że się tam wybieramy.

Aedan wyglądał na zadowolonego.

Mara spojrzała na mnie przestraszona.

– Musisz za nimi jechać, Lucjuszu? – wyszeptała. – Nie dość już zrobiłeś? Nie dość już ryzykowałeś?

– Nie mam wyboru. Póki Sewerus i Wardanes żyją, nikt z nas nie jest bezpieczny. Ani ja, Ani Aedan i Arystydes, ani Paweł. Ani nawet ty.

– Możemy wyjechać – powiedziała cicho. – Możemy uciec do jednej z prowincji imperium. Na koniec świata, jeżeli trzeba. Mam wystarczająco dużo pieniędzy, byśmy żyli wygodnie do końca życia.

Wziąłem ją na bok, tak by inni nie słyszeli, i objąłem ją mocno.

– Maro, wiesz, że nie mogę tego zrobić. Nie mogę uciec od swoich obowiązków. Nie mogę przymknąć oczu na morderstwo. Nie mogę pozwolić, by zamordowano

niewinnych: nie bez walki.

Mara patrzyła na mnie przez długą, długą chwilę. W końcu westchnęła:

– Nie. Lucjuszu. Nie możesz. Nie, jeśli chcesz pozostać wiernym sobie.

Wolno, z żalem, wysunęła się z uścisku, podeszła do Aedana i wzięła wodze jednego z koni – pięknej, kasztanowej klaczy, która boleśnie przypominała mi Tancerkę. Celt przykląkł, by mogła postawić mu stopę na kolanie, a ona z gracją wskoczyła na siodło.

Poszedłem za nią i stałem, wpatrując się w jej twarz.

– Wrócisz teraz do swojej posiadłości?

Mara kiwnęła głową. Popatrzyła na mnie z powagą. Tęsknota w jej oczach przeszywała mi serce.

– A kiedy stoczysz bitwę, czy przyjedziesz się ze mną zobaczyć, Lucjuszu? – wyszeptała.

Wszystkie myśli dotyczące dezaprobaty mojego ojca czy różnic pomiędzy nami znikły. Nadal nie miałem pojęcia, co się między nami zdarzy ani jak mogłaby wyglądać nasza wspólna przyszłość. Lecz czułem, że bardzo chcę się tego dowiedzieć.

– Jeżeli przeżyję, przyjadę – obiecałem.

– Więc przeżyj – powiedziała po prostu. Wychyliła się mocno z siodła i pocałowała mnie namiętnie.

Usłyszałem, jak Paweł gwałtownie wciągnął powietrze. Zignorowałem go.

Gdy w końcu nasze usta się rozdzieliły, Mara wzięła wodze i ruszyła. Zerknęła przez ramię. Znowu miała ożywioną twarz.

– Do ponownego spotkania, Lucjuszu.

Arystydes stanął koło mnie, patrząc jak Mara odjeżdża w dół wzgórza, w kierunku Tyberiady.

– Niezwykła kobieta – wymruczał. – Ale mam jedną radę.

– Tak?

– Jeżeli kiedykolwiek ją rozzłościś, trzymaj od niej noże z daleka.

Rozdział XXII

Leżałem płasko na grzbiecie wzgórza, przyklejony do ziemi za masywnym głazem. Z tego ukrytego punktu obserwacyjnego miałem dobry widok na długie, łagodne zbocze, schodzące do płytkiej doliny podobnej do misy otoczonej ze wszystkich stron wyżej położonym terenem. Przebiegał tamtędy główny trakt z Tyberiady do Nazaretu i pobliskich wiosek, wijąc się pomiędzy kilkoma kępami drzew, głównie karłowatych dębów.

W tej dolinie znajdował się Wardanes ze swoimi Partami – ciemna masa ludzi i koni wolno kłębiących się po obu stronach drogi. Byli tuż poza odległością strzały z łuku, na tyle jednak blisko, że słyszałem odległy szmer ich rozmów. Większość łuczników zsiadła z koni, pozwalając im na popas. Dostrzeżałem też Sewerusa i jego czterech gwardzistów pretorii. Widziałem ich czerwone płaszcze i połysk słońca odbijającego się od wypolerowanej zbroi.

Za nimi droga wspinała się na kolejne zbocze, kierując się mniej więcej na zachód koło stromego, stożkowatego wzgórzka usypanego ze stosu kamieni. Nazaret był gdzieś po drugiej stronie tego następnego wzniesienia, jakieś półtora kilometra dalej.

– Lucjuszu!

Odwróciłem głowę na dźwięk ochrypłego szeptu i zobaczyłem wchodzącego po zboczu Aedana. Zatrzymał się sporo przed linią horyzontu. Za nim wlekli się Arystydes i Paweł. Machnąłem do nich, dając znak, by zniknęli z widoku. Jeden po drugim wsunęli się do kryjówki i kucnęli obok mnie.

– Udało się? – zapytałem Aedana.

Celt pokręcił głową.

– Nikomu. – Wziął szybki łyk wody ze skórzanego bukłaka i mówił dalej: –

Wszyscy zwiadowcy wrócili. Ten przebiegły wąż, Wardanes, rozstawił wartowników przy każdej dróżce i koziej ścieżce stąd do wioski. Nie ma możliwości, by ktokolwiek prześlizgnął się z wiadomością do Taedifera i jego ludzi, nie zostawszy zauważonym.

Nachmurzyłem się. To przykra wiadomość. Zostawiłem krzepkiego, rudowłosego dekuriona i pięćdziesięciu doświadczonych kawalerzystów, by pilnowali Nazaretu. Liczyłem na ich pomoc w nadchodzącej bitwie. Bez nich Partowie będą mieć znaczną przewagę.

Wyciągnąłem szyję i rozejrzałem się po małej grupie żołnierzy pod moim bezpośrednim dowództwem. Razem z garstką służących czekali u podstawy tego niskiego grzbietu, pozwalając swoim koniom odpocząć po wyczerpującej, szybkiej jeździe z Tyberiady. Na akcję przeciwko Gideonowi i jego bandytom zabrałem trzydziestu ludzi. Jeden zginął. To dawało mi dwudziestu dziewięciu wyćwiczonych żołnierzy, z których trzech było lekko rannych. Lecz przynajmniej wszyscy byli skorzy zmasać hańbę po tym, jak zostali zaskoczeni przez Partów dzień wcześniej.

Na szczęście zwolnienie ich z cytadeli Heroda okazało się znacznie łatwiejsze, niż się z początku obawiałem. Uwięziwszy mnie i Aedana, Sewerus nie spodziewał się po pozostałych żadnych kłopotów. Nawet nie zabrał im broni. Nakazał trzymanie ich w barakach wewnątrz fortecy i szybko zajął się przygotowywaniem do zniszczenia Nazaretu.

Uśmiechnąłem się cierpko do siebie. Choć raz centurion pretorii okazał się zbyt pewny siebie. Powinien był przedsięwziąć większe środki ostrożności. A przynajmniej zostawić więcej łuczników Wardanesa do pilnowania więźniów. Partyjski uchodźca i rywalizujący z nim kapitanowie nie przepadali za sobą – typowy problem w armii złożonej z wynajętych wojowników, zazdrosnych o swoje prerogatywy, płacę i reputację. Nikt z nich nie czuł się lojalny wobec Sewerusa, którego uważali za aroganckiego, rzymskiego intruza.

W rezultacie żaden z pozostałych najemników Heroda nie chciał się wplątywać w coś, co wyglądało na prywatną wojnę pomiędzy oficerem pretorii a mną. Działając przeciwko mnie bez wyraźnych rozkazów tetrarchy Sewerus ich wykluczył. Strażnicy rozstąpili się, kiedy Aedan i ja wjechaliśmy do cytadeli, i nie zagrodzili nam drogi, gdy wyprowadzaliśmy naszych żołnierzy razem z całym naszym uzbrojeniem.

Herod prowadził byle jaką armię – na szczęście dla mnie i dla mieszkańców Nazaretu.

– Czemu ci Partowie tak tam siedzą? Byli tu przynajmniej godzinę lub dwie przed nami – powiedział niecierpliwie Paweł. – Czemu jeszcze nie zaatakowali?

Aedan sprawdził położenie słońca wprawnym okiem.

– Czekają, aż wieśniacy wrócą z pól.

Zgodziłem się z oceną dekuriona.

– Wardanes nie jest głupcem – wyjaśniłem chłopcu. – Gdyby teraz zaatakował, musiałby rozproszyć swoich ludzi po labiryncie pól i sadów wokół Nazaretu. Nie ma tylu ludzi, by to zrobić, i mieć pewność, że żaden z nazaretańczyków mu nie ucieknie. Nie zaryzykuje tego. – Pokręciłem ponuro głową. – Nie, Wardanes i Sewerus poczekają, aż ci biedni ludzie sami wejdą w pętlę, zanim ją zacisną.

Paweł popatrzył gniewnie na łuczników zgromadzonych pod nami.

– Więc co możemy zrobić, żeby ich powstrzymać?

Skrzywiłem się.

– Ty nic nie zrobisz, chłopcze. Bitwa to nie miejsce dla chłopca w twoim wieku, zwłaszcza dla kogoś, kto nigdy w życiu nie trzymał w ręku miecza. Gdybym miał więcej ludzi, już byś był w drodze do Jerozolimy.

Paweł zeszywniał. Zły i zawstydzony, utkwiał wzrok w ziemi, nie chcąc spojrzeć mi w oczy. Widziałem, że ma dość bycia zbywanym, zostawianym z tyłu i ogólnie lekceważonym.

Westchnąłem. Nie chciałem odezwać się tak chłodno. Prawdę mówiąc, czułem się bardzo winny z powodu chłopca. Jego ojciec wierzył, że Germanik zadba o bezpieczny przejazd Pawła z Antiochii do Jerozolimy. Germanik z kolei powierzył go mojej opiece. A co ja zrobiłem? Ciągałem go z jednego miejsca masakry i rzezi do drugiego. Zbliżająca się bitwa będzie rozpaczliwą i krwawą walką, którą, jak wiedziałem, raczej przegramy, niż wygramy, choć tę świadomość odsuwałem jak najdalej od siebie.

– Chłopiec dobrze pyta, Lucjuszu – powiedział cicho Arystydes. – Dowodzisz niecałą trzydziestką ludzi uzbrojonych tylko w oszczepy i miecze. Sewerus i Wardanes muszą mieć tu jakąś setkę jeźdźców. A wszyscy Partowie mają na tyle potężne łuki, by położyć człowieka lub konia z ponad dwustu kroków. – Zawahał się na mgnienie oka, a potem mówił dalej: – Wybacz mi, że to mówię, ale przewaga jest raczej dość wyraźna.

Jakoś znalazłem siłę, żeby się do niego uśmiechnąć krzywo.

– Jednak lata spędzone z legionami do czegoś się przyczyniły, Arystydesie. Oceniełeś sytuację taktyczną tak doskonale, jakbyś dowodził tysiącami.

– Gdy czuję końskie gówno, wiem, że zazwyczaj gdzieś w pobliżu jest koń – Grek sucho zacytował stare wiejskie przysłowie, ulubione przez mojego dziadka.

Przyjąłem naganę z całą swoją dobrą wolą.

– Szanse nie są równe – zgodziłem się, myśląc na głos. – Jest nas mniej. Dysponujemy gorszą bronią, ale mamy jedną przewagę: zaskoczenie. Wardanes i ten drań z pretorii nie mają najmniejszego pojęcia, że jesteśmy na wolności, i to tak blisko.

Wpatrzyłem się w partyjskie konie, spokojnie pasące się w wysokiej trawie rosnącej wzdłuż drogi do Nazaretu.

– I musimy to wykorzystać tak dobrze, jak to tylko możliwe.

W mojej głowie zaczął kiełkować pewien plan. To nadal rozpaczliwie

ryzykowne. Ale najlepsze z różnych możliwości. Jeszcze raz przesunąłem spojrzeniem po dolinie i otaczających ją wzniesieniach, zapamiętując teren i szacując odległości. Moja taktyka wkrótce przyjęła określony kształt. Wiedziałem już, co musimy zrobić.

Spojrzałem na pozostałych towarzyszy. Patrzyli na mnie uważnie.

– Słuchajcie! Oto, jak wygramy tę bitwę... – Potem, używając czubka sztyletu, naszkicowałem plan bitwy na spieczonym słońcem ziemi.

W ciągu godziny Aedan i ja kłusowaliśmy na koniach, jadąc ku ujściu małej doliny zajmowanej przez Partów. Moi żołnierze podążali za nami trójkami. By ukryć nasz przejazd, jechaliśmy równolegle do grzbietu, starając się, by przeciwników i nas jak najdłużej oddzielał wysoki teren. Siedziałem na siwym ogierze, niegdyś należącym do żołnierza, który zginął w starciu z bandytami Gideona. Była to wielka bestia, ale szybkonoga i wyćwiczona do wojny.

Obejrzałem się przez ramię.

Arystydes i Paweł stali, patrząc, jak odjeżdżamy. Otaczali ich ludzie kawalerzystów, którzy dostali wyraźne instrukcje, by dowieźć ich bezpiecznie do Jerozolimy, jeżeli atak się nie powiedzie. Zanim ruszyliśmy, Komiusz, służący Aedana, i pozostali słudzy, zgłosili się na ochotnika. Chociaż wiedzieli, że mamy niewielkie szanse, żaden nie chciał siedzieć beczynnym. Podziękowałem im cicho za odwagę i poświęcenie, a potem powtórzyłem rozkazy. Służący nie mieli zbroi ani nie byli przygotowani do walki wręcz. Wzięcie ich na pole bitwy przyniosłoby im tylko śmierć bez żadnego pożytku.

Moim żołnierzom i mnie płacono za narażanie się na ryzyko. Ale nie miałem zamiaru pociągać za sobą nikogo postronnego, a zwłaszcza mojego starego przyjaciela i chłopca.

Arystydes zobaczył, że na niego patrzę, i z powagą uniósł stary, wysłużony kapelusz nad głowę w geście pozdrowienia. Wiedziałem, że nie jest szczęśliwy,

patrząc, jak odjeżdżam, lecz zadowolili się, dając mi szorstkim głosem ostrzeżenie.

– Uważaj na siebie, Lucjuszu. I proszę, postaraj się tym razem nie dać się zranić. Mam już dość bandażowania cię po każdej bitwie.

Po chwili wahania, Paweł pomachał na pożegnanie.

Ukryłem uśmiech. Chłopiec z Tarsu był nadal zirytowany, że nawet nie pozwoliłem mu patrzeć na zbliżającą się bitwę z Partami. Jakoś spodziewałem się, że znajdzie sposób, by zlekceważyć moje rozkazy, prawdopodobnie przy pomocy tych, którzy mają dbać o jego bezpieczeństwo.

Zatrzymaliśmy się kawałek od wejścia do doliny, nadal sporo poza zasięgiem wzroku Wardanesa i jego ludzi. Przed nami droga do Nazaretu zawijała do przełęczy na grzbiecie, wzdłuż którego jechaliśmy.

Aedan i ja klusem przejechaliśmy wzdłuż formacji, dokonując ostatniej inspekcji. Każdy żołnierz nosił kolczugę i żelazny hełm. Każdy miał długi miecz przypięty po prawej stronie i trzymał dużą, owalną tarczę w lewym ręku oraz trzy oszczepy w kołczanie zawieszonym na prawym tylnym uchwycie siodła.

Usatysfakcjonowany tym, co zobaczyłem, wróciłem na czoło kolumny. Aedan był pięć szeregów dalej.

Odwróciłem konia i wyjąłem oszczep. Uniosłem się w siodle, by czekający w milczeniu żołnierze wyraźnie mnie widzieli.

– Nie zamierzam tracić tchu na wymyślną mowę – podniosłem głos, by moje słowa doszły na tyły formacji. – Wszyscy znacie swoje rzemiosło. Trzymajcie się szeregu. Trzymajcie się blisko swoich towarzyszy. Uważajcie i słuchajcie moich rozkazów. Gdybym padł, patrzcie na Aedana. Czy to jasne?

Pokiwali głowami.

– Dobrze – wymusiłem uśmiech, mający oznaczać pewność siebie. – Zatem ruszajmy dać tym koziołubnym partyjskim łajdakom porządnego kopniaka w tyłek!

To wywołało głęboki śmiech uznania. Moi ludzie byli gotowi do walki.

Odwrociłem znowu konia i podniosłem wysoko oszczep. Potem raptownie go opuściłem, sygnalizując marsz.

– Żołnierze Trzeciej Galijskiej Kawalerii! Naprzód!

Ruszyliśmy wolno, zbliżając się do zakrętu. Partowie byli blisko, tuż za nim.

Dwieście kroków od wejścia do doliny puściłem konia klusem. Kolumna za mną przyśpieszyła. Zerknąłem za siebie. Każdy żołnierz był gotowy do rzutu oszczepem.

Sto kroków. Teraz już cwałowaliśmy. Czułem, jak serce zaczyna mi bić szybciej, jak oddech przyśpiesza. Niebawem – pomyślałem. Za moment.

Mój koń poszedł gładko po łuku, tak jak zakręcała droga do Nazaretu. Pokonaliśmy niskie wzniesienie i wpadliśmy do doliny.

Przed nami byli ludzie i konie. Partowie! Kilku w siodle. Większość nadal stała, trzymając wodze wierzchowców. Zobaczyłem odwracające się głowy i otwierające ze zdumienia usta.

Wziąłem głęboki oddech, napełniłem płuca powietrzem i zaryczałem:

– Do ataku!

Żołnierze za mną podjęli okrzyk. Puściliśmy się galopem, lecąc prosto na osłupiałego wroga.

Skupiłem się na ziemi przede mną. Na tym, żeby czuć konia pomiędzy kolanami. Na jego grzywie powiewającej w pędzie. Na przerażonej twarzy najbliższego Parta, gorączkowo próbującego naciągnąć łuk.

Za późno – pomyślałem zimno, podnosząc lewą rękę, a prawą odsuwając do tyłu. Czubek oszczepu zadrzał, potem znieruchomiał na jego klatce piersiowej. Teraz! Uniosłem się wyżej w siodle i cisnąłem broń z całą mocą.

Przemknęła w powietrzu w mgnieniu oka i dosięgła celu, wbijając się głęboko w brzuch Parta, który zgął się i spadł z konia.

Przemknąłem obok niego, już wyjmując następny oszczep. Z kurzawy wyłonił się kolejny człowiek, tym razem bez konia. Rzuciłem mocno. Nie wiem, czy go

trafilem. Galopowaliśmy dalej z głośnym tętentem.

Odwróciłem się w siodle. Większość Partów uciekała, oddalając się od traktu jak stadko przerażonych gęsi przed gromadą warczących psów. Pozostali leżeli na ziemi.

Moja dłoń zamknęła się na ostatnim oszczepie. Nachyliłem się, znalazłem cel i znowu rzuciłem. Koń zarżał i upadł na ziemię, zrzucając krzyczącego jeźdźca i wyciskając z niego życie.

Droga była wolna. Przejechaliśmy!

Obezwładniony poczuciem triumfu, euforią bliską szaleństwu zaśmiałem się głośno.

– Miecze! – krzyknąłem.

Moi żołnierze usłuchali mojego rozkazu i nadal wznosili okrzyki wojenne. Podobnie jak mnie, ogarnęła ich żądza krwi, dzikie pragnienie zabijania i jeszcze raz zabijania. Ciąć i rąbać, i dźgać aż do zwycięstwa.

Wyciągnąłem swój miecz. Wyfrunął z pochwy, zakreślając lśniący łuk w świetle słońca. Znowu odwróciłem się w siodle. Czy powinniśmy zawrócić i znowu zaatakować? Partowie nie mogą się równać z nami w walce wręcz.

Zabici i umierający ludzie wraz z końmi zaścielali trakt oraz stoki po obu stronach drogi. Ale widziałem zbierającą się masę jeźdźców kilkaset kroków dalej. Moja euforia opadła. Partowie przeformowywali się, szybko dochodząc do siebie po początkowej panice.

Nagle strzała świsnęła koło mojej twarzy, lądując w ziemi przed koniem. Zakląłem wściekle i złapałem wierzchowca za szyję. Minęliśmy mały zagajnik karłowatych dębów. Obok mnie przemknęło więcej pocisków. Niektóre odbiły się od skał, krzesząc snopy iskier. Inne uderzyły w korę lub wdarły się w poszycie.

Żołnierz po mojej lewej stronie nagle upadł z gardłem przebitym strzałą. Nasz atak zabił lub zranił wielu Partów, lecz nadal mieli oni przewagę liczebną.

Odjechałem z kolumny, rozglądając się za Aedanem.

Aedan zobaczył mnie i krzyknął:

– Jakie rozkazy, Lucjusz?

Wskazałem na drogę do Nazaretu.

– Trzymaj się planu! Jedź! Szybko! – Potem machnąłem mieczem w kierunku skalistego wzgórka. – Powstrzymamy ich tu z resztą żołnierzy! Aedan skinął głową. Zasalutował mi szybko ostrzem.

– Powodzenia! – Potem skręcił i wykrzyknął rozkaz do żołnierzy najbliższej siebie: – Za mną! Galopem!

Sześciu jeźdźców oderwało się od kolumny i podążyło za wysokim Celtem na zachód w szaleńczym pędzie. Reszta kawalerzystów pojechała za mną szerokim łukiem na południe, forsując konie pod górę stożkowatego wzgórza. Związła formacja rozdzielała się, gdy szybsze wierzchowce prześcigały wolniejsze i gdy lawirowaliśmy pomiędzy głazami i drzewami.

Obejrzałem się przez ramię. Łucznicy Wardanesa jechali za nami, strzelając ze swoich potężnych kompozytowych łuków. Kolejny rój strzał zakreślił łuk w powietrzu i padł gradem wokół nas. Żołnierz najbliższej mnie krzyknął, gdy grot przebił się przez jego zbroję. Upadł do przodu, ześlizgnął się z konia i zniknął pod jego kopytami.

Zakląłem znowu, gdy kolejny kawalerzysta chwycił mnie za ramię, wskazując gorączkowo w dół zbocza.

– Prefekcie, patrz! Dekurion!

Obejrzałem się przez ramię, nadal popędzając konia w górę. Dostrzegłem kłęb ludzi i koni wijący się z bólu pośrodku drogi, trafiony gęstą serią strzał. Niektórzy łucznicy odłączyli się od formacji i skręcili, aby nas odciąć od Nazaretu.

Poczułem w gardle cierpki smak żółci. Czy Aedan albo którykolwiek z jego ludzi uszedł z tej masakry? Czy wszyscy są w tej grupie podziurawionej strzałami? Przez

krótką chwilę ogarnęła mnie rozpacz – ciemność, strach i narastająca panika.

Z wysiłkiem odgoniłem te myśli od siebie. Czy ta bitwa jest wygrana, czy przegrana, moi żołnierze na mnie patrzą. Jeżeli umrzemy, to ja muszę dopilnować, by Wardanes i Sewerus drogo za to zapłacili.

Oderwałem oczy od tego widoku i skoncentrowałem się na wzgórzu przed sobą. Było tu bardziej stromo i mój koń ledwo torował sobie drogę ku stercie głazów wieńczących szczyt. No dawaj, chłopczyku, dawaj – powtarzałem w duszy ogierowi, ściskając go kolanami, by jeszcze trochę się wysilił.

Wierzchowiec ruszył wyżej i w końcu stanął w niewielkiej odległości od wierzchołka, nie będąc w stanie iść dalej. Na rozdętych chrapach i falujących bokach miał białą pianę. Zeskoczyłem z siodła.

– Z koni!

Klepnąłem wyczerpane zwierzę po zadzie i posłałem je, potykające się, w dół zbocza.

– Do mnie! Do mnie! – krzyknąłem. – Tarcze w górę!

Ludzie, którzy mi zostali – mniej niż dwudziestu – zsiadli z brzękiem zbroi. Odpędzili swoje konie i otoczyli mnie. Podnieśliśmy tarcze, starając się je złączyć.

Więcej partyjskich strzał zaświstało na niebie, odbijając się z brzękiem od tarcz lub łomocząc o wzgórze pod nami. Jeden z moich kawalerzystów upadł, trafiony w pierś. Stoczył się po zboczu koziółkując, z dziwnie powyginanymi kończynami.

Krok za krokiem szliśmy tyłem w górę wzgórza do kryjówki, którą częściowo dawał nam stos kamieni na zaokrąglonym szczycie.

– Blisko ziemi, chłopaki! – zawołałem – Tarcze wysoko! Niech te dranie przyjdą do nas!

Przycupnęliśmy, nie ustępując przed gradem strzał. Więcej pocisków roztrzaskało się o skały lub utkwilo głęboko w naszych tarczach. Padł kolejny żołnierz, trafiony w ramię. Przewrócił się z zaciśniętymi ustami, krwawiąc obficie,

lecz nadal trzymał swój miecz.

Mijały minuty, a z nimi rosły nasze straty – wolno, ale stale. Z ludzi, których wzięłem ze sobą na szczyt wzgórza, już trzech nie żyło, a kolejnych trzech było zbyt poważnie rannych, by walczyć.

Dostrzegałem pod nami Wardanesa, nadal na koniu. Partyjski szlachcic poganiał cienką linię atakujących pieszo łuczników w górę. Większość ludzi trzymał w siodle. Zgromadzeni oni byli u podstawy wzgórka, gotowi nas doścignąć, gdy się przedrzemy i zaczniemy uciekać.

Pięciu ludzi w błyszczących kolczugach i szkarłatnych płaszczach ciągnęło za Partami. Zmrużyłem oczy. Sewerus i jego pretorianie dołączyli do walki. Nie mogłem krytykować ich taktyki. Z bliska idący łucznicy zrobią z nas sito. Jeżeli ich zaatakujemy, cofną się i złapią nas na otwartym terenie, bo zostaniemy wystawieni na morderczy ostrzał jeźdźców poniżej.

Piesi strzelcy i gwardziści byli coraz bliżej. Spiąłem się. Byli niemal w naszym zasięgu.

Strzały nadlatywały coraz szybciej, świszcząc seria za serią. Ci na koniach mierzyli wysoko. Ich pociski szybowały po niebie i opadały na nas z olbrzymią siłą.

Coraz więcej ludzi wokół mnie padało trafionych. Niektórzy się trzymali, próbując zignorować ból spowodowany obrażeniami. Inni leżeli bezwładnie, już martwi lub umierający. Przygryzłem wargi. Moja mała grupka żołnierzy szybko topniała. Wkrótce będę musiał podjąć okropną decyzję: zostać wśród tych skał i patrzeć, jak giną jeden za drugim... albo po raz ostatni rozpaczliwie zaatakować z nadzieją, że zabijemy kilku wrogów (być może nawet samego Sewerusa), zanim sami zginiemy.

Poczułem mdłości. Mój nierealny plan zawiódł. Poprowadziłem tych ludzi na rzeź i wszystko nadaremno. Umrzemy, a potem zgina niewinni nazaretańczycy.

Lepiej teraz zaatakować – uznałem ponuro. Lepiej zejść i umrzeć w walce, niż

kulić się tu i zostać zarżniętym. Wysunąłem się nieco przed moich ludzi, gotów poprowadzić ich na dół.

I zatrzymałem się, patrząc poza Wardanesa i jego konnych łuczników. Czy coś się rusza tam za najbliższym zagajnikiem?

Strzała przerwała kolczugę na moim prawym ramieniu. Grot chybił, lecz jego siła wcisnęła metalowe ogniwa głęboko w ciało. Wzrok mi się zamazał. Dwa kolejne pociski wbiły się w moją tarczę, aż się zakołysałem do tyłu.

Usłyszałem głos wykrzykujący rozkazy i zobaczyłem, że Wardanes niedaleko linii łuczników wskazuje prosto na mnie. Kazał im skoncentrować ostrzał na mnie. Sewerus coś przy tym wykrzykiwał.

Wziąłem głęboki oddech...

I nagle rozległ się głośny i przenikliwy dźwięk trąbki.

Wyjrzałem znowu znad tarczy i od razu poczułem się lepiej. Dwa szeregi galijskich kawalerzystów wypadły zza drzew prosto na partyjską flankę. Rozpoznałem jadącego na czele Aedana i to się śmiałem, to płakałem z czystej radości. Wysoki, jasnowłosy Celt żyje. Wypełnił moje rozkazy. W najlepszym momencie przyprowadził Taedifera i żołnierzy mających pilnować Nazaretu.

Konni łucznicy padali na ziemię z krzykiem, przebici bądź strzałami oszczepów, bądź gwałtownymi ciosami miecza. Kawalerzyści zrobili wielki wyłom w formacji wroga. Miecze i szable tylko migotały w słońcu.

Partowie zostali zmuszeni do cofnięcia się w nieładzie. Widziałem, jak się wahają, bliscy paniki. Jeden za drugim odrywali się od walczących, unikając boju, gotowi uciekać.

Na stoku poniżej zobaczyłem, że Wardanes odwraca się gwałtownie, wyraźnie zaskoczony. Potrząsnął głową z niedowierzaniem, zaklął do Sewerusa i skierował konia w dół. Z wysoko podniesioną szablą wjechał prosto w tłum walczących.

Aedan ruszył mu na spotkanie.

Ich ostrza zwarły się, odbiły i znowu spotkały. Wardanes ciął wściekle w głowę Celta. Ten jednak uchylił się i zadał cios. Przez długą chwilę partyjski szlachcic wpatrywał się w miecz zagłębiony w swojej piersi. Znowu potrząsnął głową, osunął się i spadł, zniknąwszy wśród tnącej na oślep masy jeźdźców.

Partowie załamali się. Pierzchali we wszystkich kierunkach, porzucając w panice szable i łuki. Aedan i Taedifer ze swoimi ludźmi natarli na uciekających z wysoko podniesionymi, zakrwawionymi mieczami, krzycząc triumfalnie.

Popatrzyłem na zbocze. Piesi łucznicy stali jak rażeni piorunem, patrząc na rzeź w dolinie. Jedno solidne uderzenie ich też zniszczy.

Odwróciłem się do mojej garstki z dzikim uśmiechem na twarzy. Zobaczyli to i zaryczeli:

– Wstawać! – krzyknąłem, wskazując mieczem w dół stoku. – Na nich!

Moi ludzie – grupka, która mogła się jeszcze ruszać – zerwali się zza pokrytych krwią, poznaczonych śladami strzał głazów i rzucili się za mną, pędząc na linię Partów. Spanikowani żołnierze odrzucili łuki i uciekli przerażeni.

Tylko Sewerus i jego gwardziści nie drgnęli.

Kierowałem się prosto na centuriona o ponurej twarzy. Był mój.

Sewerus zobaczył, że się zbliżam. Uniósł kącik ust w drwiącym uśmiechu. Potem zaatakował, rzucając się do przodu ze zdumiewającą prędkością. Zdążyłem podnieść tarczę, by jego krótkie ostrze nie sięgnęło celu. Przyjął moją ripostę na swoją tarczę.

Raz za razem nasze miecze, błyskając, cięły, pchały i parowały. Okrążaliśmy się, to atakując, to broniąc. Obaj nie zwracaliśmy uwagi na toczącą się nadal wokół nas bitwę, skupieni tylko na chęci zabicia przeciwnika.

Pretorianin był wypoczęty, niezbyt się zmęczył, ja zaś byłem wyczerpany, już wymęczony nocami bez snu i dniami forsownej jazdy oraz jeszcze intensywniejszej walki. Ponadto przewyższał mnie wzrostem. I siłą. Miał też niewiarygodnie duże umiejętności. Trzy razy z rzędu ledwo się uchyliłem przed szybkimi jak błyskawice

ciosami, które mogły mnie zabić.

To ostatnie, okrutne pchnięcie trafiło mnie w łydkę.

Odsunąłem się poza jego zasięg. Rana jeszcze nie bolała, ale czułem, jak krew spływa mi po nodze. Krople potu zalewały mi oczy. Piekły, przez co widziałem wszystko niewyraźnie. Starłem je niecierpliwie. Będę musiał znaleźć jakiś sposób na zakończenie tej walki, zanim pretorianin mnie zmęczy.

– Uciekaj, chłopcze! – powiedział cicho. – Nie jesteś dla mnie godnym przeciwnikiem. Uciekaj i żyj.

Pokręciłem uparcie głową.

– Nigdy.

Pretorianin wzruszył obojętnie ramionami.

– Więc niech tak będzie.

I natarł znowu serią potężnych pchnięć i cięć, które zmuszały mnie do cofania się pod górę, krok za krokiem. Nie dawał mi szansy kontrataku. Mogłem się tylko bronić.

Sewerus już się otwarcie uśmiechał. Przejął inicjatywę i o tym wiedział.

Zraniona noga rwała mnie teraz z bólu, kiedy musiałem na niej oprzeć ciężar ciała. Centurion zmusił mnie do cofnięcia się o kolejne kilka kroków, a z każdym ból narastał.

Skrzywiłem się. A potem zobaczyłem, jak Sewerus zerka w dół. W tym momencie wiedziałem, co zaraz zrobi. Przysunął się z wysoko podniesionym ostrzem, lecz to był tylko zwód.

Rzuciłem się na niego, starając się go zablokować, zanim wbije ostrze w zranioną nogę.

Niemal się udało.

Odparłem jego cios mieczem i odbiłem w bok. Nasze tarcze zderzyły się i zablokowały. Wpatrywałem się w zimne, złe oczy centuriona. Dzieliły nas tylko

centymetry.

Stękając z wysiłku, odrzucił mnie w tył potężnym pchnięciem. Prawą stopę postawiłem na obluzowanym kamieniu i noga mi się wygięła. Straciłem równowagę i znowu zatoczyłem się do przodu.

Wprost na miecz Sewerusa.

Poczułem, jak ostrze rozgniata mi zbroję i wchodzi głęboko w brzuch, tuż pod żebrami. Zatrzymało się tam w połowie długości. Sewerus wyszarpnął je z okrutnym uśmiechem. Cofnąłem się chwiejnie w tył, nagle ogarnięty paralizującym bólem.

Pretorianin zaśmiał się głośno. Posunął się naprzód, odsuwając tarczę, by mieć miejsce na kolejny śmiertelny cios, którym chciał mnie dobić.

Łajdak.

Rozpaczliwie zebrałem wszystkie resztki słabnącej siły i pchnąłem mocno tarczą, starając się wbić metalowy guz wprost w wyszczerzoną w uśmiechu twarz. Zaskoczony Sewerus cofnął się w dół wzgórza.

Postawił sandał na plamie mojej krwi i się pośliznął. Klnąc w ataku paniki, zachwiał się, starając się odzyskać równowagę na stromym zboczu.

Teraz, Lucjuszu – pomyślałem. Uderz teraz. Albo umrzesz sam.

Zamachnąłem się mieczem tak mocno i tak szybko, jak mogłem. Ostrze świsnęło w powietrzu prosto w jego twarz. Dostrzegł mój zamiar, lecz za późno. O wiele za późno. Oczy mu się rozszerzyły.

Ostrze wcisnęło się głęboko i utknęło.

Od siły ciosu Sewerus padł na kolana. Miał potwornie zmiażdżoną twarz: wyglądała teraz jak maska z krwi i strzaskanych kości. Tylko jedno oko pozostało nienaruszone. Wpatrywało się we mnie przez krótką chwilę, pełne bólu i kompletnego niedowierzania – a potem życie je opuściło. Centurion zachwiał się, wyrывая mi miecz z ręki. Skręcił się, zadrżał i umarł.

Upadłem na kolana, chwiejąc się, w miarę jak ból stawał się coraz większy. Palił

teraz ogniem jakby wewnątrz mnie płonęło piekło. Czulem, jak krew wylewa się przez wielką ranę w brzuchu. Nie patrzyłem w dół. Wiedziałem, co tam zobaczę. Żaden człowiek nie żyje długo po zadaniu mu takiej rany. Ogień płonął coraz wyżej.

Umierałem.

Nie wiem, jak długo tam klęczałem, wykrwawiając się na ziemię jałowego wzgórza w Galilei. Czas płynął obok. Nie miało to już dla mnie żadnego znaczenia.

– Przeklęty – usłyszałem czyjś zbliżający się szorstki głos.

Ze znużeniem uniosłem głowę i zobaczyłem wspinającego się do mnie Araneusza. Zataczał się pomiędzy spiętrzonymi trupami na stoku. Jego szaty były porwane i zakrwawione. Oczy dzikie – pełne szaleństwa, nienawiści i wściekłości.

Podniósł sztylet, zbliżając się chwiejnym krokiem.

– Wścibski głupcze – wysapał. – Wszystko zepsułeś. Wszystko zniszczyłeś.

Wpatrywałem się w niego, dostrzegając olbrzymią ranę ciętą z boku głowy. Jedna ręka wisiała mu bezwładnie u boku. Wydawało mi się, że widzę białą złamaną kość, wystającą z poszarpanego rękawa. Mag musiał się dostać w ostateczną potyczkę, ktoś go ciął mieczem i zostawił.

Astrolog dostrzegł trupa centuriona pretorii i zawahał się. Miał wynędzniałą i śmiertelnie bladą twarz. Pokręcił z rozgoryczeniem głową.

– Więc Sewerusowi też się nie udało. Teraz obraca się w pustkę, w nicość. A ja jestem zgubiony. Wszystko jest zgubione. – Podniósł wzrok. Zacisnął zęby. – Cóż, zatem zabiorę cię ze sobą. Sam cię zabiję.

Pomimo agonii, poczułem, jak kąciki moich ust wykrzywają się w uśmiechu.

– Spóźniłeś się – wydusiłem mimo bólu.

Araneusz warknął i ruszył ku mnie. Podniósł wysoko sztylet.

– Nie! – rozległ się piskliwy chłopięcy głos.

Araneusz odwrócił się, nadal warcząc. Kamień rozbił mu czoło, rozcinając je aż do kości. Zajączał, starając dostrzec nowe zagrożenie przez krew zalewającą mu

oczy.

To Paweł, który stał tylko dwa metry dalej.

Araneusz skrzywił się. Chwiejnym krokiem ruszył ku chłopcu, nadal trzymając nóż.

Paweł nie ustąpił. Schylił się i podniósł kolejny kamień. Potem cisnął go z całą mocą. Gładki kawałek skały poleciał prosto, trafiając astrologa w głowę z głuchym, ciężkim odgłosem. Roztrzaskał mu czaszkę. Szkarłatne strumienie krwi trysnęły mu z nosa, uszu i oczu. Araneusz zachwiał się i upadł. Sztylet wbił się w ziemię.

Paweł stał oniemiały i przerażony, patrząc na człowieka, którego przed chwilą zabił. Jego prawa dłoń, ta, którą rzucił kamień, zaciskała się i rozwierała. Po chwili zwrócił się ku mnie. Zobaczyłem, jak stał zszokowany, kiedy dostrzegł potworną ranę od miecza w moim brzuchu. Zachłysnął się. Łzy spływały mu po policzkach.

Spróbowałem się odezwać. Żadne słowa nie wydobyły się z moich ust. Ponowiłem wysiłek, opierając się narastającej fali cierpienia.

– Pawle – wydyszałem. – Sprowadź lekarza. Sprowadź Arystydesa... Potem ból stał się jeszcze większy, trawiąc wszystko wokół mnie.

Świat gasł, aż zniknął.

Odzyskałem przytomność jakiś czas później. Leżałem oparty o głaz. Moje oczy skupiły się na mrówce wędrującej po przesiąkniętej krwią ziemi ku mojej rozciętej prawej nodze. Nie mogłem się ruszyć.

Ból z ran nadal był obecny, lecz teraz czułem go, jakby był bardzo odległy. Odwróciłem wzrok od mrówki. Wszystkie barwy, całe życie wyciekało z otoczenia, zostawiając odcienie szarości. Świat stawał się coraz zimniejszy. Zadrzałem.

Padł na mnie cień.

Z trudnością podniosłem oczy. Stał tam ktoś, patrząc w dół. Nie mogłem dostrzec jego twarzy.

– Arystydes? – wyszeptałem.

Człowiek ukląkł koło mnie. Był to Jezua, młody cieśla z Nazaretu. Jego twarz była pełna żalu i cierpienia.

Odwróciłem wzrok, bo nie byłem w stanie znieść takiego smutku. Popatrzyłem na stok, na martwych ludzi i konie rozciągnięte po całym wzgórzu i dolince. Ciał były dziesiątki, niektóre leżały razem, inne same.

Moje spojrzenie padło na niedalekie ciało. To Duriks, najodważniejszy i najbardziej chępliwym ze wszystkich rekrutów, których przyprowadziłem z Antiochii. Leżał zwinięty koło skały, nadal ściskając drzewce strzały, która go zabiła.

Przełknąłem ślinę.

Galilejczyk podążył za moim wzrokiem. Westchnął.

– Ta bitwa nie była moim życzeniem, Aureliusz Walensie. Zbyt wielu ludzi, dobrych i złych, tu zginęło.

Zdezorientowany, zwróciłem ku niemu wzrok. Nie była jego życzeniem? Co on przez to rozumie? Lecz teraz ból znowu nadchodził, coraz intensywniejszy. Ledwie oddychałem. Ze wszystkich sił starałem się odezwać i ze zdziwieniem stwierdziłem, że chcę go pocieszyć – jego, człowieka, który żyje i nie jest ranny.

– Nie opłakuj nas – powiedziałem wreszcie z urywanym oddechem. – Spełniliśmy swój obowiązek jako żołnierze. Walczyliśmy, by ochronić twoją wioskę przed złem.

– Nie moją wioskę – powiedział cicho Jezua. – Mnie. Utkwiłem w nim wzrok, połykając łzy. Galilejczyk był dla mnie sylwetką na tle słońca.

Jezua zwrócił twarz ku chmurom, ku słońcu.

– Ojczy, usłysz mą modlitwę – powiedział cicho. – Wiem, że moja godzina jeszcze nie nadeszła, lecz mimo to proszę o to w imię Twoje.

Kolejna fala bólu przetoczyła się przeze mnie, wypierając oddech z mojego poszarpanego i krwawiącego ciała. Zamknąłem oczy, ale wcześniej dojrzałem

migoczący, tańczący język płomienia wokół głowy młodego Galilejczyka. W tym samym momencie usłyszałem dźwięk trzepoczących nieopodal potężnych skrzydeł.

A potem poczułem, jak dłonie Jezui naciskają mój brzuch. Zesztywniałem, wyginając plecy w oczekiwaniu niewyobrażalnego bólu. Lecz nic takiego się nie zdarzyło.

Nic. Poczulem tylko ciepło, ulgę i szczęście. Unosiłem się w spokoju, nie dbając o to, czy żyję, czy umarłem. Głosy tych, których najbardziej na świecie kochałem, przyplęły do mnie w ciemności – matki, dziadka, Arystydesa, Mary, Aedana... nawet ojca.

Potem usłyszałem nowy głos, należący do Galilejczyka. Nachylał się nade mną i szeptał mi do ucha:

– Będiesz żyć, Lucjuszu. Ale już nie tylko dla siebie. – Łagodnie dotknął mojego czoła. – Kiedy nadejdzie czas, przyjdź i pójdz za mną.

I choć miałem zamknięte oczy, zobaczyłem świecący przede mną wielki płomień oślepiającego światła, który rósł i rósł, coraz większy, coraz bliższy i jeszcze jaśniejszy, oświetlający każdą część mnie. Ciemność wokół znikła, zostało tylko to wielkie światło.

Drżąc, wyciągnąłem rękę... wysilając się, by dotknąć cudu, który oglądałem.

I wtedy runąłem, sunąc coraz niżej, spadając z samych niebios na ziemię.

Epilog

Dziwnie jest ponownie czytać coś, co napisałem w takim gorączkowym pośpiechu tak wiele lat temu. Tyle się wydarzyło, tyle się zmieniło – zarówno w moim życiu, jak i na świecie – że niektórzy mogliby uznać, że wiele dzieli młodego, wybuchowego żołnierza, który spisał tę opowieść, od człowieka, którym jestem teraz.

A jednak nie ma tak wielkiej przepaści pomiędzy nami – Lucjuszem Aureliuszem Walensem, niecierpliwym, gwałtownym żołnierzem, a mną obecnie. Sądzę teraz, że większość z tego, kim od tamtego czasu się stałem, już we mnie była, czekając tylko na wezwanie, wtedy gdy Jezua z Nazaretu położył na mnie dłonie.

Ale to prawda, że to młody cieśla – bo za takiego go wtedy uważałem – skierował mnie na inną drogę, na ścieżkę, którą być może bym sam nie poszedł z własnej woli.

– Przyjdź i pójdz za mną – powiedział.

Taka prosta rzecz, a jednak taka trudna.

Nie wiedziałem wtedy, co tak naprawdę oznacza ten cichy rozkaz ani jak wpłynie na moje życie. Moja droga tu, do Antiochii, była dłuższa i miała więcej zakrętów, niż bym to sobie mógł wyobrazić. Niektórzy z tych, których tu opisałem, wśród nich Arystydes, Aedan, Paweł i Mara, pokonali ją ze mną, choć zupełnie inaczej niż ja, a często w innym czasie.

Tamte dni zostawiły mi wiele innych opowieści, którymi chciałbym się podzielić. Pełno w nich wielkiej radości i strasznego smutku. Poznałem prawdziwych przyjaciół i zetknąłem się z zawziętymi przeciwnikami. Byłem świadkiem bohaterstwa i tchórzostwa, złośliwości i miłości, obrzydliwych morderstw i szlachetnego poświęcenia. Widziałem, jak imperatorzy zajmują scenę w chwale i odchodzą w ciemność: Tyberiusz, Kaligula, Klaudiusz, Neron i inni. Żyję

na tyle długo, by zobaczyć, że ci, których uważano za potężnych, upadli, a ci, którzy mieli być bezwartościowi, wzniesli się wysoko.

Lecz dopiero teraz – po tak długim czasie – zaczynam rozumieć prawdziwą pracę, do której zostałem przeznaczony. Przez lata podróżowałem po całej Judei i Galilei, Syrii i Azji, a nawet do samego Rzymu, zbierając opowieści i świadectwa wielu różnych ludzi.

Zacząłem splatać te historie w uporządkowaną relację – wierną relację – tego, czego się dowiedziałem. Napiszę ją po grecku, ponieważ teraz noszę greckie imię, odpowiednik Lucjusza. Z upływem czasu moja łacina została zapomniana razem z tymi okresami początków mojego życia, które już nie miały znaczenia. Oto jak rozpocznę:

„Za dni Heroda, króla judzkiego, żył pewien kapłan imieniem Zachariasz, ze zmiany kapłańskiej Abiasza. Miał on za żonę jedną z córek Aarona, a na imię było jej Elżbieta. Oboje byli sprawiedliwi wobec Boga, postępując nienagannie według wszystkich przykazań i ustaw Pańskich. Lecz nie mieli potomstwa, ponieważ Elżbieta była niepłodna, a oboje byli już w podeszłym wieku [...]”.

ŁUKASZ

Ewangelia wg św. Łukasza, 1, 5-7 (za *Biblia*, wyd. Krajowe i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa, 1990).

